

Najlepszy erotyczny romans z epoki regencji 2011
według czytelniczek magazynu „Romantic Times”

Spełnione życzenie



GRACE
BURROWES



Romans historyczny

Burrowes Grace

Córki księcia Windham01

Spełnione życzenie

Lady Sophie Windham potrzebuje samotności. Choć zbliżają się święta, woli zostać w książęcej rezydencji rodziców w Londynie. Za kilka dni dołączy do rodziny w ich wiejskiej posiadłości. Jednak gwałtowna śnieżycy burzy jej plany.

Sophie musi nagle zdać się tylko na siebie, a co gorsza nie jest w domu sama...

Sytuacja groziłaby całkowitą katastrofą, gdyby nie przystojny nieznajomy.

Vim Charpentier jest oczarowany Sophie. Nie wie jednak, że piękna córka księcia ma swoje sekrety i nie wystarczy pocałunek pod jemiolą, aby spełnić jej skryte marzenia...



1

Nie ma pokoju. Ani jednego sakramenckiego miejsca w całym sakramenckim zajeździe, panie! - odparł karczmarz donośnym głosem, przekrzykując wrzeszczące niemowlę. - W stajniach też szpilki nie wciśniesz, a jeszcze idzie sakramencka śnieżycą! Proszę wybaczyć!

Oddalił się pospiesznie i ryknął na służącego, nakazując mu przetrzeć sakramencką podłogę. Jego głos niósł się nad głowami stłoczonych podróżnych. Vim nie był zaskoczony brakiem noclegu. Ruszył w kąt sali, gdzie mógł ochronić uszy przed potokiem przekleństw, ale przepychanie się przez ciżbę było nie lada wyzwaniem.

Ślizgał się po podłodze pokrytej śniegiem, końskim łajnem i ziemią - wszystkim, co ludzie nanieśli z podwórka tonącego w podmarzniętej mazi. Ale nie to było najgorsze. Smród bijący od podłogi mieszał się z odorem niemytych ciał, wilgotnej i brudnej wełnianej odzieży oraz przypalonych baranich steków, tworząc kompozycję trudną do zniesienia nawet dla najbardziej odpornego nosa. Ponad tym wszystkim unosił się zupełnie nedorzeczny aromat cynamonu, jak gdyby odrobina egzotycznej przyprawy mogła sprawić, że w tym odpychającym otoczeniu zapanuje świąteczna atmosfera, co było rzeczą absolutnie niewyobrażalną.

Najbardziej denerwujący był jednak przenikliwy dźwięk, który zagłuszał wszystkie inne odgłosy: przekleństwa i gwar rozmów, skrzypienie butów i niewybredne wrzaski stajennych dochodzące z podwórka. Dźwięk, który zaczynał doprowadzać Wilhelma Lucyfera Charpentiera do szaleństwa. Płacz niemowlęcia.

Vim dostrzegł małego nieszczęśnika już wcześniej, gdy zła pogoda uniemożliwiła dalszą podróż i wszyscy pasażerowie zostali poproszeni o opuszczenie powozu właśnie tutaj, w sercu Londynu. Potulnie jak owieczki prowadzone na rzeź wtłoczyli się do zajazdu, taszcząc bagaże. Ceną za ciepłe schronienie okazał się przeraźliwy hałas maltretujący uszy.

Fala płaczu wzniosła się w wyższe rejestry, wyrażając już nie oburzenie, lecz niepohamowaną złość. Następnym etapem będzie nieutulony szloch, który może trwać godzinami.

Wesołych sakramenckich świąt.

Vim miał w Londynie wielu znajomych. Mógłby zapukać do jakichś drzwi i zapytać, czy może przeczekać niekorzystną pogodę. Zapewne gospodarz z przyklepionym do twarzy uśmiechem odegrałby swoją rolę, udając radość z niezapowiedzianej wizyty. Radośni ludzie wznosiliby toasty na cześć gościa, przedzierające się przez te same co roku beznadziejne madrygały i fragmenty z Mesjasza Haendla.

Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na stojącą w pobliżu kobietę, która trzymała na ręku zanoszące się płaczem niemowlę.

- Przepraszam, mógłbym w czymś pomóc? - zapytał, uchylając kapelusza, po czym zacisnął pięści i opuścił ręce wzdłuż ciała, aby opanować pokusę i nie wyrwać jej maleństwa. - Dziecko wydaje się niespokojne.

Zdobyła się na grzecznościowe dygnięcie.

- Tłumaczę mu, że takie napady złości są niestosowne. Bardzo przepraszam za hałas. - Utkwiła spojrzenie w dziecku. - Jesteś nieznośny, Kit, krzyczysz tak, że ludziom uszy puchną i nikt z tobą nie wytrzyma... - napominała dziecko łagodnym głosem.

Vim próbował odzyskać równowagę. Mało brakowało, żeby spojrzenie w najładniejsze zielone oczy, jakie w życiu widział, zbiło go z nóg. Nie była pięknoscia. Miała pełne usta o poważnym wyrazie, ostro zarysowany podbródek oraz nieco plebejski nos. Ciemnobrązowe włosy zebrała z tyłu głowy w nieciekawy koczek. Ale te oczy...

Równie silne wrażenie zrobił na nim miękki głos kobiety. Bez wątpienia była dobrze urodzona, odebrała doskonale wychowanie i odznaczała się nienagannymi manierami. Nawet dziecko ganiła bez złości i zniecierpliwienia.

- Mogę? - Vim wyciągnął ręce, napotyając znowu spojrzenie zielonych oczu, w których zamigotał wyraz lekkiego zaskoczenia. - Umiem obchodzić się z dziećmi.

Podawała mu niemowlę. Podeszła przy tym na tyle blisko, że Vim mógł ocenić, iż nie jest zbyt wysoka. Mimo to w jej sylwetce dostrzegł pewne dostojeństwo. Nie straciła go, nawet trzymając rozkrzyczone dziecko.

- Jego matka powinna zaraz wrócić. Poszła na stronę. Rzuciła przy tym pełne nadziei, ale i niepokoju, spojrzenie ku drzwiom prowadzącym na dwór.

Vim wziął dziecko na ręce. Ucichło, zainteresowane nagłą zmianą, choć zapewne tylko na moment.

- Masz się uspokoić - powiedział do niemowlęcia, które w odpowiedzi zamrugało niebieskimi oczami. - Ta dama ma dość twojego płaczu, podobnie jak wszyscy tutaj i w promieniu kilku najbliższych ulic. Zachowuj się, bo posterunkowy zabierze cię do celi. No, tak lepiej.

Oparł dziecko na ramieniu i zaczął delikatnie klepać i pocierać jego plecki.

- Niedawno jadł, prawda? Kobieta zarumieniła się nieznacznie.

- Zgadza się.

A zatem niemowlę było jeszcze karmione piersią, pomyślał, przewidując nadciągające kłopoty.

- Jego matka raczej nie wróci - oznajmił spokojnie, jak gdyby komentował stan pogody.

- Słucham?

- Proszę mówić ciszej, bo dziecko znowu zacznie płakać. Odwrócił się plecami do sali, aby odgrodzić kobietę od reszty ludzi.

- Proszę wybaczyć, zapomniałem się przedstawić - mówił dalej Vim. - Wilhelm Charpentier, do usług.

Pominał tytuł, jak zwykle, gdy przedstawiał się obcym osobom, ale ukłonił się elegancko z dzieckiem przytulonym do piersi. Niemowlę roześmiało się radośnie i serdecznie, jakby wzięło to za początek dobrej zabawy.

- Nazywam się Sophie Windham. - Dygnęła przed nim po raz drugi. Vim gorączkowo przeszukiwał pamięć, gdyż jej nazwisko wydało mu się dziwnie znajome. - Powinnam była się domyślić, że Joleen coś planuje. Powiedziała, że idzie na stronę a zabrała walizkę.

- Była pani zajęta uciszaniem tego nieszczęśliwego małego dżentelmena. Czy możemy już iść? Zanoszą się na śnieżycę

Zerknęła przez okno i ruszyła przed siebie. Przedarcie się przez tłum zabrało im kilka minut, a przy samych drzwiach musieli się na chwilę zatrzymać. Panna Windham otuliła dziecko grubym wełnianym szalem.

- Mój powóz stoi tuż za rogiem. - Wciągnęła rękawiczki, wskazując ruchem głowy na północ, w stronę Mayfair - Do do mu jest niedaleko, ale wzięłam powóz, bo Joleen miała walizkę

Nie miała na głowie czepka, owinęła więc głowę wełnianym szalem, zakrywając uszy, szyję i częściowo włosy. Vim poczuł ulgę gdy wyszli z zatłoczonego pomieszczenia na świeże powietrze' Po krótkim spacerze stanął jak wryty.

- Wielkie nieba! A cóż to jest?

- Ciszej, proszę. - Panna Windham spojrzała na niego, marszcząc brwi. Chłopak, który pilnował powozu, pobiegł do karczmy. -Urazi pan uczucia Goliata. To bardzo wrażliwy konik

Wrażliwy konik był w kłębie nieco wyższy od Vima. Zwierzę tak potężne przedzierałoby się przez śnieg bez najmniejszego zmęczenia, ale rzadko trzymano takie konie w miejskich stajniach

- Zapewne kiedyś ciągnął wóz z beczkami piwa Uciekł? -zaciekawiał się Vim, gdyż zwierzę było tak ogromne, że nie powstrzymałyby go ani płoty, ani mury, ani ludzkie życzenia, gdyby postanowiło opuścić właściciela.

- Jego życie nie było usłane różami, ale odkąd dołączył do naszych koni, bardzo się poprawiło. Świetnie sobie radzi przy złej pogodzie. Wezmę dziecko.

Odwróciła się do Vima. W tej samej chwili z nieba spłynęły leniwie trzy duże płatki śniegu, zwiastujące pogorszenie i tak już kiepskiej pogody, co zresztą przewidywał od jakiegoś czasu. Nie oddał jej dziecka.

- Gdzie jest woźnica, panno Windham? Nie uda się pani powozić i jednocześnie trzymać Kita.

- Mogę chwycić wodze jedną ręką - powiedziała, marszcząc czoło. - Goliat sam trafi do domu.

- W to nie wątpię. - Jeśli nie do domu, to przynajmniej do koryta z owsem. - Tak czy inaczej, byłbym spokojniejszy, gdyby pozwoliła mi pani powozić. Nadciąga następna śnieżycyca, a nie chciałbym pozostawić pani i pani podopiecznego na łasce i niełasce konia. Zwłaszcza gdy oboje macie do dyspozycji dżentelmena, który może zadbać o wasze bezpieczeństwo.

Ta uprzejma przemowa miała podnieść ją na duchu i sprawić, żeby mu zaufała i pozwoliła sobie towarzyszyć. Sumienie nakazywało mu jej pomóc. Powiedział dokładnie to, co myślał. Chciał, aby kobieta i dziecko znaleźli się w ciepłym domu, zanim sam rozejrzy się za jakimś noclegiem. Niejeden uznałby to za staroświecką rycerskość albo wyjątkowy odruch serca wywołany świąteczną atmosferą, ale Vim nie zamierzał zostawiać tych dwojga na łasce losu.

- To tylko kilka przecznic, panie Charpentier. Wymówiła jego nazwisko na sposób francuski, podobnie jak

 sam to robił, aby oddać szacunek odległym normańskim przodkom ojca.

- A zatem nie będzie pani miała nic przeciwko temu, abym odwiózł ją do domu.

Wrzucił torbę podróżną do powozu i wolną ręką ujął ją pod łokieć. Ostra linia podbródka znamionowała upór i czuł, że ta cecha może lada moment dojść do głosu, ale z pomocą przyszedł mu nagły powiew zimnego wiatru, niosący kolejne płatki śniegu. Wyraz jej twarzy od razu złagodniał.

- Skoro pan nalega.

Pomógł jej wsiąść, wznosząc dziękczynne spojrzenie do nieba. Nie lubił marnować czasu, więc ucieszył się, że nie musi sprzeczać się z obcą kobietą, gdy nad miastem lada moment mogła się rozszałić śnieżyca, a dziecko, które trzymał w ramionach, wykazywało wszelkie oznaki, że za chwilę...

- Wielkie nieba! - Panna Windham zmarszczyła nos. - Coś tutaj...

- Nie coś. - Vim podał jej dziecko. - Ktoś. Najadł się, beknał, a teraz musi zademonstrować, że druga strona jego układu pokarmowego też działa jak należy.

Wsiadł do powozu i odwinął lejce z hamulca. Siedząca obok panna Windham trzymała dziecko w pewnej odległości od siebie.

- Coś podobnego. - Zmarszczyła brwi, patrząc na małego. -No coś podobnego. Jest pan pewien, że robią to regularnie?

- Jak w zegarku, jeśli wszystko idzie, jak trzeba. Przypuszczam, że chłopiec dostaje już stały pokarm. Tym lepiej dla niego, skoro nie wie pani, gdzie jest jego matka.

Nie spytała, w jaki sposób doszedł do tego wniosku, ale dowód był niepodważalny. Dziecko karmione wyłącznie mlekiem matki nie roztaczałoby wokół siebie tak odrażającej woni jak Kit.

Vim potrząsnął lejcami i kasztanowy potwór ruszył przed siebie.

- Dokąd jedziemy?

Podawała adres. Ponieważ był to jeden z większych placów w Mayfair, Vim zaczął się zastanawiać, kim jest kobieta siedząca obok niego w powozie.

Sophie Windham poprawnie się wysławiała, ale jednocześnie wałęsała sama po Londynie mimo zimowej aury. Jej garderoba była w dobrym gatunku, ale nie na tyle wyszukana, żeby właścicielkę można było uznać za zamożną osobę. Energiczny sposób bycia i pewność siebie świadczyły, że może być gospodynią domu. Taka pozycja wśród służby wyjaśniałaby także nieumiejętność obchodzenia się z dziećmi, gdyż kobiety na tym stanowisku rzadko wychodziły za mąż.

- Wybrał się pan w podróż w taki dzień, panie Charpentier? Trzymała teraz dziecko w ramionach, mimo że z becika wydobywał się przykry zapach.

- Wybieram się do rodzinnej posiadłości na długo oczekiwane wakacje.

Do byle jakiej posiadłości na byle jakie wakacje. Musiał go chyba zdradzić ton głosu, bo rzuciła mu spojrzenie spod oka, a potem otaksowała wzrokiem jego profil. Czuł, że chce w sposób właściwy kobietom sformułować niezręczne pytanie w jak najdelikatniejszej formie. W końcu zrezygnowała.

- A pani? - Omiótł ją wzrokiem. - Mieszka pani w Londynie czy wybiera się w inne miejsce do rodziny na święta?

- Moi bracia zawitają do Londynu w przyszłym tygodniu. Razem pojedziemy do hrabstwa Kent, zakładając, że dotrą tu cali i zdrowi.

- Ilu ma pani braci?

- Miałam pięciu. Z powodu suchot i Korsykanina pozostało mi trzech - odpowiedziała bez drżenia głosu i sentymentalnej nuty, ale mocniej przytuliła dziecko.

- Przykro mi.

Przez chwilę jechali w ciszy. Pojedyncze płatki zamieniały się powoli w gęsto sypiący śnieg. Odezwała się dopiero wtedy, gdy uznał już temat za zamknięty.

- Mój brat Wiktor zmarł o tej porze roku. Myślę, że przez jakiś czas rodzice nie będą mieli ochoty spędzać świąt w Londynie. Wszyscy staramy się odzyskać równowagę.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Jego towarzyszka zamilkła, czując się najwyraźniej tak samo niezręcznie jak on.

- To się stało niedawno? Skinęła głową.

- Proszę skrócić w tę uliczkę. Prowadzi do naszych stajni, są dwie przecznice dalej.

Na ulicy leżało niewiele śniegu. Wcale go to nie zaskoczyło, znajdowali się przecież w dobrej dzielnicy. Nie brakowało tu

służących do oczyszczania ulic, odgarniania śniegu z podjazdów i przecierania ścieżek dla pieszych.

- Mój ojciec również umarł przed Bożym Narodzeniem - powiedział, prowadząc konia spokojnym kłusem. - Nie zapisał się dobrze w mojej pamięci. Myślę, że matce ulżyło, gdy odszedł. -Dziecko zaczęło marudzić, przerywając im rozmowę. - Niech pani spróbuje poklepać go po plecach.

Zrobiła to, ale zbyt delikatnie i niezręcznie.

- Nie ma pani wprawy, prawda? Oderwała uwagę od dziecka.

- Jestem tylko ciocią, ale ta rola nie przygotowuje kobiety do... - Przerwała, marszcząc znacząco nos.

- Opieka nad dzieckiem to zawsze próba ognia. Czy to te stajnie?

Bramę zdobił herb przedstawiający jednoroźca oplecionego czymś, co przypominało gęste winorośle. Ten widok znowu poruszył coś w pamięci Vima. Śnieg sypał coraz mocniej. Stajenny otworzył bramę, aby wpuścić Goliata i powóz do zajezdni.

Vim zatrzymał konia i wysiadł, po czym odwrócił się do panny Windham, aby wziąć od niej niemowlę.

- Musi pani zmienić mu pieluchę.

Zamrugła, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, i ściągnęła brwi.

- Pieluchę?

Mały jak karzełek stajenny o wysuszonej twarzy zerknął na nich, trzymając lejce, ale szybko wrócił do pracy. Vim przejechał palcem po nosie.

- Pokażę pani, jak to zrobić.

Nierozważne słowa popłynęły z jego ust, zanim zdążył pomyśleć o konsekwencjach. Chłopiec znowu zakwilił. Wpatrywał się w Vima zmrużonymi oczami. Był taki mały i już został na świecie bez mamy. Cóż wobec tego znaczyła tak drobna przysługa, jak zmiana brudnej pieluchy?

Panna Windham wyraźnie się ucieszyła.

- Higgins, Goliat stał trochę na zimnie. Daj mu papkę z otrębów.

Higgins przerwał na chwilę zdejmowanie upręży, aby poklepać konia po grzbiecie.

- Jasna sprawa, panno Sophie. Zajmę się naszym barankiem.

- Dziękuję.

Uśmiech, który posłała stajennemu, rozmiękczyłby serce najtwardszego mężczyzny. Vim stał na tyle blisko, że dokładnie widział, jak kąciki jej ust uniosły się ze słodyczą, a oczy zapłonęły ciepłym blaskiem. W całej postaci kobiety widoczna była wdzięczność i akceptacja starego człowieka. A może konia?

Poklepała wałacha pieścotliwie po olbrzymim grzbiecie, a następnie podeszła do niego od przodu i pocałował zwierzę w wielki nos.

- Dziękuję, skarbie. Życzę ci miłej i ciepłej nocy.

Koń zamrugał do niej, a może tylko przymknął powieki. Kiedy panna Windham odwróciła wzrok od Goliata, uśmiech znikł z jej twarzy.

- Musimy zanieść dziecko w ciepłe miejsce. Higgins, masz wszystko, czego ci trzeba?

- Aż za dużo, panno Sophie. Bracia dali znać?

- Powinni przyjechać lada dzień, ale pogoda mogła ich zatrzymać. Dziękuję, że spytałeś.

Minęła Vima, więc chcąc nie chcąc, ruszył za nią. Panna Windham szła mocnym i zdecydowanym krokiem, inaczej niż damy z wyższych sfer. Pędziła przed siebie, skupiona na sprawie, z którą trzeba było się uporać, ale przy drzwiach od stajni zatrzymała się tak gwałtownie, że Vim mało na nią nie wpadł.

- Ten śnieg oznacza kłopoty - zauważyła. - Nie można nikogo wysłać na poszukiwanie Joleen, dopóki pogoda się nie poprawi.

- Jest pani pewna, że należy jej szukać?

Ruszyła przed siebie, rzucając mu dziwne spojrzenie.

- Została wykorzystana przez lokaja, panie Charpentier. Joleen nie była dzieckiem, ale niewinną dziewczyną, w dodatku

niezbyt bystrą. Nie obwiniam jej za to, że straciła głowę dla niewłaściwego mężczyzny.

Najwyraźniej obwiniła jednak lokaja. Vim nie chciałby się znaleźć w jego skórze, jeśli ten przypadkiem stanie kiedyś pannie Windham na drodze.

Przeszli przez bramę do otoczonego murem ogrodu, który znajdował się na tyłach okazałej rezydencji. W niektórych dzielnicach Londynu takie stare duże domy, wybudowane za panowania poprzedniego króla, zostały podzielone na wiele mieszkań, z których każde miało wąski skrawek ogrodu.

Ten budynek zajmował niemal połowę ulicy, a ogród tworzył jedną całość, co wskazywało, że rezydencja nie została wydzierżawiona innym lokatorom. W tak ogromnym domostwie nie brakowało zapewne sali balowej, licznych salonów, pokoju muzycznego i wielu ozdobnych kominków z wesoło płonącym ogniem, który zapewni dziecku dość ciepła.

Zamieć przybierała na sile. Mały zakwilił w ramionach Vima, jakby to wyczuwał.

- Tędy.

Panna Windham przytrzymała tylne drzwi. Gdy Vim wszedł do środka, uderzył go zapach goździków, ziela angielskiego, cynamonu i drożdży. Ogarnęła go fala nostalgii za świętami spędzonymi w Kumbrii, za dużymi kuchniami i znajomymi twarzami służących. Z nastroju wytrąciło go coraz głośniejsze marudzenie dziecka.

- Daje nam do zrozumienia, że jego cierpliwość się kończy, panno Windham. Będą potrzebne czyste pieluchy, czysta szmatka i trochę ciepłej wody.

Zatrzymała się, aby odwiesić pelerynę na wieszak.

- Kominek w dziecięcym pokoju już na pewno wygasł, bo Kit miał być w tej chwili w drodze na południe.

- Wystarczy salon służby.

Jeśli w jakimś pokoju mogło być ciepło i przytulnie o tej porze roku, to jedynie tam.

- Proszę za mną.

Poprowadziła go przez idealnie czystą kuchnię do krótkiego, ciemnego korytarza, wzdłuż którego rozmieszczone były drzwi do spiżarni i pomieszczeń gospodarczych. Na końcu znajdował się przytulny i wygodny salonik dla służby, z którego okien rozciągał się ładny widok na ośnieżony ogród. W kominku, przy którym stała kołyska, wesoło buzował ogień, chociaż w pokoju nie było żywego ducha. Najwyraźniej Kit spędzał tu dużo czasu.

- Doskonałe miejsce! - powiedział Vim, przekrzykując coraz głośniejszy płacz niemowlęcia. - Proszę tylko przynieść szmatkę i ciepłą wodę. Ja go rozbiore.

Wyszła z niezwykłym pośpiechem. Jej mina mówiła, że popłakujące dziecko denerwuje ją tak samo jak jego.

- Zaraz się zajmimy twoimi sprawami - pocieszył Vim małego. - Ale najpierw muszę zdjąć płaszcz, więc chwilę poleżysz.

Położył maleństwo, które od razu zaczęło kopać i wywijać rączkami.

- Nudzisz się, co? Wymachuj ile sił, mój mały. Im bardziej się zmęczysz, tym prędzej zaśniesz.

Każdy człowiek ma zakorzenioną potrzebę przemawiania do dzieci zbyt małych, aby mogły odpowiedzieć. A one lubią, kiedy się do nich mówi, podobnie jak uwielbiają dźwięk pozytywki, ćwierkanie ptaków czy szum wody. Vim już dawno doszedł do wniosku, że znacznie łatwiej polubić dzieci niż dorosłych. Jednak zachwiał się w swoich przekonaniach, gdy w ciepłym powietrzu rozszedł się przykry zapach brudnej pieluchy. Czyste dzieci dają się lubić.

Rzucił płaszcz na krzesło, wsunął spinki od mankietów do kieszeni i podwinął rękawy. Szybko uporał się z problemem. Po chwili chłopczyk fikał golusieńki na kocu przed kominkiem, a schludnie zwinięta brudna pieluszka leżała z boku. Na szczęście malec nie ubrudził się zanadto.

Vim, nie wstając z kolan, odwrócił głowę na odgłos otwieranych drzwi. Stała w nich panna Windham, trzymając w jednej ręce złożone kawałki materiału, a w drugiej miskę z parującą wodą. Kiedy spojrzała na nagie dziecko, w jej wzroku odmalowało się zaskoczenie.

Vim zastanawiał się, czy chłopczyk nie jest przypadkiem pierwszym przedstawicielem męskiego gatunku, jakiego widzi bez ubrania.

Sophie uważała się za czytana, inteligentną kobietę, ale wiedziała też, że osiągnęła wiek, w którym żadna z tych zalet nie jest specjalnie pożądana wśród jej rówieśników. Na widok nagiego dziecka i klęczącego nad nim mężczyzny była w stanie wykrztusić tylko:

- Wielkie nieba!

Wpatrywała się z otwartymi ustami w scenę przed sobą. Dziecko leżało nagusieńkie w gniazdku utworzonym z koców i radośnie fikało nóżkami, wydając wesołe dźwięki, a ogromny, wspaniały pan Charpentier klęczał pochylony nad niemowlęciem i długimi, zgrabnymi palcami bawił się jego stopkami.

Sophie nie umiała zmienić pieluszki. Nie wiedziała, jak uspokoić płaczące dziecko. Nie miała pojęcia, czym nakarmić niemowlę. Mimo to uważała, że te sprawy są domeną kobiet, a tymczasem pan Charpentier burzył jej wyobrażenia o świecie.

- Czy może leżeć taki... rozebrany? Nie zaszkodzi mu to? -zapytała w końcu.

Mężczyzna wstał zgrabnie z podłogi, prezentując się w całej okazałości. Dopiero teraz Sophie zauważyła, że jest tak wysoki jak jej bracia.

- Nie da się zmienić pieluchy, nie rozbierając dziecka, prawda? - odpowiedział pytaniem, przechylając głowę na bok.

Sophie w jednej chwili uświadomiła sobie własną głupotę. Poczula, że na jej szyję wypełza zdradziecki rumieniec.

- Chyba nie. To jak się...? - zapytała, wskazując na dziecko ręką, w której trzymała czystą pieluchę i szmatki.

- To całkiem łatwe. - Wyjął balast z jej rąk. - Pokażę pani. Przy trzeciej próbie osiągnie pani mistrzostwo. Cała sztuka polega na tym, aby zrobić to szybko i czysto, jakby miała pani do czynienia z nerwowym koniem albo rozdrażnionym kotem.

Przyklęknął ponownie na podłodze, zmuszając Sophie, by uczyniła to samo.

- Dlaczego on tak kopie i wywija rękoma?

- Dlatego że umie. Jest na takim etapie, że gdybyśmy położyli go na brzuszku, to zacząłby podnosić się na czworakach i kiwać na boki, ale jeszcze nie umiałby raczkować.

W czasie tej przemowy pan Charpentier zamoczył czystą szmatkę w ciepłej wodzie i mył nagiego bobasa.

Rumieniec nie zniknął z twarzy Sophie. Pewnych części dała nie powinno się wystawiać na widok publiczny, i to jeszcze w biały dzień, w dodatku z taką bezwstydną radością. Dziecko uśmiechało się szeroko i gaworzyło, gdy pan Charpentier zgrabnymi ruchami wycierał to, co tego wymagało. Gdy chwycił obie nozki niemowlęcia jedną dłonią i częściowo uniósł jego ciało z kocyka, aby oczyścić pupę i plecy, z ust dziecka wydobył się perlisty śmiech, jak gdyby była to najlepsza zabawa pod słońcem.

Pan Charpentier odłożył brudną szmatkę i połaskotał Kita po brzuchu. Chłopczyk złapał go za rękę i zamknął małą piąstkę na jego wskazującym palcu.

- Jestem więźniem groźnego pirata - zagadał do niego Vim, potrząsając delikatnie palcem, na co niemowlę zaczęło jeszcze mocniej fikać. - Proszę wsunąć pieluchę pod jego pupę. Czas go ubrać.

Pupa. To przecież normalna nazwa tej części ciała. Pan Charpentier znowu uniósł dziecko, trzymając jego nóżki w kostkach, a Sophie próbowała zrobić to, o co prosił.

- Drugą stroną, panno Windham. Tasiemki są po to, żeby przewiązać pieluchę. Ten malec ma tyle energii, że trzeba to zrobić solidnie.

Aby zmienić ułożenie pieluchy, musiała się zbliżyć do mężczyzny i do dziecka. Klęcząc tuż przy panu Charpentierze, nie mogła się oprzeć pokusie, by mu się nie przyjrzeć.

W zajeździe była rozdrażniona. Dziecko coraz mocniej płakało a Joleen zniknęła. Zaczęła się martwić, co ma zrobić z tym rozkrzyczanym niemowlęciem. I wtedy usłyszała cichy i spokojny

męski głos: „Mogę w czymś pomóc?”. Chciała mu dać do zrozumienia, że to dziecko potrzebuje pomocy, a nie ona - jej przecież nic nie dolegało - a potem szybko odejść z tą małą beksą, zanim sama zacznie krzyczeć. Jednak jego spokojny głos oraz uprzejme i troskliwe spojrzenie niebieskich oczu sprawiły, że podała mu niemowlę bez zbędnych pytań.

Nie miała pojęcia, że maluchy są takie ciężkie. Chociaż nie były duże, wymagały ustawicznego noszenia, a jeśli nawet człowiek na chwilę położył je na łóżku czy w kołysce, to zaraz czuł brzemię niepokoju ciężące mu bardziej niż waga samego dziecka. I znowu brał na ręce tę małą osóbkę, bez względu na własne zmęczenie.

- Proszę uważnie patrzeć, panno Windham. To ściśle strzeżona tajemnica rodziny Portmaine'ów.

Uchwycił tasiemki po jednej stronie, aby pewnie umocować pieluszkę, ale dziecko pokrzyżowało mu szyki, machnęło rączką, przesunęło ją w dół i chwyciło własnego...

- Coś podobnego!

Dziecko uśmiechnęło się szeroko, na co mężczyzna odpowiedział równie szczerym uśmiechem. Sophie miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

- To małe dziecko, panno Windham. Wie tylko, co mu sprawia przyjemność. Nie ma w tym nic złego, naprawdę.

Mężczyzna delikatnie oderwał rączkę dziecka od męskiego organu, na którego określenie bracia Sophie mieli dziesiątki słów. Jednak żadne z nich nie nadawało się do tego, by wypowiedzieć je na głos.

Pan Charpentier pochylił się nad dzieckiem tak nisko, że jego jasne włosy w kolorze pszenicy opadły na ramiona.

- Młody człowieku, nie wolno gorszyć damy. Zachowuj się przyzwoicie - strofował Kita, kręcąc głową na boki. Jego włosy zafalowały, a niemowlę radośnie zapiszczało, niemal trafiając nóżką w podbródek mężczyzny.

Vim umocował pieluszkę na biodrach dziecka, zawiązując ją po obu stronach w taki sposób, aby łatwo było ją zdjąć.

- Jak często trzeba to robić? - zapytała Sophie.

- Bardzo często. - Mężczyzna zawisł nad dzieckiem na czworakach. - Bo jesteś zdrowy jak rydz i ruchliwy, prawda, panie Kicie?

Znowu potrząsnął włosami nad małym, a odpowiedzią były radosne piski, fikanie i uśmiechy.

Dorosły mężczyzna, który robił z siebie głupca, klęcząc na podłodze i bawiąc się z dzieckiem, tylko po to, żeby zapewnić rozrywkę obcemu podrzutkowi, wydawał się całkowicie pozbawiony godności. A jednak wzbudzał dziwną czułość.

Sophie czuła, że musi natychmiast wstać z podłogi i zakończyć tę błazenadę, ale powstrzymała ją pewna myśl. Czy gdyby sama połaskotała dziecko włosami, to cieszyłoby się tak samo?

Wyprostowała się.

- Skąd pan wie tyle o dzieciach?

- Moje przyrodnie siostry są dużo młodsze ode mnie i brata. W jakimś stopniu uczestniczyliśmy w ich wychowaniu, więc się czegoś nauczyłem. Teraz powinien się zdrzemnąć. Takie maluchy są bardzo zmęczone po spacerze.

Znowu pochylił się nad dzieckiem, przyłożył usta do jego brzuszka i wydał prymitywny dźwięk. Niemowlę wprost eksplodowało radością i, chwyciwszy pana Charpentiera mocno za włosy, usiłowało złapać go za nos.

Był to całkiem zgrabny nos zdobiący przystojną twarz. Zauważyła to już wtedy, gdy zaproponował pomoc. Odwróciła się na dźwięk miłego, spokojnego głosu i ujrzała wytworne oblicze o mocnych męskich rysach.

Najpierw zwróciła uwagę na oczy - bladoniebieskie, co wskazywało na nordyckie pochodzenie, i okolone jasnymi łukami brwi. Jego twarz była szczupłą, o mocno zarysowanej szczęce i wyrazistym podbródku. Sophie nie znosiła rozlanych podbródków ani zarostu, który służył do ich ukrycia.

Ale nawet nos, podbródek i oczy razem wzięte nie mogły jej przygotować na emocje, które nią szarpały, kiedy patrzyła na liczącego ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu mężczyznę, gdy ten kuczał na podłodze i zabawiał niemowlę.

Uśmiechnął się do dziecka tak, jakby ten maleńki przedstawiciel gatunku ludzkiego zasługiwał na całą łaskawość i życzliwość, na jaką może się zdobyć serce człowieka. Pan Charpentier posłał małemu promienny uśmiech, spojrzał prosto w niemowlęce oczy i nie powiedziawszy ani słowa, zapewnił o swojej bezgranicznej sympatii i akceptacji.

To było... krępujące. Odbierało mu powagę. A jednak Sophie czuła, że w tym podejściu do dziecka wyraża się pewna mądrość, której jej brakowało.

- Za chwilę zrobi się senny. - Pan Charpentier usiadł na piętach. - I to jest najlepszy moment. Wtedy są słodkie i kochane. Małe urwisy owijają nas sobie wokół palca bez najmniejszego wysiłku.

- A pan mu w tym pomaga.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Spojrzał na nią.

- Jeśli dzieciak ma skończyć w sierocińcu albo na stopniach kościoła, gdzie go ktoś podrzuci w środku zimy, to lepiej żeby miał w zanadrzu zapas czułości. W przeciwnym razie umrze, zanim postawi pierwsze kroki.

Chociaż nie podniósł głosu, mówił z takim zaangażowaniem, że Sophie musiała odwrócić wzrok. Omiotła spojrzeniem zaśnieżony ogród, który wydawał się równie posepny jak perspektywa odmalowana przez pana Charpentiera.

- Nie umiem zmieniać pieluch, panie Charpentier. Nie wiem, co Kit lubi jeść, nie wiem, jak się z nim bawić, ale wiem jedno. Nie trafi do sierocińca. Nigdy.

Spojrzał na nią z powagą, która wydawała się tym dziwniejsza, że siedział na podłodze.

- Jest pani tego pewna? Skinęła głową.

- Nasz rodzina nie wyrzuciła Joleen, kiedy jej stan przestał być tajemnicą, ani wtedy, kiedy urodziło się dziecko. Pomagaliśmy je utrzymać, a nawet zapłaciliśmy za podróż do domu. Nie odwrócimy się teraz plecami do Kita.

Ten kłopot, podobnie jak wszystkie inne rodzinne problemy, spadł w końcu na głowę Sophie. Jej książęce mości nie podjęły

żadnych działań, toteż Sophie załatwiła sprawę według własnego uznania. Doszła do wniosku, że święta to doskonała pora na to, aby Joleen pojechała wraz z dzieckiem do rodziny, chociaż sama dziewczyna przyjęła ten pomysł niechętnie.

- Joleen spodziewała się na pewno, że rodzina nie przyjmie jej z otwartymi ramionami, tym bardziej z dzieckiem - powiedziała Sophie, przekonana teraz o prawdziwości swoich słów.

- A nie chciała skazywać dziecka na łaskę kościelnego sierocińca, gdzie mogłaby mu grozić powolna śmierć - dodał pan Charpentier, przekładając ubranko przez główkę Kita. I choć powiedział to łagodnym tonem, nieznacznym grymas ust wskazywał prawdziwe uczucia. - Joleen zaryzykowała życie dziecka, licząc na pani życzliwość.

Bez najmniejszego kłopotu ubrał Kita, wsuwając na koniec wełniane skarpetki na jego pulchne stopki.

- Czy może go pani potrzymać, panno Windham?

- Ja?

- Dobrze sobie pani z tym poradziła w powozie. - Owinął dziecko szalem i podniósł zawiniątko. - Proszę usiąść na bujanym fotelu, a mały szybko zaśnie.

- To chyba nie będzie takie trudne.

- Najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

Zręcznym ruchem podniósł się z podłogi, trzymając dziecko w ramionach. Podał nawet rękę Sophie, aby pomóc jej wstać.

Miał dużą, czystą i zadbaną dłoń, a co najważniejsze - ciepłą. Być może dlatego Kit piszczał z radości, kiedy pan Charpentier bawił się jego stopkami.

- Proszę usiąść. Podam pani dziecko.

Posłuchała go bez oporu, ale z dziwnym niepokojem. Nie czuła się pewnie w tej roli, chociaż trzymała już małego na rękach.

- Kit lubi bliskość drugiego człowieka, jego dotyk. Chce czuć ciepło i słyszeć bicie serca drugiej osoby.

- Sam panu o tym powiedział?

Pan Charpentier podał jej zawiniątko. Gdy pochylił się nad nią, poczuła woń bergamotki. I mydła. A może krochmalu? Nie

wychwyciła zapachu tytoniu, potu ani konia. Prawdopodobnie dziecku podobało się to tak samo jak jej.

- Proszę podtrzymywać jego główkę. - Pan Charpentier wsunął rękę pod dłoń Sophie, którą otoczyła tył głowy dziecka. - Następnym razem położymy go na brzuszku i zobaczymy, czy ma silną szyję. Jeżeli jest gotowy do raczkowania, to nie będzie miał trudności z utrzymaniem główki. O, proszę. Szukasz kciuka. To znaczy, że pora na drzemkę.

Dziecko wsadziło do buzi lewy kciuk i mocno się do niego przyssało, a pan Charpentier przez chwilę klęczał przy fotelu, pochylając się z troską nad kobietą i niemowlęciem, które trzymała w ramionach. Mogłoby się wydawać, że jest to zwykła, prozaiczna chwila, a jednak Sophie ogarnęło głębokie i dziwne poczucie intymności.

W ciągu ostatnich piętnastu lat Wilhelm Charpentier większość czasu spędził na morzu, zajmując się handlem. Gdy jego rodzeństwo było jeszcze małe, nie wyprawiał się dalej niż na Morze Bałtyckie i Północne, ale potem zaczął żeglować po basenie Morza Śródziemnego, aby w końcu wyruszyć w podróż do Chin, Australii i dookoła świata.

Słyszał rozmaite języki, jadł niezliczone potrawy, których nazw nie potrafił nawet wymówić, poznał nieskończenie wiele egzotycznych sposobów uprawiania miłości, ale nigdy dotąd nie był świadkiem chwili, gdy kobieta zakochuje się bez pamięci.

Klęcząc na dywanie obok starego, zniszczonego bujanego fotela w salonie przeznaczonym dla służby, obserwował, jak Sophie Windham popada w ten stan. Trwało to kilka chwil - w jej oczach zabłyśły iskierki, a na usta wypłynął ciepły uśmiech. Jednak najbardziej oczywistym dowodem był sposób, w jaki dotykała obiektu uczucia.

W krótkim czasie mały Kit przestał być jedynie kłopotliwym zawiniątkiem wydzielającym przykry zapach, a stał się drogą sercu osobą, której broniłaby z narażeniem życia. Oparła dziec-

ko na kolanach i ujęła dłońmi jego nadgarstki, pozwalając Kitowi wykopać się z szala. Niemowlę posłało jej uroczy uśmiech i słodko zagruchało.

- Jesteś takim silnym chłopcem. - Uśmiechnęła się do dziecka, na zmianę składając i rozkładając jego dłonie. - Podziwiam twoją siłę, panie Kicie. Jesteś taki krzepki, że pojedziesz na polowanie, jak skończysz dwa lata.

Vim był święcie przekonany, że jeszcze nigdy w życiu Sophie Windham nie wypowiedziała tak nonsensownego zdania. Oderwał wzrok od kobiety i dziecka, wyprostował się i spojrzął za okno, by sprawdzić pogodę.

Wszechmocni bogowie. Powinien się zbierać. Wkrótce zapadnie zmrok, temperatura jeszcze spadnie, a w ciemności me przedrze się przez coraz głębszy śnieg. Vim czuł, że ta pogoda to metafora jego życia, pocieszała go jedynie świadomość, że Kit będzie bezpieczny i kochany, że otrzyma tak dużo szczęścia, ile tylko jest mu w stanie zapewnić oddana kobieta.

- Myślę, że robi się senny - powiedziała miękko panna Windham. Owinęła dziecko szalem i przytuliła do siebie. - Jak długo będzie spał?

Vim podszedł do kominka, aby rozpaścić większy ogień, i zastanawiał się, co odpowiedzieć. Na samą myśl, że musi wyjść na szalejącą śnieżycę, ogarniało go przerażenie.

- Na pewno krócej niż nam się wydaje, że powinien. Jesh sądzi pani, że prześpi kilka godzin, bo czuwał od rana, to utnie sobie tylko krótką drzemkę. Jeżeli uważa pani, że rano późno się obudził, więc na pewno nie będzie miał ochoty na spanie, to zaśnie zaraz po lunchu i będzie spał prawie do kolacji. Dzieci lubią nas zaskakiwać, to ich święte prawo.

- Powieki mu opadają.

Vim nie mógł powstrzymać uśmiechu. Sophie Windham była tak zafascynowana całkiem zwyczajnym dzieckiem, że nie usłyszała ani słowa z jego przemowy.

Tyle tylko, że nie ma zwyczajnych dzieci. Ani w Angli, ani w Europie, w żadnym zakątku świata i na żadnym kontynencie.

Jeszcze nigdzie na całej ziemi nie urodziło się zwyczajne dziecko. Każde jest niezwykle przynajmniej dla matki.

- Panno Windham, muszę już iść.

Spojrzała na niego w końcu z wyrazem rozczarowania.

- Naprawdę pan musi? Może przynajmniej zrobię panu coś do jedzenia, zanim pan pójdzie? W tawernach i karczmach nie ma wolnych miejsc, a pan był taki miły dla mnie i dla Kita. Nawet nie zaproponowałam panu filiżanki herbaty, więc nie może pan jeszcze iść, panie Charpentier.

Wstała razem z dzieckiem, trzymając je tak pewnie i swobodnie, jakby był to jej piąty potomek. Ze względu na jej wiek byłoby to chyba możliwe. Z pewnością nie nazwałby jej młodym dziewczątkiem. Jednak nienaganna figura świadczyła, że nie miała jeszcze własnych dzieci.

Sophie Windham została obdarzona takim ciałem, że mogłaby jej pozazdrościć nawet kurtyzana. Odkąd zdjęła pelerynę i szale, które ją spowijały, Vim do woli sycił oczy jej kobiecymi kształtami.

- Dziękuję za propozycję, panno Windham, ale im prędzej wyruszę w drogę, tym szybciej uda mi się znaleźć schronienie u znajomych. Doceniam pani dobrą wolę.

Sięgnął po płaszcz, który nadal wisiał na krześle, ale podeszła do niego z determinacją wypisaną na twarzy.

- Proszę pana, jestem w domu zupełnie sama i muszę się zająć bezradnym niemowlęciem. Nie wiem, jak zaspokoić jego potrzeby. Nie mam pojęcia o karmieniu niemowląt. Nie wiem, kiedy i jak wykapać dziecko. Nie mam zielonego pojęcia, kiedy położyć małego spać i co z nim zrobić, gdy się obudzi. Niech pan chociaż przekaże mi odrobinę wiedzy na ten temat, zanim zacznie się pan błąkać po ulicach Mayfair.

Stanowczo uniesiony podbródek wskazywał, że byłaby w stanie zagrozić mu drogę własnym ciałem. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie próbowałby walczyć z instynktem macierzyńskim i nie miało najmniejszego znaczenia, czy chodziło o rodzone dziecko, czy przybrane.

- W takim razie wypiję filiżankę herbaty.

- Nonsens. - Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. - Na pewno nie pan nie jadł od śniadania, które składało się przypuszczalnie z zimnej kluchowatej owsianki bez odrobiny masła, miodu albo chociażby dżemu. Proszę ze mną.

I po raz drugi ruszył za nią, ale tym razem mógł napawać się widokiem falujących spódnic. Jeśli nie zajmowała pozycji gospodyni, to prawdopodobnie pracowała jako dama do towarzystwa. Doskonale nad sobą panowała, a poza tym była w takim wieku, że gdyby należała do grona rodziny, nie zostawiono by jej bez przyzwoitki.

- Proszę usiąść. - Wskazała głową drewniany stół stojący na środku dużej kuchni. - Przygotuję herbatę, a pan mi opowie, co jadają takie małe dzieci jak Kit.

Krzętała się po kuchni, wciąż trzymając dziecko na ręku, ze sprawnością właściwą matkom niemowląt. Za kilka dni będzie umiała wykonywać wiele czynności z dzieckiem siedzącym na biodrze...

- Potrzymam Kita. - Wyciągnął ręce, a widząc, że chce się z nim spierać, dodał: - Jeśli ma pani zamiar gotować wodę i kręcić się przy gorącym piecu, to u mnie będzie bezpieczniejszy.

Zdjęła z wieszaka fartuch i wprawnymi ruchami zawiązała go w talii, dając Vimowi do rozwiązania kolejną zagadkę. Jeśli Sophie Windham była damą do towarzystwa, to nigdy nie zniżyłaby się do prac kuchennych, w przeciwieństwie do gospodyni domu, która mogłaby się tym zajmować pod nieobecność kucharki.

- Czy cała rodzina wyjechała na święta?

Potarł plecy Kita - nie po to, by go uspokoić, bo mały był pogrążony w głębokim śnie, ale by dodać sobie odwagi.

- W tym roku wcześniej wyjechali do Kentu, a większość służby dostała wolne. Zostali tylko Higgins i Merriweather, którzy pilnują powozowni i dogładają zwierząt. Mają też przynosić węgiel z piwnicy, kiedy ich poproszę. Może zrobię panu omlet? W spiżarni jest dobry cheddar i całe mnóstwo świeżych przypraw.

Powinien już iść, bezzwłocznie, ale wychodzenie z pustym żołądkiem na tę pogodę wydało mu się głupim pomysłem.

- Z wielką chęcią zjem omlet, choć proszę sobie nie robić kłopotu.
Uśmiechnęła się do niego i pośpieszyła do spiżarni.

- Lubię gotować, ale to pilnie strzeżona tajemnica. Co mam dać do jedzenia Kitowi?

- Jedzenie bez przypraw, oczywiście. Owsiankę z odrobiną masła i cukru. Moja niania zawsze powtarzała, że małym dzieciom nie powinno się podawać miodu. Mogą być duszone ziemniaki z odrobiną masła, gotowane warzywa. Jedzenie powinno być proste.

- A mięso?

Sięgnął pamięcią ponad dwadzieścia lat wstecz.

- Jeszcze nie. I nie za dużo owoców. Moja najmłodsza siostra dostała wysypki o u ^ a ^ icawek, kiedy była mała, więc odradzam. W dziecięcym pokoju popularnym daniem był też pudding.

- Gdyby nie ta okropna pogoda, to poprosiłabym stajennego, żeby przywiózł tutaj babcię Fran z rezydencji w Westhaven. Dodać cebuli do omletu?

- Trochę.

Po kuchni rozszedł się zapach dobrego, prostego jedzenia. Nie odrywał wzroku od panny Windham, która ukroiła kilka kromek świeżego chleba i położyła je na raskach pieca, aby zrobić grzanki. Jej sprawne ruchy świadczyły o tym, że musiała spędzać w tym miejscu sporo czasu, ale na pewno nie była kucharką. Jeśli rodzina wyjechała, a cała służba dostała wolne, to nie było sensu zatrzymywać kucharki tylko po to, żeby gotowała dla dwóch stajennych.

- Skąd pan pochodzi, panie Charpentier?

- Trudno to określić. Siedziba rodowa znajduje się w hrabstwie Kent, ale wychowałem się w posiadłości mojego przybranego ojca w Kumbrii. Z zawodu jestem kupcem, obecnie podróżuję w celach handlowych do obu Ameryk i krajów skandynawskich.

- Nigdy nie byłam w Kumbrii, ale słyszałam, że jest tam pięknie.

Rozmawiała, nie przerywając pracy.

- W lecie rzeczywiście jest pięknie. Ale zimą niekoniecznie.

- Spędza pan święta Bożego Narodzenia z rodziną?

Nie od razu odpowiedział na to pytanie. Gdy na nią patrzył, trudno mu było skupić myśli. Stała przy piecu, pilnując smażącego się omletu, od czasu do czasu zerkała na grzanki, a między tymi czynnościami postawiła na tacy akcesoria niezbędne do zaparzenia herbaty.

Dlaczego została tu sama? Na dworze szalała śnieżycą, a kobieta, którą dopiero co poznał, przygotowywała dla niego posiłek, umilając mu czas swobodną pogawędką. Poczul ukłucie jakby... wzruszenia, przypływ sentymentalnych doznań. Czyżby nagle uzmysłowił sobie własną samotność?

- Spędzę święta ze stryjem i jego rodziną. Mam przyrodnie rodzeństwo, ale moje siostry niedawno wyszły z mężem, a nie powinno się zakłócać spokoju nowożeńcom.

- To prawda. Moi trzej bracia również są żonaci, a ja nie bardzo wiem, jak się odnaleźć w tej sytuacji. Pieprzu?

- Szczyptę.

- Czy Kit śpi?

- Lepiej nie pytać. Jeśli śpi, to się obudzi. A jeżeli nie, to wyczuje, że jest pani skoncentrowana na tym, aby zasnąć, a wtedy zawezmie się, żeby obronić honor wszystkich niemowląt na świecie i nie zasnąć.

Uśmiechnęła się do omletu, który zręcznym ruchem przewróciła na drugą stronę.

- Jej księżęca mość wychowała w tym domu dziesięcioro dzieci. Na pewno przyznałaby panu rację.

A więc to rezydencja księżęcej pary? Przestało go dziwić, że nawet służba zachowuje się z dużą pewnością siebie.

Już miał zapytać, którego księcia jest gościem - jego przyrodni brat był doskonale zorientowany w arystokratycznej tytulaturze - ale w tym momencie postawiła na stole tacę z herbatą, rozłożyła sztucce i podała mu talerz z parującym omletem i bekonem. Sama stanęła w pewnej odległości, z rękoma opartymi na biodrach.

- Wezmę dziecko, żeby mógł się pan najeść.

- A pani nie będzie jadła? Jako dżentelmen...

Ale nie dała mu dokończyć. Wyłuskała dziecko z jego ramion i usiadła na ławce po drugiej stronie stołu.

- Proszę jeść, panie Charpentier. Nie ma sensu się spierać, bo jedzenie ostygnie.

Zabrał się zatem do dzieła. Dżentelmenowi nie wypada sprzeczać się z damą, a poza tym umierał z głodu. Przygotowała mu solidną porcję. Kiedy pochłonął połowę omletu, bekonu i grzanek, podniósł wzrok znad talerza. Wpatrywała się w niego z uwagą.

- Zgłodniał pan.

- A pani dobrze gotuje. Czy w omlecie jest oregano?

- Szczypta tego i owego.

Przerwał na chwilę jedzenie i odłożył widelec.

- Ten przepis jest rodzinnym sekretem, panno Windham? Uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi, udając, że owija dziecko szczelniej szalem.

- Wcześniej wspomniał pan o tajemnicy rodziny Portmai-ne'ów. Czy to rodzina pańskiej żony? - zapytała, ścigając brwi.

Pytanie wydawało się logiczne. Nie śmiał zresztą przypuszczać, że ta energiczna, lecz nieco oficjalna kobieta wypytuje go o stan cywilny.

- Po śmierci mojego ojca matka powtórnie wyszła za mąż. Portmaine to nazwisko rodowe mojego przybranego ojca. Jak widać, szczęście mi nie sprzyja, bo jeszcze się nie ożeniłem.

Skinęła głową, a Vim powrócił do pałaszowania jedyne go smacznego dania, jakie jadł podczas trwającej prawie tydzień podróży. Owszem, mógłby wypożyczyć powóz z Blessing, gdyby nie drobny fakt, że miejsce to wraz z całym dobytkiem należało do jego przyrodniego brata, a niewykluczone, że i on planował świąteczny wyjazd. Vim nawet o to nie spytał. Podróżował tak jak zawsze, w towarzystwie zwykłych ludzi.

- Czy kiedykolwiek chciał się pan ożenić, panie Charpentier? Spojrzał uważnie na pannę Windham. Znowu udawała, że

robi coś przy dziecku, ale delikatny rumieniec utwierdził go w przekonaniu, że się nie przesłyszał.

- Spodziewam się, że w końcu to nastąpi - odpowiedział, starannie dobierając słowa. Jego stryj, który był już wiekowym człowiekiem, bardzo na to liczył, a dziesięć, dwanaście lat temu oczekiwał tego niecierpliwie. - Chyba nie spotkałem odpowiedniej damy. A pani?

- Przecież każda dziewczyna pragnie wyjść za męża. Kilka lat temu było to moje najgorętsze pragnienie. Chciałam mieć własną rodzinę. Nie byłam zbyt oryginalna.

Podniosła dziecko i sięgnęła przez stół, aby nalać im po filiżance herbaty. Jego nozdrza owionął ostry, aromatyczny zapach parującego napoju.

- To darjeeling?

- Ulubiony gatunek jednego z moich braci. Smakuje panu, panie Charpentier?

- Przyjaciele mówią do mnie Vim. Podam pani herbatę, panno Windham, bo widzę, że nasz mały przyjaciel słodko śpi.

Zmarszczyła brwi z zamyśleniem, jednak na jej twarzy nie odmalował się wyraz dezaprobaty.

- Do mnie przyjaciele mówią Sophie. Rodzeństwo też. Może pan się tak do mnie zwracać, jeśli pan chce.

To nie był dobry pomysł, nie powinni mówić do siebie po imieniu. Vim dostrzegł grę subtelnych emocji na twarzy panny Windham... to znaczy Sophie. Czuł, że niewielu osobom pozwoliła na taką poufałość. Nigdy by się nie odważył na ten śmiały gest, gdyby nie fakt, że wkrótce miał wyjechać i prawdopodobnie nigdy już jej nie zobaczy.

- A zatem Sophie. Panno Sophie. Może teraz pani coś zje, a ja potrzymam Kita?

- Na pewno się pan najadł?

- Zjadłem wszystko do ostatniego kęsa.

Wstał, obszedł stół i sięgnął po dziecko. Nie uniosła chłopca, więc kiedy wyciągnął ramiona, jego ręka musnęła suknię panny Windham kilka cali poniżej piersi.

Musnęła nie tylko suknię, ale także pełną pierś.

Mogłoby się wydawać, że kontakt ten trwał zbyt krótko, by cokolwiek poczuć, tym bardziej że dotknął jedynie wierzchem dłoni skrawka jej gorsetu, a jednak podziałało to na niego piorunująco i dopiero po chwili udało mu się zapanować nad wyrazem twarzy. Podniecenie, które go ogarnęło, było równie silne, co zaskakujące.

Tymczasem jego towarzyszka wypła łyk herbaty, nie okazując najmniejszego zmieszania.

- Niech pani szybko je - poradziła Vim, obejmując dziecko. - Nie wiadomo, kiedy jego wysokość raczy się obudzić, ale gdy to nastąpi, nasze potrzeby zejdą na dalszy plan. Omlet był bardzo smaczny.

- A istnieje w ogóle coś takiego jak niesmaczny omlet? - zapytała znad talerza, jedząc bez większego apetytu i nie podnosząc na niego wzroku.

- O tak, oczywiście, ale nie będziemy się zagłębiać w szczegóły, kiedy pani je.

Usiadł na tym samym miejscu co poprzednio, a ciepło płynące od dziecka przyjemnie grzało mu brzuch. Nie wiedział, czy Avis i Alex są już w stanie błogosławionym, ale było to całkiem prawdopodobne. Na samą myśl ogarnęło go znowu to samo nienazwane uczucie co wcześniej.

- Co jeszcze powinnam wiedzieć na temat opieki nad Kitem, panie Char... - urwała i uśmiechnęła się nieznacznie - Vim. Co jeszcze mi pan powie, Vim?

- Zapewniam, że jest to całkiem łatwe, panno Sophie. Karmi go pani, kiedy jest głodny, zmienia pieluchę, kiedy ma mokro, i przytula, gdy marudzi.

Odłożyła sztućce i utkwiała wzrok w dziecku.

- Ale skąd mam wiedzieć, kiedy jest głodny, a kiedy marudzi, bo chce się przytulić? - zapytała tak poważnym tonem, że nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Trzeba spróbować. Jeśli go pani przytuli i przestanie marudzić, to znaczy, że czuł się samotny. Jeżeli dalej marudzi, trzeba się z nim pobawić, i tak dalej. Sam pani powie, o co mu chodzi.

- A inne sprawy? Takie jak w zajezdzie? Domyślił się pan, że boli go brzusek, ja nie miałam o tym najmniejszego pojęcia.

- Ale teraz już pani wie, że po jedzeniu trzeba poczekać, aż mu się odbije. Herbata pani wystygnie.

Wypiła kolejny łyk, ale zrobiła to machinalnie. Za bardzo pochłaniało ją zgłębianie tajników porozumiewania się z dzieckiem, by mogła poczuć smak herbaty. Zmywając naczynia, zasypywała go pytaniami. Nie zdjęła fartucha, dopóki kuchnia znowu nie

lśniła czystością.

Tymczasem Vim krążył po pomieszczeniu, trzymając dziecko w ramionach. Wiedział, że za niespełną godzinę zapadnie zmrok i że czas najwyższy zbierać się w drogę.

- Bardzo dziękuję za posiłek, panno Sophie. Będę go wspominał z rozrzewnieniem podczas dalszej podróży. Proszę wziąć ode mnie Kita. Pójdę po płaszczy i pożegnaj się już.

Podał jej dziecko, uważając, aby tym razem jego ręka nie ześlizgnęła się tam, gdzie nie trzeba.

Naprawdę miał zamiar ją opuścić. Na tę myśl Sophie ogarnęło uczucie bliskiej paniki, choć była osobą nad wyraz zrównoważoną. Powtarzała sobie, że wynika to wyłącznie z troski o dziecko pozostawione pod opieką kobiety, która jeszcze nigdy w życiu nie zmieniała brudnej pieluchy.

W głębi duszy wiedziała, że w grę wchodzi coś więcej. Nie zamierzała sobie jednak zaprzętać tym myśli. Dojrzała kobiety, a za taką się uważała, mając prawie dwadzieścia siedem lat, nie powinny ulegać chwilowemu zadurzeniu i zupełnie niestosownym fantazjom.

- Chciałabym, żeby pan został.

Słowa popłynęły szybciej, niż zdążyła pomyśleć.

- Słucham?

Zdziwiony jej życzeniem, przerwał opuszczanie mankietów koszuli. Jego przedramiona były pokryte złocistymi włoskami. Do czego to podobne, żeby mężczyzna miał takie niezwykle piękne ręce?

Pochyliła się i pocałowała malca w czubek główki, na której lśniły kędzierzawe włoski. Wolała nie patrzeć na Vima Charpentiera.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób zająć się dzieckiem, a starcy, którzy mieszkają w powozowni, na pewno mi w tym nie pomogą. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam pana o to prosić, ale jestem w domu zupełnie sama.

- I właśnie dlatego nie wolno mi tu zostać, panno Sophie. Jestem pewna, że pani to rozumie.

Jego ciche i uprzejme słowa trafiły w sedno. Dżentelmeni i damy nie powinni pozostawać pod jednym dachem bez przyzwoitki.

Tylko że dla Vima Charpentiera nie była lady Sophią Windham. Jeszcze w zajeździe zdecydowała, że pominie swój tytuł podczas prezentacji. Wiedziała bowiem, że ujawnianie zarówno tytułu, jak i pozycji społecznej nie przyniesie jej w tym momencie żadnych korzyści, a tylko spotęguje komplikacje. Higgins był na tyle stary, że wolno mu było nazywać ją panną Sophie. Taki status wydawał jej się dziwnie pociągający. Panna Sophie mogła być gospodynią lub damą do towarzystwa, ale w żadnym wypadku nie córką księcia.

- Powinien pan zostać, już choćby ze względu na pogodę. Jesteśmy tu sami. Nikt się nie dowie, że naruszyliśmy zasady etykiety.

- To nie jest dobry pomysł, panno Windham.

- Błąkanie się po ulicach w czasie śnieżycy to lepsze rozwiązanie?

Pytanie zawisło między dwoma biegunami. Dżentelmeńska troska o nakazy przyzwoitości walczyła o lepsze z trzeźwym podejściem kobiety niespodziewanie obciążonej maleńkim dzieckiem. Odwrócił się do okna, a Sophie modliła się w duchu, aby zdrowy rozsądek przewyciężył jego skrupuły. Dziecko zakwiliło przez sen, a pan Charpentier rzucił Sophie zamyślane spojrzenie.

- Mógłbym zostać, ale tylko na jedną noc. Wyjadę z samego rana. Mam pilne sprawy i nie powinienem zwlekać.

- Dziękuję panu, w imieniu swoim i Kita.

Miała nieodpartą ochotę pocałować pana Charpentiera w policzek, ale zamiast niego pocałowała dziecko.

- Proszę za mną. Zaprowadzę pana do gościnnego pokoju. Zdjął swoją torbę podróżną z wieszaka w korytarzu i ruszył

za panną Windham. Szedł w milczeniu, ale jego obecność była aż nadto wyczuwalna. Sophie odnosiła wrażenie, że Vim zauważa każdy szczegół pełnej przepychu londyńskiej rezydencji księcia, ale miała nadzieję, że dostrzeże także drobiazgi, które czyniły z niej prawdziwy dom.

Służba przygotowała świąteczne dekoracje. Pachnące sosnowe gałązki zdobiły obramowania kominków, czerwone wstążki okalały wysokie świece, które zostaną zapalone na Nowy Rok i na Trzech Króli, o ile rodzina będzie wtedy w domu. Na korytarzach wisiały saszetki z cynamonem i pomarańcze szpikowane goździkami, a na oknach wychodzących na ulicę - laurowe wieńce.

- Ich książęce mości mają poważne podejście do świąt - zauważył pan Charpentier. - Czy to choinka?

Sophie zatrzymała się przy na wpół otwartych drzwiach do jednego z saloników.

- Matka jej książęcej mości była Niemką, jak większość osób na dworze starego króla. Świąteczną choinkę stawiano z początku dla babuni, aby nie tęskniła za ojczyzną.

Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby wiedział, że zagląda do prywatnego pokoju dziennego samej księżnej. W tym salonie mama piła herbatę z córkami i synami, a także udzielała im reprimend, przekazywała swoje mądrości, obdarzała ich sympatią i miłością. Zawsze miała dla nich mnóstwo miłości.

Sophie stała przez chwilę z dzieckiem w ramionach przy boku pana Charpentiera. Ten moment zawsze będzie jej się kojarzył z zapachem bergamotki. Po raz pierwszy oprowadzała po domu własnego gościa, a ściślej mówiąc, także gościa Kita. Poczekala, aż Vim pierwszy ruszy z miejsca.

- Pański pokój jest na pierwszym piętrze. Schody dla służby znajdują się po prawej stronie holu, który jest na tyłach domu. Wejdziemy jednak głównymi schodami, są bardziej reprezentacyjne.

Poprowadziła go do głównego wejścia, gdzie znajdowały się okazałe i bogato rzeźbione dębowe schody. Ściany i sufit holu

były wyłożone panelami z polerowanego drewna, toczone poręcze i balustrady dopełniały całości, a w każdym narożniku holu zaprojektowanego na planie ośmiokąta znajdowały się kolumny z fantastycznymi zwieńczeniami i kapitelami. Drewniane elementy były pokryte taką ilością pszczelego wosku i olejku cytrynowego, że w słoneczne Hni hol musiał być najbardziej rozświetlonym miejscem w całym domu.

- Domyślam się, że jaśnie państwo często przyjmują gości i urządzają przyjęcia.

Jak na dżentelmena przystało, wchodząc po schodach, trzymał się krok za nią.

- Jego książęca mość zasiada w Izbie Lordów, więc ma szerokie kontakty.

- A jej książęca mość?

- Nad wszystkim panuje. Co roku wydają też przyjęcie w letniej rezydencji. Tutaj może pan przenocować.

Zamiast wskazać gościnny pokój, zaprowadziła Vima do dawnej sypialni swojego brata w skrzydle zajmowanym przez rodzinę. Wiedziała, że wszystko jest tam gotowe na przybycie Valentine'a, który miał pojawić się w Londynie, aby zabrać siostrę do reszty rodziny. Zapas drewna i węgla leżał w wiadrze, polana przygotowana w kominku, a łóżko czekało pościelone.

- Przepraszam, że tak tu chłodno. Przyniosę panu wodę do pokoju. Proszę za mną, pokażę łazienkę. W bojlerze powinno być jeszcze napalone.

Łazienka znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Zaadaptowano na ten cel dawną przebieralnię, ponieważ była idealnie ulokowana między zbiornikami na wodę a kominami.

- Jakie nowoczesne urządzenie - powiedział pan Charpentier. - Jest pani pewna, że ich książęce mości nie będą miały nic przeciwko temu, że wprowadza tu pani nieznanego?

Z pewnością żadne z nich nie byłoby tym zachwycone. Nie broniliby mu dostępu do wszelkich udogodnień, jakimi dysponowała rezydencja, ale zachowanie Sophie - przyjmującej obcego mężczyznę pod nieobecność domowników i służby - uznaliby za wysoce naganne.

- Mieszkańcy rezydencji słyną z gościnności, panie Charpentier. Zgodnie z przyjętymi tu zwyczajami powinien pan mieć do własnej dyspozycji pokojowego i lokaja.

- Nauczyłem się sam dbać o siebie. A gdzie panią znajdę, gdyby zaszła taka potrzeba?

- Mam pokój na końcu korytarza, ostatnie drzwi po prawej stronie.

Wiedziała, że powinna zostawić go samego, ale nie bardzo miała na to ochotę, więc szukała w głowie stosownego pretekstu. Perspektywa kolejnego długiego i zimnego wieczoru z książką przy kominku wydawała jej się wręcz koszmarna, zwłaszcza w sytuacji, gdy mogła spędzić te godziny w towarzystwie pana Charpentiera. Dziecko westchnęło lekko w jej ramionach - do własnych szczęśliwych snów albo jej niespełnionych życzeń.

- Może przyniosę na górę kołyskę z salonu służby, panno Sophie? Kołyska?

- Tak... Kołyska na pewno by się przydała. Chyba powinnam przygotować zapas pieluch i czystych ubranek. Widziałam je w pralni.

Uśmiechnął się tak, jakby wiedział, że jej myśli pobiegły zupełnie innym torem i nie dotyczyły bynajmniej opieki nad dzieckiem. Nie skomentował tego. Postawił torbę na podłodze, podszedł do kominka, aby rozpaścić ogień, a Sophie stała z wahaniem w drzwiach, trzymając dziecko na rękach.

- Trafi pan do łazienki w razie potrzeby?

Wstał i zapalił świecę, gdyż przez okno wpadało już tylko mdłe światło popołudnia.

- Radziłem sobie w znacznie gorszych warunkach, panno Sophie. Kiedy człowiek ciągle jest w podróży, uświadamia sobie, że nie potrzebuje zbyt wielu wygod i że bardzo często myli potrzeby ze zwykłymi zachciankami. Dam sobie radę i tym razem.

Obszedł pokój, stanął obok Sophie i utkwiał w niej badawcze spojrzenie.

- A pani sobie poradzi?

Lubiła stać blisko niego. Nie tylko dlatego, że ładnie pachniał. Jego męski wdzięk i siła budziły w niej uśpioną kobiecość. Gdyby wszyscy mężczyźni odznaczyli się takim sposobem bycia, umiejętnościami i czystym męskim pięknem, to życie w ciele kobiety byłoby całkiem atrakcyjne.

Sophie zebrała się na odwagę i podniosła na niego oczy.

- Chciałabym posłuchać o tych podróżach, panie Charpentier. O najgorszych i najlepszych wspomnieniach, najpiękniejszych i najbardziej odrażających miejscach, jakie pan odwiedził. Przez całe życie nie ruszyłam się z Anglii, a pańskie opowieści mogłyby dać inspirację mojej wyobraźni, kiedy pana już tu nie będzie.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym uniósł rękę. Wstrzymała oddech, czekając z nadzieją na jego dotyk. Chciała, aby musnął jej policzek, włosy, ujął dłonią podbródek.

Ale on położył tylko dłoń na głowie dziecka.

- Jeśli jego wysokość będzie się wieczorem spokojnie zachowywać, to mogę panią uraczyć kilkoma opowieściami, panno Sophie. To idealny wieczór, żeby posiedzieć w domu, prawda?

Nic mu mogło jej bardziej ucieszyć niż perspektywa wieczoru w jego towarzystwie i obietnica, że opowie jej o swoich podróżach, dzieląc się własną przeszłością i wspomnieniami. Nawet jego dotyk.

- Proszę zejść, kiedy będzie pan gotowy. Poczekam w salonie. A raczej poczekamy.

Ale niemowlę w jej ramionach nie miało pojęcia, że właśnie złożyła za nie obietnice. Przebywało nadal w świecie szczęśliwych i spokojnych dziecięcych snów.

2

Krótki rzut okiem na książeczą rezydencję nasunął Vimowi kilka interesujących refleksji. Po pierwsze, dla tej rodziny pieniądze nie stanowiły problemu.

Salonik dla służby urządzono wygodnie i chociaż meble, dywany i zasłony wydawały się dość wysłużone, to jednak prezentowały się całkiem przyzwoicie. Nieduża łazienka błyszczała nowością, a miedziane rurki i marmurowe blaty świadczyły o tym, że książęca para nie tylko nie musiała liczyć się z kosztami, ale też chętnie wdrażała techniczne nowinki.

Okazały wygląd głównego holu dowodził, że doceniano znaczenie pierwszego wrażenia i zewnętrznych znamion dostatku. Hol był pięknie zaprojektowany i gustownie urządzony, a utrzymywano go w pedantycznej wręcz czystości. I nie zepsuły tego efektu nawet świąteczne ozdoby, które Vim uważał za zbędny wysiłek i stratę czasu. Świerkowe gałązki szybko usychały, rozsypując igły po całym domu. Pomarańcze szpikowane goździkami więdły, stając się brzydką parodią oryginału. Wieńce laurowe nabierały zgniłego brązowego koloru, a starannie ubrane świąteczne drzewko trzeba było rozbierać z jeszcze większą starannością, pod warunkiem że wcześniej nie zajęło się ogniem, wywołując pożar całego domu. Wiele hałasu o nic, jak zawsze powtarzał. Ale w tym domu...

Po kąpieli włożył czyste spodnie od piżamy i parę wełnianych skarpet, które znalazł w komodzie. Choć kusilo go wielkie łóżce z baldachimem, ubrał się w brokatowy szlafrok, który wyjął z szafy w garderobie, i ruszył do salonu służby.

Otworzył drzwi bez pukania. Panna Sophie chodziła niespokojnie po pokoju, trzymając na ręku marudzące dziecko.

- Nie wiem, o co mu chodzi. - W jej głosie dźwięczała troska. -Cały czas kręci się i marudzi. Pieluszkę ma czystą, wrywa się, kiedy go przytulam. Ale brzusek mu raczej nie dokucza.

Vim wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

- Prawdopodobnie jest głodny. Pięknie urządzona łazienka, nawiasem mówiąc.

I cudowny jedwabisty dotyk podszewki szlafroka.

Dziecko uspokoiło się na dźwięk głosu Vima i utkwilo w mężczyźnie niebieskie oczy. Zerknął na małego, który wrywał się z rąk Sophie.

- Jesteś głodny, Kit? A może po prostu chcesz się pobawić? Dziecko włożyło do buzi lewą piąstkę.

- A zatem głodny. Czy w kuchni znajdzie się owsianka, panno Sophie?

- Na pewno, ale przecież jadł trzy godziny temu. Jest pan pewien, że nic mu nie dolega?

W ciągu tych samych trzech godzin Sophie zamieniła się z życzliwie nastawionej obserwatorce w matkę z krwi i kości, ulegającą typowym rodzicielskim troskom i najbardziej pierwotnym lękom.

Vim położył dłoń na czole dziecka.

- Jest tylko zgrzany od tego wiercenia się, ale nie ma gorączki. Na pewno nic mu nie dolega. Kiedy dzieci są chore, robią się zazwyczaj trochę ospałe. Kit ma po prostu malutki żołądek więc musi jeść częściej niż dorośli. O, tutaj.

Dźgnął dziecko delikatnie palcem w sam środek brzuszka wywołując bezzębny uśmiech.

- Dlaczego się nie domyśliłam, że mu się to spodoba?

- Pewnie dlatego, że pani reakcja nie byłaby taka radosna, gdybym zrobił pani to samo, co jemu. Może teraz ja go wezmę a pani przygotuje jedzenie? Proszę rozprowadzić niewielką ilość owsianki ciepłym mlekiem. Musi być luźna. Przyda się mała łyżeczka dla dzieci.

Dziecko złapało go za nos, co było poniekąd celem Vima.

- Idę zrobić owsiankę.

Gdy wychodziła z pokoju, na jej twarzy błąkał się uśmiech. Vim liczył na taką reakcję. Matki zawsze się czymś martwią ale przygnębiona mama nie wpływa dobrze na samopoczucie dziecka

- Nie pozwolimy ci się martwić - poinformował dziecko -Ja się wcale nie martwię. Miałem być w Sidling już w zeszłym tygodniu, chociaż nie cierpię tam jeździć o tej porze roku, i na pewno będę musiał ponieść przykre konsekwencje tej zwłoki ale co zrobić, wasza wysokość? Wyrzyj przez okno. Widziałeś' ile śniegu?

Kit kopnął nóżkami i wesoło zagruchał w odpowiedzi, a potem wcisnął obie piąstki do buzi.

- Ostatni raz widziałem taki śnieg w Rosji. W tym cholernym miejscu ciągle jest ciemno i zimno, pełno tam śniegu i wódka leje się strumieniami. Jesteśmy w męskim gronie, więc nie muszę przeproszać za język. Umiesz powiedzieć „cholerny”? To przydatne i dość łagodne przekleństwo, dobre na początek. Nikt nie przeklina tak siarczyście jak Rosjanie.

I nikt nie narzeka tak jak Rosjanie. To było bardzo uciążliwe, więc Vim opuszczał ten kraj z uczuciem ulgi. Na każdym kroku smętne twarze, smutne opowieści, rzewne piosenki, smutne modlitwy. I tylko wódka pomaga.

- O mało nie zwariowałem, mówię ci.

W Afryce było niewiele lepiej, podobnie na Tasmanii. Natomiast w obu Amerykach panowała całkiem przyjemna atmosfera, pod warunkiem że człowiek nie zapuszczał się za daleko na północ lub na południe ani w głąb lądu.

Kit zakwilił i znowu wyciągnął rączkę w kierunku nosa Vima.

- Chcesz kolację, herbatę, coś do jedzenia. Nie martw się, panna Sophie o to zadba. Będiesz typowym mężczyzną. Takim, który we wszystkich ważnych sprawach musi polegać na kobietach. Ale na razie jesteś za mały na takie dyskusje.

- Panie Charpentier, czy pan rozmawia z niemowlęciem? Sophie stała w drzwiach, trzymając w ręku tacę, i przechyliła głowę z zaciekawieniem.

- Jeśli nikt nie będzie z nim rozmawiał, to nie nauczy się mówić - odparł Vim, ciekaw, ile Sophie usłyszała z jego przemowy. - Ten kot powinien tu być?

Między połami jej spódnicy plątał się duży czarny kot z długą sierścią.

- To Elizabeth. Zasłużyła na drzemkę przy kominku,

Kot podskakiwał dziwnie przy jej spódnicy, a jego krok w niczym nie przypominał posuwistych kocich ruchów.

- Co mu się stało?

Popchnęła drzwi biodrem i postawiła tacę na małym stoliku.

- Nic mu nie dolega, tylko nie ma przedniej łapy. W jaki sposób nakarmimy dziecko?

Z powodu długiej sierści zwierzęcia nie zauważył kalectwa. W dodatku kot był samcem i jakby mało miał trosk wskutek własnej ułomności, to jeszcze ktoś nazwał go Elizabeth.

- Usiądźmy na sofie. Pokażę, jak to zrobić, a pani dokończy karmienie.

Usiadł z dzieckiem i poczekał, aż Sophie zajmie miejsce obok niego. Kot - szczęśliwiec - skulił się przy jej biodrze po drugiej stronie.

- Zazwyczaj robi się przy tym trochę bałaganu, ale najważniejsze, żeby nie tracić humoru - wyjaśnił Vim. - Nie można za dużo nabierać na łyżeczkę. Dziecko ma małą buzię i zabrudzi się wtedy od stóp do głów. Trzeba go też trochę przechylić do tyłu, aby jedzenie samo zeszło na dół. Jeśli zacznie odpychać łyżeczkę albo używać jej jako katapulty, to znaczy, że na razie ma dosyć.

- Skąd świeżo upieczona matka ma to wszystko wiedzieć?

- Uczy się od dziecka, a poza tym ma pod ręką siostry, kuzynki i babcie, które chętnie pomagają. Wiem z doświadczenia, że im młodszy jest mężczyzna, tym bardziej damy go adorują. Prawda, Kit?

Na dźwięk swojego imienia dziecko odwróciło się i spojrzało na niego, a Vim wykorzystał tę okazję, aby wsunąć mu do ust łyżeczkę z owsianką.

- Udało się. Widzi pani? Jest głodny.

Niemowlę kopnęło jakby dla potwierdzenia tych słów i samo otworzyło buzię, wymachując piąstkami, gdy Vim po raz drugi wsuwał łyżeczkę z jedzeniem.

- Początek był dobry. Chce pani sama spróbować?

Podał jej łyżeczkę. Na twarzy Sophie pojawił się wyraz determinacji.

- Trzeba postępować tak, jak pan mówił, prawda? - Zanurzyła łyżeczkę w owsiance. - Szybko i spokojnie, tak jak ze zwierzętami.

- Dokładnie tak.

Okazało się, że ma do tego smykałkę. Wsunęła jedzenie do buzi dziecka, zręcznie unikając kontaktu z jego piąstkami i stopkami.

Była tak pochłonięta karmieniem małego, wychwalając jego wspaniały apetyt oraz doskonałe maniery, że pochylając się nad nim, nawet nie zauważała, iż jej pełne, ciepłe piersi dotykają ramienia Vima.

Nieczęsto miał do czynienia z takimi kobietami. Stykał się raczej ze znudzonymi żonami szukającymi chwilowej rozrywki albo kurtyzanami, które chętnie spędzały wieczór w towarzystwie angielskiego lorda. Poza tym dawno już nie miał okazji przebywać z kobietą.

Sophie nazwałaby to pewnie podstawową potrzebą, ale nie spodziewał się, aby miała zamiar poruszać ten temat. Piersi, które przyciskała bezwiednie do jego ramienia, działały nie tylko na zmysły Vima, ale też dawały mu... poczucie bezpieczeństwa.

Nie roztrząsał długo tej kwestii, gdyż nauczył się, że powinien raczej ignorować takie sprawy, jeśli chce zapanować nad żądzą. Jednak długie zaniechanie potrzeb seksualnych w końcu na każdym by się zemściło, i to w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Nic dziwnego, że bliskość pociągającej kobiety w tym ciepłym i miłym otoczeniu podziałała na niego tak piorunująco.

Bo była pociągająca, choć nie nazwałby jej ładną. Sophie wyprostowała się i utkwiała wzrok w dziecku.

- Czy już się najadł?

Vim spojrzał na Kita, którego rumiane policzki zdobiła odrobina owsianki.

- Niech pani spróbuje jeszcze raz.

Wsunęła łyżeczkę do buzi dziecka, ale Kit wypluł jedzenie.

- Wielkie nieba. Niegrzeczne, ale skuteczne. - Wzięła szmatkę i kilkoma szybkimi ruchami wytarła twarz dziecka. - Czy teraz usnie?

- Czyżbym słyszał nadzieję w pani głosie, panno Sophie? Uśmiechnęła się zmieszana.

- Przypuszczam, że niemowlęta robią coś więcej oprócz gaworzenia i spania, prawda?

- Malutkie dzieci z początku bardzo dużo śpią, ale potem zaczynają się rozglądać po otoczeniu. I wtedy dopiero zaczyna się zabawa. Może pozwolimy mu trochę podokazywać?

Przywołując na pomoc zdrowy rozsądek, szybko wstał z dzieckiem na rękę, gdyż miał nieodpartą ochotę otoczyć Sophie ramieniem. To wszystko przez dziecko. Niemowlęta wzbudzają w ludziach skłonność do sentymentów, zwłaszcza gdy trzyma się je w objęciach. Tak to zostało urządzone na górze, aby dać bezradnym maluchom szansę na przeżycie w świecie, który spycha uczucia na dalszy plan.

Vim nie miał o to żalu do Kita, ale nie zamierzał też paść ofiarą dziecięcego uroku. Rano musiał wyjechać. I na tym koniec.

- Jak taki maluch może dokazywać?

Sophie nadal siedziała na sofie, głaszcząc kota leniwymi ruchami. Vim nawet z odległości kilku kroków słyszał zadowolone pomruki zwierzaka.

- Zobaczymy. - Poklepał Kita delikatnie po plecach, aby dziecku się odbiło. - Myślę, że Kit nie umie jeszcze raczkować. I Bogu niech będą dzięki.

- Raczkowanie to coś złego?

- Raczkowanie jest niebezpieczne. - Mówiąc to, Vim rozłożył na podłodze koc, a następnie położył na nim dziecko na brzuszku. - To chyba z powodu raczkowania w czasach elżbietańskich przywiązywano dzieci do kołysek i szczebelków łóżeczka.

Z małego ciała wydostało się krótkie beknięcie. Sophie rozejrzała się po pokoju, marszcząc brwi.

- Ale dlaczego raczkowanie jest takie niebezpieczne? Myślałam, że to etap poprzedzający chodzenie.

- Niech pani usiądzie tu z nami. - Vim usiadł po jednej stronie dziecka i poklepał podłogę. Zaniepokoił go fakt, że nie umiała wyobrazić sobie zagrożeń. Jutro zostanie sama z niemowlęciem, a jeśli nawet pojawią się jej bracia, to pożytek w tej dziedzinie będzie z nich raczej niewielki, tak jak z większości mężczyzn.

Usiadła obok niego, trzymając zgięte nogi po jednej stronie.

- Próbuje stanąć na czworakach.

Miała rację. Kit uniósł pupę opatuloną pieluszką, a potem podniósł się na tłustych rączkach, aż w końcu oparł się o podłogę rękoma i kolanami. Rozejrzał się wokół siebie, a na jego buzię wypłynął szeroki, radosny uśmiech.

- Dobra robota. - Vim klepnął delikatnie palcem nosk dziecka, które uśmiechnęło się jeszcze radośniej i delikatnie zakołysało. - Jeszcze tego do końca nie rozpracował.

- Ale wkrótce mu się uda?

- W najbliższych dniach. Niech pani sobie wyobrazi, że niedługo będzie kręcił się po pokoju i patrzył na świat z tej perspektywy.

- Co ma pan na myśli?

Vim wyciągnął się na brzuchu.

- Proszę położyć się tak jak ja.

Rozejrzała się z wahaniem, a potem położyła na brzuchu po drugiej stronie dziecka.

- Co widzisz, Sophie?

- Ogień na kominku.

- Kit też go zobaczy. Zobaczy tańczące płomienie i żywe kolory, poczuje ciepło, usłyszy syk i trzask polan i może dojrzy deszcz iskier.

- Wielkie nieba.

- Co jeszcze widzisz, Sophie?

Zastanawiała się chwilę, podczas gdy Kit głośnym gaworzeniem wyrażał swój zachwyty życiem.

- Widzę stojak na narzędzia do kominka, który może się przewrócić na ciekawskie dziecko. Widzę stojące lampy i rozłożone na stolikach serwety z falbankami, które może ściągnąć mała, tłusta łapka. Widzę przedmioty, które brzdąc może wsadzić do buzi albo które mogą spaść mu na głowę. Widzę... kłopoty.

Przewróciła się na plecy i spojrzała na dziecko.

- Jak udaje im się przeżyć? Jaki cudem jej książęca mość mogła wychować dziesięcioro dzieci?

Odwrócił się na bok, przodem do niej, rozdzielało ich jedynie roześmiane i gaworzące dziecko.

- Korzystała z pomocy. Ale właśnie dlatego urządza się dla maluchów pokoje dziecięce. Kominki umieszcza się w nich wyżej, więc dzieci nie mogą ich dosięgnąć, a półki są przymocowane do ścian. Żaden przedmiot nie spadnie dziecku na głowę.

- Rzeczywiście. - Westchnęła i utkwiała wzrok w suficie. - Nie ma obrusów na stolikach ani uroczych szklanych misek z płatkami kwiatów, tylko dość solidne zabawki.

- A łóżeczka ze szczebelkami?

- Zostały jakieś w pokoju dziecięcym, ale Kit jeszcze nie wyrósł z kołyski.

- Ale niedługo nauczy się z niej wychodzić, prawda?

- Wielkie nieba. - Zamknęła oczy i mówiła dalej, nie otwierając ich: - Poszłam do pokoju Joleen, żeby zobaczyć, czy zostawiła jakieś rzeczy dla Kita.

- Ico?

Vim przesunął się i podniósł dziecko. Mały zapiszczał z radości, wywijając w powietrzu rączkami i nóżkami.

- Na łóżku leżały sukienki, skarpetki i kocyki Kita. Wszystko schludnie złożone. Zaplanowała, że go zostawi.

Dokładnie tak, jak powiedział. Mógł udawać, że zabawa z dzieckiem całkowicie pochłania jego uwagę, ale ton głosu Sophie kazał mu przerwać dokazywanie i przyjrzeć się badawczo kobiecie.

- To cię smuci.

Skinęła głową, nie otwierając oczu. Vim dostrzegł, że z kącika oka spłynęła samotna łza, która wytyczyła lśniący szlak wzdłuż skroni i zniknęła w ciemnych włosach.

- Sophie, płaczesz nad dzieckiem czy nad matką?

- Ja nigdy nie płaczę.

Vim był na tyle blisko, że wierzył w to, co zobaczył. I nie dał się zwieść surowemu tonowi jej głosu. Przytrzymał dziecko na piersi jedną ręką, a drugą wyciągnął w stronę Sophie i przejechał palcem od kącika oka do skroni.

- Nigdy?

Odwróciła do niego głowę, a jego palec znalazł się nagle na jej policzku. Nie cofnął ręki.

- To ja zajmuję się w domu zbłąkanymi istotami - powiedziała spokojnie, pilnując, by jej głos nie brzmiał płaczliwie. -I tak jest przez całe życie. To ja zaopiekowałam się porzuconą owieczką, znalazłam nową rodzinę osieroconemu kociątku. Kiedy Joleen zbłądziła, kłopot spadł na mnie. Nie powinna była porzucać Kita.

- Może nie była gotowa, by go mieć, i nie widziała innego rozwiązania. Ile ma lat?

- Szesnaście.

- Wystarczająco dużo, by wpaść na lepszy pomysł, Sophie. -Przeciągnął kciukiem po jej gładkim policzku, a potem cofnął dłoń. Chciał ją w ten sposób pocieszyć, ale w istocie pocieszył samego siebie.

- Weź dziecko. - Podniósł Kita. - Jest w dobrej formie, gotowy na podbój świata.

Spojrzała na Vima, jakby podejrzewała jakiś podstęp. Nie bez racji. Wzięła jednak dziecko i ułożyła w podobnej pozycji jak przedtem.

- Jest duży i silny, prawda?

- Dokładnie taki, jaki powinien być w swoim wieku.

- Co mam z nim począć?

- To cię najbardziej martwi, prawda? - Vim leżał na boku, opierając głowę na ręce. - Joleen spowodowała zamieszanie w twoim życiu, a odpowiedzialność za tego malucha napawa cię lękiem

Uniosła dziecko, dotknęła nosem jego noska i posadziła je z powrotem na swoim brzuchu.

- Lęk to właściwe słowo. Może podpełznąć do ognia, przeziębienie się, zrzucić na siebie książki... I to wszystko w mgnieniu oka. Jego życie ma trwać kilkadziesiąt lat, ale pod warunkiem że zapewnię mu bezpieczeństwo i nauczę go, jak sobie radzić.

- Mogłabyś wziąć go na wychowanie.

Sophie palcem pogłaskała dziecko po policzku. Mały odwrócił głowę, aby zobaczyć, co wywołało przyjemne doznanie, a ona w tym czasie pogłaskała drugi policzek.

- Powinnam znaleźć kogoś, kto weźmie go na wychowanie. To musi być jakaś miła kobieta, która ma dziecko w tym wieku.

Wynagrodzę ją hojnie, aby poświęciła Kitowi mnóstwo uwagi i dała mu miłość, aby miał wokół siebie dzieci, z którymi będzie mógł się bawić.

Znowu zamknęła oczy, a Vim domyślił się już, że to jej sposób panowania nad emocjami.

- Sophie, Kit jest na tyle duży, że nie potrzebuje już kobiecego pokarmu, jeśli nie będzie takiej możliwości.

- Naprawdę? Nawet nie wiem, kiedy należy odstawić dziecko. Widziałam większe dzieci, które nadal były... - Zamilkła, ale mrugnęła do dziecka.

- Przy piersi - dokończył Vim.

- Chciałam powiedzieć, że były zależne od swoich matek. Niania Fran powiedziała, że Joleen ma mało pokarmu. Że jest zbyt niespokojna, aby porządnie nakarmić dziecko.

- To możliwe. Niespokojna klacz też czasami nie może wy-karmić źrebaka. Ale Kit wygląda na zdrowe niemowlę.

- Rzeczywiście.

Zmarszczyła brwi i próbowała podnieść małego nad głowę. Gdy trzymała go w wyprostowanych ramionach, znowu zaczął wywijać nogami i rękoma. Na ustach Sophie wykwitł blady uśmiech. W tym momencie dziecko wydało charakterystyczny odgłos.

- Ojej. - Sophie natychmiast opuściła dziecko na dół. - Chyba najwyższy czas, żebym nauczyła się zmieniać pieluchy.

- Mamy zapas czystych?

- Są w pralni. Zaraz...

Sophie zaczęła wstawać, ale Vim położył rękę na jej ramieniu, więc zdążyła tylko ukucnąć.

- Zostań z nim. Ja wszystko przyniosę.

Nie mogła zaprotestować, bo w jednej sekundzie znalazł się za drzwiami, zabierając ze sobą świecę. Wprawdzie potrzeby higieniczne dziecka należało zaspokajać od razu, ale w tym wypadku chodziło mu raczej o to, by jak najszybciej wstać z podłogi i znaleźć się z dala od kobiety leżącej przy kominku.

Opłakiwała porzucone dzieci, ale współczuła również matkom, które były zmuszone do takiego czynu. Vim pragnął wtulić

się w jej słodkie, ciepłe ciało, ale posłuchał głosu rozsądku. Inaczej po jego wyjeździe musiałaby jeszcze oplakiwać barona, który przelotnie zagościł w jej życiu, by chwilę później ją porzucić.

- Czegoś się już nauczyłam - powiedziała Sophie do dziecka. Zapach unoszący się nad niemowlęciem wskazywał, że zmiana pieluchy staje się pilną sprawą.

Powtarzała sobie, że ta woń świadczy o dobrym zdrowiu i że podobnie pachnie w niesprzątniętym boksie dla koni.

Kit próbował sięgnąć rączką do jej twarzy, co sprawiło jej nieprawdopodobną przyjemność.

- Teraz już wiem, dlaczego moi rodzice po przeszło trzydziestu latach małżeństwa nadal są sobą zauroczeni. To dzięki takim brzdącom jak ty.

Za drugim razem pozwoliła mu złapać swój nos. Wydawało jej się to wyjątkowo urocze. Nie przestawała mówić, prosto do jego małej piąstki.

- Ich książęce mości wychowały dziesięcioro takich maluchów jak ty. Wiesz, ile wieczorów musieli spędzić na podłodze ze swoimi małymi książkami? Przecież oboje doglądali swoich dzieci, oboje czuli tę mieszaninę cudownego zachwyty i przerażenia. A wszystko przez ciebie i takich jak ty.

Kit mocno trzymał ją za nos, a wolną rączką klepnął ją w policzek.

- Tak, to twoja wina. Gaworzysz, uśmiechasz się do całego świata, nie zdajesz sobie sprawy z własnej bezradności. Przez ciebie my też stajemy się bezradni, nie potrafimy obronić się przed miłością. Pan Charpentier... to znaczy Vim, uległ twojemu urokowi.

Wstała z dzieckiem na rękę, uwalniając nos z uścisku małego łobuziaka.

- Pan Charpentier jest czarującym mężczyzną, prawda? Kit wypuścił kolejne gazy, wyjątkowo donośnie jak na tak niedużego człowieka.

- Niegrzeczny chłopiec.

Chociaż musiała szczerze przyznać, że nawet to wydawało jej się ujmujące. Dziecko nie przejmowało się naturalnymi odgłosami i zapachem, jaki wydziela jego ciało. Było szczęśliwe, gdy znajdowało się w bezpiecznym i ciepłym miejscu, miało pełny brzusek, a wokół siebie ludzi, którzy otaczali je troską.

Bogu niech będą dzięki za Wilhelma Charpentiera. Bogu niech będą dzięki, że uznał dobro dziecka za ważniejsze niż stosowne zachowanie. Bogu niech będą dzięki za śnieżycę, dzięki której Sophie ośmieliła się poprosić o taką przysługę.

Chociaż pomoc pana Charpentiera przy dziecku była nieoceniona, to jednak Sophie czuła w głębi serca, że cieszy się z jego towarzystwa także z innych powodów. W zakamarkach umysłu dostępnych tylko jej samej pozwalała sobie na niezbyt przyzwoite marzenia z udziałem pana Charpentiera, żywiła też niemądre życzenia. Nikomu nie mogło to zaszkodzić - ona była damą, on dżentelmenem. A wszelkie marzenia i życzenia i tak uważała za stratę czasu.

Usłyszała kroki w korytarzu, więc zajęła miejsce na sofie, sadzając sobie dziecko na kolanach.

- W bojlerze była jeszcze ciepła woda - oznajmił Vim.

Nie mogła się przełamać, by zwracać się do niego po imieniu, choć imię to gościło często w jej myślach. Niezwykłe, teutońskie, znamionujące człowieka pełnego energii i świadomego celu, do którego zmierza. Vim.

- Tym razem chciałabym zrobić to sama.

- Proszę bardzo. Dobrze, że Kit regularnie się wypróżnia, bo to oznaka zdrowia. - Vim odsunął stolik i rozłożył koc na sofie, wziął dziecko z kolan Sophie i ułożył je na plecach na kocu. -Do dzieła, droga pani. Życzę powodzenia.

Nadal klęczał przy sofie, siedząc na stopach. Sophie była zarazem zadowolona i przerażona jego bliskością.

Odwiązała tasiemki podtrzymujące pieluszkę i odchyliła ją.

- Ostrożnie. - Vim przytrzymał rozluźnioną pieluszkę wokół pupy dziecka. - Obsusia cię w jednej chwili, jeśli się odpowiednio nie zabezpieczysz.

Sophie zarumieniła się, gdy zobaczyła, że dziecko rzeczywiście siusia do pobrudzonej już pieluszki.

- Świeże powietrze tak działa. Ale to nam oszczędzi kolejnego przewijania. Zdaje się, że już jest bezpiecznie.

Jak mógł być taki spokojny! Sophie odwinęła wilgotną i cuchnącą pieluszkę.

- Wielkie nieba.

- Niezły bałagan!

Rzuciła na niego okiem. Vim uśmiechał się szeroko jakby nigdy nic.

- To pan go do tego zachęcił, panie Charpentier. Nauczył go pan brzydkiej rzeczy.

- Proszę się pospieszyć. Nie powinien leżeć taki brudny. Może dostać odparzenia i będzie musiał paradować na golasa przez kilka dni.

Uśmiechał się od ucha do ucha. Jak rozbrykany łobuziak.

Sophie również się uśmiechnęła i zdjęła dziecku pieluszkę. Pan Charpentier wcisnął jej do ręki wilgotną szmatkę. Chociaż ją wykręcił, była jeszcze ciepła.

- Proszę go dokładnie umyć - powiedział. - Nie żartowałem z tym odparzeniem. Biedne maluchy płaczą wtedy z bólu. Z tego samego powodu trzeba go też wytrzeć do sucha po kąpieli.

Sophie zajęła się myciem pupy dziecka, chociaż widok nawet małych męskich organów wprawiał ją w zażenowanie. Co gorsza, Kit uśmiechał się szeroko i kopał nóżkami, gdy przemywała wiadome części ciała.

- On to lubi, Sophie. I trzeba się z tego cieszyć.

- Jak to?

Miała się cieszyć, że ta mała bestyjka nie grzeszy skromnością, podobnie jak jej bracia, gdy byli dziećmi?

- Wyobraź sobie, jak trudno byłoby to wszystko przeprowadzić, gdyby nie lubił twojego dotyku. Wstydlivość wcale nie ułatwiłaby sprawy.

Odebrał z jej rąk brudną pieluszkę i podał jej czystą. Mimo że Kit nieustannie kopał i próbował coś złapać zaskakująco zwinnymi

rączkami, Sophie udało się w końcu zmienić pieluchę. Wymagało to dużego skupienia i zręczności, a rezultat i tak nie wydawał się zadowalający, gdyż pielucha wydawała się leżeć asymetrycznie.

- Wygląd nie ma znaczenia. I tak ją niedługo pobrudzi i będzie do prania tak jak wszystkie inne. Zaniosę ją do pralni.

Zwinął brudną pieluchę, a Sophie zaczęła wsuwać skarpetki na stopki niemowlęcia, byle tylko nie patrzeć na szeroko uśmiechniętą twarz Vima. Wiedziała, że to niemądre, ale była dumna ze swojego osiągnięcia. Po raz pierwszy w życiu zmieniła pieluchę, i to w dodatku solidnie zabrudzoną.

- Dobra robota, Sophie Windham. Pierwsze koty za płoty. Poklepał ją po ramieniu i wstał, zabierając brudne zawiniątko. To był niewiele znaczący, drobny gest, ale Sophie poczuła

się tak, jakby pierwszy raz w życiu zrobiła coś, co rzeczywiście zasługiwało na pochwałę. Pochyliła się nad brzdącem i dwoma palcami delikatnie chwyciła go za nosek.

- Powiedział, że dobrze sobie poradziłam. Ale to nie twoja zasługa.

Kit uśmiechnął się szeroko z głośnym gaworzeniem i kopnął ją w rękę.

Sophie i jej dziecko poradzą sobie bez niego, powtarzał Vim w myślach, kiedy mył w kuchni ręce i przygotowywał tacę z herbatą.

W pojemniku na pieczywo wyszperał słodkie bułeczki z lukrem, na które akurat miał ochotę. Postawił na tacy masło, miód i wszystko, co potrzebne do herbaty, po czym udał się do saloniku.

Może rano, zanim wyjedzie, pokaże Sophie, jak wykapać dziecko. Dobrze sobie radziła z karmieniem, zmienianiem pieluszek i zabawianiem dziecka. Jediną rzeczą, której mógł ją nauczyć, było kąpanie niemowlęcia.

Rzuci też okiem na pokój dziecięcy, aby się upewnić, że dziecku nic tam nie zagraża. Może znajdą się jakieś zabawki. Skoro rodzina odchowala dziesięcioro dzieci, to musiały zostać po nich zabawki. Leżą pewnie zakurzone gdzieś w kufrze albo w szafie.

A potem wróci do swoich spraw...

Zatrzymał się przed drzwiami do saloniku.

Czuł, że to nie będzie takie łatwe, nawet jeśli przerwa w podróży nastąpiła z powodu złej pogody... no i może trochę ze względu na zbieg okoliczności i poczucie odpowiedzialności za kobietę i dziecko, których dopiero co poznał i nigdy więcej nie zobaczy.

Nigdy więcej ich nie zobaczy.

Nawet gdyby zostawił swój adres, to i tak nie będą mogli prowadzić korespondencji. Takie zachowanie uznano by za wysoce niewłaściwe. A on nie zamierzał sprowadzać ich znajomości na niestosowne tory. Chociaż zdrowy rozsądek w żaden sposób nie zdołał odeprzeć rozkosznych obrazów podsuwanych przez wyobraźnię.

Wszedł do salonu. Sophie siedziała na kocu z wyprostowanymi i skrzyżowanymi nogami, a Kit leżał przed nią na brzuszku.

- Salonowy piknik dla jego wysokości - oznajmił Vim, zamykając drzwi nogą. - Kwartet smyczkowy pojawi się lada chwila. Jeśli chcesz umyć ręce, to mogę popilnować malca.

- Nie wiem, czy powinnam zostawiać was samych. Nauczysz go piosenek biesiadnych i sprośnych żartów.

- On już poznał całe mnóstwo sprośnych żartów. Wystarczy spojrzeć na te uśmiechy i zalotne miny.

Vim postawił tacę na podłodze, poza zasięgiem dziecka, i usiadł w taki sposób, że mały znalazł się między nim a Sophie.

- Czy wszystkie dzieci są takie radosne?

- Wielkie nieba, nie. - Usiadł wygodnie, krzyżując nogi w ten sam sposób co Sophie. - Kiedyś na Węgrzech byłem w pewnym obozie. Zima już mijała, ale była wyjątkowo surowa. Stare kobiety, które siedziały przy ognisku, narzekały, że dzieci przestały płakać. Tęskniły za dziecięcym płaczem, bo tylko dzieci, które są zdrowe i nie zostały pozbawione resztek nadziei, mogą domagać się płaczem jedzenia, obecności matki lub ciepła.

Po co, do diabła, poruszył taki smutny temat? Uległ nastrojowi. Owładnęło nim marzenie, by zabrać te ciche, apatyczne

dzieci do wesołej Anglii, gdzie byłyby rozpieszczane, przytulane i karmione owsianką.

Sophie przesunęła dłonią po plecach dziecka i próbowała poprawić pieluszkę, która pewnie i całkiem ładnie leżała na jego pupie.

- Idę umyć ręce, a wy tu sobie spiskujcie. Ale jak przyjdę, chcę usłyszeć historie z podróży. Nie tylko takie, które wymyśla się dla rozrywki podróżnych, ale też prawdziwe... takie, które zapadają w pamięć.

Po jej wyjściu Vim obserwował, jak Kit próbuje stanąć na czworakach.

- Uważasz pewnie, że poznawanie świata to doskonała zabawa, prawda? - skierował pytanie do dziecka. - Jeszcze nie wiesz, że możesz zobaczyć dzieci umierające z głodu i stare kobiety, które zamierzają w nocy na śmierć. - Podniósł małego, objął go czule, przyciskając usta do jego główki pokrytej puchem. - Możesz hulać po świecie, pocieszając się dziwkami i alkoholem, ale bardzo szybko zaczniesz pragnąć tylko jednego: domu, ciepłego kominka i własnej kobiety, która da ci dzieci. I chociaż bez trudu trafisz do każdego portu na najbardziej odległym morzu, nie będziesz umiał znaleźć prostego szczęścia.

Dziecko westchnęło i włożyło piąstkę do buzi. Vim położył małego na plecach na kocyku.

- Przewróć się na bok. Potrafisz? To prosty sposób, żeby zmienić perspektywę.

Gdy powoli przewracał dziecko na brzusek, Sophie wróciła do pokoju.

- Opowiedziałeś mu o najlepszych tawernach w Oksfordzie?

- Nie ma tam żadnych tawern. W Oksfordzie są tylko studenci, którzy wystają na każdym rogu ulicy, deklamując wiersze skłeczone w łacinie i grece.

Tym razem Sophie położyła się na boku blisko dziecka.

- Moi bracia opowiadali, że na rogach ulic prowadzi się zupełnie inne interesy. Czy ta piąstka smakuje lepiej niż tamta?

Vim wyciągnął się po drugiej stronie dziecka.

- Kit woli lewą. Jeden ze starych stajennych w Kumbrii powiadał, że to zależy od tego, jak dziecko ułożyło się w brzuchu. Zwykle łatwiej mu poruszać jedną ręką. Mówił, że wśród koni obserwuje się to samo zjawisko, jedna strona jest bardziej giętka niż druga.

- Kiedy Kit nauczy się raczkować, sprawdzimy tę teorię w praktyce.

Zapadło milczenie, przerywane tylko trzaskiem polan na kominku, wyciem wiatru za oknami i radosnym mlaskaniem dziecka. Ta cisza była jedyna w swoim rodzaju - słodka, niekrepująca, a zarazem... poruszająca serce. Za kilka godzin opuści ten dom i otoczy go zimny chłód, a kobieta i dziecko pozostaną przed ciepłym kominkiem.

- Nalać ci herbaty, Sophie?

- Tak, poproszę. I jeszcze bułeczkę cynamonową z masłem. Vim zajął się prozaicznymi czynnościami, które odwróciły jego

myśli od smutnych tematów. Kit stanął na czworakach, chwiejąc się i kiwając na boki, jakby sądził, że poruszy w ten sposób podłogę, która przemieści go w inny zakątek pokoju.

Sophie postawiła filiżankę z herbatą na stoliku znajdującym się poza zasięgiem dziecka.

- Jaką historię mi opowiesz?

- A jaką chciałabyś usłyszeć?

- Ekscytującą. Egzotyczną i pełną ryzyka. Uśmiechnął się, słysząc jej entuzjastyczny ton.

- Czy mają być zwaśnione strony żadne krwi?

- Tylko nic o wojnie, bardzo proszę.

Zapomniał, że straciła brata na wojnach napoleońskich i że ta pamięć była w niej ciągle żywa.

- A więc musi się dobrze kończyć?

Przez chwilę zamyślona wpatrywała się w filiżankę.

- Nie przyznaję się nawet przed rodziną, że wciąż lubię szczęśliwe zakończenia i chcę, by marzenia się spełniały. Dojrzała kobieta powinna brać życie takim, jakie jest. A ja mam za co być wdzięczna losowi.

- Ale dojrzała kobieta powinna również być uczciwa wobec siebie i wobec mnie. To nic złego, że chcesz, by historie dobrze się kończyły, Sophie. Masz prawo tego pragnąć. Również dla siebie i dla Kita.

Podniósł wzrok znad filiżanki i napotkał jej spojrzenie.

- Czy mogę pragnąć szczęśliwego zakończenia również dla ciebie, Vimie Charpentier?

Nie mógł odmówić jej racji. Nie wiedział wprawdzie, ani nie umiał odgadnąć, jaką funkcję pełni Sophie Windham w tym okazałym domostwie, co od czasu do czasu wywoływało w nim przelotną frustrację, jednak zdawał sobie sprawę, że Sophie - mimo manier damy - zapewne uwzględni go w swoich życzeniach.

- Idą święta, a ty na pewno byłaś grzeczną dziewczynką. Możesz sobie życzyć, czego tylko chcesz.

Jej spokojna twarz przybrała na chwilę zaskakujący wyraz, kobiecy, tajemniczy i... bardzo pociągający.

Vim zaczął snuć opowieść o statku, który rozbił się w tropikalnym raj. Pomijał takie szczegóły, jak muchy, dyzenteria i kłótnie o każdy drobiazg wybuchające między rozbitkami. Opisał wycie szalejących huraganów i zniszczenia, jakie poczyniły, próby odbudowania statku, trudną podróż z wyspy w poszukiwaniu choćby śladu cywilizacji. Zastanawiał się, dlaczego do tej pory nie znalazł się nikt, komu mógłby opowiedzieć tę historię lub jakąkolwiek inną.

- Myślę, że ta opowieść zafascynowała Kita - stwierdziła Sophie, kiedy doprowadził historię, zgodnie z jej życzeniem, do szczęśliwego zakończenia. - Na pewno planuje już pierwszą podróż.

Kit żeglował na razie po bezkresnej piersi Vima, wyginając plecy w łuk. Vim pogłaskał go lekko po nosku.

- Widzę, że jego wysokość jest bardzo zmęczony po dniu pełnym wydarzeń. Skoro panna Sophie i ja opadamy z sił, drogi panie, to ty tym bardziej powinienes jak najszybciej trafić w objęcia Morfeusza.

Kit uśmiechnął się szeroko i uderzył piąstką w pierś Vima.

- Chyba się nie zgadza z tą opinią - zauważyła Sophie, z trudem tłumiąc ziewanie.

- Czy mam zanieść kołyskę do twojego pokoju?
- Będę wdzięczna. Powinnam chyba przygotować zapas czystych pieluszek, prawda?

- I całą resztę. Odniosę tacę do kuchni.

- Proszę to zostawić. Rano posprzątam.

Kiedy wyjedziesz. Nie wypowiedziała tych słów, zapewne ze zwykłej uprzejmości.

Przygarnął dziecko do piersi i wstał. Na myśl o wyjeździe powinien czuć ulgę. Dłuższy pobyt w tym domu mógł narazić ją na utratę reputacji, gdyby jakieś plotki dotarły do niepowołanych uszu. On sam już dawno powinien być w Sidling, a Sophie coraz lepiej radziła sobie z Kitem. Naprawdę powinien się cieszyć, że wyruszy w dalszą podróż, mimo że jej celem było tylko Sidling, i to w czasie Bożego Narodzenia.

Sophie wyciągnęła rękę po dziecko, a Vim oddał małego bez słowa.

- Uważa, że byłam grzeczną dziewczynką.

Sophie upewniła się, że Kitowi jest wygodnie w kołysce, po czym zajęła się szczotkowaniem włosów przed snem.

Paplała bez przerwy do Kita, próbując odwrócić swoją uwagę od faktu, że Vim szykuje się do snu w pokoju na tym samym piętrze.

- Grzeczna to za mało powiedziane, maleństwo. Byłam idealna. Moje zachowanie stawia się za wzór młodym debiutantkom. Wszyscy mężczyźni wiedzą, że dotrzymanie mi towarzystwa nie grozi skandalem, mój tata poklepał mnie publicznie po policzku, a mama jest przekonana, że działalność dobroczynna, którą prowadzę, rozśławia dobre imię rodziny.

Zamyśliła się z uniesioną szczotką i popatrzyła na dziecko.

- Wiesz, jak trudno jest być dobrym przez cały czas?

Kit westchnął, ssąc kciuk. Sophie uznała to za potwierdzenie.

- Ale ja wcale nie jestem idealna. Kiedy pan Charpentier opowiadał, że woda w Morzu Karaibskim jest tak rozświetlona słońcem, że aż bołą oczy, wpatrywałam się w jego usta. Ma piękne

wargi i cudowny głos. I nie mówi w afektowany sposób, jak jego książęca mość, gdy peroruje na temat kwestii katolickiej. Jest...

Z jej piersi wyrwało się westchnienie. Odkąd zamknęła za sobą drzwi sypialni, wzdychała w regularnych odstępach. Jak dojrzała kobieta, która zmuszona jest przyznać, że wciąż ma irracjonalne życzenia, chociaż dawno powinna z tym skończyć.

- Vim ma ciepły głos. Kiedy mówi, czuję się tak, jakbym była jedyną osobą na świecie, która go słuchała. Jakby wybrał właśnie mnie, aby zwierzyć się z tego, co przeżył.

Uznała, że ponosi ją wyobraźnia, więc zamilkła. Nawet tak małe dziecko nie powinno wiedzieć, co dzieje się w jej wnętrzu. Zagubiła gdzieś swój słynny zdrowy rozsądek i po raz pierwszy w życiu czuła, że jest zauroczona mężczyzną.

- I pomyśleć, że pragnęłam w te święta samotności, na tyle, na ile jest to możliwe w mojej rodzinie.

Wszyscy udali się do Morelands, a ona została w domu, co było niegrzeczne, zuchwałe i bardzo niestosowne. Co roku posłusznie uczestniczyła w tym exodusie i spędzała kolejne święta Bożego Narodzenia w hrabstwie Kent ze starzejącymi się rodzicami i licznym kuzynostwem, patrząc, jak po kolei dorastają.

- Mam ochotę zrobić coś szalonego, Kit. Chcę poznać prawdziwe życie. Nie boję się kłopotów, ale nie chcę ich ściągnąć na głowę pana Charpentiera.

Vim wydawał się człowiekiem doświadczonym przez los. Pod maską uprzejmości i wesołymi iskierkami w cudownych niebieskich oczach skrywał znużenie oraz ciężar, który leżał mu na sercu. Chciała zdjąć z niego to brzemie, pocieszając go nie tylko uprzejmymi słowami, ale ofiarowując... wszystko, co miała.

Nie powinna narażać pana Charpentiera na kłopoty. Była grzeczną dziewczynką i nie wiedziała, jak urzeczywistnić ten szalony plan, nie wpędzając jednocześnie drugiej osoby w tarapaty. Leżała więc bezsennie, zastanawiając się, co powinna zrobić dobrze wychowana dama w tej sytuacji.

Dobrze wychowana dama i cudowny, niespodziewany gość o pięknych ustach, wspaniałym głosie i jeszcze wspanialszym sercu.

Vim wyciągnął się na luksusowym łożu, sądząc, że natychmiast oładnie nim sen. I tak się stało, tyle że przebudził się po kilku godzinach. Na dworze ciągle szalała śnieżyca, ale w sypialni było przytulnie i ciepło. Przy kominku stało kilka wiader z węglem, zasłony wokół łoża skutecznie chroniły przez dopływem zimnego powietrza i światła, a solidna konstrukcja domu nie przepuszczała hałasu, mimo że za oknami hulał zimowy wiatr.

A jednak coś go przebudziło... jakiś dźwięk, odległy hałas.

Z drugiego końca korytarza dobiegała słaba, rytmiczna melodia. Przedarła się przez ciemność do uszu Vima. Tempo było na tyle wolne, że utrudzona kobieta mogła spacerować w takt, nosząc dziecko.

Zastanawiał się, czy wstać, ale nie słyszał, aby dziecko płakało, a do jego uszu docierała jedynie kołysanka. Otulony ciemnościami i ciepłem, pod wpływem słodczy kobiecego głosu poczuł pożądanie, do którego mężczyźni zwykli się nie przyznawać, gdy w grę wchodziło wyobrażenie matki z dzieckiem.

Spał nago, co było przyjemne, lecz zazwyczaj niepraktyczne, gdyż na ogół nie nocował w tak luksusowych warunkach. Wsłuchując się w głos Sophie przenikający ciemności, odsunął kołdrę, a dłoń spoczęła na pęczniejącym szybko członku.

Odbył wiele dalekich podróży i widział niejedno, toteż samotne chwile intymności nie budziły w nim ani poczucia winy, ani zażenowania. Powoli ogarniała go cielesna przyjemność, a śpiew Sophie rozproszył się w ciemności i ciepłe. Jego czyn nie był ani dobry, ani zły, i nie mógł wpłynąć na stosunek Sophie do niego. Jednak gdy rozkosz zawładnęła ciałem, poczuł, że przeżywanie przyjemności w pojedynkę wzmogło jego samotność.

- Czy wszyscy mali chłopcy lubią być nago?

Sophie zadała to pytanie tak beznamietnym tonem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. Kit wpadł w radosną euforię, kiedy pan Charpentier rozebrał go w kuchni.

- Nie. - Podniósł dziecko z kocyka rozłożonego na kuchennym stole. -
Wszyscy mężczyźni lubią być nago, niezależnie od

wieku. I jestem pewien, że dotyczy to również płci żeńskiej. Proszę sprawdzić, czy woda jest ciepła.

Cóż za niestosowne słowa! Na pewno jej bracia myśleli tak samo, ale nigdy nie powiedzieli tego głośno, pomimo że mieli ku temu wiele okazji, gdy byli chłopcami.

Sophie zanurzyła palce w waniencie stojącej na stole.

- Ciepła, ale nie gorąca.

- No to zaczynamy zabawę.

Kąpiel Kita okazała się zadaniem wymagającym przygotowań. Trzeba było nagrzać dwa wiadra wody na piecu w kuchni, wyłożyć brzegi wanienki ręcznikami, wymieszać gorącą i zimną wodę w odpowiednich proporcjach i nalać jej tyle, aby nie było jej zbyt wiele, przynieść koce, pieluszki, flanelowe ubranka i skarpetki, a dodatkowo Sophie musiała jeszcze podkraść z sypialni matki delikatne mydło.

Pan Charpentier był w samej koszuli, kamizelce i spodniach, ale rękawy podwinął do łokci. Uprzedził Sophie, że do kąpania dziecka najlepiej ubrać się w starą garderobę, toteż włożyła wygodną suknię z brązowego aksamitu i również podwinęła rękawy.

- No to do wody, maleństwo.

Pan Charpentier powoli zanurzył dziecko w wodzie, co wywołało natychmiastowy i ogłuszający pisk zadowolenia. Kit na wópół leżał na środku wanienki, energicznie rozpryskiwał wodę rękoma i promieniał radością.

- A nie mówiłem, że to zadanie dla odważnych?

W głosie Vima zabrzmiały nutki szorstkiego humoru, po raz pierwszy od rana.

- Co teraz robimy?

- Bawimy się.

Zanurzył w wodzie kciuk i środkowy palec i ochlapał klatkę piersiową dziecka. Radosne piski umilkły, a Kit wpatrywał się w dużą męską dłoń, która dostarczyła mu tak zaskakujących doznań.

- Chce, żebyś to powtórzył.

- Może ty spróbujesz?

Pan Charpentier wyprostował się i wytarł rękę pod baczny wzrokiem Kita. Sophie zaś przyglądała się dziecku, które z radością rozpryskiwało wodę. Takie wygłupy nie licowały z pozycją córki księcia... Tylko że tym razem była jedynie kobietą, która musi wykąpać dziecko.

- Kit. - Przejechała palcami po wodzie. - Zdecydowanie za dobrze się bawisz. Chyba czas zabrać się do mycia.

Poląła wodą pulchne ramię malca, a ten solidnie ją ochlapał, wyrażając w ten sposób zadowolenie z nowej zabawy. Nie ociągając się, umyła chłopca, ale po tych zabiegach przód sukni miała zupełnie mokry. Tymczasem Vim, który podał jej czysty ręcznik do zawinięcia wierzgającego malucha, uchronił się przed wodą.

- Wcale nie byłeś pomocny, Vimie Charpentier. Zostawiłeś mnie na pastwę tego brzdąca.

- Poradziłaś sobie całkiem dobrze, Sophie Windham. A Kit na pewno zrobi karierę w Królewskiej Marynarce. - Owinał ręcznikiem mokrą główkę dziecka. - Po kąpieli trzeba uważać, żeby się nie przeziębił. Niektórzy ludzie sądzą, że kąpiele są niezdrowe, ale ja tak nie myślę. Poza tym dla takich maluchów jak Kit to świetna zabawa.

- Ale starsze dzieci wcale nie przepadają za kąpielą. Delikatnie wytarła ręcznikiem buzię i rączki Kita, po czym położyła go szczerze opatulonego na stole.

Vim stał nieco z tyłu, przyglądając się, jak zakłada dziecku czystą pieluchę, robiąc uniki przed jego piąstkami i stopkami. Najwyraźniej w nocy nabrała wprawy, chociaż zapewne wolałaby spać.

- Bo zabawa się kończy - stwierdził Vim, przesuwając palcem po policzku Kita - kiedy mówią nam, co mamy robić. I nieważne, czy dotyczy to kąpieli, dodawania czy łacińskich słówek... Nabierasz wprawy.

- Bo odwracasz jego uwagę, a to bardzo pomaga. Czy ktoś ci mówi, co masz robić? - spytała, nie patrząc na niego.

Pojawił się w kuchni przed godziną i od tamtej pory wydawał się zamyślony, ale zachowywał się z nienaganną uprzejmością. Był grzeczny, lecz zaabsorbowany innymi sprawami.

- W tej chwili burza śnieżna rządzi moimi poczynaniami. Przez nią nie dotrę dzisiaj do rodzinnej posiadłości.

Nic nie mogła na to poradzić. Uśmiechnęła się do niego, nawet nie kryjąc ulgi i zadowolenia.

- Miałam nadzieję, że dojdiesz do takiego wniosku. Najpierw uniósł jeden kącik ust, potem drugi, aż na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Nie miałaś zamiaru strofować mnie ani zmuszać do wyjazdu. Zrobiłaś mi wspaniałe śniadanie, a potem pozwoliłaś, żeby pan Kit zniewolił mnie swoimi sztuczkami. - Uśmiech zgasł. - Nie powinnaś zostawać z nim sama przy takiej pogodzie. A gdybyś potrzebowała lekarza? Albo oparzyła się w rękę?

- Zamartwianie się niczego nie daje - zacytowała słowa matki, w dodatku, ku swojemu przerażeniu, dokładnie takim tonem jak jej księżęca mość. Posadziła Kita na stole i zaczęła go ubierać. Vim zajął się sprzątaniami po kąpielach, rozwieszając mokre ręczniki na gwoździach wystających z krokwi nad piecem.

- A ty nie zamartwiałaś się za każdym razem, kiedy Kit budził cię w środku nocy?

- Skąd wiesz, że mnie budził?

Rzucił jej wymowne spojrzenie z drugiego końca kuchni, przerywając na chwilę rozwieszanie ręczników.

- Masz ładny głos, Sophie.

Ten komplement wywołał rumieńce na jej policzkach, chociaż uważała, że to zupełnie bez sensu. Niejeden raz przyjmowała komplementy na temat swojej sukni, klaczy lub haftów, ale głos nie był rzeczą, którą zakupiła bądź wykonała, tylko częścią jej samej.

- Moja matka uznała, że wszyscy powinniśmy grać na jakimś instrumencie - powiedziała. - Uczyłam się grać na pianinie, ale mój brat jest w tym taki dobry, że wołałam, by od czasu do czasu mi akompaniował. Wszyscy w rodzinie lubią śpiewać oprócz mojego ojca. On jeden zupełnie nie ma słuchu.

Sophie otuliła dziecko szczelnie kocykiem, a potem przyglądała się, jak Vim kończy sprzątanie, nie mogąc oderwać wzroku od napinających się mięśni jego rąk.

- Co pana czeka w domu, panie Charpentier?

- Dlaczego pytasz? - Powiesił ostatni ręcznik na haczyku i podszedł do stołu. - Czy ta woda będzie jeszcze używana, czy mam ją wylać?

- Możesz ją wylać w pralni. Wygląda na to, że wykręcasz się od odpowiedzi.

Przelotne spojrzenie Vima utwierdziło Sophie w przekonaniu, że ma rację. Uniki i wykręty nie były jego mocną stroną - co akurat musiała uznać za zaletę - więc była już pewna, że wcale nie uśmiecha mu się podróż do Kentu. I to do tego stopnia, że nawet nie chciał o tym rozmawiać.

Po chwili wrócił do kuchni, opuszczając rękawy koszuli. Sophie, z upodobaniem większym niżby należało, przyglądała się tej prozaicznej czynności.

- Jeśli chcesz się zdrzemnąć, Sophie, to mogę popilnować jego wysokości.

Wspaniałomyślna oferta, która odwróciła jej uwagę, zwłaszcza od tematu podróży do domu. Ponieważ nie dopytywał się, jaki ma status w tej rezydencji, uznała, że ona również nie będzie wtrącać się w nie swoje sprawy. Przynajmniej na razie.

- Miałam nadzieję, że popilnujesz dziecka przez jakiś czas. Ale nie będę spać. Chciałabym sprawdzić, co dzieje się u Higgin-sa i Merriweathera, zanieść im bułeczki cynamonowe i masło, przynieść mleko i jajka.

Westchnął ciężko, a Sophie przygotowała się na kazanie.

- Czy sprawdzałaś przez okno, jaka jest pogoda, Sophie Windham?

- Tak.

- To chyba zdajesz sobie sprawę, że spadło ponad pół metra śniegu i że wciąż go przybywa?

- Oczywiście, że tak. Spodziewam się, że Higgins i Merri-weather odśnieżyli ścieżki między domem a stajnią. Powinam im za to podziękować.

Podniosła Kita ze stołu i posadziła sobie na biodrze. W czasie takiej dyskusji trzeba się wykazać cierpliwością i determinacją.

Vim zrobił dwa kroki w jej stronę i stanął tak blisko, że była zmuszona unieść podbródek, aby spojrzeć mu w oczy.

- Nie zamierzasz ustępować. Jaki jest prawdziwy powód, Sophie?

- A jaki jest twój prawdziwy powód? Dlaczego nie chcesz jechać do domu?

Pytanie padło, nim zdążyła pomyśleć, że zachowuje się niegrzecznie. Ale miał całkowitą rację. Nic jej nie powstrzyma przed pójściem do stajni.

- To nie jest dom. - Zaciśnął usta w cienką linię, a oczy przybrały posepny wyraz. - Jeśli pozwolisz mi odśnieżyć drogę, to będę wam towarzyszył do stajni. Owiniemy Kita ciepło. Zmiana scenerii na pewno mu się spodoba.

Pomyślała w pierwszej chwili, że jest to typowo męska taktyka, która ma sprawić, aby została w domu z poczuciem winy i troski o dziecko. Jednak marsowa mina Vima zadawała kłam tej teorii.

- Jesteś pewien, że wyjście na dwór mu nie zaszkodzi?

- Nie bardziej niż mnie.

Odwrócił się i ruszył w stronę korytarza na tyłach domu. Uznała, że lepiej będzie pozostać w kuchni, aby nie wywoływać kolejnej sprzeczki.

Czuła jednak, że chociaż nie rozmawiali w sposób tak uprzejmy jak do tej pory, to zachowali się wobec siebie uczciwie. I to jej odpowiadało.

Vim zasłyszał kiedyś pewną opowieść o zwyczajach tubylców z północnych krańców Kanady. Podobno w tamtych stronach istniał obyczaj nakazujący wypożyczenie gościowi własnej żony do intymnych czynności. Poza tym przyjaciele mieli wymieniać się żonami w tych samych celach.

Vim starannie odgarniał zasypaną ścieżkę, zastanawiając się, czy w rejonach, gdzie panują srogie zimy, ludzie nie poprawiają sobie nastroju łózkowymi igraszkami, które pewnie stają się wówczas jeszcze bardziej kuszące niż zwykle.

A przecież do tej pory był w stanie panować nad popędem. Do momentu, gdy podjął decyzję, że należy pomóc Sophie Windham i niemowlakowi.

Nie powinien był ulegać w nocy cielesnym pokusom, ale ostatnio rzadko mu się to zdarzało, a poza tym mężczyzna nie lubi przyznawać się sam przed sobą, że może w tym być coś niepokojącego. Wyrzucił tę myśl z głowy tak energicznie, jak usunął kolejną stertę śniegu ze ścieżki.

Przybywało mu lat i nie chciał, na Boga, spędzać świąt w Sidling.

Ta perspektywa przygnębiała go tak bardzo, że w mgnieniu oka odgarnął resztę śniegu i dotarł do okolic stajni, oczyszczonych już wcześniej przez stajennych. Wysiłek fizyczny dobrze mu robił, pozwalał zapomnieć o innej formie aktywności, którą nieustannie podsuwała mu wyobraźnia. Wizja nagich ciał w ciepłym łóżku zniknęła wraz ze śniegiem.

Gdyby dłużej się nad tym zastanawiał, w mgnieniu oka byłby w stanie odśnieżyć drogę do Kentu. W końcu jednak odstawił łopatę i zmusił się do tego, żeby wrócić do domu.

- Jesteśmy gotowi! - zawołała Sophie z kuchni melodyjnym głosem, a po sekundzie stanęła w drzwiach, trzymając w ręku mocno zwinięty kocyk, spod którego w ogóle nie było widać dziecka.

- Wezmę Kita.

Vim wyciągnął ręce, a Sophie podała mu tobołek bez słowa protestu.

- Dziękuję. Wezmę tylko bułeczki i możemy ruszać. Zniknęła w kuchni, a do Vima dotarło, że ona również może

się czuć uwięziona w tym domu. To odkrycie nieco poprawiło mu nastrój. Pomyślał, że robi dobry uczynek, pomagając jej dotrzeć do stajni.

Z tobołka wydobyło się słodkie gruchanie.

- To zima. - Vim odgarnął rąbek kocyka, aby odsłonić niebieskie oczy dziecka. - A w zimie jest zimno, ale w Anglii nazywamy to świeżym powietrzem. Powtórz, proszę. Świeże powietrze.

- Guuu...

- Prawdę mówiąc, ja też jej nie lubię, ale w domu dostaniesz miskę parującej owsianki, jeśli przez następnych piętnaście minut będziesz miał czystą pieluszkę.

- Baa!

Vim uśmiechał się do dziecka, kiedy Sophie wyłoniła się z kuchni. Jej wzrok powędrował od Vima do Kita i z powrotem.

- Macie jakąś tajną naradę. Co to za spisek?

- Knujemy napad na spiżarnię. Czy możemy stawić czoło żywiolom?

- Oczywiście.

Owinęła szalem głowę i szyję i ruszyła za Vimem na dwór. Stała chwilę na werandzie, wydychając chmurę pary, a jej policzki zaróżowiły się od mrozu. Vim pomyślał, że jeszcze sekunda, a odda jej dziecko i runie twarzą w śnieg dla otrzeźwienia. Tak bardzo chciał ją pocałować.

Devlin St. Just, lord pułkownik Rosecroft, oparł stopę w pończosze o podniszczony stolik i pociągnął łyk cudownego rumowego ponczu, przysłuchując się sprzeczce młodszych braci. Ta kłótnia była balsamem dla jego duszy - spośród braci pozostali mu już tylko ci dwaj, miło ich było obserwować.

- Uważam, że powinniśmy poczekać jeszcze jeden dzień.

Westhaven zaczynał przemawiać z książęcą manierą, co wydawało się zrozumiałe, jednak wobec najmłodszego brata było raczej chybioną taktyką.

- A ja uważam, że gadasz bzdury - odparł lord Valentine z wy-kalkulowaną rezerwą, która wprawiała brata w jeszcze większą irytację. - Nie ma aż tyle śniegu. Tkwimy tu niepotrzebnie od wczoraj i co? Spadło kilka płatków i wiszą ciemne chmury. Przecież chodzi o Sophie. Czy naprawdę muszę ci o tym przypominać?

- Sophie. - Westhaven podniósł się z fotela i zaczął chodzić po saloniku gospody, naśladując z powodzeniem ich ojca, księcia Morland. - Sophie, czyli wzór uczciwości. Radość i duma rodziców. Wcielenie rozsądku. Sophie, której imię oznacza mądrość. Nie czeka na nas przywiązana do drzewa w jakiejś zaspie śniegu,

zbyt przemarznięta, by wzywać pomocy. Siedzi sobie wygodnie w salonie lady Chattel, zajadając czekoladę i marcepan.

St. Just upił kolejny łyk ponczu i rzucił Valowi spojrzenie mówiące, że czas ostudzić zapędy brata. Westhaven był zatroskany. I dlatego zalecał rozsądek w sytuacji, gdy nie było to wcale konieczne. Jako dziedzic książęcego tytułu wyniósł sztukę okazywania troski do najwyższego poziomu i rodzeństwo go za to uwielbiało. W większości.

- Sophie jest rozsądna - stwierdził Val, nadal udając znudzenie. - Jest na tyle rozsądna, że nie daje się przyłapać, kiedy odwiedza dziewczęta w burdelach na East Endzie. Rozsądek każe jej też przygarniać zbłąkane zwierzęta, które wysusiały się pod domem, a bezdomnym włóczęgom dawać pracę w stajni. Jest na tyle rozsądna, że dzierga koronki i haftuje poduszki, a jednocześnie wydaje kieszonkowe na wspieranie walki o prawa kobiet. Podobno w Londynie szaleje prawdziwa śnieżycy, więc nalegam, abyśmy niezwłocznie kontynuowali podróż.

St. Just włączył się do rozmowy, gdyż niewiele brakowało, a zaczęliby krzyczeć, jak to często bywało.

- Napijcie się ponczu. Jest doskonale doprawiony i uspokaja nerwy. Trzeba uczcić to braterskie spotkanie.

Westhaven usiadł na swoim miejscu, przeczesując dłonią ciem-nokasztanowe włosy. Wszyscy trzej byli wysokimi mężczyznami o zielonych oczach, ale St. Just i Val mieli ciemniejsze włosy. To Westhaven, kierując się właściwym sobie rozsądkiem, podsunął pomysł, aby spotkali się w Cambridge, gdzie miał wykłady. Val wyceniał akurat stare klawesyny w Peterboroughu, a St. Just był w drodze z Yorkshire na południe. Bracia otrzymali serdeczne zaproszenie od jej książęcej mości, aby spędzili święta w rezydencji w hrabstwie Kent, a to równało się niemal wezwaniu.

Gdyby to było zaproszenie od jego książęcej mości, można by je zignorować. Książę najwyżej sformułowałby swoje życzenie bardziej dobitnie lub nawet dostarczył list osobiście. Jednak zaproszenia od księżnej nie sposób było zlekceważyć, nie narażając drogiej matki na rozczarowanie.

Val i Westhaven sprzeciali się z powodu siostry, która mimo iż skończyła dwadzieścia siedem lat, przysporzyła jak dotąd najmniejszych rozczarowań ich książęcym gościom. Sophie różniła się od reszty rodzeństwa. Nie karcono jej regularnie, gdyż po prostu nie było ku temu powodów. Ale St. Just wiedział, że Sophie jest dla rodziców zagadką, a tego rodzaju odczucie może być niekiedy bardziej bolesne niż zwykłe rozczarowanie.

St. Just starał się zachować obojętny wyraz twarzy, tak jak to czynił przy podpitych generałach, którzy wyklócali się o swoje idiotyczne plany, nie dostrzegając najprostszego i najbardziej oczywistego rozwiązania.

- Valentine, nalegasz, aby przyspieszyć podróż, częściowo dlatego, że martwisz się domowymi sprawami. - St. Just podał najmłodszemu bratu parujący kubek, spojrzeniem nakazując mu milczenie. - Z kolei ty, Westhaven, obawiasz się, że Sophie poczuje się urażona, jeśli zabierzemy ją z miasta, zwłaszcza że wiemy, iż doskonale sobie poradzi w każdej sytuacji, a już na pewno zadba o pozory.

Podał kubek Westhavenowi, a ponieważ ten był człowiekiem o innej pozycji i wrażliwości, poprosił go spojrzeniem, by spokojnie wysłuchał jego argumentów.

Jednak Val nie miał zwyczaju słuchać czyichś poleceń.

- Świeżo poślubiona żona to nie jest jakaś tam sprawa. Ona jest teraz moją rodziną. Ich książęce goście od trzydziestu lat spędzają z nami święta, a to są moje pierwsze...

Westhaven westchnął, wypił łyżeczek ponczu i obrzucił spojrzeniem Vala.

- Z biegiem lat wcale nie jest łatwiej. Zawsze będziesz się martwić, zwłaszcza gdy na świat przyjdą dzieci.

Val przekrzywił głowę, jakby przypomniał sobie, że brat jest również jego przyjacielem.

- Co do tej kwestii... - Val uśmiechnął się do kubka z ponczem. Młodszy brat potrafił rozmiękczać serca uśmiechem, jeśli się postarał, ale ten wyraz twarzy...

St. Just uniósł kubek.

- W takim razie gratulacje! Jak się czuje Ellen?

- Wygląda kwitnąco i czuje się doskonale, ale ja jestem strzępem człowieka. Zdaje się, że kiedy wyjeżdżałem do Peterborough, zegnała mnie z pewną ulgą.

Westhaven wpatrywał się posepnie w poncz.

- Anna już się nie bawi w takie subtelności. Każe mi wsiadać na konia i nie wracać, dopóki nie zmęczone jego i siebie. Ale wita mnie potem z radością. Nieukrywaną.

Dla Westhavena takie wyznanie było niczym odśpiewanie sprośnej piosenki w tłumie ludzi. St Just oparł kubek na brzuchu.

- Emmie twierdzi, że mam naturę starego żołnierza i robię się niespokojny, gdy zbyt długo przebywam w jednej kwaterze. Winnie natomiast mówi, że muszę wyruszyć na patrol. Ale powroty są zawsze przyjemne. Masz rację.

Val w zamyśleniu wypił kolejny łyk ponczu, a potem przeszył St. Justa spojrzeniem.

- Nic nie wiem na temat powrotów, ale mam zamiar wkrótce się tego dowiedzieć. Dev, tylko ty jeden z nas wiesz, jak zapanować nad maszerującą armią. Zresztą ja nie jestem w nastroju do podejmowania decyzji. Najchętniej wróciłbym do Oksfordu, i to zaraz.

- Odradzam - odparł Westhaven, nadal z posepną miną. - Żona przyjmie cię z radością, i w domu, i w łóżku, ale da ci odczuć że nie wypełniłeś polecenia. Wiesz, że nasze zony darzą sympatią jej książęcą mość, a zapewniam cię, że mają sposoby,

by wyrazić swoje...

- Rozczarowanie - dokończyli zgodnie pozostali dwaj bracia. Przez chwilę wszyscy trzej w zamyśleniu sączyli trunek,

a potem St. Just podszedł do drzwi, poprosił o następną kolejkę ponczu i wrócił do ciepłego kominka.

- No dobrze. Wydaje mi się, że chmury przesuwają się na południe i zachód, ale podróżni, którzy udają się na północ i wschód, przestrzegają, że z burzami śnieżnymi nie ma żartów. Oto moja propozycja...

Lord Val i lord Westhaven wysłuchali uważnie brata i zgodzili się z jego zdaniem. Grog przyjemnie rozgrzewał, rada St Justa wydawała się dobra, a Sophie była przecież najrozsądniejszą ze wszystkich sióstr.

3

To nie była zwykła stajnia, tylko prawdziwa menażeria

Sophie poszła przedstawić Kitowi Goliata, a Vim przeczesał wzrokiem wnętrze pomieszczenia. Wyglądało na to, że z nieznanym mu powodów panna Sophie cieszyła się w tym domostwie nadzwyczajnymi względami. Wygospodarowała w stajni miejsce dla niedużej łaciatej mlecznej krowy bez jednego rogu, drugiego koma pociągowego, który wydawał się ślepy na jedno oko, i dla małego kota, który w ogóle nie miał oka, części ucha i przedniej łapy. Vim był święcie przekonany, że gdyby obszedł resztę książęcej stajni, to natrafiłby pewnie na kolejne przybłądy i znaleźiska, które przygarnęła pod ten dach.

- Kit polubił Goliata - stwierdziła Sophie, gładząc drobnymi paluszkami dziecka ogromny nos konia. - Ale przecież nie da się nie lubić mojego skarbeczka, prawda?

Pochyliła się i pocałowała pysk zwierzęcia, głośno przy tym cmokając, co wprawiło dziecko w żywiołowy entuzjazm. Kit wyciągnął piąstkę w stronę końskiego nosa, ale Sophie wyprostowała się, nie dopuszczając do kontaktu dziecka ze zwierzęciem.

- Musisz poznać malutkiego Sampsona. To mój drugi skarbeczek.

Ruszyła wzdłuż boksów, a Higgins podszedł do Vima, powłócząc nogami. Siegał Charpentierowi ledwie do łokcia.

- Szybko nie wyjdzie. Cacka się z tymi przybłądami.

- Skąd je bierze?

Higgins podciągnął spodnie i zmarszczył brwi.

- Kto to wie? Sampsona znalazła w kuźni, jak go chcieli oślepić do pracy we młynie. Pułkownik jej tłumaczył, że koń bez jednego oka to gorzej niż ślepy, ale panna Sophie nie słuchała.

- Taki ogromny koń mógłby bez trudu obracać kołem w młynie.

- Ale nie z jednym okiem. Dostałby kręćka w kieracie.

- Kto to jest pułkownik?

- Jej starszy brat. Dobry człowiek, jeździ na koniu. Był w Hiszpanii i pod Waterloo.

Sophie rozczułała się nad drugim koniem podobnie jak nad Goliatem. Trzymała dziecko po stronie tego oka, na które widział, i przemawiała łagodnie do konia i dziecka.

- Dlaczego nazwała kota Elizabeth, skoro to samiec?

To nie było zbyt mądre pytanie, ale Vim był bardzo ciekaw.

- Trzeba ją spytać. Francuskie bzdury.

A zatem знаła francuski i miała brata w randze pułkownika - i jedno, i drugie nie było łatwe do osiągnięcia i wymagało sporych nakładów finansowych.

- Panie Charpentier?

Vim spojrzał na małego człowieczka.

- Tak, panie Higgins?

- Panna Sophie przygarnęła tego dzieciaka. Nie wiem, jak sobie poradzi, bo nie ma własnych dzieci.

Aha, krasnal ze stajni zamierzał wygłosić kazanie. A zatem Sophie nie musiała sama się tym zajmować, miała do tego ludzi.

- Całkiem dobrze sobie radzi, a poza tym jest bardzo rozsądną osobą.

- O tak, tak, Bóg mi świadkiem, ma zdrowy rozsądek. - Higgins jeszcze bardziej ściągnął brwi. - Na ogół... na ogół...

- Wyduś to z siebie, Higgins. Panna Sophie będzie się jeszcze rozczułać nad tym mokrym kotem, a potem zajmie się tobą. Zmusi cię, żebyś zjadł wszystkie bułeczki, a potem nakaże, byś nie przemęczał się odśnieżaniem, i tak dalej.

- Chcę tylko powiedzieć, że jej rodzina bardzo o nią dba. To by była wielka obraza, gdyby jakaś przykrość spotkała naszą pannę Sophie.

- Ja też bardzo dbam o tę damę, Higgins. Dla jej dobra wolałbym marznąć w jakimś zajeździe przy rozcieńczonym piwie i grać w karty, od czasu do czasu odwiedzając śmierdzący i zimny wychodek.

- A zatem niedługo ruszy pan w drogę, proszę pana? Nie chce pan, aby rodzina dziewczyny pomyślała coś złego, prawda?

W kaprawych niebieskich oczach stajennego Vim odczytał ostrzeżenie, że każda próba sprzeczenia się ze staruszką mogłaby źle się skończyć.

- Nie strosz piórek, Higgins. Zostałem tu na wyraźne życzenie tej damy, która prosiła mnie, abym pokazała jej, jak ma się opiekować niemowlęciem. Jeśli potrafisz sam jej w tym pomóc, to proszę bardzo. Mam zamiar wyjechać, gdy tylko pozwoli na to pogoda, najlepiej jutro o świcie.

I rzeczywiście chciał jechać. Nie cieszyła go jednak wizja przedzierania się przez śnieżycę w pocztowym dylizansie. Wiele godzin w zimnym, trzęsącym się na wybojach pojeździe, w towarzystwie zakatarzonych podróżnych...

Jego wzrok spoczął na Sophie. Ukucnęła w przejściu i prowadziła konwersację z żalonym kotem i dzieckiem.

- Pobrudzi sobie suknię.

Powiedział to na głos, chociaż nie zamierzał. Uprzytomnił to sobie dopiero, słysząc ciche parsknięcie Higginsa.

- I nic jej to nie obchodzi. To bystry dzieciak, ten Kit. I dobrze na tym wyjdzie.

- Nie masz dobrego zdania o jego matce?

Na litość boską, przecież ta dziewczyna miała tylko szesnaście lat.

- Złapała w sidła Harry'ego. I nie myślała o skutkach. Ich książęce mości wyrzuciły tego typka, ale dały mu referencje, rozumie to pan? No to przychodził tu po kryjomu, spotykał się z Joleen i szeptał jej do ucha. Ostatnio gadali, że miał popłynąć do Bostonu.

Higgins chciał przez to powiedzieć, że dziewczyna w ciąży nie stwarzała już żadnego ryzyka, a obrotny i pozbawiony skrupułów młodzian wykorzystywał ją dla własnej przyjemności.

- Kręcił się tu w zeszłym tygodniu, a ta mała czekała na niego w ogrodzie. Mogła zamarznąć na kość. Uciekła do swojego Harry'ego, a Kita zostawiła na łasce losu.

- Ów los okazał się całkiem niezły. Przypuszczam, że dziecko nie znalazłoby nigdzie lepszej opieki niż tutaj.

- Bo panna Sophie ma miękkie serce. Jej rodzina myśli, że jest rozsądna, ale ona jest taka jak Westhaven. Ktoś w rodzinie musi być rozsądny, to co mają zrobić? Ale wcale tacy nie są.

Vim próbował dopowiedzieć to, co pozostało w domyśle.

- Chodzi ci o to, że czasami ktoś zachowuje się rozsądnie przez wzgląd na swoją rodzinę, a nie dlatego, że leży to w jego charakterze.

Vim wiedział, że mógłby łatwo potwierdzić prawdziwość tej opinii.

Higgins skinął głową.

- Trafił pan w sedno. Więc wyjeżdża pan rano?

- Choćby się paliło. Taki mam zamiar.

Sophie uśmiechała się do dziecka, które miętosiło koci nos.

Vim sądził, że kot da mu nauczkę, którą malec popamięta na długo, ale zwierzę po prostu oddaliło się z godnością, na jaką tylko pozwalały brakujące części ciała.

- Musi zapolować na myszy - powiedziała Sophie, podnosząc się z dzieckiem w ramionach.

- Jeszcze to potrafi? - zapytał Vim, odbierając od niej Kita bez słowa, jakby zaczęło mu to wchodzić w krew.

- Tylko takie małe myszki. - Sophie uśmiechnęła się do niego. - Kilka ran odniesionych w boju nie ostudzi zapału wojownika.

Wsunęła dłoń pod jego ramię i ruszyli w stronę wyjścia.

- Dlaczego obdarzyłaś wielkie czarne kocisko kobiecym imieniem?

- Nie nazwałam go Elizabeth. Tylko Bête Noir, co znaczy „czarna bestia”. Merriweather zaczął na niego wołać Betty Knorr, tak się podobno nazywa jakaś aktorka, ale to było zbyt oficjalne jak dla zwierzęcia, więc w końcu zostało Elizabeth. I reaguje na to imię.

Vim powstrzymał uśmiech, ponieważ Sophie podczas całego wywodu zachowała poważny wyraz twarzy.

- I to jest najważniejsze. Ze reaguje na imię. Koty nie muszą rozumieć po francusku.

- To niemądre.

Zatrzymała się z zakłopotaniem przy ogrodowej bramie. Vim również przystanął, przytulając dziecko do piersi. Starał się domyślić, co Sophie chciałyby teraz usłyszeć.

- Dla kota to nie jest niemądre, Sophie. Twoja dobroć i troska decydują o jego życiu i śmierci.

- Ale to tylko kot - odparła, lecz wydawała się zadowolona ze słów Vima.

- A Kit jest tylko dzieckiem. Chodźmy. - Wziął ją za rękę. - Kit wyszedł na spacer i ty też się przewietrzyłaś. Miałem nadzieję, że śnieg przestanie padać, ale sypie chyba jeszcze mocniej.

Nie cofnęła dłoni i pozwoliła się zaprowadzić do ciepłej i przytulnej kuchni. Ponieważ w grudniu szybko zapada zmrok, czas poświęcony na kąpiel dziecka, odśnieżenie ścieżki i wycieczkę do stajni pochłonął niemal połowę dnia.

Vim przyglądał się, jak Sophie rozbiera opatulone dziecko, i doszedł do wniosku, że ta wyprawa była dobrym pomysłem. Jutro o tej porze będzie już po drugiej stronie rzeki, w drodze do Kentu, tak jak obiecał Higginsowi.

Nie chciała, aby Vim oglądał zbiorowisko odmieńców, którym udzieliła schronienia w książęcej stajni. Nie wstydziła się tych stworzeń, ale czuła się za nie odpowiedzialna. Z każdego zwierzęcia był jakiś pożytek, oczywiście na miarę jego możliwości, ale większość ludzi tego nie rozumiała, widząc jedynie śmieszny pokręcony koniu pociągowym, który trząsał się jak galareta na sam widok bata, albo w kocie, który polował na myszy, mając upośledzone zmysły.

Jednak Vima ich widok nie śmieszył.

Nie była w stanie ocalić każdego udęczonego zwierzęcia ani udzielić schronienia wszystkim kotom miauczącym do księżyca,

ale mogła pomóc chociaż tym kilku stworzeniom, które zrzędzeniem losu znalazły się pod jej opieką.

Vim rozebrał się z zimowego płaszcza i spojrzał na dziecko.

- Myślę, że dobrze mu zrobi popołudniowa przekąska, a potem mała drzemka.

- Chciałam po południu coś upiec - powiedziała Sophie. -Może się uda, kiedy będzie spał.

- Sama powinnaś wtedy odpocząć, Sophie Windham. Tej nocy też nie da ci spać, tak samo jak wczoraj, a jutro już ci nie pomogę, jeśli będziesz chciała się zdrzemnąć.

Spojrzał na nią z pewnym żalem, tak jakby chciał, aby przyjęła do wiadomości, że wyjazd jest nieuchronny.

- W takim razie jutro Kit i ja utniemy sobie drzemkę o tej samej porze. Rano zrobiłam mus jabłkowy. Myślisz, że będzie mu smakował, jeśli dodam go do owsianki?

Owsianka zniknęła w buzi Kita w okamgnieniu. Sophie ucieszyła się, że wpadła na pomysł, aby dodać do niej jabłka. Gdy karmiła małego, Vim okręcił chusteczką kawałek gąbki i obwiązał całość nitką, konstruuując coś w rodzaju sztucznej piersi, z której dziecko siorbało płyn aż miło. Jakby nic innego nie robiło od urodzenia.

I może tak było, chociaż Sophie nie widziała, aby ktoś oprócz Joleen karmił niemowlę, a i ona robiła to chyba niezbyt często.

- Moja kolej, żeby go ułożyć do snu - powiedział Vim. - Potrzyj go, aż mu się odbije, a ja przyniosę na dół kołyskę.

- Sądziysz, że może spać w kuchni?

- Dlaczego nie? Jest ciepło i będziesz się krzątać w pobliżu. Powinien szybko zasnąć, bo się zmęczył.

Sophie odprowadziła Vima wzrokiem. Zastanawiała się, jak sobie poradzi, gdy nie będzie mogła omówić z nim każdej najdrobniejszej kwestii dotyczącej dziecka.

Dodać jabłko do owsianki czy nie?

Wyjść z dzieckiem na dwór czy zostać w domu?

Postawić kołyskę w salonie czy w kuchni?

Gdy na dworze wyjaśniała mu, dlaczego kot nazywa się Elizabeth, dostrzegła w jego oczach życzliwość. Miała ochotę ucześcić

się tego jak ostatniej deski ratunku i błagać, by został jeszcze jeden dzień. Chciała powiedzieć uczciwie, że potrzebuje jego pomocy przy dziecku, ale wiedziała, że prawda jest inna. Tak naprawdę chciała stanąć na palcach i pocałować go w policzek.

Albo w usta. Ta druga wizja stała się tak natarczywa, że nie mogła się od niej uwolnić, podobnie jak od pragnienia, by przejechać dłońmi po jego muskularnej klatce piersiowej i poczuć pod palcami skórę.

Nie pocałowała go tylko dlatego, że przyjąłby to z właściwą sobie życzliwością. A poza tym po drugiej stronie ulicy stały inne domy, z których rozciągał się świetny widok na bramę prowadzącą do ogrodu Windhamów. Już sam fakt, że wyszła z domu pod rękę z obcym mężczyzną, mógł wystarczająco nadwereżyć jej reputację. A co dopiero całowanie się z nim w biały dzień.

- Zdaje się że śnieg wkrótce przestanie padać - zauważył Vim, wchodząc do pokoju z kołyską. - Już teraz sypie tylko od czasu do czasu, nie tak jak wczoraj.

- Chyba się przejaśni - powiedziała Sophie tonem fałszywej radości. Z trudem jej to przychodziło.

Koniec śnieżycy oznaczał, że będzie musiała nie tylko się pożegnać z Vimem Charpentierem, ale wyruszyć pod eskortą braci do Morelands i prawdopodobnie oddać Kita pod opiekę przybranych rodziców.

- Skąd ta mina, Sophie?

- Jaka mina?

Położyła dziecko w kołysce, którą Vim postawił koło kominka.

- Smutna, jakbyś straciła najlepszą przyjaciółkę.

- Pomyślałam o tym, że będę musiała oddać Kita przybranej rodzinie - odparła, mrugając, aby powstrzymać łzy, które znienacka napłynęły jej do oczu. Owinęła dziecko kocykiem, z którego natychmiast się wykopało. - Niegrzeczny chłopiec - szepnęła. - Dostaniesz kataru.

- Sophie? - Poczwała na ramieniu dużą męską dłoń. - Sophie, spójrz na mnie.

Pokręciła głową i jeszcze raz przykryła Kita kocykiem.

- Moja droga, przecież ty płaczesz - powiedział łagodnym tonem, trzymając teraz obie dłonie na jej ramionach.

Obrócił ją delikatnie do siebie i przytulił. W jego uścisku nie było ani cienia ostrożności czy niepewności. Nie proponował jej szybkiego, przelotnego pocieszenia, lecz mocno obejmował, opierając brodę na czubku jej głowy i przywierając całym dużym ciałem, aby wlać w jej serce ciepło i zapewnić o swoim wsparciu. Wywarło to jednak tylko potoki łez.

- Nie mogę go zatrzymać - zdołała wykrztusić przez zaciśnięte gardło. - Nie mogę znieść myśli, że zostanie oddany obcym ludziom... Nie mogę...

- Ciii...

Wytrzeł jej nos chusteczką o zapachu bergamotki, którą zaczęła już kojarzyć z jego osobą. Przez kilka minut Sophie starała się odzyskać równowagę, a Vim gładził dłonią jej plecy.

- Dzieci tak na nas działają - powiedział cicho. - Wyczerpują nasze siły i pociągają czułe struny. Gaworzą, cmokają, czarują bezzębnymi uśmiechami i torują sobie drogę do naszego serca. Nie ma sposobu, aby się przed tym obronić. Nikt ci nie każe natychmiast porzucać dziecka.

- Nie musi kazać. Kobieta o mojej pozycji nie może przygarnąć porzuconego dziecka... - przerwała, gdyż czuła, że w jej głosie znowu narastają histeryczne tony, a poza tym obawiała się, że tymi słowami może tylko zachęcić Vima do stawiania niewygodnych pytań.

- Kit nie jest porzucony. Jest teraz twój, ty się nim zajmujesz. Może będziesz musiała go oddać przybranej rodzinie, ale zawsze będzie twój.

Przestała zastanawiać się nad znaczeniem jego słów. Skupiła się na uczuciach, jakie w niej budził, na dotyku jego ramion, które oferowały wsparcie i bezpieczeństwo w chwili niespodziewanego załamania.

- Jesteś bardzo zmęczona. Opieka nad dzieckiem kosztuje cię dużo wysiłku, Sophie Windham. To nie jest dobry moment na

rozmyślanie o takich trudnych sprawach. W tym stanie możesz się tylko zastanawiać, co mu zrobić na kolację.

Sophie wychowała się z pięcioma braćmi i wiele razy obserwowała ojca, który tak samo komenderował synami. Dokładnie wiedziała, o co chodzi Vimowi, ale i tak dała się złapać na przynętę.

- Jabłka mu smakowały.

Tym razem wzięła od Vima chusteczkę, odsunęła się o krok i głęboko westchnęła.

- Lubi jeść - stwierdził Vim - jak każdy zdrowy chłopak. Co chciałaś dziś upiec?

To było kolejne niewinne pytanie, które miało oderwać Sophie od rozmyślań nad niepewną przyszłością Kita. I tym razem również mu na to pozwoliła.

- Chciałam zrobić keks według przepisu mojej babci. Piekę go tylko na Boże Narodzenie i bracia byliby zawiedzeni, gdyby go zabrakło.

- Mogę ci pomóc?

Była pewna, że jeszcze nigdy w życiu nikomu tego nie zaproponował i nigdy nie piekł świątecznego ciasta.

- Owszem. Jest dużo bakalii do posiekania. Lubisz daktyle? Rozmawiali o świątecznych wypiekach i innych słodyczach,

o egzotycznych daniach, których Vim miał okazję spróbować w podróży. Sophie starła mąkę z policzka Vima, gdy ten zaczął zagniatać ciasto, bezwstydnie podjadając przy okazji bakalie. Chciała go za to zganić, ale gdy tylko otworzyła buzię, włożył do niej połowę daktyla w cukrze, a kiedy odzyskała mowę, wetknął jej w usta drugą część owocu.

Dziecko spało spokojnie w kołysce, nie słysząc śmiechu i przekomarzania dorosłych.

- To dziwne.

Percival Windham złożył egzemplarz „Timesa”, którego lekturą umiłował sobie popołudniową herbatkę, i spojrzął na księżną.

- Co cię dziwi, moja kochana? Podał jej filiżankę z herbatą.

- Murial Chattell napisała, że wyruszyli do Surrey, zanim w Londynie rozszalała się śnieżycą, ale z powodu pogody jej córka zaczęła przedwcześnie rodzić.

- To pojechała z wizytą do tej drugiej? Stary Chattell będzie o tym opowiadał w klubie aż do Wielkanocy.

Kobieta, która była jego małżonką od ponad trzydziestu lat, rzuciła mu rozbawione, pobłażliwe spojrzenie, świadczące o tym, że umie czytać w myślach męża jak w otwartej księdze.

- Nie zamartwiaj się, drogi mężu. Devlin i Valentine pracują nad tym, że się tak wyrażę. Wkrótce będziemy mieli więcej wnucząt.

Emmie i Ellen były czarującymi kobietami, z pewnością ich mężowie starali się ze wszystkich sił. Księżna jak zwykle trafiła w sedno.

Księżę dopiero z pewnym opóźnieniem pojął cały sens wypowiedzi żony.

- Sophie miała przecież przebywać w towarzystwie ich średniej córki, czyż nie?

Księżna z niezmaconym spokojem wypła łyk herbaty. Z udawanym spokojem.

- Takie miała plany.

- Moim zdaniem ta dziewczyna jest zbyt podobna do matki.

- Tak?

W tej jednej sylabie kryło się bogactwo znaczeń, jakie potrafi wyrazić tylko zameżna kobieta.

- Ty działasz subtelnie, moja kochana. Gdybym był bardziej zuchwały, to powiedziałbym nawet, że jesteś przebiegła, gdy chcesz osiągnąć cel. Zgodziłaś się, aby Sophie została w Londynie z przyjaciółkami, bo wiesz, że Chattelowie mają synów, którzy nie grzeszą inteligencją i których Sophie mogłaby sobie owinać wokół palca, gdyby tylko miała na to ochotę.

- Ale Sophie nie bawi u Chattellów, Percy. - Jej książęca wysokość nieznacznie zmarszczyła brwi. Gdyby nie fakt, że siedzieli w prywatnym gabinecie jego wysokości, nie pozwoliłaby sobie nawet na ten drobny grymas. - Muriel wspomina, że w powozie,

w którym jechała z dwoma młodszymi dziewczynkami ubranymi w wyszukane zimowe stroje, nie było już ani odrobiny miejsca. I w kółko opowiada o tym, jak trudno jest podróżować przy takiej okropnej pogodzie. Nie wspomina o Sophie.

Księżę uwielbiał intrygi niezbędne do zrealizowania wielu parlamentarnych działań. Cieszył go fakt, że może doradzać regentowi w sprawach związanych z polityką wewnętrzną i zagraniczną w tych rzadkich momentach, gdy ów ocieżyła osobnik raczył go słuchać. Ale najbardziej ze wszystkiego księżę lubił towarzystwo wnucząt, a za największą radość życia uważał swoje małżeństwo.

Bycie ojcem natomiast nie zawsze sprawiało mu przyjemność, zwłaszcza pomnożone razy dziesięć. A za najtrudniejszy aspekt tego zadania uznawał wychowywanie pięciu córek, z których żadna nie wyszła jeszcze za mąż, choć wszystkie były już w odpowiednim wieku.

- Gdyby Sophie była chłopcem, nie musiałbym się martwić -zauważył.

- Ależ nic podobnego.

Pochowali dwóch dorosłych synów. I też się o nich martwili. Zawsze będą się martwić.

- Czy mam pojechać do Londynu, moja kochana? Ludzie zawsze przesadzają z pogodą. Na pewno nie jest tak źle. Skoro tutaj spadło tylko kilkanaście centymetrów śniegu, to na pewno drogi są przejezdne.

- Nie, nie będziesz jechał do Londynu - odparła księżna tonem lekkiej przygany. - Mamy trzech dorosłych i zaradnych synów, którzy właśnie jadą po Sophie. Jeśli wplątała się w coś niestosownego, to lepiej, żeby bracia załatwili tę sprawę, a nie rodzice.

- Jesteś pewna?

W ostatnich miesiącach relacje między księżną a synami bardzo się zmieniły, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy trzej byli już żonaci. Jeśli powierzyła chłopcom misję przywiezienia Sophie do Kentu, to znaczy, że naprawdę była o nią spokojna.

- Percivalu Windham, chcesz wyruszyć do Londynu w taką pogodę, kiedy śnieżycy o niemal biblijnej sile zmierza na pół-

nocny zachód? A ja co? Mam tu siedzieć i martwić się nie tylko o czworo naszych dzieci, ale jeszcze o ciebie na dokładkę? W żadnym wypadku!

- Chciałem się tylko upewnić, moja kochana. Napijesz się jeszcze herbaty?

Uśmiechnęła się do niego, wdzięczna, że pomógł jej podjąć decyzję. Książę uważał, że jeśli Sophie wplątała się w jakiś romans, to był już na to najwyższy czas, potrzeba było do tego odpowiedniego kandydata. Sophie traciła czas i młodość, a powinna zakreślić się wokół przystojnego amanta, który pomógłby jej obdarzyć drogich rodziców pulchnym, rozkosznym... Pokój dziecięcy za długo świeci pustkami.

Jego wysokość wziął gazetę i zaczął przeglądać dział finansowy. Nawet nie próbował czytać, gdyż zgłębianie tych informacji odniosłoby podobny skutek jak wypicie nalewki z maku. Jednak była to dobra wymówka, by swobodnie zastanowić się, który ze znanych młodzieńców zasługiwał na to, by powierzyć mu najrozsądniejszą z córek. Jeśli w ogóle którykolwiek był tego godzien.

Vim trzymał Sophie w ramionach tylko kilka minut, ale to wystarczyło, aby upośledzić najistotniejsze funkcje męskiego mózgu. I to poważnie upośledzić. Czuł się tak, jakby jakaś jego część była od dłuższego czasu pogrążona w bolesnej tęsknocie, ale uświadomił sobie ten przykry fakt dopiero w momencie, gdy wziął w ramiona właśnie tę kobietę.

I od tej chwili nie był w stanie skupić się na niczym innym. Po pierwsze, lubił ją i to był podstawowy problem albo jego część. Po drugie, pożądał jej, co nie miało najmniejszego sensu. Oczywiście, każdy zdrowy mężczyzna w jego sytuacji pożądałby tak atrakcyjnej kobiety, jaką była Sophie, ale wiedział, że tym razem chodzi o coś więcej.

Vim miał wiele kochanek, które z radością odpowiadały na jego względy. Ale cielesne igraszki pozostawały tylko... igraszkami. Wystarczyło mrugnięcie okiem, uśmiech i obie strony wiedziały,

do czego zmierzają. Celem było tylko i wyłącznie zaspokojenie chwilowego popędu.

Sophie nie należała do tego gatunku kobiet, z którymi się figluje. Mężczyzna mógłby poświęcić całe lata, zanim nauczyłyby się, jak ją wielbić.

- Możesz to teraz włożyć do ciasta.

Dyrygowała drewnianą łyżką, jakby chciała przypomnieć Vimowi, że podczas drzemki dziecka mieli wykonać pożyteczną pracę, a nie oddawać się wybujałym fantazjom. Podniósł deskę z posiekanymi daktylami i wrzucił je do miski z bladym ciastem.

Pieczenie mogło doprowadzić zdrowego i lekko pobudzonego mężczyznę do utraty zmysłów. Sophie kazała mu wrzucać różne składniki do misek, stojąc tak blisko niego, że ich ramiona, ciała i dłonie nieustannie się o siebie ocierały. Poprosiła go, żeby spróbował ciasta, i nim zdążył zaprotestować czy się odsunąć, wsadziła mu do ust pełną łyżkę słodkości.

Podczas pracy próbowała go delikatnie wypytywać o różne sprawy. Pozwalał jej na to tylko dlatego, że rozmowa odciągała jego myśli od doznań zupełnie innej natury. Gdy sięgając po cynamon, przycisnęła miękkie, pełne piersi do jego ramienia, z trudem nad sobą zapanował.

- Czy podczas tych dalekich podróży nie tęskniłeś za rodziną? Odebrał z rąk Sophie puszkę z cynamonem, muskając przy tym jej palce.

- To moje przyrodnie rodzeństwo, ale wychowywaliśmy się razem. Tęskniłem za nimi, ale w pewnym sensie nie chciałem też narzucać swojej obecności. Posiadłość w Kumbrii należy do nich, a nie do mnie.

Przerwała na chwilę mieszanie ciasta i spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Mój najstarszy brat i siostra cierpią z tego samego powodu. Dotyczy to zwłaszcza Devlina, który ani przez chwilę nie potrafi zapomnieć, że jest naszym przyrodnim bratem. Łamał tym serce mojej matce. Teraz gałka muszkatołowa.

- Jak mógł złamać serce twojej matce?

Podał jej gałkę muszkatołową i ucieszył się, kiedy między ich palcami przeskoczyła iskierka. Tym razem z rozmysłem dotknął jej dłoni. Sophie na szczęście nie zareagowała oburzeniem.

- Mama kocha Devlina, ale nie jest jego prawdziwą matką, więc starała się zachować dystans, szanując jego uczucia do rodzonej matki. Odkąd Dev się ożenił, ich stosunki się poprawiły. Czy myślisz, że można przesadzić z przyprawami?

Interesujące pytanie.

- Nie wiem. Musimy posmakować.

Nie namyślając się ani chwili, Vim wziął Sophie za rękę, zanurzył jej wskazujący palec w cieście i wziął go do ust. Omiótł językiem czubek jej palca i powoli go wysunął.

- Według mnie idealnie.

Nie puścił jej dłoni, ale szybko zrozumiał, że to co zrobił, miało ewidentnie seksualny podtekst. Równie dobrze mógłby zdjąć spodnie i oddać się przyjemności własnych pieszczot, tak jak zrobił to poprzedniej nocy.

Uśmiechnęła się do niego, cofnęła dłoń i oddała mu gałkę muszkatołową.

- No to nie pozostało nic innego jak włożyć ciasto do pieca. Opowiedz mi o swoim domu.

Odwróciła się i wylała ciasto do natłuszczonej formy. Czar prysł, co przyjął z ulgą i rozczarowaniem.

Z ulgą, ponieważ potrafiła nad sobą zapanować, a to mogło dowodzić, że ma pewne doświadczenie. Skoro tak, to sprawa była czysta - jako gospodyni, dama do towarzystwa czy pokojówka pani domu, Sophie mogłaby sobie pozwolić na damsko-męskie igraszki pod warunkiem zachowania dyskrecji. I to daleko posunięte igraszki.

Z rozczarowaniem, gdyż miał ochotę natychmiast posadzić ją na twardym kuchennym stole, wejść między jej nogi i rozewrzeć je tak, aby oplotły jego biodra, wpuszczając go do gorącego wnętrza. Obserwował, jak pochyła się przy piecu, wsadzając do środka... Jak się to ciasto nazywało? Jego wyobraźnię wypełniły jeszcze bardziej lubieżne obrazy.

Zapytała go o coś. Coś o....

- Nie jestem pewien, czy mam dom. Wyprostowała się i zamknęła drzwiczki pieca.

- Gdzieś musisz mieszkać, gdy nie jesteś w podróży. Spojrzała na niego z powagą, zupełnie nieprzystającą do jego rozbieganych myśli.

- Mam posiadłości. W Surrey znajduje się uroczy majątek, w którym spędzam kilka tygodni w roku. Przypuszczam, że można go uznać za dom.

Zabrała się do sprzątanania.

- Cały czas podróżujesz?

Ruchy Sophie mówiły, że jego styl życia niezbyt jej się podoba.

- Kiedyś spędzałem część zimy u siostry w Kumbrii. Czasami zatrzymywałem się u brata, tutaj, w Londynie. Wpadam często do młodszej siostry, tam gdzie akurat jest, ale jak już wspomniałem, moje siostry wyszły za mąż i mają swoje rodziny.

Vim zdjął znad kominka kociołek z gorącą wodą i wlał połowę zawartości do miski do mycia naczyń, następnie dodał trochę zimnej wody, a Sophie zaczęła zmywać.

Stanął obok niej, próbując się domyślić, co czuje.

- W takim razie w jakim celu udajesz się do Kentu? - zapytała. - Wydajesz się dosyć uparty w tej kwestii.

Czyżby była poirytowana?

- W hrabstwie Kent znajduje się rodowa posiadłość mojego ojca. Kiedy matka powtórnie wyszła za mąż, pojechałem z nią do Kumbrii. Nie jestem pewien, czy stryjowi odpowiadało to rozwiązanie, ale nigdy się nie sprzeciwił. Może ja pozmywam, a ty będziesz wycierać?

- Nie odmówię prośbie mężczyzny, który chce pozmywać naczynia w mojej kuchni - odpowiedziała, ale bez radości.

- Opowiedz mi o swoim domu - zaproponował Vim, myjąc ściereczką miskę w ciepłej mydlanej wodzie.

- Jest piękny. Duży, ale przytulny. Zawsze będzie moim domem.

- Tęsknisz za nim?

Wzięła od niego czystą miskę, marszcząc brwi.

- Przychodzi taka chwila, kiedy dom rodzinny staje się bardziej więzieniem niż azylem, chociaż w gruncie rzeczy nie jest ani jednym, ani drugim. To po prostu miejsce, z którym wiążą się różne wspomnienia. Tylko tyle i aż tyle.

Vim zapatrzył się w wodę.

- I miejsce, które narzuca zobowiązania.

- Jakiego rodzaju?

Co go podkusiło, żeby jeszcze bardziej komplikować sprawę nieprzyjemnymi skojarzeniami?

- Mój stryj się starzeje i nie chce przyjąć na służbę nikogo nowego. Moja ciotka nigdy nie należała do praktycznych osób, a ich córki też nie są żadną pomocą.

- Martwisz się o nich?

- Oczywiście.

Musiał go zdradzić ton głosu, gdyż Sophie położyła dłoń na jego ręce.

- Dlaczego nie mówisz wszystkiego? Skoro się o nich martwisz, to na pewno ich kochasz.

- Słabo ich znam, Sophie. To moi jedyni krewni ze strony ojca, ale nigdy...

Stała tuż obok niego, a w jej zielonych oczach widział cały ocean współczucia, którego wcale od niej nie pragnął. Nie zasługiwał na współczucie, zwłaszcza z jej strony.

- Sophie... chcę cię pocałować.

Zamierzał przedstawić to jako problem do rozwiązania, drobny kłopot, który powinna wziąć pod uwagę, stając tak blisko niego. Tymczasem jego słowa zabrzmiały jak modlitwa, jak najzarliw-sze pragnienie zrodzone w głębi utrudzonego, samotnego serca, które już nie miało odwagi marzyć.

I w tym momencie dziecko krzyknęło głośno i z oburzeniem.

Sophie pragnęła znacznie więcej niż tylko pocałować Vima Charpentiera. Chciała go zjeść jak świąteczne słodycze, upajać się jego dotykiem, smakiem, zapachem, jego głosem.

To uczucie wprawiało ją w niepokój. Jakiś czas temu stało się jasne, że Sophie odrzuca wszystkie propozycje małżeństwa. Pojawiali się wtedy mężczyźni, którzy ją całowali, pieścili, obmacywali, wciągali w ciemne zakamarki i obiecywali nieprzyzwoite przyjemności. Wydawało jej się to dość intrygujące, ale nie na tyle, by zaryzykować konsekwencje.

Bogu niech będą dzięki, że dzieci płaczą w niespodziewanych momentach. Miała czas, aby odzyskać równowagę. I zastanowić się jak ma zareagować na fakt, że mężczyzna jej nie pocałował, tylko oznajmił, że chciałby to zrobić.

- Może ja spróbuję. - Vim wziął od niej małą łyżeczkę, starając się nie dotknąć jej palców. Zwrócił się do dziecka- - Jeśli nie będziesz jeść, mój mały, to dostaniesz klapsa i pójdziesz spac z pustym brzuchem. A ja zjem twoją kolację. Pyszną ciepłą owsiankę z soczystym jabłuszkiem. Który mężczyzna, zwłaszcza taki malutki jak ty, nie chciałby takiej ambrozji?

- Nie damy ci klapsa - wtrąciła Sophie. - Dopóki nie będziesz taki duży jak Vim.

Kiedy dziecko wypłuło kolejną porcję jedzenia, Vim odchylił się na krześle z zamyśloną miną.

- Chłopak nie ma nastroju do jedzenia. Spróbujemy później Pewnie zje wtedy podwójną porcję.

Próbował położyć dziecko do kołyski, ale zaczęło kopać i marudzić.

Sophie wzięła od niego małego.

- Chce się przytulić - oznajmiła z niezachwianą pewnością matki, wywołując uśmiech Vima.

Do zapadnięcia zmroku na zmianę nosili Kita, kołysali go urządzali przechadzki do okna. Kiedy Sophie wyjmowała z pieca ostatnie ciasteczka i muffinki, Vim krążył po kuchni z dzieckiem na ręku.

- Nie opowiedziałeś mi jeszcze o swojej rodzinnej posiadłości - odezwała się Sophie.

Dzięki marudnemu nastrojowi Kita nie było okazji, aby poruszyć temat zaskakującego wyznania Vima.

Wyznania dotyczącego pocałunku.

- To dość ładne miejsce - odparł Vim. - Majątek ziemski w stylu Tudorów, który ciągnie się kilometrami. Moja ciotka przykłada dużą wagę do wyglądu posiadłości, a stryj lubi łowić ryby, więc są tam dwa malownicze jeziora i kilka stawów.

- I odziedziczysz tę posiadłość?

- Na własną zgubę.

- Czy dobrze się domyślam, że masz złe wspomnienia związane z tym miejscem?

Dotknął nosem noska dziecka, co Sophie uznała za grę na zwłokę.

- Mam trochę dobrych wspomnień, trochę złych. Ojciec zmarł, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, a potem przeprowadziliśmy się do Kumbrii. Kilka razy spędzałem wakacje w hrabstwie Kent, kiedy studiowałem na uniwersytecie, ale stryj rzadko mnie zapraszał. W Kumbrii miałem młodsze rodzeństwo, które wymagało opieki, więc tam przebywałem najczęściej. Co za boski zapach.

- Zjemy, jak ostygną. Kit się chyba uspokoił.

- Spróbujemy go znowu nakarmić?

To był dobry pomysł. Sophie nawet przez chwilę nie wątpiła, że Vim uchylił tylko małego rąbka tajemnicy, ale troska o dziecko wzięła górę nad ciekawością.

Poza tym obawiała się, że jeśli będzie za bardzo naciskać, to Vim poczuje się uprawniony do zadawania pytań na temat jej sytuacji, a to nie przyniosłoby nic dobrego. Gospodyni albo innej osobie spośród służby można powiedzieć, że chce się ją pocałować, ale wobec córki księcia żaden mężczyzna nie zaryzykowałby takiej poufałości.

Na szczęście, mały jadł z wielkim apetytem tak, jak przewidywał Vim. Sophie odkroiła grube kawałki chleba dla siebie i Vima, postawiła na tacy naczynie z masłem i wszyscy troje udali się do saloniku służby.

Vim położył dziecko w gniazdku z koców. Kit był zadowolony ze zmiany otoczenia i leżał spokojnie na brzuszku albo na plecach,

nie stając na czworakach. Wolał się przyglądać, jak dorośli zajadają chleb z masłem.

- Powinam ci ugotować porządną kolację - powiedziała Sophie. - Nie wiem, jak kobiety mogą zdążyć ze wszystkim na czas, jeśli mają dużą rodzinę.

Kit gryzł palec Vima.

- Przecież pochodzisz z dużej rodziny - powiedział Vim, kierując spojrzenie na Sophie.

- Moja matka miała sztab ludzi do pomocy. Czy nie trzeba mu zmienić pieluchy?

Vim wciągnął głośno powietrze.

- Jeszcze nie. Poradzisz sobie, gdy jutro wyjadę, Sophie? Ucieszyła się, że poruszył ten temat, ale nie miała zamiaru

prosić go, by został. Mężczyźni jego pokroju nie potrafili długo usiedzieć w jednym miejscu, nie przysparzając innym cierpienia.

A nawet gdyby został dzień dłużej, to co z tego? Chociaż Vim tego nie wiedział, ciągle była lady Sophią Windham i musiała znaleźć przyzwoitych ludzi, którzy zajmą się Kitem. Tymczasem Vim nigdy nie przebywał w jednym miejscu na tyle długo, aby nazwać je domem.

- Damy sobie radę. - Zaczęła sprzątać resztki posiłku. - Moi bracia zjawią się tu za dzień lub dwa, a dwaj z nich są ojcami.

- Widzę, że jego wysokość ziewa - zmienił temat Vim. Chciał się tylko upewnić, że poradzi sobie z dzieckiem, nie

więcej. Nawet jeśli ona też miała kilka pragnień związanych z jego osobą.

- Może poczytamy mu przed snem - zaproponowała. Podeszła do regału z książkami i wzięła tomik poezji Wordswortha. W bibliotece był drugi egzemplarz, ale ten się lepiej nadawał, bo nie miał oślich uszu ani pogniecionego grzbietu od częstego czytania.

Sophie nie poczuła, że Vim stanął za jej plecami. Gdy się odwróciła, wpadła prosto na niego.

- Uwważaj! - Zacisnął dłonie na jej ramionach, ale zaraz je opuścił. - Co poczytamy?

- Poezję. Spokojne, sielankowe wiersze, idealne, by uspokoić marudzące dziecko przed snem.

- Co to za dom, Sophie, w którym służba czyta poezję.

- Przyzwoity angielski dom. Weź jego wysokość i usiądźmy na sofie.

Usiadła nieco na lewo od środka, tak że Vim mógł usiąść albo blisko niej albo tuż obok. Wziął Kita na ręce razem z kocykiem i posłusznie opadł na kanapę po lewej stronie Sophie, bardzo blisko niej, a ramię położył na oparciu.

- Ty czytaj, a my będziemy słuchać z wielką uwagą.

_ I tym sposobem wciągasz Kita do spisku, w którym uczestniczą wszyscy mężczyźni świata - mruknęła Sophie.

- Tak jakby kobiety nie miały swoich spisków.

Oparł Kita na ramieniu i zaczął gładzić go po plecach. Na ten widok Sophie otuliła fala ciepła.

- My kobiety wolimy ze sobą współpracować niż spiskować.

To zasadnicza różnica.

Wybrała wiersz na chybił trafił, nie po to, aby mieć ostatnie słowo w tym sporze, ale by odwrócić myśli od siedzącego obok mężczyzny. Vim przytulał Kita z taką czułością i troską, jakby chłopiec był jego rodzonym synem.

A nie był. Ani jego, ani jej. Nie wolno jej o tym zapominać. Sophie zamrugła i starała się odzyskać równowagę. Większość wierszy знаła na pamięć, więc gdy myśl o rozstaniu z Kitem podstępnie wkradła się do jej umysłu, książka okazała się niezbyt pomocna.

Próbowała się pozbierać, udając, że szuka innego wiersza, ale poczuła ciepły dotyk na karku.

To była dłoń Vima. Nie powiedział ani słowa. Nie poruszył się. Nadal trzymał dziecko w zagłębieniu ramienia, ale jednocześnie dotykał też Sophie. Jego kciuk zakreślał na jej szyi małe kołka, od których ciepłe dreszcze zaczęły przebiegać jej po kręgosłupie i roztopiać mózg.

- Czytaj wolniej, Sophie. Kit chyba zasypia.

Skinęła ostrożnie głową, aby nie stracić tego cudownego daru, jakim był dotyk jego dłoni. Z trudem skupiała się na

słowach, niemal pijana od doznań, jakie budziły pieszczoty Vi-ma Charpentiera.

Miała kilka pragnień dotyczących jego osoby i chciała, aby je spełnił, zanim wyjedzie. Pragnień, do których nie przyznałaby się żadna przyzwoita kobieta, życzeń, których nie miałaby śmiałości sformułować.

A jego powolne, słodkie pieszczoty właśnie do nich należały.

Zachowanie mężczyzny, który siedzi z dzieckiem na ręku, a jednocześnie pieści dłonią kark kobiety, poddając się erotycznym myślom na jej temat, wydaje się z gruntu nienormalne. Choć w gruncie rzeczy te myśli nie były czysto erotyczne.

Wywołały je proste obserwacje. Czerwone błyski ognia we włosach Sophie, pełna wdzięku linia jej policzka, piękny tembr wyszkolonego głosu, który dodawał splendoru staremu Wordsworthowi. Poezja budziła w Vimie tęsknotę za jeziorami, wśród których Wordsworth spędził większość życia. Za tymi samymi stronami, gdzie młodsze rodzeństwo Vima zjeżdżało się na święta.

W Kumbrii można oddychać pełną piersią. Mógł godzinami wałęsać się po wzgórzach, podziwiając krajobrazy, pasące się owce i malownicze niebo. Nie tęsknił wówczas za towarzystwem ludzi. Przyroda i własne myśli starczały mu za wszystko. Podczas swoich rozlicznych podróży Vim nosił w sercu obrazy Kumbrii, które niejedną raz podtrzymały go na duchu. Teraz jednak przepęłniły go szczególną tęsknotą.

Sophie zamilkła i siedziała bez ruchu.

- Zasnął - szepnął Vim, nie chcąc budzić dziecka ani zakłócać nastroju.

Sophie nie poruszyła się, więc pogłaskał ją po ciepłych, jedwabistych włosach, napawając się tym dotykiem.

Odłożyła książkę, a gdy Vim powtórzył pieszczotę, z westchnieniem oparła głowę na jego ramieniu. Siedzieli tak przez długi czas, aż ogień zgasł na kominku. Oboje rozmyślali, co mogłoby się między nimi wydarzyć, ale nigdy nie nastąpi.

Sophie obudziła się pod wpływem pieszczoty Vima, który wodził kciukiem po linii jej podbródka. Nie poruszyła się, ale i tak wyczuł, że już nie śpi, i zabrał rękę, którą ją obejmował.

- Weź dziecko - powiedział cicho. - Przysypię popiół i zanosę na górę kołyskę. Odprowadzę was do sypialni, zanim mały się obudzi.

Sophie wciąż czuła delikatny dotyk dłoni Vima na karku. Lepsze to niż nic, ale prędzej czy później pozostanie jej tylko wspomnienie. Przyjemne, ale nie szczęśliwe.

Wstała i wzięła dziecko z rąk Vima, z rozmysłem muskając dłonią jego klatkę piersiową. Był ciepły i muskularny. Poczowała to już wcześniej, grzejąc się w jego objęciach. W głębi serca uznała to za dar, którego nie mogła otwarcie przyjąć. Przytuliła dziecko do piersi i pomyślała, że jeszcze długo po wyjeździe Vima Charpentiera będzie tęsknić za jego ciepłem. A chwila pożegnania zbliżała się nieuchronnie.

Starannie wygasił tłący się ogień i zabezpieczył palenisko osłoną, nie odzywając się ani słowem. Wziął kołyskę pod ramię, wolną ręką chwycił zapaloną świecę i poprowadził Sophie przez zimny dom do skrzydła przeznaczonego dla rodziny.

- Zapalę świece - powiedział, puszczając ją przodem do sypialni.

W pokoju było ciepło i przytulnie, ponieważ Vim przez cały dzień pilnował, by na kominku palił się ogień.

- Miły pokój - oznajmił, rozglądając się dokoła. - Ładnie umeblowany i wygodny.

Pewnie pomyślał też, że pokój wydaje się zanadto wyszukany, gdyż nadal nic nie wiedział o pokrewieństwie jego właścicielki z księciem Moreland. Sophie nie skomentowała jego słów. Vim postawił kołyskę przy kominku, więc ułożyła w niej uśpione dziecko i otuliła je kocami.

- Ale był wyczerpany - powiedziała.

Vim zapalił świecę przy jej łóżku, a potem kolejne cztery na obramowaniu kominka.

- Ty też jesteś wyczerpana, Sophie Windham. Kit może spać ze mną, jeśli chcesz.

- Nie, przecież musisz wypocząć przed podróżą. Mogę się zdrzemnąć w ciągu dnia, kiedy dziecko będzie spało. Dobranoc, Vim. I dziękuję za wszystko.

Postawił świecę na obramowaniu kominka i utkwiał wzrok w Sophie, podchodząc na tyle blisko, że poczuła zapach bergamotki.

- Pamiętasz, co mówiłem?

Skinęła głową. Mówił wiele rzeczy, ale dokładnie wiedziała, którą z nich ma teraz na myśli.

- Nie mam nic do zaoferowania, Sophie. W hrabstwie Kent czekają na mnie problemy, których nie da się opisać w dwóch słowach, a którymi muszę się pilnie zająć. Nawet gdyby nic mnie tam nie ciągnęło, to mam zobowiązania na terenie całego imperium, a ty jesteś kobietą...

Przytknęła dwa palce do jego ust.

- Chcę cię pocałować, Vimie Charpentier.

Wydawał się zaskoczony, ale po chwili na jego twarz wypłynął słodki, łagodny uśmiech. Pochylił głowę i dotknął ustami jej warg.

A więc pocałunek. Zachowa chociaż jego wspomnienie. Sophie uniosła się na palcach i otoczyła go ramionami, a Vim ujął ją dłońmi w tali, aby nie straciła równowagi. Zachowywał się ostrożnie, wręcz delikatnie. Gdy zapragnęła, aby był bardziej zuchwały, przygarnął ją do siebie tak mocno, że przywarła do jego ciała.

Z jej gardła wydobył się tęskny jęk, na co Vim przytulił ją jeszcze mocniej. Zrozumiała, o ułamek sekundy za późno, że zmierza do prawdziwego pocałunku. Otworzył usta na jej wargach i rozwarł je zaskakująco ciepłym językiem, wnikając do środka.

Słyszała o takich pocałunkach, zastanawiała się, jakie to uczucie. Chociaż opisy nie brzmiały zachęcająco, to w wykonaniu Vima Charpentiera było to urocze i kunsztowne. Nie napierał na nią, ale badał, zapraszał, droczył się i pieścił, budząc słodkie dreszcze we wszystkich partiach ciała Sophie.

Po raz pierwszy w życiu ośmielił ją do zuchwałych czynów. Przejechała językiem po miękkiej, delikatnej przestrzeni między jego dolną wargą a zębami.

Jęknął, co dla jej uszu zabrzmiało jak cudowna muzyka i zachęciło język do dalszych odkryć. Uśmiechała się zadowolona, nie odrywając ust od jego warg. Pocałunek zamienił się w bitwę języków, warg i pragnień. Vim zachowywał delikatność i cierpliwość, podczas gdy Sophie żądała całkowitego zatracenia.

Przesunęła dłońmi w dół jego pleców, wyczuwając napięcie mięśni, a potem w górę, zatapiając ręce w gęstwinie jego złocistych włosów. Zapach bergamotki przeniknął do zmysłów, jej przydymiony wschodni aromat sprawiał, że miała ochotę wybadać, które miejsca ciała Vim skrapia perfumami.

Rozpuściła jego włosy i zanurzyła w nich palce, czując, że ramiona Vima zaciskają się wokół niej coraz mocniej.

Twarda wzniesiona kolumna wbijała się w jej brzuch, a na myśl, że doprowadziły do tego jej pieszczoty, że wzbudziła w tym mężczyźnie namiętność, poczuła dziką żądzę.

- Vim... - szepnęła, przykładając usta do jego szyi i odnajdując językiem walący mocno puls.

- Sophie... Och, Sophie.

Wypowiedział jej imię z takim żalem, że poczuła się, jakby wylał jej na głowę kubek zimnej wody. Pocałunek był skończony. Tak po prostu. Pożerała go ustami, dłońmi i całą sobą, zapominając całkowicie o rozsądku, a teraz, sekundę później, stała bez ruchu w jego ramionach z mocno bijącym sercem.

- Kochanie, nie możemy.

Głos Vima brzmiał jak przytłumiony grzmot. Dobrze przynajmniej, że był na tyle uprzejmy, by się od niej nie odsunąć. Przytulił policzek do jej włosów, ale obejmował ją tak delikatnie jak na początku. Jej umysł, pijany od nadmiaru doznań, dopiero po chwili zrozumiał jego słowa. A zatem Vim rozważał, czy nie pójść z nią do łóżka, ale odrzucił ten pomysł. Chwila namiętności tak ją pochłonięła, że nie pomyślała ani przez moment, do czego mogło ich to doprowadzić. I powinno doprowadzić. Gdyby nie to, że...

Próbowała przekonać samą siebie, że była znacznie bliżej spełnienia swoich marzeń niż przed pocałunkiem. Ale w głosie Vima zawisło wyraźne wahanie. Obejmował ją w taki sposób, jakby była cennym klejnotem. On również uważał, że niewiele brakowało. Gdyby nie to, że... Lepsze to niż nic.

Czekał, aż sama wyzwoli się z jego objęć. Kolejny uprzejmy gest. Stała więc przytulona do niego przez dłuższą chwilę, sycąc nozdrza jego zapachem, zapamiętując kształt sylwetki. Oparła policzek na jego piersi i skupiła się na dotyku dłoni, którą gładził ją po plecach, a rozpalony żar namiętności powoli wygasał w jej żyłach.

Jego również ogarnęło pożądanie. Pragnął jej. Nadal czuła na brzuchu jego nabrzmiąły członek i starała się zapamiętać to uczucie. A potem odsunęła się o krok i otworzyła oczy.

Gdyby nie to, że...

Vim powoli budził się ze snu, chociaż słyszał jeszcze w głowie rozradowane kobiece głosy: „Powstań! Świeć! Bo przyszło twe światło!”*

Nadmiar świątecznych dekoracji przywołał we śnie fragment ze starego Izajasza, utrwalony przez Haendla.

Ale tu, na jawie, ktoś był zdecydowanie nieszczęśliwy.

Zanim umysł Vima pokonał barierę snu, mężczyzna wyskoczył z łóżka i włożył brokatowy szlafrok. Po ciemku ruszył zimnym korytarzem w stronę pokoju Sophie, skąd dobiegał przeraźliwy płacz dziecka.

- Sophie?

Zapukał, ale niezbyt mocno. Po chwili oczekiwania doszedł do wniosku, że poprzez wycie Kita mogłaby usłyszeć jedynie krzyk szarżujących dragonów, więc otworzył drzwi. Połowa świec była zapalona, a Sophie przemierzała pokój w tę i z powrotem, tuląc Kita w ramionach.

* Księga Izajasza, 60, 1-3 (przyp. tłum.).

- Nie chce się uspokoić - powiedziała. - Ma sucho, nie jest głodny, przytulanie nic nie daje. Chyba jest chory.

To Sophie wyglądała na chorą. Jej bladość była widoczna nawet w młłym świetle świec, pod zielonymi oczami miała sine cienie, a jej głos drżał z niepokoju.

- Niemowlęta miewają kolki. - Vim położył dłoń na czole dziecka. Kit na chwilę zamilkł. - Aha, przykułem twoją uwagę. Co ci dolega, młody człowieku? Zrobiłeś pobudkę i zakłóciłeś sen tej miłej damie.

- Mów do niego - poprosiła miękko Sophie. - Po raz pierwszy od godziny przestał płakać.

Vim spojrział na zegar stojący na kominku. Był kwadrans po północy, a to oznaczało, że Sophie niewiele spała.

- Daj mi go, Sophie. Połóż się, a ja sobie porozmawiam z jego wysokością.

Niechętnie oddała mu dziecko. Gdy mały zaczął marudzić, Vim rozpoczął wędrówkę po pokoju.

- Koniec z tym marudzeniem, Kit. Jak Święty Mikołaj o tym usłyszy, to od małego będziesz miał złą reputację. Czy wiesz, że panna Sophie upiekła chleb i inne smakołyki? To dlatego w domu tak pięknie pachnie, mimo że dokładasz starań, żeby pachniało gorzej.

Przemawiał w tym stylu bez chwili przerwy, pocierając plecy dziecka. Mały był rozgrzany, ale Vim miał nadzieję, że to wskutek płaczu, a nie zaczynającej się choroby.

Sophie odchodziłaby od zmysłów, gdyby chłopiec zachorował.

- Posłuchaj - powiedział Vim cichym głosem do ucha niemowlęcia. - Twoja mama Sophie bardzo się o ciebie martwi. Jesteś za młody na takie bzdury, nawet do marynarki by cię nie przyjęli. Więc śpij już, dobrze? I to jak najprędzej.

Ale dziecko ani myślało spać. Kwiliło i płakało do drugiej w nocy, aż w końcu pojawiła się brzydka wydzielina z nosa.

Sophie również nie spała, a Vim nie chciał zostawić jej samej z dzieckiem.

- To moja wina - powiedziała, wodząc wzrokiem za Vimem, który robił kolejne kółko po pokoju. - Niepotrzebnie się upierałam, żeby iść do stajni, i zabrałam Kita na dwór.

- Bzdura. Był zachwycony spacerem, a ty też potrzebowałaś świeżego powietrza.

Dziecko nie wciskało nawet piąstek do buzi, co wydawało się Vimowi bardziej niepokojące niż ewentualna gorączka. I ten ciekący nos... Vim ukradkowo wytarł mu nos chusteczką, ale Sophie wstała i podeszła do nich.

- Jest chory - oznajmiła, marszcząc brwi. - Tęskni za matką, a ja niepotrzebnie zabrałam go na dwór w taką pogodę.

Vim objął ją wolną ręką. Nie podobał mu się ten żalony ton.

- To tylko katar, Sophie. Nikt od tego nie umarł. Jej twarz pobladła jeszcze bardziej.

- To mógłby umrzeć? - Odsunęła się o kilka kroków. - To się tylko tak niewinnie zaczyna, prawda? A potem przychodzi zastój krwi, gorączka, osłabienie, majaczenie...

- Nie jest osłabiony i nie ma gorączki. Uspokój się, Sophie.

Starał się nie złościć na nią za tak przesadną reakcję. Prawda była taka, że sam umierał z niepokoju. Dziecko było ciepłe, nieszczęśliwe, a z nosa mu ciekło... Wielki Boże, żaden lekarz nie odważy się wyjść z domu w taką pogodę i w środku nocy, aby zbadać małego podrzutka.

- Trochę się uspokoił, Sophie - powiedział Vim, zdobywając się na maksimum opanowania. - Może mu coś zaśpiewasz?

- Jak mam śpiewać, kiedy może umrzeć?

Straciła braci, to wiele tłumaczyło. Jeden z nich umarł o tej samej porze roku... Vim nie mógł sobie przypomnieć, jaka jest najlepsza metoda w przypadku kolki i dlaczego nie wolno poddawać się panice. Krążyło mu to po głowie, ale nie mógł się skupić, gdy Sophie była bliska łez, dziecko marudziło, a do tego mógł liczyć tylko na własne siły.

- No to ja zaśpiewam, chociaż od mojego śpiewu spuchną mu uszy, a ty pewnie uciekniesz z pokoju.

Dziwnym trafem ta uwaga wywołała jej drżący uśmiech.

- Mój ojciec też nie jest muzykalny. Dobrze, zaśpiewam, a ty go dalej noś.

Usiadła na bujanym fotelu przy kominku. Vim położył dziecko na rękę i chodząc po pokoju, zdmuchiwał kolejne świece.

- Jak pasterz pasie On swą trzodę...

Znowu Haendel i jego melodyjna liryczna aria na kontralt. Słodka, uspokajająca melodia. Dziecko uspokoiło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, westchnęło i znieruchomiało w ramionach Vima.

Ale nie miało zamiaru umierać, było tylko wyczerpane. Sophie śpiewała dalej, głosem tak pięknym, że aż ścisnęło go serce.

- Gromadzi ją swoim ramieniem, jagnięta nosi na swej piersi, owce karmiące prowadzi łagodnie.

Vim lubił muzykę, nawet bardzo, ale sam nie miał talentu ani do śpiewania, ani do grania. A Sophie była w tym niewiarygodnie dobra. Znakomicie panowała nad głosem, potrafiła śpiewać cicho nawet wysokie dźwięki, delikatnie tylko zmieniając rejestr. Vim czuł, że opadają mu powieki, a nogi robią się coraz cięższe.

- Kit zasnął - szepnął, kiedy przebrzmiały ostatnie tony. -Mój Boże, pięknie śpiewasz, Sophie Windham.

- Miałam dobrych nauczycieli. - O ile można było oceniać po spokojnym wyrazie jej twarzy, śpiew pomógł jej się uspokoić. - Mogę go teraz wziąć, jeśli chcesz wrócić do swojego pokoju.

Nie chciał wracać. Nie chciał jej zostawiać samej z dzieckiem, nie chciał wracać do dużego wychłodzonego łóżka po drugiej stronie ciemnego i zimnego korytarza.

- Wskakuj do łóżka, Sophie. Posiedzę tu jeszcze chwilę. Zmarszczyła brwi, podeszła do okna i lekko odchyliła zasłonę.

- Śnieg chyba przestał padać, ale tak mocno wieje, że nie jestem pewna.

Nie podszedł do niej z obawy, że zimny powiew powietrza mógłby obudzić dziecko.

- Odejdź od okna, Sophie. Dlaczego nie masz na nogach skarpetek albo kapci?

Spojrzała na swoje bose stopy i poruszyła długimi, ładnymi palcami.

- Zapomniałam włożyć. Kiedy Kit zaczął płakać, wyskoczyłam z łóżka, zanim się całkiem rozbudziłam.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia jak wszyscy inni rodzice niemowląt na całym świecie.

- Jego wysokość ma lojalny i oddany dwór - stwierdził Vim. - Wskakuj do łóżka, bo odmroziś palce.

Rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie, ale weszła do łóżka. Nie opuściła zasłony.

- Vim?

- Hm?

Usiadł na bujanym fotelu i zaczął kiwać się w rytm arii, której dźwięki rozbrzmiewały jeszcze w jego głowie.

- Dziękuję.

Nie odpowiedział. Kit spał, Sophie się uspokoiła, więc mógł się oddać przyjemności bujania w fotelu z uspionym dzieckiem w ramionach. Sycił też wzrok widokiem Sophie Windham, której włosy splecione w zaskakująco długi warkocz spływały na jedno ramię, a zarys sylwetki był dobrze widoczny przez nocną koszulę z cienkiej flaneli.

Kobiece stopy są bardzo intymną częścią ciała. Mężczyzna może chwycić kobietę za rękę, pocałować ją w policzek, wziąć pod ramię, a nawet objąć podczas walca i podziwiać inne jej atrybuty, ale nigdy nie ma okazji zobaczyć stóp.

Działało to w obie strony. Vim spojrzał na swoje bose stopy.

„Wyskoczyłam z łóżka, zanim się całkiem rozbudziłam”, przypomniał sobie słowa Sophie. To Kit ich tak wyszkolił. I pomyśleć, że znał malca ledwie od dwóch dni.

Dzięki Bogu, jutro wyjeżdża. Gdyby został dłużej, to żadna siła pod słońcem nie odciągnęłaby go od Sophie i dziecka.

Sophie obudziła się z cudownym uczuciem ciepła i ociążałością typową po wyczerpującej nocy. Wtuliła twarz w poduszkę

i owionął ją zapach bergamotki. W tej samej chwili usłyszała obok czyjeś westchnienie i otworzyła oczy.

- Wielkie nieba!

Vim Charpentier spał przytulony do jej pleców, obejmując ją ramieniem. Przez szczelinę między zasłonami sączyło się światło, a z kołyski stojącej koło kominka dobiegało ciche posapywanie.

- Obudził się - odezwał się Vim zrezygnowanym tonem. - Wezmę go. Moja kolej.

- Przecież spokojnie leży. Poczekaj kilka minut.

Vim ciężko westchnął i położył dłoń na ramieniu Sophie.

- Przepraszam, że przywłaszczyłem sobie połowę twojego łóżka. Jeszcze kilka dni odpoczynku i chętnie je zwolnię.

Pomimo znużenia w jego głosie pobrzmiewał humor i coś jeszcze...
Czułość?

- Vim?

Podniósł się na łokciu, tak że Sophie mogłaby spojrzeć mu w oczy, gdyby starczyło jej odwagi.

- Nigdy wcześniej nie obudziłam się przy boku mężczyzny.

Jest tak miło.

- Nigdy wcześniej nikt mi nie powiedział, że mu ze mną... miło, ale to straszne dziecko wymęczyło mnie do tego stopnia, że uważam taką opinię za bardzo pochlebną. Z tobą też jest miło.

Pocałował ją w skroń, a Sophie ogarnęło uczucie słodczy.

Czułość. To zupełnie co innego niż namiętność, inaczej odczuwanego wobec mężczyzny niż wobec rodzeństwa czy - dajmy na to - przyjaciółki.

To było cudowne uczucie.

- Sophie? - Dłoń, która gładziła jej plecy, znieruchomiała. - Chyba zgubiłem nocną koszulę.

- A teraz ją masz?

Nie odwracając się, przejechała palcami po jego płaskim brzuchu, aż natrafiła przypadkowo na coś gładkiego i ciepłego w jego pachwinie. Otoczyła to lekko palcami i zdała sobie sprawę, że...

- Wielkie nieba!

Cofnęła dłoń jak oparzona, oblewając się szkarłatnym rumieńcem.

Vim zanosił się od śmiechu.

- Zapędziłaś się, co? Zamknij oczy, to wyjdę z łóżka.

Zamknęła oczy, a w każdym razie trochę przymknęła, chociaż wcale nie chciała, żeby wychodził z łóżka. Jak mógł żartować i droczyć się z nią, gdy chodziło o tak intymną sprawę? Uniosła lekko powieki i ujrzała wysoką, szczupłą sylwetkę Vima. Był zupełnie nagi, odwrócony do niej plecami. Musiała przyznać, że męskie pośladki i plecy wydawały się całkiem pociągające. Muskularne i sprężyste, na swój sposób piękne.

Odwrócił się niespodziewanie, szukając koszuli, a Sophie zapało dech w piersiach.

- Podglądasz - stwierdził rozbawionym głosem. - Wstydz się, Sophie Windham.

Przełożył koszulę przez głowę, kryjąc przed wzrokiem Sophie cudowny widok męskiego ciała w chwili podniecenia, widok, który było jej dane wiedzieć po raz pierwszy i być może ostatni.

Nie spieszył się jednak i Sophie zdążyła co nieco zobaczyć... Wielki Boże, aż zaschło jej w ustach od tego nadmiaru męskości, siły i leniwego wdzięku. Męskie organy stanowiły tylko wisienkę na torcie, gdyż cała reszta wydawała się tak imponująca, iż Sophie w końcu zrozumiała, dlaczego jej siostra Jenny poświęca tak wiele czasu na rysowanie i malowanie.

- Zaraz wracam, dziewczyno. Włóż skarpetki, jak wyjdiesz z łóżka.

Bez pośpiechu wyszedł z pokoju, a Sophie zerknęła na zegar. Na miłość boską, był już późny ranek. Nigdy w życiu tak długo nie spała. Ale też nigdy nie musiała przez pół nocy uspokajać płaczącego dziecka. I nigdy nie obudziła się przy boku podnieconego mężczyzny. Nigdy też nie widziała dorosłego mężczyzny bez ubrania, w dodatku zupełnie nieskrępowanego własną nagością. I nigdy przedtem nie miała tak wielkiej ochoty, by zobaczyć więcej, dotknąć więcej, spróbować więcej...

- Odbieracie mi rozsądek - powiedziała, wychodząc spod kołdry i idąc w stronę kołyski. - Ty i twój współnik. Ach, wy mężczyźni!

Kit spoglądał na nią niebieskimi oczami z tak dobroduszną miną, jakby w ogóle nie pamiętał, że przez pół nocy nie dawał dorosłym spać. Widząc, że nie leci mu z nosa, Sophie poczuła wprost niewyobrażalną ulgę.

- Byłeś bardzo niespokojny, mój przyjacielu. A kiedy ty jesteś niespokojny, to ja też się denerwuję. Śmiem twierdzić, że nawet pan Charpentier się denerwował.

Na zmianę zajmowali się dzieckiem, a Sophie śpiewała tak długo, aż rozboleła ją gardło, podczas gdy Vim chodził w tę i z powrotem z dzieckiem na rękach. Niewiele pamiętała z tego, co działo się później. Wszedł do jej łóżka, potem wyszedł i znowu się pojawił. Pozwolił jej spać, chociaż to jego czekała daleka podróż.

A gdyby tak wyjechał już wczoraj? Wówczas sama musiałaby sobie poradzić z płaczącym Kitem. A gdyby usnęła, kiedy dziecko jej potrzebowało? Albo gdyby Kit naprawdę poważnie zachorował?

- Moja matka wychowała dziesięcioro dzieci - powiedziała do małego, zmieniając mu mokrą pieluszkę. - Nic dziwnego, że potrafi sobie poradzić z ojcem bez mrugnięcia powieką.

Nigdy nie podnosiła głosu na księcia przy innych ludziach i nigdy nie sprzeczała się z nim publicznie. Wystarczyła jedna noc z płaczącym dzieckiem, aby Sophie nabrała większego szacunku do swoich rodziców.

Pukanie do drzwi obwieściło powrót Vima.

- Jak się miewa jego wysokość?

- Wydaje się wypoczęty. W przeciwieństwie do ciebie. Powinieneś się przespać, Vim. Sama nakarmię dziecko.

Podszedł do okna i wyrztał na dwór. Sophie stanęła obok niego, trzymając Kita w ramionach. Śnieg przestał padać, ale wiatr był tak silny, że porywał w górę obłoki białego puchu.

- Znowu zasypało ścieżki, które wczoraj odśnieżyliście.

- Odgarnę śnieg przed wyjazdem. Ci dwaj słabeusze ze stajni nie poradzą sobie z tak ciężką pracą.

A więc wyjeżdżał. Objął ją ramieniem, jakby chciał bez słów zapewnić, że jemu też jest przykro z tego powodu.

- Dasz sobie radę, Sophie. Dziecko nie mogło trafić w lepsze ręce.

Odwróciła się w jego stronę, a Vim objął ich oboje.

W milczeniu przytulał kobietę i dziecko, a Sophie wmawiała sobie, że ma szczęście. Obdarzył ją gorącym, prawdziwym pocałunkiem, oznajmił, że miło się do niej przytulić, obejmował ją i nauczył podstawowych zasad opieki nad dzieckiem.

Ale ona nie była dzieckiem. Obejmowanie i przytulanie było słodkie, ale jej nie wystarczało. Chciała znacznie więcej. Pragnęła tego od tak dawna, że już nie miała siły pragnąć, a wtedy w jej życiu pojawił się Vim Charpentier i pragnienie stało się bardziej bolesne niż kiedykolwiek.

- Nakarmię dziecko. - Cofnęła się odrobinę. - Jeśli chcesz odpocząć, to mogę obudzić cię na śniadanie.

Cień przebiegł przez jego twarz. Był nieogolony i spał tej nocy mniej niż Sophie. Wydawał się bardzo zmęczony, ale także... smutny. W dziwny sposób trochę ją to pocieszało.

- Pójdę odśnieżyć ścieżki. Z chęcią zjem coś ciepłego, kiedy już nakarmisz Kita.

Wysunęła się z jego objęć.

- Jeśli uśniesz w jakiejś zaspie, to nie znajdę cię do wiosny. Była już prawie przy drzwiach, kiedy powiedział:

- Nie chcę wyjeżdżać, Sophie, ale muszę.

Skinęła głową i wyszła, zamykając cicho drzwi. Znowu starał się być uprzejmy, ale tym razem nie przyjęła tego z wdzięcznością.

Vim odśnieżył ścieżkę prowadzącą do ogrodowej bramy, a potem tę, która wiodła przez ogród do stajni. Gdy się z tym uporał doszedł do wniosku, że trzeba jeszcze odśnieżyć ścieżkę z domu do wychodka znajdującego się na końcu ogrodu oraz z wychodka do bramy.

Następnie stwierdził, że Sophie ucieszyłaby się, gdyby odśnieżył taras na tyłach domu, więc przystąpił do pracy, starając się z całych sił, aby nie przeszkadzały mu w tym żadne myśli.

Doskonale wiedział, że odwleka w ten sposób chwilę wyjazdu.

Czuł się winny, że zostawia Sophie samą z dzieckiem i że nie pomoże jej uporać się z ewentualnymi konsekwencjami faktu, iż przyjęła pod dach obcego mężczyznę podczas nieobecności wszystkich domowników. Nie wiedział, czy należy do rodziny, czy też do grona służby, ale w jednym i drugim wypadku reputacja musiała być dla niej cenna.

A poza tym odczuwał wręcz fizyczny ból na myśl, że nigdy więcej jej nie zobaczy, że nie będzie mógł obserwować, jak Kit cieszy się z każdej nowej umiejętności, nie poczuje małej piąstki na nosie i nie usłyszy radosnego pisku.

Ale czuł się również winny z powodu opóźnienia podróży, wiedział bowiem, że w Kent czekają na niego osoby, które na nim polegają i mają do tego pełne prawo.

Poczuł gęsią skórę na karku. Odwrócił się i ujrzał Sophie. Stała na werandzie, zarzuciwszy tylko szal na suknię, i wpatrywała się w niego zdziwionym wzrokiem.

Przerwał odśnieżanie i ruszył w jej stronę po zasypanej części ogrodu. Stanął pod werandą.

- Pomyślałem, że Higgins i Merriweather nie dadzą sobie rady z odśnieżaniem na tym mrozie. Poza tym są za starzy.

- Odśnieżyłeś pół ogrodu, Vim. Chodź do domu. Musisz coś zjeść przed wyjazdem.

Rzucił szufłę na bok i otoczył Sophie ramionami w talii. Ponieważ stała wyżej od niego, jego twarz znalazła się na wysokości jej biustu. Zapominając o pozorach i zdrowym rozsądku, położył głowę na jej piersiach.

- Przeżyjesz się na śmierć, Sophie Windham. Otoczyła go ramionami i stali tak przez cudowną chwilę,

a Vima owionął zapach przypraw i kwiatów, obiecujący wiosnę i słońce. Jego pierś przeszył dotkliwy ból, jakby wzbierała w nim fala płaczu.

- Chodź do środka. - Sophie opuściła ramiona i wzięła go za rękę. - Jeszcze nic nie jadłeś, a odśnieżanie to ciężka praca

Matkowała mu, a Vim jej na to pozwalał. Nie miał siły zadać Sophie prozaicznych pytań, które pomogłyby opóźnić nieuchronny wyjazd.

Czy Kit zjadł śniadanie?

Czy będziesz dzisiaj coś piekła?

Czy nie trzeba przynieść węgla?

Czy mogę coś zrobić, aby odwlec nasze rozstanie?

- Napij się herbaty - powiedziała Sophie, kiedy pomogła mu zdjąć wierzchnie okrycie. - Kit rozbabrał całe śniadanie i już dwa razy musiała mu zmieniać pieluchę. Przygotowałam ci trochę jedzenia na drogę, a teraz podgrzewam ziemniaki. Włóżysz je do kieszeni.

Milczała, gdy jadł grzanki z chleba, duży omlet, solidną porcję bekonu, dwie obrane pomarańcze, smażone ziemniaki i kawałek posmarowanego masłem świątecznego pieczywa.

I chociaż popił ten posiłek dużą ilością herbaty, gdy wstał od stołu, zmęczenie spadło na niego jak lawina.

- Jesteś gotowy do drogi?

Sophie wyrabiała ciasto ze skupieniem godnym lepszej sprawy. Wpatrywał się, jak dusi i zawija lepłą masę, i dopiero po chwili dotarło do niego jej pytanie.

- Spakuję rzeczy i ruszam.

Nie odezwała się, tylko skinęła głową i dalej ugniatała ciasto. Gdy obserwował ją przy tej czynności, znowu poczuł ból w piersi więc szybko udał się na górę.

Niespełna dwie godziny później obudził się z męskością twardą i sterczącą jak dzida i był gotów kochać się z pierwszą od wielu lat kobietą, która dzieliła z nim łóżko. A nawet więcej niż gotów. Palila go pulsująca żądza i tylko świadomość, że dzisiaj tę kobietę opuści, powstrzymywała go przed natychmiastowym zaspokojeniem bolesnego pragnienia.

Boże, bardzo chciał, aby znowu spojrzała na niego tak, jakby był świątecznym prezentem... Ale był sam w sypialni, więc szybko ukoił ten ból w jedyny możliwy sposób

Przeszedł potem do pokoju gościnnego i spakował swoje rzeczy. Jego apartament był bardzo przestronny i wyposażony we wszelkie wygody, jakich mógłby sobie życzyć podróżny. Odwiesił brokatowy szlafrok do szafy i usiadł na niepościelonym łóżku.

Czuł, że musi sobie uciąć krótką drzemkę, zanim zmierzy się z zimą w najgorszym wydaniu. Tylko czterdzieści minut, ostatecznie zanurzenie się w luksusie i wygodzie, potem wyruszy do miejsca, którego nigdy nie lubił, a jądra zmarzną mu i skurczą się po drodze do wielkości rodzynek.

Vim zdjął buty i położył się na łóżku. Zdażył jeszcze pomyśleć, że musi poprosić Sophie, aby go obudziła za pół godziny.

Wrócił z niebytu po przeszło trzech godzinach, wciąż mając w głowie myśl, że powinien poprosić Sophie, aby go obudziła.

- Co zrobiłeś z naszym młodszym bratem? - zapytał od niechcienia Gayle Windham, hrabia Westhaven, gdy podawał St. Justowi kubek piwa. Nie było drugiego mianowanego hrabiego, który odnosiłby się do swojego tytułu z większą niechęcią.

- Nie spożywamy lokalnego trunku? - Przyglądając się zawartości kubka, St. Just zajął miejsce obok brata na sofie w prywatnym saloniku.

- Od tego cholernego ponczu rozboleła mnie głowa. Musiałem wypić cały dzbanek mocnej herbaty i dopiero wtedy mi przeszło. A potem biegałem z tuzin razy do przekłętego zimnego wychodka. A po każdej takiej wycieczce miałem ochotę pokrzepić się kolejnym łykiem grogu. Krótko mówiąc, twój pomysł, aby przeczekać śnieżycę, był dla mnie ciężką próbą.

St. Just odstawił kubek, nie wzięwszy piwa do ust.

- Martwisz się o Annę?

- Annę i dziecko. Ale mogę cię zapewnić, że to nie działa w obie strony.

- Westhaven, czy ty się dąsas?

Gayle spojrział na brata, a ten uśmiechał się do niego ze współczuciem.

- A co? Chcesz się podąsać ze mną?

St. Just już nie uśmiechał się współczująco, ale zrobił minę groźnego pirata.

- Dopóki nie pojawi się Valentine. Tak bardzo pali się do drogi, że chyba pozwolimy mu przecierać zaśnieżony szlak.

- A gdzie jest? Chcieliście przecież pójść do stajni i sprawdzić, jak się miewają wasze dzieci.

- To są konie, Westhaven. Potrafię dostrzec różnicę między nimi a dziećmi.

- Zapewne lepiej niż jeszcze rok temu. Anna mówi, że prawie codziennie śpiewasz córce do snu.

St. Just z impetem oparł wielkie, obute stopy na stoliku.

- Czy twoja żona koresponduje z moją?

- Mhm, a twoja córka z moją żoną, i tak dalej, i tak dalej.

Westhaven nie patrzył na brata, ale utkwiał wzrok w jego stopach. Devlin w gronie rodziny tryskał dobrym humorem i promieniował serdecznością, ale w głębi duszy był skrytym człowiekiem.

- Gdyby zabroniono kobietom wymieniać listy, to królewska poczta z pewnością by zbankrutowała - oznajmił St. Just opryskliwym tonem. - Żona pozwala ci czytać listy, które dostaje? Czy moje sprawy małżeńskie są teraz znane wszystkim bez wyjątku?

- Ja to nie wszyscy bez wyjątku - zaproponował Westhaven. - Jestem twoim bratem, ale odpowiedź brzmi „nie”. Nie czytam korespondencji Anny. Może cię to zdziwi, ale od czasu do czasu, a właściwie codziennie, mam zwyczaj rozmawiać z własną żoną. Wiem, że to niemodne, ale trzeba wiedzieć, co w trawie piszczy. Śmiem twierdzić, że ty i Emmy macie ten sam ekscentryczny zwyczaj.

St. Just milczał przez chwilę, a ciszę przerywało tylko trzaskanie polan na kominku.

- Lubię śpiewać córkom. I co z tego? Ciężar ich wychowania spoczywa na Emmy, więc mogę zrobić chociaż tyle.

- Nie sądziłeś, że można kogoś tak bardzo kochać, i śmiertelnie cię to przeraża - oznajmił Westhaven, zadowolony, że może podzielić się z bratem tym wspólnym doświadczeniem. - Zdaje się, że dopiero zaczynamy tę drogę. Gdy przyjdą na świat kolejne

dzieci, będziemy się martwić jeszcze bardziej, i o nasze panie, i o latorośle, nawet te, które się jeszcze nie urodziły.

- Cóż za cudowna pociecha, Westhaven. Może powinienem cię zamknąć w tym przytulnym saloniku, żebyś następnym razem oparł się zewowi natury?

Westhaven wiedział, że słowa St. Justa oznaczają podziękowanie za udzielone wsparcie. Drzwi za ich plecami otworzyły się, a do pomieszczenia wdarł się strumień zimnego powietrza.

- Ten stary piernik ze stajni mówi, że wie, gdzie można dostać skrzypce jednego z Guarnerich, a mianowicie del Gesù, koniecznie z akcentem na „u”. To niespełna pięć mil od tej beznadziejnej gospody - oznajmił Valentine, kładąc na stoliku rękawiczki, kapelusz i szalik. - Widziałem kilka egzemplarzy takich skrzypiec. Są naprawdę piękne. Była wśród nich altówka starego mistrza. Ale te, o których teraz mowa, wykonał podobno osobiście Bar-tolomeo Giuseppe Guarneri.

- Guarneri. To brzmi jak nazwa pustyni.

St. Just podał swoje piwo Valowi, który krążył po małym salonie.

- Ja najbardziej lubię dobrą angielską szarlotkę.

- Mówimy o skrzypcach - przypomniał Westhaven. - Valentine, czy sugerujesz, że poznałeś w stajni handlarza instrumentami?

- Niczego nie sugeruję, tylko mówię wam, że ten starzec obiecał, że zabierze mnie w to miejsce i pokaże skrzypce. Dał nawet do zrozumienia, że może uda się je kupić.

Westhaven milczał, gdyż przekonał się po raz kolejny, że w pewnych sytuacjach jego bracia są nadzwyczaj przewidywalni.

- Wybacz, Valentine, ale czegoś tu nie rozumiem - powiedział St. Just.

- Wczoraj kłamię na czym świat stoi i biegałeś z kąta w kąt tylko dlatego, że zaproponowałem, abyśmy poczekali jeden dzień, aż się poprawi pogoda.

- Wcale nie kłamię. Ellen tego nie lubi, a poza tym muszę się wyzbyc brzydkiego nawyku, skoro będę miał dziecko.

- To tak nie działa - mruknął pod nosem Westhaven. - Jestem gotów przełożyć wyjazd o dzień, skoro nas o to prosisz, Val. A ty, Devlin?

- Koniom przyda się wypoczynek.

Val przez chwilę wydawał się skonsternowany, że wygrał bitwę bez jednego wystrzału.

- Westhaven, a więc uważasz, że obecność dzieci nie pomaga powstrzymać się od przeklinania? - spytał, padając na sofę.

- Zapewniam cię, że nie - odparł Westhaven, wstając. - Jego książęca mość zgadza się ze mną w tej kwestii, co już samo w sobie jest przerażające. Zamówię coś do picia, a potem możemy porozmawiać, w jaki sposób przyjście na świat dzieci zmienia słownictwo skądinąd szczęśliwego małżonka.

4

Trochę radości na stare lata... Nie siusiaj gdzie popadnie, na miłość boską. Ile razy mam ci to powtarzać? - Aethelbert Charpentier, ósmy wicehrabia Rothgreb, trącił psa końcem solidnej dębowej laski.

Do drobnych przyjemności wicehrabiego należało przemawianie do starego Jocka. W tej chwili trudne do zrealizowania, gdyż pies gdzieś pobiegł, podenerwowany zbyt ostrym traktowaniem.

Jock podniósł łeb i po głębszym namyśle nad swoim ostatnim wybrykiem przybiegł truchcikiem do swojego pana.

- Jak mówiłem, mam jeszcze w życiu trochę przyjemności pomimo sędziwego wieku. Jedną z nich jesteś ty, bez względu na twoje wybryki, a drugą moja pani, bo niczym mnie już nie zaskoczy.

Pies parsknął.

- Nie chcę cię obrażać, stary druhu, ale żaden z nas nie jest już taki jak dawniej.

Jock podbiegł do przykrytych śniegiem chryzantem, podniósł nogę i ze stoickim spokojem załatwił naturalną potrzebę.

- Mam się tym nie przejmować, powiadasz? Tak, to wygodna postawa.

Wicehrabia omiółł wzrokiem niebo. Zwierzę miało zdrowy pęcherz, mimo że po przeliczeniu jego psich lat na ludzką rachubę liczyło więcej wiosen niż wicehrabia.

- Nad Londynem wiszą ciemne chmury - zauważył mężczyzna, gdy ruszyli dalej. - Na pewno dlatego mój bratanek jeszcze nie dotarł. Coraz bardziej skraca świąteczne wakacje, aż któregoś roku w ogóle się nie pojawi. Niektórzy nie wiedzą, co to rodzinna lojalność, chociaż inni na nich liczą i spodziewają się, że nie zapaskudzą najlepszych dywanów mojej pani.

Jeśli nawet ta drobna uwaga na temat poprzedniego uchybienia zrobiła wrażenie na Jocku, to i tak nie dał tego po sobie poznać, zajęty poszukiwaniem interesujących zapachów na oszronionej ziemi.

Spacer do stajni zabierał mu z każdym kwartałem więcej czasu, ale mężczyzna, który czuje na karku ciężar osiemdziesięciu lat, powinien być wdzięczny losowi, że potrafi jeszcze przebyć ten dystans o własnych siłach.

- Może Wilhelma znowu coś zatrzymało na północy, a może przepadł gdzieś na morzu. W ogóle nie zawracalibyśmy mu głowy, gdyby nie te przekłete księgi.

Jock podlał kolejny krzaczek - pod tym względem wcale się nie zestarzał - po czym stanął spokojnie przy nodze wicehrabiego, gdy ten zatrzymał się na dnie parowu, ponad którym widać było stajnie Sidling noszące jeszcze ślady dawnego splendoru.

- Jesteś doskonałym tropicielem, mój druhu - powiedział Rothgreb i pogłaskał psa.

Nie wziął z domu rękawiczek i wiedział, że będzie go to drogo kosztowało, ale co miał zrobić, skoro Essie znowu zniknęła. Chmury nie wróżyły nic dobrego, więc musiał szybko ją odszukać.

- Idź po panią - polecił Rothgreb, wskazując ręką na stajnie. - Idź poszukać Essie, Jock.

Zwierzę pobiegło na wzgórze, a jego uszy powiewające na wietrze świadczyły o szczenięcej gorliwości. Jock znajdzie Essie w tym samym miejscu co zawsze. Kobieta przysiadła zwykle na starej zakurzonej skrzyni z kotem na kolanach i błogim

wyrazem twarzy, chociaż mimo wieku wałęsała się w środku zimy bez rękawiczek, nakrycia głowy, szala, a czasami - co było już bardzo niepokojące - nawet bez peleryny.

Essie miała swój własny rozum, co było szczęśliwym zrzędzeniem losu w sytuacji, gdy ich córki i wnuczki cierpiały na chroniczny brak rozsądku.

Ale ostatnio...

- Moja pani?

Rothgreb wszedł do stodoły i przystanął na chwilę, opierając się na lasce, aby jego oczy przyzwyczyły się do mroku - bo przecież nie po to, aby złapać oddech, skoro stajnie były oddalone tylko o ćwierć mili od domu.

- Rothgreb? - Essie wstała ze swojego siedziska, delikatnie zdejmując z kolan bezwartościową parodię łownego kota. - Mój panie, nie masz rękawiczek i szalika. To nierozsądne.

- Moja pani, ty też nie masz rękawiczek i szalika, a na dodatek jeszcze peleryny.

Powiedział to najłagodniej, jak potrafił, chociaż w jej wieku wałęsanie się po mrozie jedynie w szalu narzuconym na suknię mogło się skończyć zapaleniem płuc.

Poklepała się ręką po spiętych w koronę białych włosach.

- Cóż za zapominalstwo. Żenujący stan. Przywitaj się z Drusillą, skoro tu przyszedłeś.

Pociągnęła Rothgreba za rękę. Zatrzymali się przy przegrodzie, w której stała piękna siwa klacz - Córka Duńczyka, jedyna, której hodowlę wicehrabia zdecydował się kontynuować, ponieważ jej żrebaki były tak samo zachwycające jak potomstwo jej babki Drusilli.

- Ładna dziewczynka - powiedziała śpiewnie Essie, wyjmując z kieszeni kawałek marchewki.

Klacz podeszła do wrót i wyciągnęła szyję, aby odebrać przysmak z ręki Essie.

- Rzeczywiście jest ładna - przyznał wicehrabia, przyglądając się, jak żona, z którą spędził ponad pięćdziesiąt lat, gładzi puszystą grzywę konia. - A nawet śliczna, i zawsze taka będzie. Ale nie wolno jej psuć, moja droga. Czy mogę odprowadzić cię do domu?

Essie poklepała klacz po raz ostatni, odwróciła się i zmierzyła męża surowym spojrzeniem.

- Ależ oczywiście. Nie wiem, co sobie myślałeś, wychodząc na taką pogodę bez rękawiczek. Powinnam zbić tego twojego psa, że na to pozwolił.

- O tak. Ale minęło już sporo czasu od lunchu i stęskniłem się za tobą, Essie.

Podał jej ramię, modląc się w duchu, aby zdążyli do domu przed wiosną - albo nim umrą z wyziębienia.

- Czy były jakieś wieści od Vima?

Wsunęła rękę pod jego ramię, ale koniec końców i tak podpierali się nawzajem. Chociaż Essie szwankowała pamięć, fizycznie była nadzwyczaj sprawna.

- Słucham, moja droga?

- Vim - powtórzyła imię bratanek nieco głośniej. - Wilhelm Lucifer Charpentier, nasz bratanek i twój dziedzic.

- Nie dał znaku życia, ale oczekuję, że przyjedzie.

Przez długi czas szli w milczeniu, gdyż nierówny grunt wymagał od obojga szczególnego skupienia. Pies obwąchiwał ziemię to tu, to tam, ale przez cały czas nie spuszczał ich z oka.

- Przyjedzie - powiedziała cicho Essie, gdy dotarli do ogrodu. - Vim jest dobrym chłopcem, tylko smutnym, tak jak Christopher.

- Christopher był o niebo gorszy. Smutny to mało powiedziane - dodał Rothgreb. Schody były diabelskim wynalazkiem, zwłaszcza gdy pokrywała je cienka warstwa śniegu. - Essie, co byś powiedziała na partyjkę kart?

- Wolę szachy, bo przy nich czas szybciej płynie. Ale czy znajdziemy twój zestaw?

Rothgreb odwrócił wzrok. Chociaż jego żonie zdarzało się czasami zapominać, to czuł, że w ocenie ludzi jest bardziej wnikliwa niż kiedykolwiek.

- Jeśli nie znajdziemy włoskiego zestawu, możemy pograć w warcaby. Zachnęła się, wchodząc przed nim po schodach.

- Tylko nie w warcaby, na miłość boską, Rothgreb. To gra dla niedołącznych staruszków, którzy nie odróżniają pionka od skoczka.

- Masz rację.

Wchodził po schodach wolniej od żony, a kiedy dotarli do podestu, wziął ją za rękę. Miała ciepłą dłoń, podczas gdy jego koścista ręka była chłodna.

- Chodźmy, Rothgreb. Wystawię twoją dumę na próbę. Uśmiechnęła się, jakby ubyło jej lat, a Rothgreb wszedł za nią do domu.

Nie znaleźli włoskich pionków, co ani dla niego, ani dla Essie nie było zaskoczeniem, użyli więc włoskiego zestawu, z którego najczęściej korzystała służba. Rozgromiła go z łatwością, co czyniła od kilku dekad, gdy tylko przyszła jej na to ochota.

Gdy Sophie się obudziła, w pokoju panowała cisza i było prawie ciemno, a jej plecy rozgrzewało ciepłe ciało Vima.

- Nie śpisz - powiedział bardzo cicho, aby nie obudzić dziecka, które posapywało spokojnie w kołysce przy kominku. - Zaraz wrócę.

Klepnął ją w ramię, a po chwili poczuła, że materac się poruszył. Powinna już wstać, ale słyszała odgłosy dochodzące z za parawanu i postanowiła zostać w łóżku. Kiedy wrócił, usiadł po przeciwnej stronie, a potem wsunął się pod kołdrę.

- Próbowalaś mnie obudzić - odezwał się niemal szeptem. - Chodź do mnie, Sophie. Będzie nam ciepłej.

Nie chcieli rozpalać ognia, gdyż hałas mógłby obudzić dziecko.

- Dwa razy próbowałam cię obudzić, a potem napaliłam w kominku, żebyś się nie przeziębził - wyjaśniła Sophie. - Kiedy Kit zasnął, wślizgnęłam się do twojego łóżka, bo nie chciałam go przenosić do swojego pokoju i znowu rozpalać ognia.

Akurat jej wierzył. Objął ją w talii.

- Jeden dzień więcej nie robi różnicy.

Wiedziała, że próbuje przekonać samego siebie, bo ona tego nie potrzebowała. Kamień na jej sercu nieco zelżał, ale i tak czuła jeszcze jego ciężar. Jutro przyjdzie zbyt szybko.

- Vim?

- Tak, kochanie?

Czułe słówko wyszeptane na pół sennym głosem obudziło zmysły Sophie. Czy tak się zachowują małżonkowie? Przytulają się i rozmawiają w półmroku? Ogrzewają się własnymi ciałami, wymieniając sekrety?

- Dlaczego nie chcesz jechać do domu?

Przez chwilę milczał, a jego oddech błąkał się po szyi Sophie. Czująca, że waży słowa, zastanawiając się, co może jej powiedzieć.

- Nie wiem dokładnie, co jest nie tak, i w tym częściowo tkwi problem. Mam przykre wspomnienia związane z tym miejscem.

Czyżby poczuła jego usta? Pod wpływem delikatnej pieśczo Sophie zdrząła pod ciepłymi kocami.

- Ale co jest nie tak?

Kolejny pocałunek, tym razem bardziej zdecydowany.

- Ciotka Essie i stryj Bert są już w podeszłym wieku, chociaż wydają się długowieczni. Liczyłem na to, że będą żyli wiecznie... Smakujesz jak kwiaty.

O Boże, jego język... Powoli niczym kot, ale z większym wyrachowaniem i delikatnością, przesuwając ciepłym i wilgotnym językiem po szyi tuż pod uchem.

- Nikt nie żyje wiecznie. Pieśczo ustała.

- Wielka szkoda. Ciotka pisze do mnie, że giną rodzinne pamiątki, niektóre cenne, inne tylko o wartości sentymentalnej.

Delikatnie ścisnął zębami płatek jej ucha. Nie całował jej, nie próbował dotykać w tych miejscach, których mężczyźni zwykle szukają, chociaż Sophie niczego bardziej nie pragnęła.

- Sądzisz, że kradnie je ktoś ze służby? Wciągnął płatek jej ucha do ust i przez chwilę ssał.

- Być może, chociaż cała służba została zatrudniona w czasach przedpotopowych. Dobrze płacimy, zapewniamy rentę tym, którzy już nie mogą pracować. Nie ma ich wielu.

- To może w sąsiedztwie jest jakiś złodziej, który zaczął się na twoich krewnych?

Nie mogła dłużej leżeć spokojnie na boku. Chciała przewrócić się na plecy, całować go, dotykać jego włosów, twarzy, piersi...

- A może jakiś stary dzielny sługa pochował rzeczy nie tam, gdzie powinien? - szepnął Vim prosto do jej ucha.

- Dasz sobie z tym radę.

Sophie przewróciła się na plecy najspokojniej, jak potrafiła. Leżała teraz na wznak obok Vima, który nadal spoczywał na boku, przyglądając się jej w półmroku.

- Musimy wyjść z tego łóżka, Sophie.

Przesuwał ciepłą dłońią po jej brzuchu. Ta powolna wspaniała pieszczota budziła w niej ochotę na więcej.

- Pocałuj mnie. - Otoczyła dłońmi jego szyję, przerzuciła nogę przez jego biodro i przytuliła się mocno. - Proszę.

- Boże, ratuj - jęknął z ustami przy szyi Sophie, otaczając ramieniem jej plecy.

Gdy usta Vima dotknęły jej warg, Sophie poczuła się pijana od niesamowitych doznań.

Vim przywarł do niej całym ciałem, przytrzymując ręką jej pupę, aby przytulić ją mocniej do swojego sztywnego członka. Na języku czuła smak jego ust, a na skórze gorący i silny dotyk.

Jęknął cicho, gdy Sophie przesunęła językiem po jego dolnej wardze. Zanurzyła dłoń w jego włosach, starając się wybić mu z głowy wszelkie niemądre pomysły o wychodzeniu z łóżka. Akceptowała fakt, że opuści jej życie, ale jeszcze nie teraz.

- Boże, Sophie, musimy przestać.

Podniósł się i zawisł nad nią, podpierając się rękoma, a w następnej sekundzie był już między jej rozchyłonymi udami. Sophie otoczyła nogami jego plecy, a potem uniosła się i, aby złamać śmieszne skrupuły Vima, przywarła wargami do jego ust, wkładając w ten pocałunek wszystkie niezaspokojone pragnienia i całe swoje pożądanie.

- Vim, pragnę...

Nie zdążyła dokończyć tej myśli, gdyż całował ją do utraty zmysłów. Jego język zakreślał rytmiczne fale, od których w dół ciała Sophie spływały gorące strumienie.

- Sophie, nie możemy...

- Możemy.

Była córką księcia i odziedziczyła po nim determinację. Wsunęła dłoń za pasek jego spodni i przywarła palcami do nagiego biodra.

- Niegrzeczna... - zamruczał Vim, ale nie było w tym cienia przygany, więc Sophie przesunęła rękę i złapała go za goły pośladek.

Przycisnął ciało do jej wzgórka, wywołując cudowny i niszczycielski pożar zmysłów. Sophie wygięła się w łuk, przeklinając w myślach wynalazek odzieży, ale przez mgłę podniecenia przedarło się do niej ciche kwilenie.

Vim musiał je również usłyszeć, gdyż znieruchomiał i unióśł głowę.

- Dziecko - powiedzieli jednocześnie, Vim z rezygnacją i lekką nutą ulgi, a Sophie z przerażeniem. Na śmierć zapomniała, że w pokoju jest dziecko.

- Muszę wstać. - Starła się odsunąć jego ramię, ale było to równie skuteczne jak próby zrzucenia z siebie podnieconego olbrzyma. - Vim, Kit się obudził.

- Może znowu zaśnie.

Nutka nadziei w jego głosie brzmiała wręcz komicznie.

- Nigdy nie zasypia drugi raz.

- Wezmę go.

Vim pocałował ją w nos i podniósł się, zabierając ze sobą ciepło i cały ocean niespełnionych pragnień. Sophie odzyskiwała powoli równowagę i właśnie zamierzała wstać, gdy Vim wrócił do łóżka z dzieckiem przytulonym spokojnie do jego ramienia.

- Zrób trochę miejsca. Jego wysokość chce się zaokrętować na królewskiej barce.

- Ma sucho?

- Królewskie szaty w należyтым porządku, przynajmniej na razie.

Vim wszedł do łóżka i umieścił dziecko na poduszkach między dorosłymi, a sam ułożył się na boku.

- Za chwilę będzie głodny - powiedziała Sophie, chwytając małą stopkę i potrząsając nią delikatnie.

Kit uśmiechnął się szeroko i radośnie kopnął, a Sophie powtórzyła zabawę.

- Podoba mu się zmiana scenerii.

Vim uśmiechał się do malca, łaskocząc go po brzuszku.

Sophie nie przyszłoby do głowy, aby przynieść dziecko do łóżka albo pocałować Vima w nos. Nigdy by nie pomyślała, że może zakochać się w mężczyźnie dlatego, że potrafi żartować, aby zająć się dzieckiem. Jednak gdy patrzyła, jak Vim uśmiecha się do dziecka i cieszy z jego obecności, zrozumiała, że w końcu spełniło się to, o czym uparcie marzyła i czego od tak dawna pragnęła. Zakochała się.

Poleżała jeszcze kilka minut, przysłuchując się, jak Vim opowiada dziecku bajeczki o żeglowaniu po niebezpiecznych wodach z poduszek i koców, po czym wyszła z łóżka i zajęła się rozpalaniem ognia na kominku.

Wkładając skarpetki, Sophie mruknęła pod nosem, że idzie podgrzać owsiankę, a chwilę później już jej nie było. Vim pozostał w pokoju z radosnym, wypoczętym i - bogom niech będą dzięki - czystym dzieckiem, które zacisnęło paluszki na jego nosie.

Ułożył sobie niemowlę na piersi i ten ciepły kłębuszek pomagał mu pogodzić się z nagłym zwrotem sytuacji.

- Zabaw mnie trochę, mały.

- Gaaa...

Kit znowu wziął w posiadanie nos Vima.

- Zemszczę się, jeśli nie przestaniesz ścisnąć mojego nosa. Kit grzmotnął pierś Vima, a następnie podniósł się na rączkach, ukazując bezzębne dziąsła w szerokim uśmiechu.

- No dawaj, mały potworze, uśmiechaj się. Wiesz, dlaczego arystokraci mają duże rodziny? Jest kilka powodów. Po pierwsze, jeśli ktoś ma tyle pieniędzy, że może całe życie nic innego nie robić, tylko korzystać z uciech, to nie oprze się tej pokusie. A konsekwencją tego są często takie brzdące jak ty.

- Piiiiip! - Kolejne grzmotnięcie. - Piiip, piip, piiip!
- Chłopcze, tylko nie wyrażaj się przy panie Sophie.
- Bah!

- Bah ujdzie. Arystokraci mają duże rodziny nie tylko dlatego, że ich stać, ale również z tej prostej przyczyny, że dzieci nie przerywają im nagle i niespodziewanie przyjemnych czynności związanych z prokreacją. Bo ich miejsce jest w pokojach dziecięcych.

- Bah, bah, bah, bah, bah!

Vim uniósł Kita, na co mały zaczął chichotać i wymachiwać kończynami.

- Może będziesz latać balonem?

Opuścił dziecko z powrotem na pierś, przytulając je mocno.

- Uratowałeś mnie przed popełnieniem szaleństwa. Sophie Windham jest niebezpieczną kobietą i trudno jej się oprzeć.

Ta uwaga pozostała bez komentarza, a Vim uświadomił sobie, że gdyby dziecko się w porę nie obudziło, rzeczy Sophie leżałyby teraz w nieładzie na łóżku, a on sam zanurzałby się w jej wnętrzu tak głęboko, jak to tylko możliwe, dokładając wszelkich starań, by krzyczała z rozkoszy. By oboje krzyczeli z rozkoszy.

- Dlaczego by nie? - powiedział cicho, przyciskając usta do główki dziecka. - Przecież tego pragnie. I ja tak bardzo jej pożądam... Ale myślę, że to by nie było dla niej dobre.

Zastanawiał się w milczeniu, w jaki sposób powinien zachować się w tej sytuacji dżentelmen, aby nie uchybić damie. Jeśli należała do służby - nie wiedział tego na pewno, mógł jedynie przypuszczać - wówczas jej pozycja nie pozwalała na to, aby proponować małżeństwo. Tymczasem wszelkie myśli Vima na jej temat krążyły właśnie wokół trwałego związku. Ale także obietnicy gorącej, przesywającej rozkoszy, co było kombinacją wprawiającą go w konsternację.

Kit chwycił Vima za dolną wargę.

- Od kiedy dzieci mają pazury? - Delikatnie oderwał palec małego od ust i przyjrzał się jego paznokietkom. Były maleńkie, ale Vim wiedział, że szybko rosną. - Musimy znaleźć nożyczki do paznokci i wytrącić ci broń z ręki, mój kolego.

Jeszcze kilka minut wylegiwał się z dzieckiem w łóżku, ale kiedy dostrzegł na jego buzi wyraz dobrze znanej determinacji, szybko wstał, ruszył z Kitem do pralni i przebrał go w czystą pieluszkę.

- Znowu coś pieczesz? - zapytał od niechcienia, wchodząc z dzieckiem do kuchni.

Sophie podniosła wzrok znad zlewu, przy którym obierała jabłko.

- Dodaję jabłko do owsianki jego wysokości.

- Mieliśmy mały przystanek w pralni. Kit może ruszać na popołudniowy spacer do Hyde Parku.

- Brudzi pieluchy w takim tempie, że będę musiała zrobić pranie.

Sophie wrzuciła kilka plasterków jabłka do garnka na piecu, podzieliła dużą ćwiartkę na połowy i podała oba kawałki Vimowi. Jeden dał dziecku, a drugi sam zjadł.

- Nie opowiedziałem ci wszystkiego o sytuacji w Sidling.

- Tak się nazywa twoja rodowa siedziba?

Sophie wymieszała jabłka w garnku, a także zawartość drugiego naczynia. Vim nie potrafił odczytać jej nastroju z wyrazu twarzy, tonu głosu ani zachowania. Wykazywała opanowanie równe monarchom, których spotykał podczas podróży.

- Sidling należy do mojej rodziny od czasów normańskich, ale sama rezydencja jest dość skromna.

Zerknęła na niego znad pieca, a Kit zaczął wymachiwać kawałkiem rozmoczonego jabłka jak mieczem.

- Nazwa Sidling brzmi znajomo.

- Miejsce nie wyróżnia się niczym szczególnym, ale ciotce i stryjowi mieszka się tam wygodnie, moim kuzynkom również niczego nie brakuje.

W każdym razie odkąd Vim zajął się finansami.

- I w takim miejscu giną cenne przedmioty? Nie chce się wierzyć, że może tam grasować złodziej.

Mówiąc to, zaczęła przygotowywać tacę z herbatą, poruszając się sprawnie i automatycznie, ale z gracją. Może jest kucharką

albo pomocnicą kucharki? Vim z trudem odtworzył w pamięci jej pytanie.

- Niewiele brakowało, a moglibyśmy stracie rowmez ciotkę, o ile można wierzyć listom stryja.

- W jaki sposób? Zachorowała?

- Nie, fizycznie nic jej nie dolega, ale zaczyna się gubić. Wałęsa się sama po majątku, chociaż proponowałem, aby zatrudnić damę do towarzystwa.

Bardzo na to nalegał, ale stryj odpisał mu ze złością, że są małżeństwem ponad pół wieku i zna swoją żonę na tyle dobrze, że nie będzie zatrudniał pielęgniarkei wbrew jej woli.

Sophie sięgnęła po dzbanek z mlekiem stojący w skrzynce na oknie.

- Mój ojciec miał niedawno atak serca. Cała rodzina była w nerwach.

- Jak się teraz czuje?

Postawiła mleko na kuchennym blacie i wzięła nóż do chleba.

- Lepiej niż kiedykolwiek. Atak serca był dla matki dobrą wymówką, aby przejąć stery, a dla niego doskonałą okazją, aby jej na to pozwolić.

Ukroiła kilka kromek chleba, owinęła bochenek, postawiła na stole małą miseczkę z owsianką, położyła czystą serwetkę oraz małą łyżeczką Kita.

- Jeśli spełnisz ten zaszczytny obowiązek, to zrobię dla nas kanapki.

Kit pochłoniął solidną porcję owsianki i jabłek, wymuszając kolejny spacer od pralni. Kiedy Vim przebrał dziecko, rozpałił ogień w kominku w salonie i umył ręce, zapadł zmrok.

Sophie przyniosła tacę z jedzeniem i herbatą, a Vim wymościł gniazdko z koców przy kominku i ułożył dziecko.

- Jest jeszcze coś, co chciałbym ci powiedzieć o sprawach, jakie czekają mnie w Sidling.

Zastygła z talerzem pełnym kanapek, który właśnie mu podawała.

- Chyba nie zanosz się na przyjemną rozmowę.

- Nie będzie tak źle. Jestem dziedzicem stryja i prędzej czy później powinienem się ożenić.

Vim sam nie rozumiał, dlaczego uznał, że powinna to wiedzieć, skoro nazajutrz mieli się pożegnać na zawsze. Rozłożyła swoją kanapkę i posmarowała masłem.

- Zapomniałam posmarować chleb, ale za to jest dużo musztardy.

Trzymając w dłoni elegancki srebrny nożyk, zgrabnymi ruchami rozsmarowała masło na chlebie.

- Mój stryj ma trzy córki, a każda z nich co najmniej dwie własne - mówił dalej Vim. Jego kanapki leżały nietknięte na talerzu a w ustach poczuł nagle suchość. - Mam więc siedem kuzynek z których dwze są już w odpowiednim wieku do zamążpójścia. Może teraz nawet więcej.

- Jesteś skłonny poślubić którąś z nich?

Gmerała przy kocykach dziecka, odwijając brzegi i wygładzając je dłonią.

- Sophie... Ledwie znam te kobiety, ale jestem za nie odpowiedzialny. Muszę przynajmniej wyznaczyć im jakiś posag. Ciotka i stryj coraz częściej powtarzają, że czas się ustatkować, chociaż na samą myśl o tym ogarnia mnie...

Urwał, szukając najwłaściwszego słowa na przytłaczające uczucie niepokoju, jakie go przepełniało, gdy myślał o podobnym małżeństwie. Rozmowa potoczyła się w zupełnie innym kierunku niz ten, jaki chciał jej nadać.

- Tak?

- Przerażenie. Na samą myśl o spotkaniu z paplającymi zalotnymi pannami ogarnia mnie przerażenie. - Podniósł kanapkę ale nie ugryzł jej. - Czy kiedykolwiek myślałaś o małżeństwie, Sophie?

- Nie na poważnie.

Nawet w tej chwili nie rozważała na poważnie takiej możliwości. Świadczył o tym obojętny ton głosu i fakt, że unikała jego wzroku. Krążył wokół tematu, starając się ostrożnie wybadać sprawę, ale jej odpowiedź był jednoznaczna, choć nie taka, jakiej się spodziewał. Nie pragnęła długiego i trwałego związku, więc

utwierdził się w przekonaniu, że szybko o nim zapomni. Czego nie mógł powiedzieć o sobie.

- Zjedz kanapkę - ponaglił Vim. - Teraz chyba rozumiesz, dlaczego muszę jak najszybciej znaleźć się w Kent. Powstała tam kłopotliwa sytuacja, i to pod wieloma względami. W dodatku jest to ostatnie miejsce na ziemi, w którym chciałbym spędzić święta.

Nie odpowiedziała, kończąc w milczeniu posiłek. Na kominku tańczyły płomienie, a dziecko odkryło, jak włożyć do buzi palec nogi.

Sophie z trudem przebrnęła przez resztę wieczoru, przepełniona dziwnym uczuciem oszołomienia połączonego z rezygnacją. Przez większość dziewczęcych lat i całe dorosłe życie czekała, aż ktoś rozpali w jej sercu iskrę. Czekala na mężczyznę, na widok którego serce mocniej zabije.

Tym mężczyzną okazał się Vim. Ale to chyba nie był najwłaściwszy mężczyzna dla niej. Po raz pierwszy w życiu Sophie żałowała, że nie ma przy niej starszego brata, który objaśniłby jej tajniki męskiej natury.

Jak to możliwe, że Vim całował ją w tak intymny sposób, a krótko potem opowiadał o konieczności poślubienia obcej osoby, prawdopodobnie kuzynki?

Jak to możliwe, że życie w końcu postawiło na jej drodze mężczyznę, o którym marzyła, tylko po to, aby go zabrać w następnej sekundzie?

Jak ma znieść kolejne święta i przyglądać się rozradowanej rodzinie oraz tłumom równie rozbawionych sąsiadów? Przecież każde Boże Narodzenie będzie jej przypominać chwile spędzone z Vimem.

I jak, na miłość boską, zdoła rozstać się z Kitem, kiedy przyjdzie na to pora?

- Nie słuchasz mnie, Sophie Windham. - Vim przejechał kciukiem po jej policzku. - Czy mam położyć jego wysokość do łóżka?

Sophie spojrzała na dziecko, które trzymała w ramionach.

- Zaraz zaśnie.

Usiadła obok Vima na wytartej sofie, słuchając, jak czyta strofy Wordswortha. Tym razem nie otoczył jej ramieniem i było to dla niej całkowicie zrozumiałe. Na drodze stanęli kuzynki z Kentu, ciotka i stryj, strach Vima przed małżeństwem, podróże, które stanowiły treść jego życia.

- Sophie, czy coś cię trapi? - zapytał z troską. Niemal doprowadził tym Sophie do łez.

- Nie chcę rozstawać się z dzieckiem. Pragnęłam przez kilka dni zostać sama w domu, bo od kilku lat nie potrafię dzielić z innymi świątecznej radości. Wymagało to podstępu i przebiegłości. Myślałam, że samotność przyniesie mi spokój, a tymczasem dostałam coś innego.

To było szczere wyznanie. Kit ziewnął szeroko i wsadził dwa środkowe palce do buzi, jakby wiedział, że znużenie osłabia w Sophie hart ducha. Był takim wspaniałym dzieckiem.

- Wyjadę jutro rano, Sophie. I nie sądzę, by nasze drogi jeszcze kiedyś się spotkały. Ale jeśli potrzebujesz pieniędzy na utrzymanie dziecka, to z radością...

Zaprzeczyła ruchem głowy. Pieniądze były ostatnią rzeczą, jakiej od niego chciała.

- Połóżmy dziecko do kołyski, dobrze?

Wstała z sofy, przytulając Kita do serca. Vim wziął koce, ułożył je w kołysce i ruszył za Sophie głównymi schodami, a następnie zimnymi korytarzami do jej sypialni.

W ciągu kilku dni pewne czynności związane z opieką nad Kitem stały się rutyną, jakby było to ich rodzone dziecko. Działali bez słowa w idealnej zgodzie, a to poczucie harmonii z mężczyzną, z którym wiązała tyle pragnień, dodawało jej otuchy i zarazem boleśnie ją raniło.

Vim zapalił świecę przy łóżku Sophie, rozpalił ogień na kominku, a potem już tylko przyglądał się, gdy układała Kita w kołysce.

- Będiesz mogła zasnąć? Mnie się w ogóle nie chce spać. Późno wstałem i miałem długą drzemkę w ciągu dnia. Przypuszczam, że kobiety, które mają małe dzieci, przyzwyczajają się z czasem do takich zakłóceń.

Sophie zrozumiała, że Vim ma ochotę zostać w jej pokoju.

- Jestem zmęczona, a rano nadejdzie szybciej, niż nam się zdaje.

Chciała, żeby sobie poszedł, a jednocześnie pragnęła, aby ją mocno przytulił, tak jak po południu w łóżku. Ale nade wszystko chciała, aby on sam zapragnął wziąć ją w ramiona. To było stanowczo zbyt skomplikowane.

Vim rozsiadł się na fotelu przy kominku.

- Poczekam, aż jego wysokość znajdzie się w objęciach Morfeusza. Usiądź, Sophie, i opowiedz mi o swoich braciach.

Usiadła na bujanym fotelu koło kołyski, chociaż temat nie wydawał jej się ciekawy. Przez chwilę kołysała się w milczeniu, a w pokoju słychać było tylko strzelanie polan na kominku i mlaskanie dziecka ssącego paluszki.

- Bartholomew walczył w armii Wellingtona. Mój brat Devlin wyruszył razem z nim, ale służyli w innych oddziałach. Mimo to uważali na siebie i Dev był przy Barcie, gdy ten umierał. Żelazny Książę przysłał list z kondolencjami. Wychwalał w nim odwagę Barta i jego oddanie sprawie.

- Ale ty, jako kobieta i jego siostra, wołałabyś na pewno, aby nie był taki odważny.

- Wołałabym, żeby wykazał więcej rozumu. Devlin oszczędził matce szczegółów, ale z rodzeństwem był całkowicie szczery. Bart zagadnął kobietę, sądząc, że zazna z nią przyjemności. Słabo znał język i nie zrozumiał, że obraża tę damę. A kiedy wyciągnięto pistolety, było już za późno. Umarł jak skończony dureń, ale znając jego naturę, nie powinnam się temu dziwić.

- Jesteś zła, że umarł w taki sposób - stwierdził Vim ze spokojem, unikając obwiniania kogokolwiek, a w jego słowach zabrzmiała szczerza prawda.

- Jestem zła, że umarł. I kropka. Bart był najstarszy, został wychowany na przywódcę i byłby wspaniałą głową rodu.

- A czy był wspaniałym bratem?

- Tak - odparła po chwili namysłu. - Ale kiedyś zachowywał się okropnie. Wygrzebywał z ziemi dżdżownicę i mnie straszyl.

Maggie poradziła mi, żebym mu zagroziła, że napcham końskich odchodów do jego najlepszych butów do konnej jazdy. Brzydzę się takim oślizgłymi robakami.

- Jak wszystkie dziewczęta - powiedział Vim, wstając z miejsca. Usiadł na podłodze obok bujanego fotela Sophie i rzucił spojrzenie na dziecko. - Wcale nie ma zamiaru szybko zasnąć.

- Pewnie przetrawia wrażenia z całego dnia.

- Albo marzy o kolejnym talerzu owsianki. Co trzeba zrobić, żeby być wspaniałym bratem, Sophie?

- Bart umiał rozśmieszać ludzi. Umiał przedrzeźniać naszych rodziców, ale nie był przy tym złośliwy. Potrafił śmiać się z siebie. I umiał dochować sekretu. Kiedy skończyłam dziesięć lat, matka nie pozwalała mi jeździć konno bez stajennego, a Bart wiedział, że często wymykałam się służącym. Zaczął więc jeździć za mną, ale udawał, że wyrusza w innym kierunku. Zawsze wiedziałam, że jest w bezpiecznej odległości. Był moim cieniem. Devlin robił to samo.

- I pozwalałaś im, żeby się tobą ukradkiem opiekowali.

- Nie byłam aż taką idiotką, żeby się włóczyć samotnie. Pewnego razu kucyk mnie zrzucił, bo ruszył za królikiem. Upadłam, podarłam strój do konnej jazdy. Bart złapał konia, żeby nie pobiegł do stajni beze mnie, a Dev przemycił nici i igłę, więc naprawiłam ubranie, zanim ktokolwiek się zorientował.

Nie zauważyła, by się poruszył, ale w jednej chwili siedział spokojnie na podłodze w pobliżu kołyski, obejmując ramionami kolana, a w drugiej poczuła jego rękę na swoim udzie.

- Kiedy myślałam, że dochodzę już do siebie po śmierci Barta, uświadomiłam sobie, że Victor nie wyzdrowieje. Victor zdał sobie z tego sprawę wcześniej niż reszta rodziny, ale nie dzielił się z nikim tą przykrą prawdą. Chciał, aby każdy sam to zrozumiał. Mój ojciec do końca nie dopuszczał do siebie myśli, że jego syn umrze. Matka wprawdzie była tego świadoma, ale nie sprzeciwiała się ojcu.

- To była przewlekła choroba?

- Suchoty.

Pogłaskała go po włosach koniuszkami palców. Kitka dawno się rozleciała, jak zwykle podczas opieki nad dzieckiem. Sophie czuła niemal fizyczny ból na myśl, że to ostatni wieczór, kiedy może z nim porozmawiać, nasycić oczy złocistym blaskiem jego włosów, zawierzyć głosowi, który zachęcał do dzielenia się sekretami.

- Cholernie przykra śmierć. - Przechylił głowę i oparł skroń na jej nodze. - Przypuszczam, że walczył do końca.

- Walczył z całych sił... Ale nie o życie, tylko o to, żebyśmy nie zauważyli, jak cierpi. Jak walczy o każdy oddech. Nie chciał, żebyśmy widzieli, że przez kaszel nie może się śmiać ani jeździć konno. Właściwie niczego nie mógł robić. Czytałam mu całymmi godzinami.

- Jakim był człowiekiem przed chorobą?

- Miał diabła za skórą. - Sophie wodziła palcem po płatku ucha Vima, zdziwiona, że nie zwróciła wcześniej uwagi na tę delikatną część ciała mężczyzny. - Victor odziedziczył po ojcu wdzięk, a po matce umiejętność łagodzenia niezręcznych sytuacji. Był przystojny, zresztą jak wszyscy moi bracia, pełen ogłady, bystry, doskonale tańczył i wspaniale jeździł konno. Victor był...

Odtwarzanie w pamięci, jaki był Victor, bolało. I to bardzo.

- I nagle zachorował - pospieszył z pomocą Vim. Obrócił się, uklęknął i otoczył ramionami talię Sophie. - Czy to on umarł przed świętami Bożego Narodzenia?

Skinęła tylko głową, gdyż słowa uwięzły jej w gardle. Vim położył dłoń na jej włosach i delikatnie oparł głowę Sophie na swoim ramieniu.

- Nie wstrzymuj płaczu, Sophie. Kiedy ból jest nie do zniesienia, kobiecie pomaga płacz.

Płakała już niejednym razem. Wypłakiwała oczy, gdy Victor udawał, że śpi, aby pozbyć się jej z pokoju. Płakała, zbierając z jego łóżka przekłete pijawki, bo wiedziała, że upuszczanie krwi nikogo nie może wyleczyć z suchot. Płakała, kiedy ojciec krzyczał na Victora, żeby przestał udawać chorego i wstał z tego cholernego łóżka. Płakała tyle razy, że w końcu zaczęła marzyć o tym, aby już nigdy więcej tego nie robić.

- Płakałam tylko wtedy, kiedy wiedziałam, że Victor mnie nie przyłapie.

- Kiedy wiedziałaś, że nikt cię nie przyłapie.

Opierał policzek na jej głowie i kolistymi ruchami gładził ją po plecach. Ten prosty gest dawał jej pocieszenie i poczucie akceptacji. To wystarczyło, aby znowu poczuła łzy pod powiekami.

- Mężczyźni nie płaczą.

Ta uwaga nie miała nic wspólnego ze śmiercią jej braci, po prostu kolejna życiowa niesprawiedliwość, i tyle.

- Czy pytałaś o to brata, który wrócił z wojny?

- Devlin nie lubi opowiadać o tamtych czasach. - Podniosła głowę. - Być może teraz mogłabym go spytać... Odkąd się ożenił, łatwiej się z nim dogadać.

Od razu pożałowała tej aluzji do małżeństwa.

- To go zapytaj. Kobiety nie mają wyłączności na płacz. Mężczyznom też się to czasem zdarza. Myślę, że zmęczenie osłabiło twoją odporność, Sophie Windham. Idź spać, a ja poczekam, aż ten niegrzeczny chłopiec zaśnie.

Nie chciał iść z nią do łóżka, a Sophie nie zamierzała go błagać. Zajął się rutynowymi wieczornymi czynnościami, starając się nie zważać na to, że Vim siedzi w jej bujanym fotelu w blasku ognia, który rozświetlał złotym połyskiem jego włosy oraz kładł cienie na twarzy.

- Nie sądzę, aby rano dało się znaleźć jakiś powóz - zauważyła, zabierając się do szczotkowania włosów.

- Prawdopodobnie nie. Wypożyczę solidnego konia i ruszę na nim do Kentu. Po śnieżycach na pewno przyjdzie odwilż, więc na drogach zrobi się błotnista maź.

- Będę za tobą tęskniła - powiedziała beznamiętnym tonem, chociaż znowu ścisnęło ją w gardle. - Kit i ja będziemy za tobą tęsknili.

- Ja też będę za wami tęsknił.

Nie znalazła w sobie dość siły, by uznać to za dobry znak. Była zmęczona, a wieczorna rozmowa nie poprawiła jej nastroju. W tym stanie ducha niemal wszystko widziała w czarnych barwach.

Miała niezbitą pewność tylko co do jednej rzeczy. Już nigdy, w żadne kolejne święta Bożego Narodzenia, których nadejście było nieuniknione, nie będzie wypowiadała w myślach niemądrych życzeń, aby się zakochać, i żyć długo i szczęśliwie.

- Już późno - zganił Valentine, zdejmując buty. - Nie możesz jutro napisać listów?

Westhaven spokojnie dokończył subtelne wywody, które zapewne snuł przy biurku, i dopiero wtedy podniósł wzrok na Vala.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak się czują rodzice? Trzej synowie ożenili się w ciągu roku. Pewnie mają wrażenie, jakby nas utracili.

Val już dawno temu porzucił próby przedarcia się przez labirynt umysłu brata. Doszedł do wniosku, że jest on tak błyskotliwy i inteligentny, iż wszelkie kręctwo nie ma najmniejszego sensu.

- Kiedy ożeniłeś się z Anną, czułem się tak, jakbym stracił brata. Mieszkałem sobie szczęśliwie z dwoma braćmi, z dala od kurateli księcia, miałem wszystkie wygody, których może pragnąć kawaler, czerpałem pełnymi garściami ze skarbów wspaniałego Broadwood, a tu nagle jak grom z jasnego nieba spadły na mnie takie zmiany. Ty przeprowadzasz się ze swoją ukochaną żoną na wieś do Surrey, a Dev wyjeżdża do Yorkshire hodować swoje pisklęta. Czułem się gorzej niż wtedy, kiedy wyruszał do Hiszpanii, a potem pod Waterloo. Jakbym go stracił na zawsze.

Westhaven przez chwilę wpatrywał się w list, a potem posypał go piaskiem.

- Twierdzisz, że za nami tęskniłeś.

- Raczej próbuję tego nie powiedzieć. Następnym razem zmusisz mnie do wyznania, że tęsknię za naszymi siostrami.

Niestety, Westhavena - niech go lichó! - nie zwiódł lekki ton.

- Twoja żona znajdzie na to radę.

- Ellen? Przecież to nie jej siostry. - Poczul nagle bolesne ukłucie tęsknoty za swoją świeżo poślubioną żoną.

- Będzie do nich pisać listy, nakłoni cię, żebyś je odwiedził, zaprosi siostry do was. Zostaniesz ojcem, a to oznacza, że będziesz

musiał się pochwalić latoroślą. Może nawet uda ci się nakłonić ich książęce mości do wizyty w Oxfordshire?

- Tylko czy tego chcę?

Westhaven uśmiechnął się po swojemu, unosząc nieznacznie kąciki ust i spoglądając łagodniejszym wzrokiem. Odkąd brat znalazł sobie żonę, ten uśmiech pojawiał się na jego twarzy znacznie częściej.

- Będziesz chciał, aby cię odwiedzili przynajmniej raz - odparł Westhaven, opierając się wygodnie i krzyżując długie nogi w kostkach. - Zapewniam cię, że wrażenia są niezapomniane. Będziesz potem wspominał słowa jej książęcej mości, która w dwóch zdaniach podsumuje gospodarstwo. Kiedy wrócisz na śniadanie po porannej przejażdżce, usłyszysz głos księcia dobiegający z jadalni. Będziesz obserwował, jak żona radzi sobie z twoimi rodzicami, prawie wcale nie podnosząc głosu. Zobaczysz łzy w oczach jej książęcej mości, kiedy weźmie na rękę twojego pierworodnego. I zauważysz, że jego książęca mość podaje żonie rodową chusteczkę, a sam przeklina bez powodu i stara się nie wyglądać na przejętego.

- Rodowa chusteczka? - Val nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Wiem o liściach truskawek i o herbie, ale chusteczka?

- W porządku, niech będzie małżeńska chusteczka. Na pewno też taką masz.

- Zawsze mam przy sobie co najmniej dwie. Kiedy się ożeniłem, zastanawiałem się, czy kobiety odznaczają się większą skłonnością do płaczu, oczywiście, z wyjątkiem naszych sióstr. Bo zauważyłem, że one nie płaczą.

- Płaczą - stwierdził Westhaven już bez uśmiechu.

- Martwisz się o Maggie. To niewdzięczna rola. Wpada do pokoju z gazetą w rękę po przeczytaniu działu finansowego i za każdym razem, kiedy próbujesz powiedzieć jej o przystojnym kawalerze, którego nie można traktować jak skończonego głupka, Mags zaczyna trajkotać w kółko o jakimś świetnym interesie.

- Wysłuchuję cierpliwie jej trajkotania i mam nadzieję, że ty też. Podejrzewam, że Worth Kettering też jej słucha.

- Kettering nie ma siostry. Chętnie mu pożyczę jedną naszą.

Westhaven nie odzywał się przez chwilę, pieczętując list. Jego milczenie zwykle oznaczało, że nad czymś rozmyśla, więc Val również siedział cicho.

- To prawda, że martwię się o Maggie - przyznał cicho Westhaven. - Ale ostatnio zacząłem się niepokoić również o Sophie.

- Więc chyba lubisz się zamartwiać. Przecież nikt się nie martwi o Sophie. Jest solą ziemi i trzyma w ryzach cały dom. Nie martwimy się o Sophie, bo jest zawsze w pobliżu.

- Ale jednak nie pojechała do Morelands, prawda? I w tym rzecz.

Val nie mógł temu zaprzeczyć. Westhaven miał niemal maniackalną skłonność do wyszukiwania dokuczliwych i niepokojących drobiazgów. Jako młodszy syn, który mógł znaleźć własne miejsce na świecie, studiował prawo. Niestety, jego wspaniały umysł trwale na tym ucierpiał.

- Sophie ma prawo od czasu do czasu udzielać się towarzysko - przypomniał Val, ale to go wcale nie uspokoiło.

Po co Sophie miałyby odwiedzać sąsiadów, którzy mieszkają po przeciwnej stronie placu, skoro mogła spędzić ten czas z rodziną na wsi? Val pamiętał siostry Chattell i uważał, że nie są na tyle sympatyczne, aby mogło to usprawiedliwić decyzję Sophie.

- Przecież udziela się towarzysko z wielkim wdziękiem, podobnie jak wszystkie nasze siostry. - Westhaven zaczął stukać w biurko brzegiem listu, a następnie odwrócił go o dziewięćdziesiąt stopni i zrobił to samo drugą krawędzią. - Nie podoba mi się, że została w Londynie, skoro mogła pojechać na wieś, śpiewać z innymi kolędy, przystroić hol i dopilnować pozostałych członków rodziny. Sophie jest troskliwa jak kwoka.

- Pojedziemy do Londynu i zabierzemy ją do Morelands. I przekonasz się, że w przypadku Sophie naprawdę nie ma się czym martwić. W najmniejszym stopniu. Jeśli skończyłeś pisać, to zrób mi miejsce przy biurku. Chciałbym skreślić kilka słów do żony.

- Już późno - powiedział Westhaven, wstając. - Możesz napisać do niej jutro.

- Jutro ruszamy w drogę, a przypuszczam, że im bliżej Londynu, tym gorsza śnieżycyca.

- Przecież nie ma pośpiechu - zauważył Westhaven, przeciągając się leniwie. - Jeśli nie liczyć faktu, że im szybciej załatwimy tę sprawę, tym prędzej spotkamy się z żonami. A tego przecież gorąco pragniemy.

- Racja - powiedział Val, wyjmując korek z kałamarza. - Po kiego diabła mamy się spieszyć?

Vim spojrział na kołyskę, z której zerknęła na niego para niezbyt sennych niebieskich oczu.

Niemowlęta nie mają zwyczaju zasypiać tylko dlatego, że dorośli tego chcą. To pierwsze prawo dziecięcego kodeksu. W oczywisty sposób wynika z tego druga reguła, że dzieci brudzą pieluchy wtedy, kiedy innym zależy na tym, by były czyste.

Dotyk palców Sophie Windham kreślących esy-floresy na jego uchu wystarczył, aby i jemu przeszła ochota na spanie. Nie chciał patrzeć, jak Sophie szykuje się do snu, ale intymny i swojski charakter tych czynności budził w nim niezwykłą fascynację.

Spojrzął przelotnie na jej ciemne, jedwabiste włosy spływające kaskadami na biodra i od razu poczuł przemożne pragnienie, by do niej podejść. Powstrzymywało go jedynie to, że jego podniecenie było aż nadto widoczne.

Cała ta sytuacja nie miała najmniejszego sensu. Sophie dała do zrozumienia - w delikatny kobiecy sposób - że jest gotowa zaspokoić jego pożądanie, choć nie obiecywała niczego więcej. Vim z kolei nie miał wątpliwości, że jej pragnie. Jednak skala i siła tego uczucia były dla niego czymś zupełnie nowym i trudnym do pojęcia.

I właśnie z tego powodu zachowywał ostrożność pomimo jej wyraźnej chęci. Wydawało się to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, a w takich sytuacjach to powiedzenie okazywało się na ogół trafne. Święty Mikołaj istnieje tylko w sercach niewinnych dzieci, a z tęczy nie sypią się okruchy złota w miejscu zetknięcia z ziemią.

Sophie Windham nie była stworzona do tego, aby stać się dla mężczyzny przypadkową świąteczną igraszką. A jednak... Nie chciał jej rozczarować.

Vim zerknął na kołyskę. Dziecko w końcu zasnęło. Otulił kocami małego cherubinka i wstał, aby przysunąć osłonę do kominka.

Następnie podszedł do łóżka Sophie i tkwił tam w milczeniu przez długą chwilę, niezdolny do podjęcia decyzji. Wiedział, że rano nie usłyszy żadnych wymówek, obojętnie, czy wejdzie do łóżka Sophie i uśnie przy jej boku, czy też zostaną skazani na uspokajanie dziecka.

Nie będzie go też o nic obwiniała, jeśli spędzą pełną namiętności noc.

- Sophie? Czy zaciągnęłaś zasłony, aby dać mi do zrozumienia, że nie będę mile widziany w twoim łóżku? - zapytał szeptem.

Jeśli chciała oszczędzić im obojgu zakłopotania, mogła udać, że śpi. W następnej chwili przez Vima przetoczyła się fala emocji: nadzieja, oczekiwanie, pożądanie... A gdy milczenie Sophie się przedłużało, poczuł również rozczarowanie z odrobiną ulgi. Być może źle odczytał wysyłane przez nią sygnały...

Zasłona poruszyła się i ujrzał Sophie siedzącą w półmroku.

- Jesteś mile widziany.

Nie był w stanie dostrzec wyrazu jej twarzy, a ton głosu brzmiał obojętnie.

- W takim razie za chwilę wracam.

Zaciągnął zasłonę i szybko zrobił to, co należało, starając się nie hałasować - podniósł kołyskę z dzieckiem i całym majdanem, po czym ruszył ciemnym korytarzem do swojego pokoju, w którym było na tyle ciepło, że mógł odgrywać rolę tymczasowej kwatery Kita.

Zrzucił z siebie rzeczy, które wylądowały na podłodze, obmył się zimną wodą i bardzo dokładnie wyczyścił zęby proszkiem. Włożył brokatowy szlafrok i spojrzał na kołyskę.

- Jeśli wiesz, co jest dobre dla ciebie i dla panny Sophie, to będziesz spał przynajmniej przez najbliższą godzinę. Ale byłoby miło z twojej strony, gdybyś pospał nawet dwie. Jeżeli

wyświadczysz mi tę przysługę, to kupię ci kucyka, jak tylko nauczysz się czytać.

Wyślizgnął się na korytarz, zostawiając lekko uchylone drzwi -tylko tyle, by usłyszeć płacz dziecka, ale nie wpuszczać chłodu do pokoju.

Kiedy bezgłośnie zamknął za sobą drzwi sypialni Sophie, jego zapał przeobraził się w niepewność.

Może powinien się zastanowić? Może to wcale nie taki mądry pomysł? Przyjął założenie, że zachowanie Sophie wskazuje, iż ma ochotę na miłosne zbliżenie, ale jednak pozostawało to tylko przypuszczeniem, bez względu na to, jak żarliwie go całowała. Poza tym nawet przy zachowaniu środków ostrożności zawsze istniało ryzyko konsekwencji.

Odsunął zasłony, gotów wziąć na siebie te konsekwencje, jeśli to oznaczało, że przyjąłby wtedy także Sophie. Nie odwróciła się przodem, kiedy Vim zrzucił szlafrok, stanął więc niezdecydowany z kolanem na materacu, a drugą nogą na podłodze.

Sięgnęła za siebie i odkryła kołdrę. Vim wsunął się w ciepłą przestrzeń i wyciągnął wzdłuż cudownie wyrzeźbionej linii kobiecych pleców. Miała na sobie nocną koszulę, co uznał za dobrodziejstwo. Z jej ust wydobył się dziwny odgłos przypominający szloch. Jak mógł planować, że ją uwiedzie, skoro Sophie płakała?

- Nie chciałaś rozmawiać o swoich braciach - powiedział, przesuwając dłońmi po linii jej kręgosłupa. Zamiast podniecenia czuł teraz wyrzuty sumienia.

- Nigdy o nich nie rozmawiamy.

- Kiedy umarł mój ojciec, byłem małym chłopcem. Nie rozumiałem, dlaczego nie można o nim rozmawiać, ale matka właśnie w taki sposób przeżywała żałobę. Na szczęście ciotka i stryj wiedzieli, że mam potrzebę, by rozmawiać o moim tacie. W pokoju do nauki wisiały rysunki ojca, które stryj mi pokazał. Potem sam próbowałem rysować, wzorując się na nich.

Zerknęła na niego przez ramię.

- To pierwsza miła rzecz, jaką powiedziałeś o swoim domu i rodzinie.

- To urocze miejsce, ładnie położone, wygodne i...

- Tak?

Położyła się, więc nie widział już jej twarzy.

- Przytul się do mnie, Sophie Windham. Skoro mam odpowiadać na twoje pytania, to muszę się wygodnie ułożyć.

Przygarnął ją do siebie na tyle blisko, aby poczuła, że nadal jest podniecony.

- Panie Charpentier, pan jest nagi!

- Wkrótce ty też będziesz, jeśli tylko zechcesz.

- Opowiedz mi o Sidling.

A zatem czekały go długie tortury, o ile w ogóle dobrze odebrał wysyłane sygnały. Tak czy siak, była to najmilsza tortura i wiedział, że dołoży wszelkich starań, aby zadowolić Sophie.

- Sidling zostało wzniesione w czasach Wilhelma Zdobywcy, jeśli wierzyć opowieściom mojego dziadka. W obrębie posiadłości znajduje się ruina z czasów normańskich, prawdopodobnie rodzaj wieżyczki strażniczej. Teren jest pofalowany, ale nadaje się pod uprawę. Droga dojazdowa ciągnie się prawie milę, a po obu jej stronach rosną dęby, niektóre ogromne. Kiedy byłem mały, wichura powaliła jeden z nich. Zacząłem liczyć pierścienie drzewa, ale przy czterechsetnym dałem sobie spokój. Te w środku były tak małe, że nawet nie dało się ich policzyć. Dziadek powiedział, że powstały w trudnych, zimnych latach.

- Drewno z zimnych regionów jest bardzo trwałe. Mój brat studiował budowę skrzypiec i mówi, że najlepsze do tego celu jest drewno z północy.

- Twoi bracia to interesująca gromadka.

Ale jej biodro było równie interesujące. Piękna i gładka wypukłość łącząca nogę z pupą, doskonale pasująca do jego dłoni.

- Opowiedz mi o stryju i jego żonie.

Czy westchnęła lekko, czy tylko mu się zdawało? Pochylił się i pocałował ją w policzek, aby wy badać sprawę. Po chwili zaczął mówić dalej, przytulając twarz do jej włosów.

- Stryj jest twardym, zaprawionym w bojach człowiekiem. Był drugim synem, ale najstarszy brat umarł, zanim się urodziłem.

Mój ojciec pojawił się na świecie, aby w razie czego miał kto dziedziczyć, ale podobno zawsze był słabego zdrowia. Za to dziadek miał energii za dwóch, a kiedy umarł, zostawił czwartą żonę. Był święcie przekonany, że będzie z nią miał kolejnych synów.

- A zatem pochodzisz z żywotnej rodziny.

Fakt. O jego żywotności świadczyło narastające pulsowanie między nogami. Z trudem skupiał się na rozmowie.

- Stryj ma wiele energii, podobnie jak ciotka. Są dumni i niezależni. Pozwolili mi wałęsać się po świecie przez pół życia i nigdy o nic nie prosili.

Jego dłoń znieruchomiła na biodrze Sophie, przyszło mu bowiem do głowy, że niechęć do Sidling wynika w dużej mierze z poczucia winy. Nie chodziło o przykre wspomnienia z przeszłości, dawne żale, niecierpliwość... Czuł się winny, że chcąc wymazać z pamięci złe wspomnienia - najgorsze, jakie miał - odwrócił się plecami do ludzi, którzy go pokochali, kiedy był takim brzdącem jak Kit.

Sophie przytrzymała jego dłoń na swojej talii.

- Martwisz się, że zostawiłeś ich samych. Że tak długo cię nie było.

- Tak.

Trafiła w sedno. Sam nie wyraziłby tego lepiej. Vim otoczył ją mocno ramionami i w zamyśleniu przytulał przez długą chwilę. Mógł z nią rozmawiać i flirtować przez całą noc albo zebrać się na odwagę i zadać jej proste pytanie.

- Sophie, czy mogę ci sprawić przyjemność?

5

Między kobietami i mężczyznami istniał tajemny język, którego Sophie nie musiała do tej pory zgłębiać. Składał się ze spojrzeń, figlarnych aluzji, subtelnych poruszeń wachlarza, a nawet kodu

kwiatowego, gdyż wybór gatunków do bukietu i ułożenie ich pod pewnych kątem też miało swój sens. Różnił się on od słownictwa, które znała z salonów i komnat balowych, był bardziej obciążony znaczeniami i emocjami.

Kiedy Vim zapytał, czy może jej sprawić przyjemność, nie potrafiła w pełni ogarnąć znaczenia tych słów, ale jej ciało doskonale rozumiało, w czym rzecz. Obiecywał aksamitnym barytonem, że będzie ją całował, przytulał i prawdopodobnie połączy swoje ciało z jej ciałem.

- Ofiarujemy przyjemność sobie nawzajem - odpowiedziała, leżąc w jego ramionach.

Nie podjęła tej decyzji w ogniu namiętnych pocałunków, ale w momentach wycieszenia, kiedy obserwowała, jak Vim bawi się z dzieckiem; słuchała go czytającego wiersze; patrzyła, jak na przejmującym mrozie podczas śnieżycy odgarnia śnieg ze ścieżki do wychodka.

- W takim razie będziesz musiała zdjąć nocną koszulę. Położył dłoń na jej ramieniu. Serce Sophie zaczęło walić jak

oszałałe. Zastony wokół łóżka nie przepuszczały światła, w środku było przytulnie i ciepło, mimo to przytrzymała jego dłoń. Przesunął palce w dół jej ramienia.

- Później - powiedział. - W końcu ją zdejmiesz. Przytulę cię. Tym razem to nie było pytanie, tylko decyzja. Ale Sophie i tak

była pewna, że gdyby zmieniła teraz zdanie i kazała Vimowi opuścić łóżko, to może nie byłby tym zachwycony, ale pocałowałby ją w nos i poszedł spać do swojego pokoju.

Rano zachowywałyby się tak uprzejmie jak zwykle, okazywał jej szacunek, a może nawet sympatię, a po śniadaniu wyruszyłyby w drogę. I już by go nie było.

Sophie ułożyła się wygodniej na plecach. Nie chciała zadawać pytań, by się nie domyślił, że jest nowicjuską, więc go pocałowała. Uniosła się nieco i obejmując dłonią podbródek Vima, przycisnęła usta do jego warg.

Broda Vima pod koniec dnia była szorstka i kłująca. Rozkoszowała się tym drobiazgiem, jakby odkryła jeszcze jedną tajemnicę

z intymnego świata dorosłych. Wyczuła smak proszku do zębów i zapach mydła z bergamotką. Pocałował wnętrze jej dłoni.

- Musisz mi powiedzieć, co ci sprawia przyjemność, Sophie.

- Niełatwo o tym mówić.

Zwłaszcza w tym momencie, gdy była tak zaabsorbowana szorstkością jego podbródka, wargami, nosem, włosami, kształtem głowy, którą podtrzymywała dłonią.

- Zatem pokaż mi to. Połóż moje dłonie w miejscach, których mam dotykać, i sama dotykaj mnie tam, gdzie lubisz.

- Chcę cię dotykać wszędzie.

Wydawało jej się, że się cicho roześmiał, a może jęknął z przyjemności, ale powiedziała szczerą prawdę. Vim był zdrowym nagim mężczyzną. Żałowała, że nie zostawiła zapalanej świecy i odsłoniętych zasłon, ale zabrakło jej odwagi.

Mogła go poznawać tylko rękoma. Leżał spokojnie, a Sophie badała dłońmi klatkę piersiową, tę ciepłą, gładką płaszczyznę zbudowaną z kości i mięśni, skrywającą bijące serce. Kiedy musnęła dłonią sutek, wciągnął ze świstem powietrze.

- To dla mnie tak samo wrażliwe miejsce jak dla ciebie. Pewne części ciała są bardziej czułe na dotyk od innych. I to jest cudowne

Istotnie cudowne. Przez materiał nocnej koszuli poczuła na swojej piersi ciężar jego dłoni, od której pobiegły w dół ciała przyjemne ciepłe impulsy. Bezwiednie wygięła plecy, aby lepiej poczuć jego dotyk, a kiedy delikatnie zamknął palce na jej sutku, zabrakło jej tchu.

- Widzisz? To działa tak samo.

Vim pieścił jej pierś przez materiał, a potem pochylił głowę i uczynił to samo zębami, wywierając delikatny, podniecający nacisk

Ta pieszczota odbierała jej rozum, więc szybko poszukała jego sutka i zaczęła naśladować Vima.

- Właśnie tak - powiedział, odrywając nieco usta od jej ciała. Nocna koszula była mokra w miejscu, które pieścił, wywołując przyprawiające o szaleństwo, przyjemne doznania w całym ciele Sophie. Czy chciał, aby też pieściła go ustami?

- Przestań myśleć, Sophie.

Oderwał usta od piersi Sophie i przycisnął je do jej warg.

Oszalamiające, cudowne, potężne doznanie... Przechesała palcami jego włosy i poddała się cudownego uniesieniu. Ten mężczyzna dokładnie wiedział, co robi. Jego atak był subtelny i zarazem żarliwy, smakował ją, splatał język z jej językiem, aż w końcu Sophie bezwiednie zarzuciła nogę na jego biodro, aby przyciągnąć go bliżej.

O Boże, chciałyby, aby to trwało wiecznie. Chciała, żeby pokazał jej wszystko, co powinna wiedzieć, i poznawał z nią ten nowy ład, jedyny w swoim rodzaju dla nich obojga. Doprowadzał ją do szaleństwa pocałunkami, a jednocześnie jego wspinała, ciepła dłoń spoczęła na jej piersi.

- Vim...

- Powiedz mi, czy to lubisz. - Zamknął dłoń na jej piersi, ściskając delikatnie jej sutek. - Boja to lubię. Lubię trzymać cię w ramionach, Sophie. Lubię twój smak, lubię czuć twoje dłonie na moim nagim ciele.

- Nagie ciało... - Ta nagość ją zachwycała. Przesunęła dłoń po jego biodrze, złapała go za pośladek i przyciągnęła do siebie. -Lubię twoją nagość. I to bardzo.

Zamknął wargi na jej ustach, a Sophie w oszołomieniu ledwo poczuła, że jej nocna koszula wędruje bardzo wolno w górę, odkrywając uda.

Nagość była zachwycająca. Tak bardzo chciała też być naga. Ta paląca, gorąca bliskość była spełnieniem jej pragnień. Rozpalała płomień we wszystkich zakamarkach jej ciała i umysłu, które stygły podczas długich lat oczekiwania. Położyła dłoń na jego ręce, która przesuwała się w górę nogi.

- Sama ją zdejmę - powiedziała, nie odrywając warg od jego ust, i poczuła, że Vim się uśmiecha. Odsunął się trochę.

- Tylko się pospiesz, bo podrę ją na kawałki.

Gdy wyobraziła sobie, jak rozrywa jej nocną koszulę, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Przełożyła materiał przez głowę i rzuciła w nogi łóżka.

- Jestem naga.

Te słowa wcale nie zabrzmiały głupio. Było to najodważniejsze i najprzyjemniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek wypowiedziała. Tak, była naga i on również był nagi, leżeli w tym samym łóżku, a jej ciało pulsowało i drżało w rytm nieznanej, ale przyjemnej muzyki.

- I co ja teraz zrobię z nagą kobietą? - zamruczał. - Co zrobisz ze mną? Położył się na plecach, a Sophie przez chwilę była w kropce.

- To, co robiłeś przed chwilą, było bardzo miłe - powiedziała, przykrywając się.

- Mógłbym cię całować i pieścić całą wieczność, kochana, ale musimy zaspokoić twoje pożądanie, bo w przeciwnym razie okaże się, że na darmo wchodziłem do tego łóżka.

- Jak możesz być taki opanowany? - zapytała, niewiele myśląc. Uświadomiła sobie, że zrzucenie koszuli odkryło inne wrażliwe rejony jej ciała, o których istnieniu nie miała pojęcia.

Uniósł się i położył dłonie na jej ramionach.

- To żelazna samodyscyplina. Gdyby nie ona, rzuciłbym się na ciebie jak satyr - wyznał głębokim głosem, który świadczył o szczerości słów.

- Satyrowie wydają się szczęśliwymi istotami - zauważyła Sophie, a Vim tymczasem podniósł ją. Uświadomiła sobie, że chce, aby usiadła na nim okrakiem.

Dobry Boże, czy dlatego kobiety zawsze jeżdżą konno po damsku? Siedziała na nim jak na wierzchowcu, mając pod sobą całą męską wspaniałość, i przyciskała kolana do jego bioder. W tej pozycji poczuła się frywolna i zuchwała.

- Satyrowie podobno umierali po zaznaniu cielesnej rozkoszy. Chodź tu, Sophie, pocałuj mnie.

Vim zmieniła nieco pozycję, wprowadzając nowy element gry. Sophie odbierała to instynktownie, ale chwilę trwało, zanim zrozumiała, na czym polega ta zmiana.

- Chcesz, żebym się z tobą kochała. - Przejechała dłonią po jego piersi.

- Kiedy leżałam na plecach, ty się ze mną kochałeś.

Chwycił jej dłonie błędzące po jego klatce piersiowej i pocałował końce palców.

- Ja kocham się z tobą, a ty ze mną, Sophie - powiedział z niezachwianą powagą, bez cienia flirtu i przekomarzania. - Jestem tu po to, by dać ci rozkosz, i sam ten fakt sprawi mi przyjemność, która będzie trwała nawet wtedy, gdy minie ta noc.

Skuliła się na jego piersi, czując nagłą potrzebę, by ukryć twarz w zagłębieniu jego szyi. Otoczył ją ramionami i gra znowu się zmieniła.

Właściwie nie była to już gra. Rano wyjedzie, a Sophie mu na to pozwoli. Tak się to wszystko skończy, bez względu na to, ile rozkoszy da im ta noc.

Przez długi czas leżała wtulona w jego ramiona, a Vim wolnym ruchami błędził po jej plecach. Przyciskała brzuch do jego sztywnego członka, silnego i ciepłego, ale zastygłego w uśpieniu.

- Będę za tobą tęskniła, Vim.

- To mnie trochę pociesza, Sophie, chociaż nie chciałbym cię zasmucać. Ja też będę za tobą tęsknił.

To samo powiedzieli kilka godzin wcześniej, ale gdy leżeli przytuleni w ciemności, przejmujące wyznanie nabrało innego ciężaru. Sophie odgarnęła włosy z jego czoła, położyła dłoń na głowie Vima i przytknęła usta do jego warg.

Włożyła w ten pocałunek tyle tęsknoty i pragnień, ile tylko umiała, a gdy odpowiedział pocałunkiem, poczuła, że nasycił go czymś głębszym, bardziej intymnym. Bez pośpiechu przesunął dłoń po jej nagich plecach, nie omijając żadnego skrawka. Gdy na koniec przejechał językiem po linii jej warg, Sophie miała uczucie, że stara się zapamiętać jej ciało.

- Spokojnie, Sophie - powiedział cicho z ustami przy jej szyi. Przesunął nosem po jej uchu, a potem uniósł ją nieco, aż nad nim zawisła, i przesunął nosem po jej piersi.

- Vim... pragnę...

- Tak.

Zamknął usta na jej sutku i ssał go w powolnym, oszalamiającym rytmie, rozpalając wszelkie możliwe żądze w ciele Sophie.

W jej łonie. Kołysała jego głowę w dłoni, przytulając go do siebie i przyswajając doznania, które nią wstrząsały.

Czułość, ogromna, trudna do zniesienia czułość wobec mężczyzny, który dawał jej taką rozkosz. Pożądanie, gorące, niecierpliwe, nieznane, ale po raz pierwszy w życiu witane z radością.

- Poruszaj się na mnie, Sophie. Zrób sobie przyjemność. Wygiął się w jej stronę, przyciskając twardy członek do jej łona. „Poruszaj się na mnie, Sophie”, dźwięczało jej w głowie. Chciała się poruszać, chciała ocierać się o niego, wchłonąć go w siebie, poczuć głęboko we wnętrzu.

- W ten sposób. - Vim położył dłonie na jej biodrach i pokazał, jak ma się ocierać o jego męskość. Sophie tylko cicho jęczała.

I chociaż było w tym coś nieczystego, ruch i dotyk wywoływały wrażenia nie do opisania.

Gdy znalazła właściwy rytm, puścił jej biodra i położył jedną rękę na jej piersi, a drugą otoczył jej plecy. Był jej przewodnikiem, ale sam niczego nie wymagał.

- Nie spiesz się. - Słowa wypowiedziane szeptem przedarły się przez mgłę przyjemności i coraz większego oszołomienia. -Masz całą noc.

To nie był akt seksualny. Sophie miała pięciu braci i wiele czasu spędzała w stodołach i stajniach w różnych rodzinnych rezydencjach. Wiedziała, że kopulacja wygląda inaczej.

I to była jej ostatnia świadoma myśl. Jej ciało pulsowało gorącą, dziką żądzą, podsycaną pieszczotami Vima, który ścisnął palcami jej sutki i miażdżył wargi w pocałunku, ocierając jednocześnie twardy członek o zwieńczeniej jej ud.

Starła się oddzielić od siebie te wszystkie doznania, odbierać je pojedynczo, aby zapamiętać każde z nich, ale jej siły obronne słabły z każdą chwilą.

- Vim, nie mogę... nie...

Nie mogła myśleć, dobrać właściwych słów, gdyż dotyk ciała Vima wywoływał w niej gwałtowną burzę zmysłów.

- Rozluźnij się, Sophie. Leć, wznies się w powietrze... Dogonię cię.

Przyłożył kciuk do takiej części ciała Sophie, której nawet nie potrafiła nazwać. Do małego koniuszka na skraju jej kobiecości, w którym natychmiast skupiły się wszystkie zmysły Sophie.

- Co ty...?

- Ciii, Sophie, moja kochana. Dogonię cię... Rytmicznie pocierał kciukiem ten skrawek jej ciała. Ta prosta

i wyrachowana pieszczota spowodowała na Sophie prawdziwą lawinę cudownej rozkoszy, która trwała niemal bez końca, wprawiając jej ciało w paroksyzmy. Usłyszała swój głos, ni to westchnienie, ni to jęk, błaganie bez słów, ale Vim nie przestawał jej pieścić, aż dyszała bez tchu i zawisła nad nim wsparta na ramionach.

- Wielkie nieba... Wielkie nieba...

Wzbiła się w powietrze, wleciała wysoko, w jego ramionach wyzbyła się ziemskiego ciężaru - smutek, samotność, krępujące zasady, oczekiwania rodziny, jej własne ciało, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość rozplynęły się w oszalamiającej rozkoszy, jakiej doznawała w jego ramionach.

- Trzymaj mnie mocno, Sophie - wyszeptał ochryple z ustami przy jej szyi.

Wsunęła rękę pod jego szyję, uświadamiając sobie nagle, że nie dzielił z nią tej niewyobrażalnej przyjemności.

To nadal nie był pełny akt seksualny. Vim zaczął poruszać się w podobny sposób co poprzednio. W ciało Sophie znowu uderzył grad przyjemnych dreszczy. Przywarła do niego, czując, że jest to konieczne jak oddychanie. Vim obejmował mocno jej biodra, przyciskając członek do jej kobiecości. I znowu poczuła, że wzbiera w niej ta sama olśniewająca rozkosz.

- Wielki Boże, Sophie... - wychrypiał.

Ciałem Sophie znowu wstrząsały urywane konwulsje, ale tym razem zlokalizowane niżej, ostrzejsze i bardziej intensywne niż przedtem. W tym samym momencie poczuła wytrysk ciepłej wilgoci. Ich ciała były tak blisko siebie, jak to tylko możliwe, aż do momentu gdy Sophie opadła na Vima bez tchu, pijana i oszołomiona, unosząc się jeszcze na fali rozkoszy.

- Och, ty.

Vim pocałował ją w policzek. A Sophie zastanawiała się, jaki ton dominował w jego głosie. Uczucie, ale także zdziwienie. I może nuta żalu?

Wtuliła się w niego, pragnąc tylko jednego - być blisko niego i leżeć w jego objęciach.

- Wzbiłaś się w powietrze, Sophie Windham. Poszybowałaś wysoko, jeśli się nie mylę.

- Tak wysoko, że nie widziałam ziemi.

- To dobrze. - Przejechał dłonią po jej włosach. - To dobrze. W milczeniu gładził włosy Sophie powolnymi ruchami. Czowała, że opadają jej powieki.

Nie chciała zasypiać. Wolałaby zachować w pamięci te ciepłe, piękne i niewyobrażalnie intymne chwile z mężczyzną, który potrafił zabawić porzucone dziecko tylko po to, aby zobaczyć jego uśmiech.

Z mężczyzną, który rano ją opuści.

Umysł Vima dryfował na fali seksualnego spełnienia, wrażenia przyływały do niego jedno po drugim w dość szybkim tempie. Sophie leżała na jego piersi i walczyła z sennością. Wiotczący członek spoczywał w ciepłej mazi między ich brzuchami. Vim odczuwał prawdziwie zmysłową przyjemność, głaszcząc Sophie po włosach.

Z natłoku emocji i zmysłowych doznań kłębiących się w mózgu zdołał wyłowić trzy powody, które sprawiły, że nie skorzystał z pełni rozkoszy, którą podarowała mu Sophie.

Po pierwsze, aby mieć pewność, że akt seksualny nie zaowocował żadnymi konsekwencjami, musiałby pozostawać z nią potem w kontakcie.

Różniła się pod wieloma względami od innych kobiet, z którymi miał do czynienia. Pragnął spędzać z nią czas, nie tylko w łóżku, ale także w salonie, kuchni, stajni. Lubił na nią patrzeć, i to w każdej sytuacji - gdy zajmowała się dzieckiem, piekła ciasto, zaplatała warkocze w świetle dogasającego kominka. Wiedział,

że mogłoby to zaowocować trwalszym związkiem. Tylko że Sophie nie myślała o małżeństwie.

I mimo że Vim wiedział, iż poślubienie Sophie byłoby problematyczne - chciałyby zapewne zamieszkać na południu, blisko rodziny, a dla Vima nawet krótkie wizyty w hrabstwie Kent były trudne do zniesienia - dręczyła go myśl, że Sophie okazuje obojętność dla tego pomysłu.

Pozostawanie w kontakcie z kobietą, którą dla własnego dobra powinien jak najszybciej wyrzucić z pamięci, wydawało mu się niemądre.

Drugi powód, który zadecydował o tym, że odmówił sobie i jej przyjemności całkowitego zespolenia, miał ścisły związek z tym pierwszym. I tak będzie mu trudno zapomnieć o dniach spędzonych z Sophie, a gdyby jeszcze pozwolił sobie wytrysnąć w jej słodkim gorącym wnętrzu, wspomnienia nigdy by go nie opuściły. Trzecia przyczyna była czysto praktyczna, ale najtrudniejsza do pominięcia. Wiedział, że gdyby kochał się z nią bez ograniczeń, bez zahamowań, to potem po prostu nie mógłby jej opuścić.

Już kiedyś zrobił z siebie skończonego głupca wobec kobiety i uważał, że raz w zupełności wystarczy.

Sophie podniosła głowę i przerzuciła rozpleciony częściowo warkocz przez ramię.

- Powinam zajrzeć do dziecka.

- Ja to zrobię. I tak muszę się umyć. Zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, co teraz zrobimy. Pójdziemy spać? Każde z nas do swojego łóżka?

Starła się zmusić do myślenia mimo natłoku wrażeń, ale wyczuwał w tych pytaniach wahanie i lęk przez zranieniem.

- Zajrzę do Kita i przyniosę ci ręcznik, a potem porozmawiamy.

Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Wielki Boże, czy sądziła,

że po prostu odejdzie tym zimnym korytarzem i położy się spać samotnie, skoro mógł zostać w ciepłym łóżu kobiety, na której łonie jeszcze nie ostygło jego nasienie?

Poszukał po omacku szlafroka, włożył go, ale nie zawiązał, licząc, że zimne powietrze ostudzi zmysły i otrzeźwi otumaniony umysł. Jak na kobietę, której zależało na cielesnych przyjemnościach, Sophie Windham wydawała się mało wyrafinowana. Widocznie rzadko miała okazję do zbliżeń albo poprzednie związki nie były na tyle udane, aby dodać jej pewności siebie.

Wiedział z doświadczenia, że wystarczyło jedno nieudane podejście, aby zrujnować pewność siebie. I dotyczyło to zarówno mężczyzn, jak i kobiet, bez względu na wiek. Z jednej strony miał ochotę ją o to spytać, jednak z drugiej wiedział, że wówczas miałyby prawo wymagać podobnych wyznań od niego.

Wszedł do swojej sypialni. Kit spokojnie spał w kołysce.

- A więc dostaniesz kucyka. Małego i tłustego, łaciatego, który najbardziej na świecie będzie lubił przeżuwać siano w stajni. Musisz nadać mu jakieś pompatyczne imię, na przykład Bucefał albo Orion, a na osobności używać pieśczośliwego zdrobnienia.

Vim oczyścił się z nasienia kilkoma sprawnymi ruchami, wziął kołyskę i wrócił do pokoju Sophie.

Dołożył do ognia, zmoczył i wykręcił ręcznik, a potem zawiesił na osłonie przy kominku, aby się trochę ogrzał. Starał się nie myśleć o tym, jakim pieśczośliwym słowem powinien nazywać Sophie.

„Kochana. Moja kochana”. Już ją tak nazwał. „Słoneczko, skarbie. Moja droga...”

Rozsunął zasłony przy łóżku. Spodziewał się, że może już spać, ale leżała na plecach i spojrzała na niego z powagą. Vim odkrył ją i zaczął ścierać zasychającą lepką maź z jej brzucha.

- To bardzo intymna czynność - powiedziała cicho, śledząc wzrokiem ruchy jego ręki. - Ale mogliśmy zdecydować się na większe zespolenie, prawda?

Vim rzucił ręcznik w stronę osłony przed kominkiem.

- Kobiety są odważniejsze niż mężczyźni. - Położył się na plecach i przykrył ich. - O wszystkim potrafią otwarcie rozmawiać, podczas gdy mężczyźni wolą iść na wojnę, aby tylko uniknąć takich dyskusji. Chodź do mnie.

Wtulila się w jego bok, opierając głowę na ramieniu Vima.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy tchórzliwi.

- To nie tchórzostwo. Jesteśmy po prostu trochę inni. To męska powściągliwość.

Jej dłoń powędrowała na jego tors i policzyła żebra, stawiając wyzwanie męskiej powściągliwości. Pieszczoty Sophie były odmienne niż dotyk kobiet, z którymi do tej pory się spotykał. Jakby mózg bezpośrednio przekazywał informacje o przyjemności, pomijając słowa i obrazy. To był cudowny, czuły i słodki dotyk, niosący ukojenie i zarazem podniecający.

- My nie całkiem... - Wzięła głęboki oddech. - Nie chciałeś się ze mną połączyć.

- Na miłość boską... - Zanurzył usta w jej włosach, czując wzbierający śmiech i coś jeszcze, może miał ochotę rzucić czymś ciężkim, może zrobić coś innego, nie wiedział. - Oczywiście, że chciałem. I nadal chcę, ale musimy liczyć się z konsekwencjami, Sophie. Czasami są one nieodwracalne, jak ten mały brzdąc, który śpi w kołysce przy kominku.

Nie odpowiedziała i miał nadzieję, że ją udobruchał, ale z drugiej strony, milczenie kobiety mogło oznaczać wszystko, zwłaszcza w takiej sytuacji.

- Zależy mi na tobie, Sophie. Zależy mi bardziej na tobie niż na tej chwili zapomnienia w twoich ramionach - powiedział to z pewną irytacją, ale poczuł jej uśmiech na nagiej skórze. I dziwny dreszcz w miejscu, które dotąd nie wydawało się szczególnie wrażliwe na pieszczoty.

Przesunęła rękę niżej i objęła jego jądra, a później członek.

- Śpij już, Sophie Windham - powiedział, ale nie odsunął jej dłoni.

- Już zakończyliśmy rozmowę?

- Ja się nagadałem. Obnażyłem przed tobą przeklętą duszę. Ale nie przypuszczam, abyś ty chciała wyjawic jakieś tajemnice.

Znowu poczuł jej uśmiech.

- Mnie też na tobie zależy.

- Wspaniale. Czy teraz możemy spać?

- Oczywiście.

I całe szczęście, bo dłużej by nie wytrzymał. Gdyby jeszcze kilka minut błędziła dłonią po jego ciele w milczącym oczekiwaniu, to sumienie, które nie dawało mu spokoju, kazałoby mu pewnie powiedzieć, że ją kocha. A to nie wyszłoby na dobre żadnemu z nich.

Rano wyjedzie. Wzruszające deklaracje uczuć, bez względu na to jak prawdziwe, tylko utrudniłyby rozstanie.

Do Sophie zaczynała docierać przykra prawda, że życzenie spełnione w połowie jest gorsze niż niespełnione.

Vimowi na niej zależało. Nie miała powodu wątpić w szczerłość tych słów. Jednak gdyby powiedział, że jej nie kocha, wyszłoby na to samo. Miała drobną złośliwą satysfakcję, gdy odwzajemniła się tym samym, jednak potem ogarnął ją smutek. Cieleśne uniesienia, w które ją wprowadził, były czymś wspaniałym, ale potraktowanie ich jako przypadkowych i niezobowiązujących sprawiło Sophie w zdumienie. Nie godziła się na to, by uznać ich kontakt za przygodny. Chciała - kolejny raz - aby Vim również przywiązywał do tego większe znaczenie.

- Dobrze, że nie musisz się tym przejmować. - Sofie podniosła Kita z sofy, na której zmieniała mu pieluszkę po obfitym śniadaniu złożonym z owsianki i jabłek oraz rozgotowanych marchewek. - Ty też będziesz za nim tęsknić, prawda?

Kit zamachnął się małą rączką w kierunku nosa Sophie, ale trafił tylko w policzek.

- Tak bardzo? Więc ty też nie chcesz, żeby wyjeżdżał, prawda? Przytuliła dziecko, czerpiąc z tego niemądre pocieszenie. Jego też straci, ale dopiero wtedy, kiedy pojawią się tu jej bracia.

Trzej bracia, którzy już i tak byli spóźnieni.

- Skąd ta poważna mina? - spytał Vim, stając w drzwiach do salonu z torbą podróżną w ręce. Nie wyglądał na smutnego, wydawał się rześki i gotowy do drogi.

- Martwię się o ciebie. Myślę, że powozy jeszcze nie kursują do Kentu.

- Chcę tylko wyjechać z miasta. Potem wynajmę konia, jeśli będę musiał. Z tego, co wiemy, śnieżycy miała raczej lokalny zasięg, więc na południe od miasta da się pewnie podróżować.

- Będiesz na siebie uważał?

Wielkie nieba, zachowywała się jak żona. Zamartwiała się niepotrzebnie i bez powodu. Vim postawił torbę i zamknął za sobą drzwi salonu.

- Sophie, połóż dziecko i chodź do mnie.

- Ciągłe mi mówisz, żebym do ciebie przysłała - odparła, ale położyła dziecko na podłodze wymoszczonej kocami.

- Wyjeżdżam, więc musisz mi ustąpić. - Wyciągnął ręce, a Sophie przytuliła się do niego. - Nigdy cię nie zapomnę, Sophie. Te dni spędzone z tobą i Kitem to były moje prawdziwe święta.

- Będę się o ciebie martwiła.

- Będę o tobie pamiętał w modlitwach, Sophie, ale nie musisz się o mnie martwić. Przemierzyłem cały świat i nic mi się nie stało. Burza śnieżna w Londynie mnie nie pokona.

Sophie nie potrafiła się od niego oderwać. Coraz mocniej ścisnęło ją w gardle, tak samo jak wtedy, kiedy Devlin i Bart wyjeżdżali na wojnę. Opierał podbródek na jej głowie, a Sophie czuła, że zaraz pęknie jej serce.

- Muszę jechać do Kentu - mówił, głaszcząc jej plecy. - Naprawdę nie mam ochoty wyjeżdżać, bo czekają mnie tam tylko przykre sprawy. Ale muszę. Te kilka dni z tobą...

Nie zwracała uwagi na jego słowa, skupiając się na dotyku, na brzmieniu głosu, na zapachu bergamotki, na ciepłe, które rozgrzewało całe ciało szybciej niż ogień na kominku.

- Pozwól, że pożegnam się z jego wysokością - powiedział, ale nadal ją przytulał, czekając, aż Sophie sama zbierze siły, by odsunąć się od niego. Trwało to dłuższą chwilę, ale nie poganiał jej.

- Pożegnaj się z panem Charpentierem, Kit.

Podawała mu dziecko. Gaworzyło wesoło w ramionach Vima.

- Drogi panie, bądź dobry dla panny Sophie. Żadnych dziecięcych wybryków. Masz być zdrowy, mówić „proszę” i „dziękuję”, kapać się wtedy, kiedy panna Sophie ci każe, nie

przeklinać przy damach i nie zrobić sobie krzywdy. Rozumiesz, co mówię?

- Bah!

- Panno Sophie, to będzie kawał nicponia. - Uśmiechnął się do dziecka i pochylił nad nim, a jego nos znalazł się w zasięgu rączek Kita. - Nie mogę wyjechać, jestem w niewoli - mówił przez zaciśnięty nos. - Obiecałem, że kupię chłopcu kucyka, kiedy nauczy się czytać.

- Dopilnuję tego. Bracia mi w tym pomogą, jeśli ich poproszę. Vim wyprostował się, delikatnie odrywając rączkę dziecka od nosa.

- Sam chciałbym to zrobić, Sophie. - Zbliżył się do niej i objął ją wolną ręką. - Mam tak wiele życzeń, ale to niczemu nie służy.

Dodatkowa chwila w jego ramionach była nie do przecenienia, a ostatnie stwierdzenie wydawało jej się nieco bardziej pocieszające niż wczorajsza deklaracja, że mu na niej zależy. Po raz ostatni syciła zmysły jego ciepłem i męskim zapachem.

- Życzenia bywają kłopotliwe.

Vim podał dziecko Sophie, pocałował ją w policzek i podniósł torbę z podłogi.

- Nie odprowadzaj mnie, Sophie, bo zmarzniecie oboje. Zaopiekuj się dzieckiem. Nigdy cię nie zapomnę.

Skinęła głową, walcząc ze wzbierającym płaczem.

- Damy sobie radę. Dziękuję ci... za wszystko.

Jeszcze raz pocałował ją w policzek i wyszedł, bezgłośnie zamykając drzwi. Po chwili podeszła do okna i patrzyła, jak idzie przez zaśnieżony ogród. Poruszał się bez trudu, jak podróżnik przyzwyczajony do rozmaitych przeciwności. Prawdopodobnie czuł teraz ulgę, że nareszcie wraca na szlak.

Zza chmur wyrzało słońce, rozrzucając na śniegu oślepiające iskry. Vim dotarł do tylnej bramy i obrócił się w słonecznym blasku, szukając wzrokiem okna salonu.

Sophie pokiwała Vimowi, a potem - naśladując infantylny gest wszystkich matek świata - podniosła rączkę Kita i pomacha-

ła nią również. Vim posłał im pocałunek, prześlizgnął się przez uchyloną bramę i zniknął.

Nie mogła bez końca stać przy oknie i wpatrywać się w bramę rozświetloną promieniami słońca, ale nie była też w stanie zostać w salonie, z którym wiązało się tyle cudownych wspomnień. Nie miała dokąd pójść, gdyż wspomnienia czaiły się również w kuchni, w sypialniach, w spiżarni, a nawet w łazience.

Wymościla więc wygodne miejsce dla dziecka w pralni, z której nie było widoku na ogród. Postanowiła prać tak długo, aż ramiona będą ją bolały z wysiłku, a ręce zaczerwienią się od ciepłej wody. Tam mogła przynajmniej spokojnie popłakać.

- Do wszystkich diabłów! Nie dostaniemy się dziś do Londynu, a jutro też może nam się to nie udać - rzucił St. Just, sprawdzając popręg i patrząc na braci.

Jak na ludzi, którzy nigdy w życiu nie brali udziału w wojennej kampanii, radzili sobie całkiem nieźle, nawet w tych trudnych warunkach.

- Ich książęce mości będą się martwić - zauważył Val, klepiąc po szyi swojego kasztana. - Ale Sophie powinna sobie poradzić.

Westhaven zacisnął usta.

- Za to ja nie dam rady. Tyłek mi odmarza. Powtarzam sobie, że lepszy mróz niż deszcz i błoto, ale zimne siodło to nic przyjemnego.

- Chciałem ci podłożyć owczą skórę pod arystokratyczne dupsko - przypomniał St. Just. - Nasz młodszy brat schował dumę do kieszeni.

Val faktycznie siedział na kawałku owczej skóry, którą St. Just fantazyjnie wymościł jego siodło.

- To dobry pomysł. Kiedy tyłek i jajka lądują w siodle, nie ma szoku z powodu zimna. Powinieneś spróbować, Westhaven.

- Może jutro, jeśli w ogóle wyruszymy w drogę.

- Powinniśmy się pospieszyć - stwierdził St. Just. Oddalali się od gospody, w której zjedli lunch złożony z chleba, sera i piwa. -

Ale wszyscy powtarzają to samo. Na południu drogi są przejezdne, ale na zachodzie śnieg utworzył miejscami głębokie zasy.

- Poczekamy do jutra i ruszymy na południe. Może śnieg stopnieje. - Val omiół wzrokiem lazurowe niebo, na którym nie było najmniejszej chmurki, przez co wydawało się, że jest cieplej. - Dobrze chociaż, że przywiozę z tej podróży skrzypce. Mały świąteczny prezent za to, że byłem grzecznym chłopcem.

Ta uwaga aż się prosiła o ripostę, toteż St. Just, wspierany przez Westhavena, przez następną godzinę dokuczał młodszemu bratu, przypominając wyczyny grzecznego chłopca. Skończyło się na długiej rozmowie na temat minionych świąt, łobuzerskich wybryków i psikusów oraz na snuciu rodzinnych wspomnień.

St. Just zapatrzył się na zachodzące słońce. Dziękował w duchu za to, że ta wyprawa jest o wiele radośniejsza niż inne, w których kiedyś uczestniczył. Na pewno nie dotrą do Londynu ani tego dnia, ani prawdopodobnie następnego, ze względu na to, jak wcześnie zapadał zmrok. Ale przynajmniej miał okazję spędzić czas z braćmi, podróż była dość spokojna i wszystko na świecie wydawało się w najlepszym porządku.

- Pamiętacie, jak jego księżęca mość wymyślił, że Sophie powinna dostać na święta króliczka? - zapytał braci.

- I Bart jej powiedział, że zrobią z niego pieczeń. Myślałem, że roztrzaska mu łeb - dodał Westhaven. - Chyba wtedy po raz pierwszy i ostatni słyszałem głośny śmiech jej księżęcej mości.

- Ale potem nie dokuczaliśmy już siostram tak bezlitośnie jak wcześniej - zauważył Val.

- Sophie ma swoje sposoby - stwierdził St. Just. - Jeśli mężczyzna jej dokuczy, nie ujdzie mu to na sucho.

Rozmowa zesła na sąsiadów i pozostałe siostry. W końcu Westhaven zaczął znowu narzekać, że tyłek przymarzył mu do siodła i że dziedzic księżęcego tytułu nie powinien spędzać świąt Bożego Narodzenia w taki sposób.

Gdy zatrzymali się, aby dać koniom odpocząć, bracia natarli go śniegiem, chcąc wybić mu z głowy podobne nonsensy.

Dzień mijał, Vim nie czuł już prawie przemarzniętych palców u nóg, zimny wiatr smagał mu policzki i nos, a jedzenie przygotowane przez Sophie zniknęło w bezdennej czeluści wygłodzonego brzucha. Przez cały ten czas mężczyzna wyrzucał sobie, że zachował się jak głupiec.

Nie powinien zostawiać Sophie samej z dzieckiem. Była dzielną i rozsądną kobietą, ale jeszcze niewiele wiedziała o opiece nad niemowlętami.

Powinien ją zawieźć do któregoś ze swoich znajomych z wyższych sfer, gdzie miałyby do pomocy liczne służące i gdzie ugoszczono by ją z należytym szacunkiem, gdyby roztoczył wizję swoich licznych znajomości i dyskretnie napomknął o okazałym majątku.

Nie powinien też wyjeżdżać z Londynu przy takiej pogodzie. Lepiej byłoby poczekać, aż poprawi się na tyle, aby mógł zabrać Kita do Sidling, gdzie chłopiec dorastałby spokojnie i bezpiecznie, a z czasem zdobył jakiś pożyteczny zawód.

Powinien był jej powiedzieć, że pozycja społeczna nic dla niego nie znaczy, że bez względu na to kim jest - kucharką, gospodynią, damą do towarzystwa czy guwernantką - będzie się czuł zaszczycony, jeśli porzuci tę posadę, aby zostać jego żoną.

Od czasu do czasu, dla odmiany, przeklinał sam siebie, że za-marudził tak długo w Londynie. Gdyby nie odkładał wyjazdu do Kentu na ostatnią chwilę, teraz siedziałby już w ciepłym i przytulnym domu w Sidling, słuchając, jak ciotka objaśnia tajniki gry w szachy mężczyźnie, który od pięćdziesięciu lat pozwala żonie wygrywać.

Gdy stracił czucie w palcach u nóg i zjadł już cały prowiant, a wokół niego zaczął zapadać zmrok, przyznał w końcu sam przed sobą, że nie powinien był zaprzepaścić okazji. Że wolałby kochać się z Sophie jak należy. Powinien był odrzucić przekłete wspomnienia, które zawdzięczał ostatniej kobiecie, za którą uganiał się wiele lat temu, również w święta Bożego Narodzenia, zebrać się na odwagę i kochać się z Sophie namiętnie i do szaleństwa, tak że następnego dnia za nic w świecie nie pozwoliłaby mu odejść.

Nagle jego stopy rozjechały się na boki i upadł twarzą w puszystą zaspę o głębokości co najmniej trzech stóp. A w jego głowie wciąż kołatała się ostatnia myśl.

- Westhaven pisze, że Valentine jest na tropie jakichś cennych skrzypiec, ale będzie ich to kosztowało dzień zwłoki - rzekł ksiązę do żony, z którą popijał herbatę w gabinecie.

Podał księżnej lakoniczny list dostarczony przez posłańców od syna, który od roku zajmował się zaniedbanymi finansami rodziny i w tym krótkim czasie zaprowadził w nich wzorowy porządek

- Co to znowu za skrzypce? - Księżna, ubrana w domową, choć nadal bardzo elegancką suknię, siedziała przy kominku Zmarszczyła brwi, przebiegając wzrokiem wiadomość. - Guamen. Niezła okazja. Czy sądzisz, że Valentine jest szczęśliwy?

Ach, te kobiety. Ciągle muszą się zajmować abstrakcyjnymi kwestiami i oczekują, że znajdą w mężczyznach partnerów do podobnych rozmów.

- Valentine uwielbia muzykę, a filharmonia ciągle go namawia, aby porzucił wiejskie życie i pokierował orkiestrą w Londynie Skoro tego nie robi, to chyba podoba mu się taka egzystencja

Księżna odłożyła list.

- Może Oxfordshire mu się podoba. Albo żona. Sądzę, że Ellen jeszcze nie przywykła do światowego życia.

Jeżeli ich najmłodszy syn doszedł już do formy właściwej Windhamom, to należało się spodziewać, że spędza zimę, rozgrzewając łożę żony i zabiegając o to, aby przedłużyć gałąź rodziny obdarzoną talentem muzycznym.

Ksiązę poklepał żonę po ręce.

- Ściągniemy ją do Londynu na następny sezon i oficjalnie przypieczętujemy wybór Vala. Masz jeszcze ochotę na herbatę moja kochana?

- Nie, dziękuję.

Zamilkła, a ksiązę zajął się przeglądaniem stosu korespondencji od swoich przyjaciół z Izby Lordów. Przekleci głupcy ciągle utyskiwali na tę czy tamtą ustawę zamiast siedzieć z rodziną

w swoich rezydencjach i całować pod jemiolą ładne pokojówki. Bystry umysł księcia podsunął mu inne skojarzenie związane z tą myślą.

- Ciągłe zamartwiasz się o Sophie - zaczął, odsuwając fotel od biurka.
- Uważam, że nawet jeśli wdała się w coś niestosownego, to jutro przyjadą bracia i położą temu kres.

Księżna nieznacznie ściągnęła kąciki ust. Ten ledwie zauważalny grymas dał księciu do zrozumienia, że trafił w sedno.

- Na miłość boską, Esthero, mogę w każdej chwili wskoczyć na konia i przywieźć dziewczynę do domu. Do Londynu nie jest tak daleko, a ja mam jeszcze dość siły.

Rzuciła mu spojrzenie typowe dla żony, która po wielu latach małżeńskiego pożycia posiadała już tajemnicę anielskiej cierpliwości.

- Jest mróz i śnieg, Percivalu Windhamie. Nie dopilnuję sama czterech córek, gdy w każdym domu w sąsiedztwie wiszą jemioly, a do picia podają aromatyczny poncz. Sophie jest rozsądną dziewczyną. Na pewno przebywa w gościnie u znajomych w Londynie, a jej list nie dotarł z powodu złej pogody.

- To bardzo prawdopodobne, masz rację. - Dla zachowania pozorów dodał jednak: - Ale to dla mnie żaden kłopot, kochana. Wezmę ze sobą dwóch stajennych. Powiedz tylko słowo.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w okno, a księżę podziwiał jej piękny profil.

- Sophie da sobie radę. Może jednak napiję się jeszcze herbaty.

- Oczywiście.

Nie podważał opinii żony, chociaż widział, że do tej pory Sophie wysłałaby niejednen list informujący o zmianie planów. Księżę wrócił myślami do wydarzeń sprzed wielu lat. Był wtedy niezamożnym młodszym synem, którego szykowano do służby w kawalerii. Rodzice Esther również uważali ją za rozsądną dziewczynę. Dzięki temu w okresie narzeczeństwa i zalotów mogli sobie pozwolić na znaczną swobodę, co zaowocowało tym, że lord Bartholomew urodził się przed upływem dziewięciu miesięcy od ceremonii ślubnej.

Pod natłokiem tych myśli kochający ojciec, który jakby nigdy nie popijał sobie herbatkę w wiejskiej rezydencji, poczuł nagle nieodpartą pokusę, by wskoczyć na konia i pognać do miasta, nie zważając na koszmarną pogodę.

Dzień ciągnął się niemiłosiernie, a świadomość, że mijają kolejne godziny bez Vima, była dla Sophie tak bolesna, że nie musiał jej o nich przypominać zegar dziadka, którego bicie rozlegało się w całym domu.

Vim nie mógł jej pomóc w karmieniu dziecka.

Nie było go pod ręką, aby zmienić od czasu do czasu brudną pieluchę.

Nie mogła się go poradzić w żadnej sprawie dotyczącej opieki nad dzieckiem, toteż przez cały czas zamartwiała się, czy małemu nie jest za ciepło, za zimno, czy nie trzeba go ułożyć do drzemki.

Nie mogła cieszyć się towarzystwem dorosłej osoby w czasie posiłków. Nikt nie chwalił przygotowanego przez nią prostego jedzenia, tak jakby były to królewskie dania.

Nie było go w pobliżu, gdy Sophie rozważała, czy położyć się podczas krótkiej drzemki Kita. W końcu odrzuciła ten pomysł, gdyż w łóżku czyhały na nią wspomnienia.

Vim odszedł i już nigdy nie wróci.

- Mam braci i siostry - powiedziała do Kita, kładąc go w kołysce przy kominku w kuchni. - Moja najstarsza siostra ma na imię Maggie. Jest ode mnie starsza o ładnych kilka lat, ale mam z niej wielką pociechę, chociaż to przyrodnia siostra.

Czy Kit będzie miał braci i siostry? Czy lokaj, z którym zadała się Joleen, spłodził też beztrąsko inne dzieci, nie przejmując się ani trochę ich przyszłością? Serce ją bolało na samą myśl, że Kit może mieć rodzeństwo, którego nigdy nie pozna. O którego istnieniu nawet się nie dowie.

- Maggie wtajemniczyła mnie w pewne sprawy przed moim debiutem - wyznała, stawiając kołyskę na stole do pracy, obok składników ciasta, które chciała przygotować. - Takie, o których żadna przyzwoita dziewczyna nie powinna wiedzieć.

Sophie zastanawiała się niejednemu raz, skąd Maggie wiedziała o takich rzeczach.

- Wyjaśniła mi, że dziecko można spłodzić tylko w określonym czasie, a w inne dni jest to mniej prawdopodobne.

Dziecko kopnęło nóżkami i wsadziło dwa środkowe palce lewej ręki do buzi.

- Miałam nadzieję...

Sophie miała nadzieję, że Vim pokaże jej, czym jest prawdziwy akt między mężczyzną a kobietą. Miała nadzieję, że zostanie jego kochanką, że zazna z nim tego, czego nie zaznała z żadnym innym mężczyzną.

Szczerze mówiąc, miała nadzieję na znacznie więcej, ale okazała się ona równie bezużyteczna jak życzenia.

- Jutro posprzątam pokój Valentine'a - powiedziała do dziecka. - Wyczyszczę łazienkę i wyślę serdeczny list do ich książęcych mości.

Nie będzie kłamać, po prostu w ogóle nie wspomni o wizycie Vima Charpentiera. Między rodzeństwem panowała milcząca zgoda co do tego, że czasami należy oszczędzić rodzicom kompromitujących szczegółów. Kierowali się przy tym nie tylko życzliwością, ale i względami praktycznymi, gdyż nawet przy całej życzliwości i zrozumieniu księcia i księżnej niektóre aspekty rzeczywistości nie byłyby dla nich do zaakceptowania.

Jak choćby fakt, że Vim odszedł i Sophie nigdy więcej go nie zobaczy.

Jutro posprząta pokój Vala i doprowadzi do porządku łazienkę. Usunie wszystkie dowody obecności Vima w tym domu. Tylko... jeszcze nie teraz.

Zaczęła mieszać kolejną partię ciasta na keks, przerywając tę czynność od czasu do czasu, aby otrzeć z policzków łzy.

- Kochanie, obawiam się, że zginęła - odezwał się Rothgreb Charpentier do swojej żony.

Essie patrzyła, jak wstaje powoli z dywanu, na którym klęczał. Postawił jedną stopę na podłodze, podparł się i postawił drugą.

Po chwili z trudem się wyprostował i odpoczywał po tym wysiłku.

- Może po prostu ktoś to przełożył w inne miejsce - zauważyła Essie, podobnie jak w przypadku innych znikających przedmiotów. - A może któraś służąca zabrała na dół, żeby wyczyścić przed świętami.

Rzucił jej pobłażliwe spojrzenie, w którym kryła się troska i odrobina współczucia. Nie cierpiała współczucia, tym bardziej, im sama musiała częściej w ostatnich latach współczuć mężowi.

- Przecież to tylko miseczka do oliwek - zakończyła sprawę. - Mamy takich pełno. Oliwki smakują tak samo, czy się je poda w starym srebrnym naczyniu, czy na codziennej zastawie. - Wsunęła dłoń pod jego ramię. - Spójrz, jaki słoneczny dzień. Mam ochotę odwiedzić przodków. Wybierzesz się ze mną?

- Oczywiście, moja droga.

Poklepał ją po ręce i wyprowadził z saloniku, w którym od lat przechowywali cenne i pamiątkowe przedmioty - rodowe dziedzictwo.

- Może powinniśmy zamykać niektóre pokoje na klucz - zaproponowała Essie. - Tak jak zamykasz salę bilardową, kiedy nie gramy.

- Robię to tylko dlatego, że są tam gabloty z bronią, moja droga. Na pewno ta miska się znajdzie, więc nie ma powodu zamykać pokoi na klucz jak w średniowiecznym zamku. Służba poczułaby się urażona. Czy chcesz odwiedzić kogoś szczególnego?

- Christophera. Musimy mu powiedzieć, że przyjedzie jego syn. Ostrożnie, powoli pokonywali kolejne stopnie głównych schodów, spływających niczym majestatyczna dębowa kaskada. Niestety, odkąd kolana zaczęły odmawiać Essie posłuszeństwa, wspaniałe schody stały się tylko przeszkodą.

- Mam nadzieję, że Wilhelm zaszczyci nas swoją obecnością - powiedział wicehrabia, przystając u szczytu schodów. - Nie dał znać, Essie. Powinien już tu być.

Stała obok niego i omiotła spojrzeniem główny hol, który rozpościerał się poniżej. Został odświętnie przystrojony girlandami

z sosnowych gałązek, zaś wewnętrzną stronę drzwi wejściowych ozdabiał wieniec laurowy. Solidna wiązka jemioly przewiązana czerwoną wstążką wisiała na razie na wieszaku na płaszcze stojącym w narożniku.

- Pocałuj mnie, Rothgreb.

Uśmiechnął się do niej z błyskiem dawnego łobuzerstwa w niebieskich oczach.

- Niegrzeczna dziewczynka. - Cmoknął ją w policzek i poklepał po dłoni. - Moja kochana niegrzeczna dziewczynka.

- Vim przyjedzie - oświadczyła, gdy ruszyli w stronę galerii rodzinnych portretów. - Zawsze dotrzymuje słowa.

- Zawsze dotrzymuje słowa, ale ma nieprzyjemne wspomnienia związane z Sidling i dotyczy to zwłaszcza Bożego Narodzenia. Uważaj na dywan, moja kochana.

- Nie przesadzajmy. Spędził tu szczęśliwe lata dzieciństwa.

Rothgreb przytrzymał drzwi do galerii, czekając, aż żona wejdzie do środka. Na drugim końcu pokoju, który miał jakieś dwadzieścia cztery jardy długości, znajdował się duży kominek, ale choć leżały w nim polana, ogień się nie palił, toteż w ogromnym pomieszczeniu panował przejmujący ziąb. Poczua się rozczarowana, że Rothgreb nie chciał sprzeczać się z nią o przeszłość Vima. Takie drobne kłótnie zawsze ich rozgrzewały.

- Mam ci przynieść szal, Essie?

Biorąc pod uwagę tempo, w jakim się ostatnio poruszali, zanim przyniosłby jej szal, zamarzlaby na śmierć, toteż uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Zawołaj Jacka. Jak się trochę rozrusza, będzie mu ciepłej.

- Dobrze wiesz, że chodzi tak wolno jak ja.

Mimo to Rothgreb wyszedł na korytarz i donośnym głosem wydał polecenie lokajowi. Wicehrabia miał mocne płuca, których nie osłabił wiek, a także szerokie ramiona charakterystyczne dla mężczyzn z rodziny Charpentierów, które nadal mogły wzbudzać podziw.

- Tęskni za tobą - powiedziała Essie do portretu wiszącego na ścianie po prawej stronie.

Omiotła wzrokiem jasne włosy, niebieskie oczy, ironiczny uśmiech i regularne rysy twarzy, tak idealne, że mogłyby stać się wyznacznikiem kanonu męskiego piękna.

- Christopher był najprzystojniejszy z nas trzech - powiedział mąż Essie, otaczając ramieniem jej talię. - Byłby wspaniałym wicehrabią.

- Ty też jesteś wspaniałym wicehrabią. A poza tym dla mnie zawsze byłeś i wciąż jesteś najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

Oparła głowę na jego ramieniu, dziękując w duchu, że pomimo upływu lat wciąż są razem i cieszą się nie najgorszym zdrowiem.

- Musisz włożyć okulary, moja droga - odpowiedział z uśmiechem, studiując uważnie portret brata. - Vim nigdy tu nie wchodzi, jak wiesz. Kiedy tu jest, nie przychodzi przywitać się ze swoim ojcem ani z dziadkiem.

- Tym razem przyjdzie - oznajmiła stanowczo, ale zdawała sobie sprawę, że Vim nie jest już chłopcem i pewne sprawy należy zaliczyć do przeszłości.

- Nie intryguj, Essie, a jeśli już, to ze mną.

To była najlepsza rzecz w jej trwającym pół wieku małżeństwie z Rothgrebem, chociaż miało ono bardzo wiele dobrych stron. Innemu mężczyźnie byłoby pewnie obojętne, co robi jego żona, tym bardziej że nie umiała dać mu synów. Wdałby się pewnie w mniej lub bardziej dyskretne romanse, kiedy minąłby urok nowości.

Tymczasem Rothgreb został jej najlepszym przyjacielem, człowiekiem, który znał ją najlepiej ze wszystkich i kochał najbardziej w świecie, a Essie święcie wierzyła, że zna go tak dobrze jak samą siebie. Ten fakt był w stanie wynagrodzić upływ czasu, niewinne kłamstewka, zagubione miski do oliwek i inne niedogodności.

W każdym razie taką miała nadzieję.

- Przywitajmy się z papą, skoro tu jesteśmy - zaproponował Rothgreb.

- Zawsze bardzo się cieszył na nadchodzące święta.

Dostojnym krokiem zaprowadził Essie w inny koniec galerii. Wymyśliła ten spacer tylko po to, aby wyciągnąć go z saloniku pa-

miątek i przegonić smutek z jego oczu. Jeżeli odmrozi sobie palce w towarzystwie poprzednich pokoleń Charpentierów, to trudno.

- Jeśli Vim przyjedzie, też będziemy się cieszyć - dodała Essie. - Kuzynki będą go oblegać, zjawią się tłumy sąsiadów. Esther Windham ma pięć niezamężnych córek, Rothgrebie. Pięć! A ich ojciec jest księciem!

- Dostyc, Essie, daj spokój. Ostatnią, i to absolutnie ostatnią rzeczą, jaką Vim chciałby robić w święta, jest uderzanie w zaloty do jakiejś miejscowej panny. A biorąc pod uwagę, jak zakończyła się jego poprzednia próba, nie mogę go za to winić.

Essie udawała, że studiuje z uwagą portret ojca Rothgreba.

Stary łajdak pozował z każdą z czterech żon, a ostatni portret został ukończony kilka miesięcy przed jego śmiercią. Był uroczym hultajem starej daty, niczym wiking wpuszczony między arystokratyczne towarzystwo na dworze króla Jerzego. Uwielbiała go, ale współczuła trochę jego coraz młodszym żonom.

- Myślę, że wyślę liścik do jej książęcej mości - powiedziała Essie.

Małżonek zerknął na nią przez ramię, a wyraz jego twarzy dowodził, że nie wie, jak ma jej w tym przeszkodzić i czy w ogóle powinien.

- Tylko krótki liścik. - Poklepała go po ramieniu. - Sądzę, że Vim odziedziczył uśmiech po dziadku. Jak myślisz?

- Nie będę się sprzeczał z damą, ale szczerze mówiąc, tak rzadko widywałem jego uśmiech, że nie jestem w stanie tego stwierdzić.

To była smutna prawda. Zatrzymali się przy kilku innych portretach, a kiedy Essie zaczęła szcekać zębami z zimna, przydreptał wreszcie lokaj i podał jej kaszmirowy szal.

Pierwszy dzień opieki nad Kitem bez pomocy Vima minął nadspodziewanie dobrze i mimo obecności dziecka udało jej się wykonać wiele domowych czynności. Upiekła keks i piernik, poskładała suche pranie, rozmieściła czyste pieluszki i szmatki w strategicznych miejscach domu, unikając skutecznie

wchodzenia do pokoju, w którym spał Vim. Może wejdzie tam jutro.

Na tę myśl znowu poczuła napływające łzy. Od lat tyle nie płakała. Spojrzała na Kita, który ssał paluszki na kocu w salonie. Akurat wyjął rękę z buzi i rozhuśtał ciało, jakby chciał spojrzeć na płomień tańczący w kominku.

- Porywasz się na wielkie rzeczy, mój mały.

Kit od razu spojrział na Sophie, która siedziała na podłodze obok jego legowiska.

- No dalej, spróbuj jeszcze raz, niech cię zadziwi zmiana. Kit, jakby rozumiał jej słowa, pisnął, wykręcił małe ciało

i z radosnym gaworzeniem przewrócił się na brzusek. Od razu podniósł głowę, opierając się na rękach, a na jego buzi rozkwitł szczęśliwy uśmiech.

- Tak to się zaczyna z wami, mężczyznami - powiedziała, głaszcząc dziecko go po plecach. - Macie wrodzoną potrzebę poznawania i podbijania świata. Za chwilę zaciągniesz się do królewskiej marynarki i odpłyniesz w nieznane, nie bacząc na to, że zostawiasz ludzi, którzy cię kochają i martwią się o ciebie w każdej sekundzie.

Kit wypiął pupę i zdołał podnieść się na czworakach. Sophie wytarła ślinę ciekącą z jego buzi, na której wciąż królował radosny uśmiech.

- Mężczyźni! Jesteście żądni przygód, ciągle was gdzieś gna, musicie maszerować, żeglować, wyruszać na wojenne wyprawy. Nie przejmujecie się tym, że możecie zginąć, że bliskim pęka serce za każdym razem, gdy wyjeżdżacie.

Kit uderzył rączką w kocyk.

- Nigdy nie zrozumieję mężczyzn. Barta żadna siła nie utrzymałaby na miejscu. Nawet jak przyjeżdżał do domu na przepustkę przed świętami, to gnał do Melton na polowanie z psami, bez względu na pogodę. Nie wystarczyło mu, że wyzywa los na wojnie z Francuzami. Nie, musiał ryzykować nawet na przepustce.

Zamilkła i przyglądała się w skupieniu, jak Kit unosi drugą rękę i stawiają nieco dalej niż poprzednio. Zakołysał się zadowo-

lony, wydając radosne dźwięki, i kiwał się na boki, aż udało mu się przesunąć nieznacznie do przodu tłuste kolanko.

Znowu zakołysał się entuzjastycznie, zachwycony, że udało mu się przesunąć nogę.

Zaczynał... raczkować. Przy wtórze pisków, kołysania i ślinienia się przesunął drugie kolano, potem rękę, a po chwili wylądował plackiem na piersi, z buzią w kocyku, wesoło machając nóżkami. Jeszcze raz podniósł się na czterech kończynach i rozpoczął cały proces od początku, a Sophie poczuła, że po jej policzku spływa kolejna przeklęta łza.

Kiedy Kit wyraźnie zmęczył się nowo odkrytą umiejętnością, a Sophie odzyskała panowanie nad sobą, wzięła go na ręce i mocno uścisnęła.

- Jestem z ciebie dumna. Bardzo, ale to bardzo dumna, ale te ćwiczenia na pewno zaostrzyły ci apetyt.

Sama zjadła już posiłek, który i tak nie mógł wypełnić uczucia pustki wywołanej nieobecnością Vima. Zeszła z Kitem do kuchni, aby przygotować mu kolację. W wygrzanym pomieszczeniu unosił się zapach ciasta, ale czuła się tak, jakby jej zwykła niechęć do świąt nabrała nowego wymiaru.

- Cały dom jest pięknie przybrany - powiedziała do małego. - Pod choinką w Morelands leżą prezenty, a służba cieszy się z wychodnego. A ja chciałabym tylko zasnąć i zapomnieć o świątach. Ale nie wolno mi spać.

Kit wypluł ostatnią łyżeczkę duszonych ziemniaków.

- Nie mogę spać, bo muszę znaleźć rodzinę, która cię pokocha. Nie mogę spać, bo w obu sypialniach czają się wspomnienia, a poza tym ogień w pokoju Vima już wygasł. Właściwie nie Vima. To pokój Vala, w każdym razie kiedyś nim był, zanim Val ożenił się jak jego bracia i wyprowadził z domu...

Paplała bez końca o braciach, którzy albo umarli, albo się ożenili. Co za różnica, skoro i tak ją zostawili? Wszyscy odeszli. Jej ojciec miał atak serca i niebawem on także ich zostawi. Wkrótce odejdzie Kit, a Vim...

Vim już odszedł. W jej piersi zaczął narastać pełen żalości szloch, który podsycił zapadające ciemności i Bóg wie co jeszcze. Powstrzymywała ten szloch przez cały dzień, wiedząc, że musi być dzielna. Teraz zgięła się wpół, chwyciła za brzuch i starała się powstrzymać rozdzierające łkanie. Bała się, że w przeciwnym razie całkowicie straci panowanie nad sobą.

Ale jej wysiłki zdały się na nic. Ciało musiało dać wyraz nieszczęściu. W tym momencie trzasnęły zamykane drzwi i mimo spowijającej ją chmury smutku Sophie usłyszała odgłos obutych stóp w korytarzu.

Wielkie nieba, pewnie to Merriweather albo Higgins przyszedł sprawdzić, co się z nią dzieje. Wstała, otarła policzki i odłożyła na bok łyżeczkę i szmatkę.

Nagle przysła jej do głowy myśl, która kazała jej usiąść z powrotem. To bracia. Och, Boże, proszę, tylko nie oni! Bardzo za nimi tęskniła, ale w tej chwili nie chciała widzieć nikogo oprócz jednej jedynej osoby, której już nigdy nie zobaczy. Oprócz Vima.

Jak na zawołanie stanął w drzwiach. Był wymizerowany, zmarznięty na kość i tak drogi jej sercu, że Sophie przefrunęła przez kuchnię i padła w jego objęcia, a szloch w końcu wydarł się z jej wnętrza.

- Przepraszam - powiedział, otaczając ją ramionami. - Żaden powóz nie jechał do Kentu, nie udało mi się też wypożyczyć konia na taką długą podróż. Nie było konia do kupienia, nawet muła... Cały dzień... cały dzień próbowałem.

Wydawał się wyczerpany i przemarznięty do szpiku kości. Mróz zabarwił na czerwono jego policzki, głos był ochryply i tylko niebieskie oczy błyszczały w ogorzalej twarzy.

- Musisz umierać z głodu - zauważyła Sophie z typowo kobiecym upodobaniem do konkretów. Pomimo że trochę zjadła, sama umierała z głodu; nie mogła się nasycić jego widokiem, dźwiękiem głosu, dotykiem ciała, do którego się przytulała.

- Tak, jestem głodny. Jak sobie radzi Kit? Wciąż stali objęci.

- Dzisiaj zaczął raczkować. Tylko troszeczkę i niezbyt dobrze, ale wkrótce rozgryzie, na czym to polega. Przed chwilą zjadł kolację.

Vim ruszył w stronę stołu, ale nadal obejmował Sophie ramieniem.

- Bystry chłopak. - Uśmiechnął się do dziecka ułożonego między kocami i ręcznikami na stole. - Podobno zrobiłeś pierwszy krok na podłodze? I ja to przegapiłem. Musisz mi pokazać, zanim pójdziesz spać, bo nie chcę stracić takiego widoku.

- Tęskniłam za tobą. - Sophie przytuliła się do Vima, kryjąc twarz w jego zimnym ramieniu.

Usłyszała jego westchnienie, ale nie odwzajemniła się tym samym wyznaniem, chociaż bardzo tego chciała. Powiedziała szczerą prawdę, ale wiedziała, że nie powinna tego mówić. Ponieważ nadal milczał, odsunęła się od niego.

- Powieś mokre rzeczy w salonie, a ja zrobię kolację.

Vim rozwiesił przemoczony płaszcz na oparciu fotela, przyozdobił obramowanie kominka swoimi rękawicami, kapeluszem i szalikiem. Zdjął sweter z włóczki, który miał na sobie cały dzień, buty oraz przemoczoną zewnętrzną parę spodni.

Przemarzył już w życiu wiele razy, i to bardziej niż teraz, bywał wyczerpany i głodny, ale jeszcze nigdy nie odczuwał takiej radości po powrocie do ciepłego pomieszczenia. Gdy zobaczył Sophie siedzącą przy stole w wytartej sukni z brązowego aksamitu, z ciemnymi włosami upiętymi w gładki koczek, pomyślał, że znalazł się w niebie. A gdy padła mu w objęcia...

Zrobiła to bez chwili wahania, bez niechęci na widok nieproszonego gościa. Objęła go na powitanie i wypowiedziała niebezpieczne, ale cudowne słowa: „Tęskniłam za tobą”.

- To są skarpety, które zrobiłam na drutach dla Devlina, kiedy wyjeżdżał na zimową kampanię do Hiszpanii - powiedziała Sophie, zamykając za sobą drzwi salonu. - Zrobiłam kilka par, dla niego i dla Barta, ale rzeczy Barta rozdano jego żołnierzom,

tak jak sobie życzył. Devlin w lecie pojechał na północ, więc nie zabierał ciepłych skarpet.

- Dziękuję.

Wziął skarpety od Sophie, muskając jej dłoń.

- Jesteś przemarznięty na kość, Vim. Nie mogę uwierzyć, że przez cały dzień błąkałeś się po Londynie.

Usiadł i zdjął przemoczone, zimne skarpety, a prosty, domowy charakter tej czynności wywołał przyjemne zaskoczenie. Sophie uklękła przed nim.

- Pozwól, że ja to zrobię. - Wzięła od niego skarpety, które mu przed chwilą podała, i zgałiła jego beztroskę. - Na miłość boską, Vimie Charpentier, czy nie wszedłeś do żadnej gospody, żeby rozgrzać stopy?

Nie przestając utyskiwać na jego lekkomyślność, zdjęła z ramienia kuchenny ręcznik i zabrała się do rozcierania stóp Vima.

- Powoli, Sophie, to boli. Owinęła jego stopy ręcznikiem.

- Czy naprawdę cały dzień szukałeś konia? Przyglądała się jego stopom, a Vim przewyciężył impuls, aby pogłaskać ją po włosach.

- Niezupełnie. Najpierw obszedłem powozownie w Mayfair, Soho, St. James, Knightsbridge, dotarłem prawie do City. Kilka powozów ruszało na wschód, ale nie było miejsca nawet na dachu, chociaż oferowałem spore pieniądze. Ludzie za wszelką cenę chcą spędzić święta z tymi, których kochają.

Skinęła głową i przytuliła do siebie jego wielkie, zimne, czerwone stopy, które zaczną go wkrótce dotkliwie boleć. Przytuliła je do swojej piersi.

Ten gest wydawał się śmieszny. Intymny i wspaniałomyślny, a zarazem praktyczny, gdyż miał rozgrzać zziębnięte kończyny. Vim uświadomił sobie, że jego serce nigdy w pełni się nie wyleczy po spotkaniu z Sophie Windham.

- Próbowałem znaleźć konia, ale nikt nie chciał wypożyczyć zwierzęcia na taką długą podróż, tym bardziej że było wielu chętnych, którzy potrzebowali wierzchowca na krótszy dystans i sło-

no za to płacili. Próbowałem nawet znaleźć zwierzę pociągowe w ubojniach, gorzelniach. Bez powodzenia.

Nie było także miejsca w gospodach, ale o tym jej nie powiedział.

- Cieszę się. - Uwolniła jego stopy i tylko rozcierała je delikatnie. - Cieszę się, że wróciłeś. Przynajmniej wiem, że jesteś dobrze nakarmiony, masz ciepłe schronienie i nic ci nie grozi.

Rzeczywiście, nakarmiła go należycie, stawiając na stół grube plastry wędzonej szynki, parujące ziemniaki z ziołami, ser i masło oraz chrupiące kromki świeżo upieczonego chleba. To był najlepszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadł, chociaż prawdę mówiąc, nie poświęcił tej czynności należytej uwagi, śledząc wzrokiem jej krzątanie po kuchni.

Następnie ruszył za nią korytarzem do saloniku, którego miał nigdy więcej nie oglądać, wyciągnął się na grubym dywanie i obserwował Kita, gdy ten stanął na czworakach, kiwając się i radośnie piszcząc, jak każde rozpieszczane dziecko.

- Kit przejął się twoją mową pożegnalną i był dzisiaj bardzo grzeczny.

Leżała na wznak z głową odwróconą w kierunku dziecka.

- Rozkwita pod twoją opieką, Sophie. Nie oddasz go nikomu, prawda? Jeśli ich książęce mości okazały zrozumienie dla młodocianej matki, to może pozwolą ci zatrzymać dziecko.

Od razu pożałował tych słów, gdyż zaczął się znowu zastanawiać, jaką pozycję Sophie zajmuje w tym domu. Powiedział sobie, że to nie ma znaczenia - i rzeczywiście nie miało, ponieważ rano ostatecznie stąd wyjedzie.

Przewróciła się na bok, oparła policzek na rękę i zapatrzyła w ogień.

- Ich książęce mości pewnie by na to pozwoliły, gdybym poprosiła, ale Kit potrzebuje prawdziwej rodziny, w której są bracia, siostry, mama i tata. Rozpiesciłabym go niemożliwie. No i tak naprawdę niewiele wiem o wychowywaniu dzieci.

Tym razem nie oparł się pokusie, by jej dotknąć. Wyciągnął rękę i przejechał kciukiem po linii jej włosów.

- Ale szybko się uczysz. A poza tym niejedna matka, ciocia i babcia chętnie by ci w tym pomogły.

Kobiety tak robiły. Dzieci zbliżały je do siebie, niezależnie od wieku, pozycji społecznej, a nawet narodowości.

Nie zareagowała na jego pieszczotę w widoczny sposób.

- Myślę, że wieś jest lepszym miejscem dla dzieci, zwłaszcza dla chłopców.

Przyszło mu do głowy, że mógłby zaproponować jej posadę w Sidling. Ciotka i stryj ciągle narzekali na starzejącą się służbę, ale nie zgadzali się na zwolnienie trzęsących się staruszków i różnych nieudaczników. Jednak wtedy zapewne nigdy by jej nie zobaczył, gdyż Sidling było miejscem, do którego przyjeżdżał tylko w ostateczności. Mimo to uznał ten pomysł za niezłe rozwiązanie. Mógłby z nią chociaż podtrzymać wąły kontakt.

- Kit jest zmęczony - stwierdziła cicho Sophie, kiedy dziecko szeroko ziewnęło, oparte na czterech kończynach. Wyglądało jak lew wydający bezgłośny ryk.

- Idziemy na górę?

Skinęła głową. Wykonali serię rutynowych czynności. Złożyli koce, zgasili ogień na kominku, otulili dziecko i skierowali się w stronę schodów dla służby. Na korytarzach panował ziąb, ale w sypialni Sophie było jak w ciepłym kokonie.

- Ogień w twoim pokoju wygasł - powiedziała, czekając, aż Vim postawi kołyskę przy kominku, żeby mogła położyć dziecko. - Możemy go rozpalić, ale wolę, żebyś został ze mną.

Mówiąc to, otulała dziecko w kołysce, toteż Vim nie widział jej twarzy. Jeśli było to zaproszenie, to zabrzmiało całkiem beznamiętnie. A może po prostu starannie dobierała słowa?

Zapalił świecę przy łóżku i stanął obok kołyski.

- Kit tak szybko rośnie, że za chwilę kołyska będzie dla niego za mała. Pewnego ranka rozwali ją na kawałki i będzie biegał po pokoju, domagając się śniadania.

Nie to chciał powiedzieć. Przykucnął i poczekał, aż Sophie na niego spojrzy.

- Sophie Windham, jeśli wejdziesz znowu do twojego łóżka, to będę kochał się z tobą namiętnie i do szaleństwa przez całą noc. Nie pozwolę nam odpocząć. Ale rano wyjadę i więcej nie wrócę.

Chociaż bardzo chciałby wrócić, a czasami chęci zamieniały się w życzenia, zaś życzenia się spełniały. Ale tylko czasami. Wydawała się w spokoju rozważać jego słowa.

- Namiętnie i do szaleństwa?

- Z tobą, kochanie, nie da się inaczej.

Tego również nie chciał powiedzieć, chociaż tak myślał. Przysiadła na stopach, ale nadal wpatrywała się w dziecko, które wsunęło dwa palce do różanej buzi.

- W takim razie skorzystam z łazienki. Bo twoja propozycja brzmi kusząco.

6

Sophie pochyliła się i pocałowała Vima. Ten przeciągły, natarczywy pocałunek rozpałił w nim żądze. Z rozmysłem jej dotąd nie pocałował, uważając, że byłoby to bezczelne, niemądre, niebezpieczne i...

Cudowne. Jęknął, smakując jej usta, i przytrzymał ręką jej głowę, by zagłębić język między jej wargi.

- Wielki Boże, Sophie...

- Mmm...

Ten kobiecy cichy jęk, wyrażający satysfakcję i przyjemność sprawił, że Vim wyobraził sobie, jak kochają się namiętnie i do szaleństwa na podłodze przed kominkiem, na wpół ubrani, a Sophie rozkosznie pojękuje, gdy zanurza w niej...

Poklepała go po policzku i przerwała pocałunek.

- Za chwilę wrócę.

Wybiegła lekko z pokoju, a Vim, wciąż pijany pocałunkiem, usłyszał odgłos zamykających się drzwi od łazienki.

Gdy Sophie się kąpała, obmył się zimną wodą i znalazł pożyczony szlafrok, który nadal leżał porzucony w nogach łóżka. Vim rozłożył ciepłą narzutę na łóżku, podsycał ogień i wsunął się nagi pod kołdrę, aby posłanie nie ostygło do przybycia Sophie. Kit słodko zasnął.

Będą się kochać namiętnie i do szaleństwa? Czy kiedykolwiek przeżył coś takiego? Oddawał się wiele razy przyjemnościom, czasami z takich igraszek rodziły się przyjaźnie, ale czy kochał się namiętnie i do szaleństwa?

Sophie pojawiła się w drzwiach ubrana w nocną koszulę i szlafrok. Włosy spływały jej po plecach, a na twarzy błąkał się niepewny uśmiech. Odświeżona po kąpieli wyglądała niezwykle kusząco. Krew zagrała w żyłach Vima, a wyobraźnia podsunęła kolejne obrazy.

A zatem będą się kochać namiętnie i do szaleństwa. Vim oparł się na łokciu i poklepał wolne miejsce obok siebie.

- Chodź do łóżka. Kit na pewno obudzi się w połowie nocy, a ja mam wobec ciebie pewne plany, moja damo. I nie pozwolę ci spać.

Podeszła do kominka.

- Spi spokojnie. Raczkowanie to dla niego ciężka praca. Podeszła do toaletki i usiadła przed lustrem.

- Pamiętam, jak moja młodsza siostra zaczęła raczkować. Tata urządził z tej okazji przyjęcie w dziecięcym pokoju na cześć małej księżniczki. Trzymałam stopy na jego błyszczących wysokich butach i w ten sposób tańczyliśmy.

- Mogę to zrobić.

- Pozwolisz mi tańczyć na swoich butach?

Wzięła szczotkę, przechyliła głowę na bok, tak że masa ciemnych włosów spłynęła na jedno ramię.

- Mogę wyszczotkować ci włosy.

Wyskoczył z łóżka i uchwycił w lustrze zafascynowane spojrzenie Sophie. Włożył szlafrok i przewiązał go dokładnie w pasie. Gdy stanął za jej plecami, podała mu szczotkę, a ich palce się zetknęły.

Aha, chce go drażnić. Subtelne prowokacje ze strony kobiety, która zna wartość oczekiwania. Vim uśmiechnął się do jej odbicia.

- Masz piękne włosy, Sophie.

Przejechał dłońmi po falujących splotach, przerzucił je na plecy, a widząc, że zamknęła oczy, powtórzył pieszczotę.

- Mam je zapleść?

- Proszę. - Otworzyła oczy. - Po prawej stronie, bo lubię spać na lewym boku.

- Co jeszcze lubisz?

Westchnęła głośno i zamyśliła się, podczas gdy Vim płynnymi ruchami przeczesał jej włosy od głowy aż do bioder. Były piękne, gęste, lśniące, a ich połysk świadczył o dobrym zdrowiu i dostatnim życiu.

- Lubię muzykę - odparła - i słodycze. Mam wielką słabość do słodyczy, tak jak mój brat Westhaven.

Vim uznał tę odpowiedź za wyrachowane i czarujące omijanie tematu.

- Miałem na myśli, co innego. Czego oczekujesz od kochanków? Czy mam cię wycalować od góry do dołu? Wolisz związać mi ręce i zrobić to tak, jak sama chcesz?

Pochylił się i wtulił w jej szyję, zapominając o zaplataniu warkocza.

- A może zrobisz to ustami, Sophie, tak żebym zapomniał o całym świecie?

Siedziała sztywno, podczas gdy Vim przesunął rękę na jej ramię i oparł ją tuż nad piersią Sophie, przyciskając policzek do jej policzka.

- Kochanie, rumienisz się?

- Jest pan bardzo zuchwały, panie Charpentier. Wyprostował się, wiedząc, że musi w końcu zapleść ten warkocz, aby czerpać w łóżku przyjemność z rozplatania go.

- Lubię, kiedy mnie dotykasz - odezwał się. - Twój dotyk jest szczególny, trudny do opisanego. Po prostu... ma znaczenie.

- Ma znaczenie? - powtórzyła, patrząc na jego odbicie, a rumieniec nieco zbladł.

- To nie jest może właściwe słowo. Niektórzy ludzie potrafią uspokoić dotykiem nerwowego konia. Porozumiewają się ze zwierzętami za pomocą dłoni, tonu głosu i postawy bardziej skutecznie niż za pomocą słów.

Odwróciła się i przycisnęła czoło do jego brzucha.

- Nie wolno mówić takich rzeczy.

Pogłaskał ją po włosach, przytrzymując drugą dłonią niedokończony warkocz.

- Dlaczego, Sophie?

- Po prostu nie wolno.

Wyprostowała się, a Vim zaplótł warkocz do końca i przewiązał swoją wstążką.

- Idź do łóżka, kochana. Przyjdę za minutę.

Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie, ale poszła do łóżka i zaciągnęła zasłony, a Vim nalał szklankę wody i postawił ją na nocnym stoliku obok wysokiej świecy. Chciał widzieć twarz Sophie, gdy ich ciała się połączą, zobaczyć, jak pod wpływem rozkoszy zmienia się jej wyraz.

Ale najpierw obowiązki. Podniósł z podłogi kołyskę i udał się z nią do łazienki. Wyczyścił zęby proszkiem i umieścił dziecko w ciepłym kąciku.

- Tylko na trochę. Nie mogę ci zagwarantować, że w pokoju miałbyś spokój i ciszę.

Dziecko nawet się nie poruszyło, co wziął za dobry znak. Zostawił drzwi uchylone, aby w razie czego usłyszeć płacz Kita.

A teraz idziemy się kochać namiętnie i do szaleństwa.

Vim wiedział jednak, że będzie przeciągał te przyjemne chwile i nie pozwoli sobie na bezmyślny pośpiech. Chciał nasycić zmysły i przedłużyć rozkosz, ponieważ gdy się rozstaną, pozostanie im tylko to wspomnienie.

Z tym solennym postanowieniem wszedł do łóżka i położył się obok Sophie.

- Nie jest ci zimno?

Odwróciła głowę na poduszce i spojrzała na niego.

- Nie. Chciałeś zostawić odsłoniętą zasłonę po twojej stronie łóżka?
- Tak.

Po jego stronie stała świeca. Poszukał dłoni Sophie pod kołdrą.

- Czy pogoda opóźni przyjazd twoich braci?
- Prawdopodobnie.

Mógł w każdej chwili przykryć ją swoim ciałem, całować do utraty tchu i po kilku minutach znaleźć się w jej wnętrzu. Pragnął tego rozpaczliwie.

Ale wiedział, że tak nie powinno być. Szukał w głowie tematu, który pozwalałby na nawiązanie więzi, ale nie wymagał nadmiernej koncentracji, gdyż chciał spokojnie wdychać czysty, kwiatowy zapach kobiety, która leżała z nim w łóżku.

- Opowiedz mi o swoich braciach, Sophie.

- Są dobrymi ludźmi. - Splotła palce z jego palcami. - Ale to typowi mężczyźni. Ożenili się i poszli swoją drogą. Dwaj z nich mają już dzieci. Jeden mieszka w Yorkshire, drugi w Oxfordshire, a Westhaven przebywa najczęściej w Surrey.

- Do Surrey nie jest tak daleko. - Podniósł jej dłoń do ust i delikatnie ugryzł knyki. - Mój brat Benjamin podróżuje po całym kraju. Jest kimś w rodzaju detektywa, który pracuje dla wysoko urodzonych i wpływowych osób. Podobno nie jest to tak wspaniałe zajęcie, jak by się mogło wydawać, ale lukratywne.

- Benjamin Hazlit?

- Znasz go? - Przewrócił się na bok, aby ją widzieć w blasku świecy. Nie przypuszczał, że ten nieszkodliwy temat może okazać się kłopotliwy.

- Powiada, że w jego zawodzie podstawową zasadą jest dyskrecja.

- Słyszałam o nim. Zdaje się, że ich książęce mości zatrudniły go do rozwiązania jakiejś sprawy administracyjnej.

Wielki Boże, a więc znała jego bata. Widziała go. Świadomość tego faktu przygasiła nieco pożądanie Vima. Żałował, że w ogóle zaczynał od rozmowy, zamiast od razu przystąpić do rzeczy.

- Benjamin i ja mamy innych ojców. Wyższe sfery to mały światek. Obojętnie do jakiego portu na świecie bym zawinął, zawsze znajdę tawernę albo knajpę, w której natknę się na Anglików. Od pierwszej chwili próbują ustalić wspólnych znajomych i zwykle udaje się to bez specjalnego wysiłku.

- Chodzi tylko o znalezienie znajomych, czy też o ustalenie, który z nich zajmuje wyższą pozycję społeczną?

Interesujące pytanie, ale roztrząsanie tej kwestii zostawił na później.

- Którego z braci najbardziej lubisz, Sophie?

Leżąc nadal na boku, położył dłoń na jej plecach i błędził palcami po linii włosów.

- Wszystkich lubię. Siostry też. Kiedy w końcu go dotknie?

- A który z nich wystawia twoją cierpliwość na największą próbę?

- Mój ojciec. Chce dobrze, naprawdę, ale uważa, że wszystko wie najlepiej i próbuje za wszystkich decydować. Mama sprzecza się z nim za zamkniętymi drzwiami, ale nikt oprócz niej nie potrafi nad nim zapanować.

Wzmianka o tacie Sophie nie sprzyjała zaspokojeniu pożądanego, które wzbierało w Vimie. Postanowił uciec się do ostatniego fortelu.

- Pewnie ci ciężko bez rodziny w święta?

- Nie - odpowiedziała szybko i zdecydowanie, jakby chciała uciąć ten temat. Wzięła go za rękę i dotknęła nią swojego nosa. - Nawet twoje dłonie ładnie pachną.

- Kiedy myje się ręce regularnie...

Przesunęła gorącym i wilgotnym językiem po wgłębieniu między jego trzecim a czwartym palcem. Vim przekręcił się i zawisł nad nią, opierając się na ramionach i kolanach.

- Na miłość boską, Sophie, pocałuj mnie.

Bez pośpiechu otoczyła dłońmi jego twarz i pocałowała go w usta. Był to słodki, niemal niewinny pocałunek, po którym przejechała dłonią po jego włosach i przyciągnęła go za kark.

- Ty też mnie pocałuj - szepnęła. - Szaleńczo i namiętnie. Żądza została uwolniona i wypełniła ciało Vima. Otworzył usta i zgniótł jej wargi, a szalone pożądanie zagrało mu w żyłach.

- Vim - powiedziała miękko, jakby go o coś błagała. Trzymała dłoń na jego podbródku, a drugą w jego włosach, przyciągając go delikatnie.

Z trudem powściągnął palące pożądanie i oparł czoło na jej czole. Namiętność nie oznaczała niedbałego pośpiechu. Nie chciał tak traktować Sophie w ich jedyną wspólną noc.

Zwolnił tempo i całował powoli kąciki jej ust. Westchnęła, a jej oddech omiótł jego szyję. Dziękował w duchu damom, które nauczyły go powściągliwości, wyczucia tempa, cierpliwości i rozwagi w tych sprawach. Wszystkim kobietom, których twarzy i imion już nie pamiętał i prawdopodobnie nigdy sobie nie przypomni.

Przesunął językiem po delikatnym wnętrzu ust Sophie i poczuł, że mocniej zacisnęła rękę w jego włosach. Przywarła do niego i podjęła grę, drażniąc go krótkimi, niepewnymi wypadami do jego ust.

- Mógłbym cię całować całą noc, Sophie. I będę to robił. Objęła nogami jego pośladki.

- Nie tylko to - szepnęła w jego usta. Vim się uśmiechnął.

- Nie tylko.

Sophie wygięła ciało w łuk, przywierając do jego bioder, co przypomniało Vimowi, że nie zdjęła nocnej koszuli.

- Zdejmij koszulę, Sophie.

Pocałowała go mocniej, otaczając ramionami jego plecy, a jedną ręką ścisnęła jego pośladki. Odsunął usta od jej warg.

- Kochanie, chcę, żebyś była naga. - Dłoń na pośladku zwolniła nieco uścisk. - Chcę czuć twoją skórę, chcę cię wszędzie dotykać. Chcę, aby moje ciało pachniało tobą.

Puściła jego pośladek i rozplotła nogi.

- Zdejmij mi koszulę. Szybko!

Usiadł między jej nogami i kiedy się podniosła, zdarł z niej materiał, ale nie wtulił się do razu w jej ciało.

- Co lubisz, Sophie? Jak mam się z tobą kochać? Zamrugła w blasku świecy.

- Przed chwilą było całkiem miło.

- Przed chwilą rozpalając we mnie płomień. - Zawisł nad nią i odsunął włosy z jej czoła. - Ty też chyba narzuciłaś za szybkie tempo.

- Czy to źle?

- Wielki Boże. - Przysunął się bliżej, ale uważał, aby jego członek nie dotykał jej brzucha. - Chyba niezbyt często to robisz, prawda?

Bez pośpiechu pogłaskała go po włosach.

- Istotnie. Wtedy każdy myśli, że cię to nie interesuje i pojawia się coraz mniej okazji. Aż w końcu przestaje mieć znaczenie, czy kobieta jest zainteresowana, bo nikt jej o to nie pyta.

Nie przywykła prosić o to, czego pragnęła, czego potrzebowała. Postanowił, że jej to da, że dopilnuje, by chociaż ten raz życzenia Sophie Windham się spełniły.

- Tej nocy należę do ciebie, Sophie. A ty do mnie.

Zaczął ją całować, nie spiesząc się, jakby nigdy dotąd się nie całowali. Pocałował ją w czoło. Włosy Sophie, mimo kąpieli, nadal pachniały wanilią i cynamonem. Pocałował czułe miejsce pod uchem, połączenie szyi i ramienia, a Sophie ze świstem wciągnęła powietrze.

- Lubisz to, kochana.

- Tak.

Pieścił ją ustami przez długą chwilę, aż wyczuł, że puls na szyi gwałtownie przyspieszył, a jej dłoń mocniej szarpnęła go za włosy.

Jego wargi powędrowały niżej i objęły jeden nabrzmiący sutek, potem drugi. Owinęła nogi wokół jego pleców i zaczęła wodzić palcami po płatkach jego uszu.

- Ta pieszczota jest bardzo przyjemna.

- Masz piękne uszy.

Uśmiechnął się do jej piersi, a Sophie mocniej szarpnęła płatek jego ucha. Poczul gwałtowne pulsowanie między nogami.

- Sophie?

- Hm?

Zawisł nad nią nieruchomo.

- Pragnę cię.

Powiedział to bez afektacji, jakby oznajmiał prostą i niezaprzeczalną prawdę, którą zrozumiał pod wpływem chwili.

- Ja też cię pragnę, Vim.

Przesunęła dłoń po jego piersi i objęła palcami członek.

- Pragnę, abyś nas połączył. Chcę cię czuć w środku. Ścisnęła lekko jego członek, a przyjemne dreszcze rozplynęły się po ciele Vima.

- Prowadź mnie, Sophie.

Zmarszczyła czoło i nie wykonała najmniejszego ruchu.

- Pokaż mi, gdzie mam się znaleźć.

Sophie pokierowała jego członek do wilgotnego i gorącego otworu, po czym puściła go, a jej ciało znieruchomiało.

- Jesteś gotowa na przyjęcie mnie.

- Długo na ciebie czekałam, Vim. Nie każ mi czekać ani sekundy dłużej.

To było wyraźne zaproszenie. Vim natarł biodrami, przesuając się o parę cali, wystarczająco głęboko, aby poczuć pierwsze rozkoszne dreszcze penetracji.

- Wielki Boże, Sophie...

Była gorąca, mokra i cudownie ciasna, a przy tym na tyle mądra, aby nie robić niczego, co mogłoby osłabić jego samokontrolę. Posunął się kawałek dalej i nie wycofał, napawając się dotykiem obejmującego go ściśle ciała.

- Wszystko dobrze?

Skinęła głową i przywarła zębami do jego ramienia. Nie ugryzła go, ale czując jej zęby, posuwał się dalej powoli, zamiast zakończyć sprawę jednym mocnym pchnięciem. Cal po calu wdzierał się głębiej w jej ciało, tracąc po drodze przytomność umysłu.

- Mogę dalej?

Skinęła głową i poczuł, że mocno zacisnęła dłoń na jego pośladku. Posuwał się dalej w taki sam sposób jak dotąd, odrobinę w głąb, aby mieć czas na skontrolowanie reakcji Sophie. Ścisnęła jego pośladek, potem wczepiła się we włosy, wygięła ciało w łuk, przywierając do niego piersiami, przesunęła stopę po wewnętrznej stronie jego kolana,

Wreszcie, gdy był już blisko celu, z głośnym świstem wciągnęła powietrze.

- Sophie? Wszystko dobrze? - Przytulił policzek do jej policzka, ale cofnął się nieco. - Kochanie, ty płaczesz?

- Nie, to nie tak jak myślisz.

- Czy zrobiłem ci krzywdę?

Tego by nie zniósł. Zaczął się powoli i ostrożnie wycofywać, ale przytrzymała go nogami.

- Nie wiedziałam, jak będzie. Znieruchomiał, przytulając do niej policzek.

- Nie rozumiem.

- Nie mogę... To jest cudowne. Słodkie i intymne... i takie... porywające.

Boże... Otoczył dłonią jej kark i przycisnął jej twarz do swojego ramienia. Czuł, że płacze, czuł to całym ciałem, ponieważ był w jej wnętrzu i wokół niej, dotykał jej ciała niemal całym sobą.

Powiedziała, że to intymne. Porywające.

- Poruszaj się razem ze mną, kochana.

Zaczął powoli przesuwać się w jej wnętrzu, tak aby zdołała złapać rytm. Czuł, że jest mocno skoncentrowana, czekając na moment, aż jej ciało nauczy się dawać i brać. Poruszała się coraz łatwiej, a tempo wzrastało z każdą chwilą. Pochylił głowę i szepnął do jej ucha:

- Przestań myśleć, Sophie. Wzbij się w powietrze. Poczuj, że przestała się koncentrować na wspólnym rytmie

i poddała się całkowicie gorączce doznań.

- Vim... - szepnęła błagalnie w jego usta.

Ten szept sprawił, że wchodził w nią coraz mocniej, podczas gdy Sophie przywarła do niego, a jej ciałem wstrząsały konwul-

sje. Poddała się fali rozkoszy, przyciskając twarz do jego ramienia, wychodząc naprzeciw kolejnym pchnięciom, aż dyszała pod nim z wyczerpania.

Poczuł, że jej dłonie ześlizgnęły się z jego ciała, a nogi opadły bez sił przy jego biodrach. Podniósł się na rękach. W świetle świecy widział jej zarumienione policzki i oczy błyszczące od łez.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła włosy z jego twarzy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Może: „Vim, daj mi chwilę odpocząć, a potem zrób to, proszę, jeszcze raz, tylko lepiej”.

Zamrugła, a na jej usta wypłynął powoli słodki uśmiech. Przytulił się do niej, przyciskając ciało do jej piersi. Byli tak blisko siebie, jak tylko może być dwoje ludzi.

Przeczesała palcami włosy na jego karku.

- Vim, proszę, daj mi chwilę odpocząć, a potem zrób to jeszcze raz. Ale jeśli zrobisz to choć trochę lepiej, to postradam rozum na zawsze.

- W takim razie będziemy dwojgiem bezrozumnych kochanków.

Dał jej minutę, ani chwili więcej.

Sophie odprowadziła Vima wzrokiem, gdy wyszedł z łóżka, nie zasuważąc zasłon, i schował się za parawanem. Słyszała odgłos wykręcania ręcznika nad miednicą i żałowała, że nie może go obserwować podczas tych intymnych czynności.

- Zostań w łóżku, Sophie - powiedział cicho, wyłaniając się z mroku, i powiesił ręcznik na osłonie przed kominkiem. - Zaraz wrócę.

Po jego nagim ciele skakały płomyki światła. Wyszedł z pokoju i pojawił się po chwili z kołyską. Postawił mebel ostrożnie przy kominku, uważając, aby się nie zakołysał.

- Gdzie był Kit?

- Obok, w łazience. - Vim wszedł do łóżka z wilgotnym ręcznikiem w rękę. - Rozchyl nogi, moja kochana.

- Dlaczego w łazience?

- Czasami w takich chwilach głośno się zachowuję.

- Cichutko jęczysz, panie Charpentier. Lubię to.

Umył ją dokładnie delikatnymi ruchami, przecierając na koniec najbardziej intymne części jej ciała.

- Ty też jęczysz. - Pochylił się i ugryzł ją w ucho. - Uwielbiam to. Przewróć się na bok.

Rzucił ręcznik w stronę kominka, mijając kołyskę ledwie o kilka cali. Przewróciła się na bok, zadowolona, że spędzili razem połowę nocy, więc jeszcze trochę zostało.

Vim położył się obok niej, otoczył ręką jej ramiona i przerzucił jej nogę przez swoje uda.

- Nie powinnaś mnie zatrzymywać, Sophie - powiedział, trzymając jej stopę w swojej dużej, ciepłej dłoni, co dawało jej dziwne pocieszenie.

- Nie jestem teraz płodna. Nie chciałam, żebyś mnie opuszczał. Skuliła się pod wpływem własnych słów, przypominając

sobie, że rano wyjedzie na dobre. Ponieważ nie odpowiedział, Sophie zaczęła gromadzić wspomnienia. Chciała utrwalić w pamięci unoszącą się pod jej ręką klatkę piersiową Vima, zapach bergamotki, nieco słony smak skóry na ramieniu, które ścisnęła zębami, transcendentne uczucie połączenia ich ciał, do którego doprowadził tak ostrożnie i delikatnie....

- Sprawy w Kent zajmą mi pewnie kilka tygodni... - Zamyślił się.

Gładził palcami jej włosy, spływające na plecy, a Sophie od razu zrozumiała, nad czym się zastanawia.

- Nie musisz się martwić. Nie mogę teraz zajść w ciążę, w przeciwnym razie nie byłabym taka... samolubna.

- Nie możesz mieć całkowitej pewności, Sophie. Zostawię ci mój adres - odezwał się z zaledwie cieniem przygany, ale nie miał racji.

Sophie była pewna, że ich ścieżki muszą się rozdzielić bez względu na konsekwencje. Choć te ostatnie uważała mimo wszystko za nieprawdopodobne. Na miłość boską, przecież tańczyła walca z jego przyrodnim bratem. Dyskretna opieka Benjamina

Hazlita odegrała znaczącą rolę w życiu rodziny, uchroniła przed krzywdą żony Valentine'a i Westhavena.

Vim dowiedziałby się, prędzej czy później, że jest córką księcia, i na pewno uznalby, że zachowała się wobec niego nieuczciwie. I miałby świętą rację. Nie zadawał jej kłopotliwych pytań, nie mógł domyślać się prawdy. Nikt by nie uwierzył, że rodzina zostawiła lady Sophie Windham całkiem samą w książęcej rezydencji, bez przyzwoitki i służby. Musiała się uciec do podstępu, aby zrealizować ten plan. Vim poczułby się oszukany i manipulowany, a to by wszystko zrujnowało, nawet wspomnienia.

- Niemal słyszę, jak myślisz, Sophie - rzucił leniwie z ciemności, głaszcząc równie leniwie jej włosy.

Gdyby propozycja pozostawienia adresu w Kent wynikała z czegoś innego niż poczucie obowiązku i winy, być może doszła-by do wniosku, że lepiej powiedzieć mu prawdę.

- Staram się zapamiętać każdy moment, który spędziłam z tobą w łóżku.

- Może być więcej takich chwil. Będę wracał przez Londyn, kiedy załatwię rodzinne sprawy.

Niech go lichy.

- Muszę mieć na względzie swoją pozycję.

Zapadło długie milczenie, a Sophie czuła, że radość z cudownej inicjacji seksualnej i spędzonych razem intymnych chwil gaśnie powoli w jej sercu przygniecioną żalem

- Mógłbym ci zaproponować inną pozycję, długotrwałą i stabilną. Taką, której nie zaproponowałem jeszcze żadnej innej kobiecie.

Zamknęła oczy, aby powstrzymać napływające łzy. Vim był dobrym człowiekiem, mężczyzną, o którym się marzy i którego się pragnie, ale sama wszystko tak skomplikowała, że musi się z nim rozstać. Nie chciała być jego kochanką i spotykać się z nim przez kilka lat w przerwach między dalekimi wjazdami.

A jeśli źle go zrozumiała? Jeżeli nie chodziło mu o sekretny związek, ale o małżeństwo? Nie. Na to nie miała nadziei. Nawet

gdyby się dowiedział, że nie przedstawiła mu uczciwie swojej pozycji społecznej, i mimo to złożyłby jej propozycję małżeństwa, to i tak musiałaby ją odrzucić.

Z tymi niewesołymi myślami zasnęła w jego ramionach, a rano nie pamiętała, co jej się śniło.

Vim uczył się powoli odczytywać nastrój panny Sophie Windham. Pomimo że rano wydawała się pogodna i zadowolona, wiedział, że cierpi. Spokojnie wykonywała poranne czynności. Gdy się czesała, obserwowала w lustrze, jak Vim się ubiera i ścieli łożko. Na jej twarzy malował się uśmiech. Jednak oczy, postawa i milczenie świadczyły, że serce pęka jej z bólu.

Kit zaczął trochę marudzić, ale leżał, wtykając do buzi palce nóg. Vim podniósł z podłogi narzutę, którą cisnął tam w ferworze namiętności. W świetle pogodnego dnia dostrzegł na niej ja-snoczerwone pasma.

- Sophie?

- Hm?

- Czy spodziewasz się miesiączki?

Jej dłonie znieruchomiały na warkoczku, który spinała w koczek, ale była to jedyna widoczna reakcja na jego słowa.

- Zawsze się jej spodziewam, nawet jeśli dopiero się skończyła. Moja matka ma wiele niepoehlebnych powiedzonek na temat tego wynalazku Wszechmocnego. Jedyny pożytek to możliwość posiadania dzieci, ale biorąc pod uwagę, co się wiąże z urodzeniem dziecka, trudno to uznać za korzystny interes.

Vim przypomniał sobie cudownie ciasne wnętrze Sophie, jej początkowe zagubienie, odtworzył w pamięci, jak przywarła zębami do jego ramienia, gdy zanurzył się w wilgotnym cieple. Nie wiedziałam, jak będzie...

Czyżby była dziewczicą?

To by diametralnie zmieniało sytuację... i oznaczało, że wprowadziła go w błąd.

- Czy coś cię boli? - zapytał, wyjmując Kita z kołyski i trzymając dziecko wysoko nad głową. - Dzień dobry, wasza wysokość.

- Jestem zmęczona. Wolałabym, żeby w czasie twojej podróży nie pojawiły się jakieś nieprzewidziane trudności - zmieniła szybko temat, starając się panować nad wyrazem twarzy. Przyglądała się, jak Vim podrzuca dziecko.

- Sophie, czy jestem pierwszym mężczyzną, któremu pozwoliłaś się ze sobą kochać? - zapytał od niechcienia, nie odrywając wzroku od dziecka.

Zmarszczyła brwi, ale szybko się rozchmurzyła.

- Nie jestem dziewicą, jeśli o to pytasz. - Wiedziała, że o to pytał, ale sformułowała odpowiedź w czasie terażniejszym, aby go nie okłamywać.

- Czy nie trzeba zmienić dziecku pieluchy?

- Trzeba.

Vim opuścił małego. Odpowiedź Sophie go nie zadowoliła, ale nie wiedział, jak wyjaśnić tę sprawę do końca, nie zadając jej bezpośrednich pytań.

Nie czuł się z tym dobrze. Niepewność, co do tego co właściwie zaszło między nimi tej nocy, towarzyszyła mu jeszcze godzinę później, gdy stali w stajni, a Sophie trzymała zawiniątko z Kitem.

- Goliat zawiezie cię bezpiecznie do Kentu - powiedziała, przesuwając dłoń po szyi ogromnego konia. - Uwielbia przedzierać się przez śnieg i wiem, że dopilnujesz, aby nie stała mu się krzywda.

Vim miał kieszenie płaszcza wypełnione gorącymi ziemniakami, a w torbie podróźnej zapas chleba, sera, keksu, a nawet kawałek marcepanu, który Sophie przyniosła ze spiżarni. W nogi było mu ciepło i miał nadzieję, że tym razem buty nie przemokną, gdyż Sophie nalegała, aby włożył wspaniałe wełniane skarpety jej brata. Wetknęła mu nawet do torby butelkę dobrej brandy.

Pomimo tych luksusów serce pękało mu z bólu, chociaż wydawało mu się, że już dawno wyleczyło się z takich bzdur. Myśl o tym, co mogłoby między nimi być, ale nigdy się nie ziści, napęniała go cierpieniem.

- To jest cena, jaką płacimy za nasze przyjemności - powiedział cicho, aby Higgins i Merriweather go nie usłyszeli. - Musimy się rozstać, a to jest... trudne.

Skinęła głowę, zaciskając usta ostatnim wysiłkiem woli. Vim zerknął przez ramię. Obaj stajenni gdzieś zniknęli.

- Chodź do mnie, Sophie Windham.

Objął ją po raz ostatni. Kobieta trzymająca na ręku dziecko była dla niego uosobieniem marzeń o ciepłym domowym ognisku, do którego zawsze pragnął wracać z podróży. Była jego domem...

Ale nie chciała być jego żoną. Rozważał nawet, czy nie poprosić jej, aby została jego kochanką, ale była dla niego zbyt cenna i godna szacunku, aby składać jej takie propozycje.

- Przyślę konia z powrotem, gdy tylko drogi będą przejezdne. Westchnęła ciężko.

- Odeślij go do Morelands.

- Morelands?

To była duża posiadłość oddalona pięć mil od Sidling. Księżę i księżna Moreland słynęli z gościnności nawet w młodych latach. Vim był w tej rezydencji tylko raz i nie potrafił sobie przypomnieć ich rodzowego nazwiska.

A zatem Sophie pracowała dla rodziny, której dom stał się przed laty sceną jego najgorszych przeżyć. Cóż za ironia losu!

- To jest w hrabstwie Kent - powiedziała, opierając policzek na jego piersi. - Obiecuj, że nie będziesz się forsował. I zadbasz o stopy, żeby całkiem nie odmarzły.

- Obiecuję.

Pocałował ją w policzek i wyzwolił się z jej objęć, bo jeszcze chwila i padłby na kolana, błagając, by rozważyła propozycję małżeństwa. A przecież nie pozostawiła mu wątpliwości, że woli niezależność, jaką daje jej posada przy rodzinie, niż to, co może oferować człowiek, którego ledwo zna.

- Sophie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dla siebie czy dla Kita, daj mi znać bez wahania.

Skinęła głowę, niczego nie obiecując. Nigdy się z nim nie skontaktuje.

Pocałował dziecko w czubek główki i sprawdził popręg przy siodle wykonanym na miarę ze względu na wielkość konia.

- Dziękuję ci - powiedziała cicho, przytulając twarz do dziecka, aby na niego nie patrzeć.

- Za co?

- Miałam pewne świąteczne życzenia. Niemądre i szalone. Wiele z nich spełniło się dzięki tobie.

- W takim razie jestem zadowolony.

Był to najgorsze kłamstwo, jakie w życiu wygłosił.

Panna Sophie ukryła się w głębi stodoły i udawała, że zajmuje się koniem, który jej pozostał, jednookim Sampsonem. Ale chciała tylko w spokoju się wypłakać. Przytuliła twarz do szyi ogromnego zwierzęcia, aby nikt nie widział łez, których zawsze się wstydziła. Płakała tak, jakby serce miało jej pęknąć.

- Nie przejmuj się tym, dzieciaku. - Higgins uśmiechnął się szeroko do małego, którego trzymał na rękach. - Lady Sophie ma prawo sobie popłakać. Co innego ty, maluchu. Ty masz to, co chcesz. Rozpieszcza cię, i tyle.

- Panna Sophie powiedziała, że mały wziął się do raczkowania - odezwał się Merriweather z małego pomieszczenia, w którym czyścił zabłocony popręg. - Lepiej dla dzieciaka, że Joleen dała nogę.

- Pomódl się za bidulę. Ten Harry to niezłe ziółko.

- Kawał drania. Założę się, że znowu zrobił jej dziecko.

To by wyjaśniało desperacką ucieczkę Joleen i sprytne zagranie z pozostawieniem dziecka pod opieką panny Sophie.

- Panna Sophie zajmie się chłopakiem. Merriweather spojrział z ukosa.

- A to się jej bracia zdziwią, jak zobaczą siostrę z dzieckiem na biodrze.

Higgins ujął bródkę dziecka koślawym palcem.

- Będą niespodzianki, i to jeszcze dziś. Zapamiętasz moje słowa, dzieciaku.

Merriweather puścił oko i obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu, a Kit złapał Higginsa za nos, radośnie gaworząc.

- Milczysz jak grób - zauważył Val.

Westhaven jechał po lewej stronie brata, a St. Just przecierał szlak. Kupcy, którzy mieli kramy na Strandzie zrobili, co mogli, aby przetrzeć choć wąską ścieżkę, ale przy tak obfitych opadach nie było gdzie usypywać odgarniętego śniegu. Dwa konie mogły przejechać swobodnie obok siebie większość drogi, ale w niektórych miejscach było bardzo wąsko.

- Zastanawiam się, która część ciała bardziej mi zmarzła - odparł Westhaven. - Waham się między tyłkiem a nosem.

- Już od dawna nie czuję, że mam nos.

Westhaven zerknął na dłonie Vala ukryte w rękawiczkach.

- Ale twoim palcom nic nie grozi, mam nadzieję?

- Uchowaj Boże! Ellen by się gniewała, a do tego nie mogę dopuścić.

- Nie wytrzymam dłużej w tym przeklętym siodle.

- Za chwilę się ściemni - zauważył Val, zerkając na niebo, które nabrało koloru zimnego turkus. - Chatellowie będą pewnie zasiadać do kolacji. Czy ich książęce mości nie dały czasem wolnego całej służbie?

- Ja im dałem wolne. - To był idiotyczny pomysł, gdyż teraz będą musieli skorzystać z uprzejmości sąsiadów. - Dostali cztery tygodnie wolnego, a płacimy im za dwa i wszyscy mają przyjemne wakacje. Służba w Morelands dostaje wolne pod koniec lata, przed zniwami.

- Będę musiał wprowadzić podobne porządki w Bel Canto, o ile nie zamienię się zaraz w bryłę lodu. Nie mam ochoty zwałać się na głowę Chatellom.

- Jesteś żonaty - stwierdził Westhaven z ironicznym uśmiechem. - Nic ci nie grozi, Valentine. Nie wzbudzisz zainteresowania panien na wydaniu.

- Tak, ale zawsze towarzyszą im tabuny matek, ciotek i starszych siostr... St. Just, zatrzymaj się, proszę, na chwilę.

St. Just obrócił się w siodle, a jego koń stanął, choć nie dał mu wyraźnego polecenia.

- Chcesz zażyć świeżego powietrza? Przypominam ci, że zaraz się ściemni. Może tego nie zauważyłeś, zajęty komponowaniem w głowie melodii.

- Chcę podrzucić skrzypce do konserwacji. W dole tej uliczki jest warsztat. - Val zeskoczył z konia i zapadł się w śniegu. - Zaraz będę z powrotem.

- Niech konie odpoczną - powiedział St. Just, szturchając wierzchowca, żeby zszedł z ubitej ścieżki. - Westhaven, możesz zejść z konia?

- Nie mogę. Tyłek przymarzył mi do siodła na amen. Moja zdolność do prokreacji jest zagrożona.

- Anna będzie niepokojona.

St. Just poczekał, aż Westhaven zeskoczy z konia, po czym gwizdnął na małego ulicznika, który kulił się z zimna w drzwiach pobliskiego kościoła.

- Odzyskamy przynajmniej czucie w nogach, ale siodła będą takie przemarznięte, że przejdzie nam nawet ochota na barsztkowanie.

Westhaven odprowadził konia na zasypany śniegiem brzeg ulicy.

- Kiedy jest zimno, Emmie ma akurat wielką ochotę. - St. Just rzucił mu swój charakterystyczny uśmiech. - A ponieważ w West Riding często jest zimno, nauczyłem się z tego cieszyć. Skoro nasz młodszy brat zajmuje się swoimi cennymi skrzypcami, my możemy napić się grogu.

- Kawalek dalej jest gospoda. Za chwilę tam przyjdę.

St. Just nie mógł przejść obojętnie obok tego stwierdzenia. Odwrócił się do Westhavena, opierając ręce na biodrach, i przechylił głowę jak pies myśliwski nasłuchujący dobiegającego z oddali dźwięku.

- A co takiego masz zamiar robić, kiedy ja będę popijał w gospodzie?

- Wejdę do tamtego sklepu ze słodyczami. Jest otwarty do zmroku.

Na szczęście, było za zimno, aby człowiek mógł się zaczerwienić.

- Wolisz słodczyce niż ciepłko i popitkę w gospodzie? - Mały oberwaniec spod kościoła podbiegł do nich truchcikiem, a St. Just rzucił mu monetę. - Popilnuj koni.

- Jasne, będę miał oko.

- Na miłość boską. - Westhaven zdjął szalik i owinał nim szyję dzieciaka. - Za chwilę wrócimy - powiedział do niego. Czuł, że jeśli dłużej postoją na dworze, odmarzną mu uszy. - Tak się składa, że jestem właścicielem tego sklepu. Idź napić się grogu - zaproponował bratu. - Spotkamy się tutaj za dziesięć minut.

Odszedł, mając nadzieję, że brat chociaż raz go posłucha.

- Jesteś właścicielem sklepu ze słodczymi? - zapytał St. Just z dobroduszną życzliwością, ruszając za Westhavenem.

- Kettering nazywa to dywersyfikacją aktywów. Też możesz otworzyć sklep ze słodczymi. Nic nie stoi na przeszkodzie.

- Mój brat sklepikarzem. Małżeństwo ma na ciebie dobry wpływ, Westhaven. Od jak dawna masz ten miły interesik?

Trafił w sedno z tym określeniem, gdyż w sklepie było ciepło i unosił się całkiem przyjemny zapach cynamonu i czekolady.

Westhaven obserwował w milczeniu St. Justa, gdy ten rozglądał się po sklepie z nieukrywaną ciekawością. W wystroju wnętrza dominował kolor różowy, a uroku dodawały ozdobnie porozstawiane małe koszyczki i puszki oraz łuki ozdobione wstążkami.

- To istny burdel ze słodczymi - zauważył St. Just donośnym głosem, wyćwiczonym na placach defiladowych w Hiszpanii. - Urocze.

- Czego nie można powiedzieć o tobie.

- Przemarzłeś i tęsknisz za swoją hrabiną. Biorę na to poprawkę.

St. Just dotrzymał słowa i milczał miłosiernie, kiedy Westhaven kupił sporą torebkę marcepanowych cukierków.

- Żadnych pouczeń dla pracowników, żadnej mowy zagrzewającej do pracy? - zapytał St. Just, kiedy wyszli ze sklepu. Wetknął palce do torebki ze słodczymi, którą trzymał Westhaven.

- Poczęstuj się, proszę bardzo.

- Nie mogę pozwolić, żeby młodsi bracia się przeciążali - powiedział St. Just, przeżuując z zadowoloną miną najlepsze niemieckie słodycze pod słońcem. - Dlaczego nikt nie wie, że masz sklep?

- Bo nie trąbię o tym na prawo i lewo.

- Nie chcesz, żeby wiedzieli, że parasz się handlem? Westhaven wyjął cukierek z torebki, którą trzymał w dłoni,

zastanawiając się, czy marcepan mógłby zamarznąć, gdyby go w porę nie zjedli.

- Nie chcę, żeby wiedzieli, że mam sklep ze słodyczami. To mi nie dodaje godności.

Ruszył dumnym krokiem w stronę koni, a za plecami słyszał śmiech starszego brata.

- Au, to boli!

Kit uderzył Sophie w brodę z zadziwiająca siłą jak na tak małego, tłuściutkiego cherubinka. Miała ochotę cisnąć miskę z owsianką na kamienie paleniska.

- To mnie bolało, Christopherze Eliaszu - powiedziała, potrząsając delikatnie jego stopą. - Wstydz się!

Uśmiechnął się szeroko z buzią ubrudzoną kaszką i kopnął drugi raz. Sophie spróbowała podać mu jeszcze trochę jedzenia, ale wypluł je, kopiąc radośnie na prawo i lewo.

- Czas na zabawę - powiedziała, przecierając mu usta wilgotną szmatką.

Potem przyjdzie czas na czytanie i zapakowanie go do kołyski, gdy tymczasem ona...

Wzrok Sophie powędrował do okna, za którym panowały ciemności. Wczoraj rozpaczliwie płakała, dziś zabrakło jej łez. Wczoraj tęskniła za Vimem, dziś odczuwała tęskny ból w takich częściach ciała, których nazw nie знаła nawet po łacinie. Były to bardzo intymne kobiece zakamarki i obawiała się, że mogą ją tak boleć bez końca.

Posprzątała bałagan po kolacji dziecka i wzięła małego na ręce.

- Wydajesz się cięższy, ale to pewnie tylko moja wyobraźnia. Pieluszką Kita była brudna, więc poszła z dzieckiem do pralni, aby ją zmienić. Uświadomiła sobie, że te niezbyt miłe czynności szybko stały się dla niej codzienną rutyną.

- Jesteś grzecznym chłopcem - powiedziała, podnosząc go i przytykając nos do jego nosa. - Cudownym dzieckiem. Czas wyruszyć na podbój pokoju, prawda?

Wiedziała, że powinna posprzątać pokój Valentine'a, gdyż jutro na pewno zjawią się jej bracia, a chciała uniknąć kłopotliwych pytań.

- Dochowają moich sekretów - powiedziała do Kita, idąc z nim do salonu. - Wytłumaczę im, że potrzebowałam samotności. Westhaven może uciec przed światem do swoich interesów, Valentine ma fortepian, a Devlin konie. A gdzie ja mam się ukryć, kiedy chcę mieć trochę spokoju? Gdzie mam znaleźć choć odrobinę prywatności? Pijąc herbatkę z jej książeczką gości? Idąc z siostrami na zakupy? Paradując po mieście w towarzystwie ojca?

Wielkie nieba, zabrzmiało to niemal... gniewnie.

Usiadła na sofie, sadzając dziecko na kolanach.

Dama nie powinna okazywać silnych emocji, no chyba że w takiej sytuacji jak z Vimem... A już na pewno nie powinna płakać.

Z kuchni dobiegło głośne trzaśnięcie drzwi. Aż podskoczyła na sofie. Uświadomiła sobie, że przez cały dzień nasłuchiwała podobnego odgłosu. Czy Vim znowu wrócił? Dały się słyszeć kolejne trzaśnięcie drzwi i przytłumione głosy.

Położyła Kita do kołyski.

- Zaraz wrócę. Bądź greczny. - Położyła jego rączkę na buzi. Posłusznie wsunął do niej dwa palce. - Dobry chłopiec.

Sophie zamknęła za sobą drzwi do salonu i szybko poszła do kuchni. Zastała tam braci strzepujących śnieg z butów. Mruczając coś pod nosem, zdejmowali wierzchnie okrycia. Wnieśli do pomieszczenia chłód i wilgoć.

- Sophie! - zawołał Val, który pierwszy ją zauważył. Podszedł do niej i objął ją bez ceregieli. - Sophie Windham, bardzo za tobą tęskniłem.

Przytulał ją mocno, tak że Sophie mogła ukryć twarz na jego ramieniu, walcząc z narastającym w gardle płaczem.

- Musisz posłuchać mojej nowej etiudy. Oparłem ją na paraleli i kontrapunkcie. Zabawny utwór.

Odsunął się od siostry. Widok jego uśmiechniętej twarzy przepęłniał ją taką radością, że chciała dalej się do niego przytulać, ale St. Just dał Valowi kuksańca.

- Zaginiona siostrze, gdzie się podziewałaś? - Jego uścisk był delikatniejszy, ale równie serdeczny. - Przejechałem pół Anglii, żeby cię zobaczyć.

Pocałował ją w policzek, a Sophie poczuła, że na jej twarz wypływa rumieniec.

- Nieprawda. Przyjechałem na południe, bo Emmie ci kazała. I chcesz sprawdzić, co porabiają twoje damy w Surrey.

Westhaven czekał, aż St. Just uwolni ją z objęć.

- A ja chciałem sprawdzić, co ty porabiasz. - Jego uścisk był najdelikatniejszy. - Ale nie było cię tam, gdzie miałaś być, Sophie. Musisz się z tego wytłumaczyć, żebyśmy wiedzieli, co mamy powiedzieć jej książęcej mości.

Był po jej stronie, co rozculiło Sophie. Przycisnęła twarz do ramienia brata i poczuła łzę spływającą po policzku.

- Tak bardzo za wami tęskniłam.

Westhaven poklepał ją po plecach, a Valentine wcisnął jej w dłoń zimną, pogniecioną chusteczkę.

- Popłakała się przez nas - powiedział St. Just dość ponuro.

- Ja tylko... - Sophie wysunęła się z objęć Westhavena i wytarła oczy. - Jestem trochę zmęczona, to wszystko. Upiekłam ciasta, a poza tym w święta zawsze mam gorszy nastrój. I jeszcze dziecko...

- Jakie dziecko?! - wykrzyknęli jak jeden mąż.

- Nie krzyczcie, proszę - syknęła Sophie. - Kit nie jest przyzwyczajony do obcych, a kiedy ma za dużo wrażeń, nie może usnąć i mnie nie daje zmrużyć oka.

- Oto dziewczyna pocznie syna - mruknął Val, gdy Sophie oddawała mu chusteczkę.

St. Just klepnął go w ramię.

- Nie jesteś pomocny.

Westhaven podszedł do pieca i zdjął z niego czajnik.

- O jakim dziecku mówisz, Sophie? No i może poczęstowałybyś nas tym ciastem, które upiekłaś? Długo byliśmy w drodze i jest zimno. Wiesz, że robimy się drażliwi, kiedy nam burczy w brzuchu.

Posłał jej krzepiący uśmiech, którym pocieszał ją zwykle w trudnych sytuacjach. Westhaven był rozsądnym człowiekiem. To była jego wielka zaleta, ale w tej chwili nie mogło jej to pocieszyć.

Nie zachowała się rozsądnie i, co gorsza, wcale tego nie żałowała. Natomiast wiedziała, że gorzko tego pożałuje, jeśli jej wybryk nie pozostanie tajemnicą.

- Ta młoda służąca spodziewała się dziecka, prawda? - zapytał Westhaven, przygotowując tacę z herbatą.

Sophie usiadła przy stole, St. Just rozparł się przy blacie kuchennym, a Val zajął miejsce na ławce.

- Ma na imię Joleen - powiedziała Sophie. - A dziecko ma już sześć miesięcy i jest zdrowym jak rydz chłopcem, któremu na imię... Westhaven, co ty robisz?

- Upewnia się, że pod pozorem troski o rodzeństwo dostanie coś do jedzenia - powiedział St. Just. - Teraz przyniesie śmietanę, która stoi na oknie, aja zrobię kanapki. Valentine, przynieś obrus.

- Tak jest, panie kapitanie. - Val zasalutował i ruszył do schowka, podczas gdy Westhaven wyszedł na zimny korytarz.

- Wyglądasz na zmęczoną, Sophie. - St. Just przyglądał się jej z groźnie zmarszczonymi brwiami i poważnym wyrazem twarzy. Gdy jego wzrok zatrzymał się na piecu, brwi zlały się w jedną linię. - Czy to moje ulubione skarpety suszą się przy piecu? Są na ciebie trochę za duże, prawda?

Z bocznych drzwi wyłonił się Westhaven z małym pudełkiem w dłoni.

- Ktoś pożarł moje marcepanki. Jeśli jego książęca mość przerzucił się z kremówek na niemieckie czekoladki, to wezwę sekundantów.

Valentine wszedł z korytarza.

- Ktoś zostawił mój ulubiony kubek w szafce na obrusy. Myślałem, że wolisz delikatniejszą porcelanę, Sophie.

Gdy Sophie gorączkowo szukała wiarygodnego wytłumaczenia dowodów obecności Vima w domu, drzwi za jej plecami otworzyły się gwałtownie.

- Sophie, kochanie! Wróciłem. Chodź do mnie i daj się wycałować. A potem musimy poważnie porozmawiać.

Wielkie nieba!

Z ciemności wyłonił się Vim, zmęczony, przystojny i bardzo zadowolony. Jednak mina szybko mu zrzędła, gdy ujrzał trzech mężczyzn, wpatrujących się w niego groźnym wzrokiem.

- Kim pan jest, do diabła? - zapytał Westhaven cicho, ale bez właściwej sobie rozwagi.

- I skąd panu przyszło do głowy, że będzie pan całował moją siostrę? - dodał St. Just, opierając ręce na biodrach.

- I o czym, na Boga, musi pan porozmawiać z lady Sophie? - rzucił Valentine, zakładając ręce.

7

Pomimo zdziwienia na widok Sophie w towarzystwie postawnych i bez wątpienia przystojnych mężczyzn Vimowi przyszły do głowy trzy spostrzeżenia.

Po pierwsze, wszyscy trzej byli do niej podobni, choć każdy w nieco inny sposób. Mężczyzna z ciemnymi włosami miał takie same oczy, ten z jaśniejszymi - podbródek, a najszczuplejszy z całej trójki - identyczny kształt nosa. Jakby tego było mało, cała czwórka miała zielone oczy.

Vimowi nasunął się jedyny możliwy wniosek, że stoi przed braćmi Sophie. Ta konstatacja wywołała ulgę, ale i żal. Gdzie byli ci krzepcy mężczyźni, gdy ich siostra musiała sama radzić sobie z dzieckiem, burzą śnieżną i nieznanym, którego przyjęła pod swój dach?

Po drugie, uświadomił sobie poniewczasie, że koło stajni widział liczne ślady końskich kopyt na śniegu. Higgins odebrał od niego konia, ale nie wspomniał o przybyciu gości. Gdyby Vim zwrócił uwagę na te ślady, to pewnie domyśliłby się, że Sophie nie jest sama.

Wszystko to jednak wydawało się mało ważne wobec trzeciej myśli, która go oświeciła. Miał do czynienia z lady Sophie.

- Twój koń dziarsko ruszył w drogę - powiedział bezpośrednio do niej, nie zważając na patrzących spode łba idiotów tłoczących się w kuchni. - Ale gdy zacząłem oddalać się od rzeki, wyraźnie osłabł. Nie kulał, ale wydawał się tracić siły. Nie chciałem go zostawiać w tym stanie w przypadkowym zajeździe, więc przyprowadziłem go z powrotem. Nie wiem, co mu dolegało, ale gdy zbliżaliśmy się do miasta, przeszło jak ręką odjął. Jak się miewa Kit?

Woda w czajniku zaczęła się gotować, ale Vim nie spuszczał oka z Sophie.

Lady Sophie, huczało mu w głowie. Zdawał sobie sprawę, co to oznacza. Ten tytuł nosiły córki earłów, markizów i księżąt oraz żony parów. Mężatki cieszyły się znacznie większą swobodą niż panny...

- Sophie, widzę, że znasz tego mężczyznę - odezwał się jeden z braci, ten o kasztanowych włosach, wymawiając z naciskiem ostatnie słowo. - Może nas przedstawi?

Ciszę rozdarł krzyk oburzenia dobiegający z salonu.

- Pójdę po niego. - Mijając Vima, Sophie rzuciła mu błagalne spojrzenie. - Nie chcę znaleźć tu po powrocie potłuczonych naczyń.

Brat, który poprosił Sophie, by ich przedstawiła, miał wygląd uczonego. Odprowadził siostrę wzrokiem pełnym troski.

- Nazywam się Vim Charpentier.

Vim wyciągnął rękę, starając się, by nie wyglądało to prowokacyjnie.

Po pierwsze, nie dałby rady trzem naraz, a po drugie, Sophie nie życzyła sobie szkód.

- Westhaven - powiedział mężczyzna, ale nie wyciągnął dłoni. - A to moi bracia, lord Rosecroft i lord Valentine Windham. Z pewnością nie będziemy do pana usług, dopóki nam pan nie wyjaśni, co miało znaczyć tak obcesowe przywitanie z naszą siostrą.

Jeżeli brat Sophie był lordem, a ona sama używała tytułu lady, w takim razie ich ojciec musiał nosić tytuł markiza albo... Wielki Boże, to się robiło niemal zabawne.

- Wyjaśnienia muszą poczekać, aż dołączy do nas lady Sophie - odparł Vim.

W chwili gdy to mówił, Sophie wyłoniła się z korytarza z Kitem na rękach.

- Witaj, chłopcze. - Vim nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy na jego widok dziecko zaczęło podskakiwać w objęciach Sophie i wyciągać do niego rączki. - Ja też za tobą tęskniłem.

Podawała malca Vimowi, ale chyba tylko po to, żeby bracia nie rzucili się na niego z pięściami. Mimo to poczuł się lepiej, trzymając dziecko na rękach. Był zadowolony, że chociaż jedna osoba cieszy się, że nie zamarzył w śnieżnej zaspie.

Sophie z uporem wpatrywała się w dziecko.

- Westhaven, Rosecroft, lordzie Valentine - zaczęła, nie podnosząc wzroku - pozwólcie, że wam przedstawię pana Vima Charpentiera, do niedawna zamieszkałego w Kumbrii, a obecnie zmierzającego do Kentu. Burza zatrzymała go w Londynie, a ja potrzebowałam pomocy...

- Sophie - przerwał jej cicho Vim, chcąc, aby spojrzała mu w oczy. - Proponuję, żebyśmy najpierw zajęli się dzieckiem, a potem porozmawiamy z twoimi braćmi jak cywilizowani ludzie. Na pewno są głodni, a tobie przyda się kilka chwil, aby pozbierać myśli.

Złożyła dłonie, ale nie odpowiedziała, obrzucając go tylko przelotnym spojrzeniem.

- Ten plan brzmi rozsądnie - powiedział dragon, Rosecroft. W Yorskhire utworzono niedawno nowe hrabstwo o tej nazwie. - Valentine wyjada twoje marcepanki, Westhaven. Mówiłeś coś o wezwaniu sekundantów, zdaje się?

Ten żart nieznacznie rozładował napięcie. Vim wyczuł, że nie jest to realna groźba. Odwrócił się z dzieckiem.

- Będziemy z Kitem w salonie.

Nie wziął Sophie za rękę. Nie był pewny, czy sam tego chce. Teraz była to dłoń lady Sophie.

- Tylko zostawcie otwarte drzwi do salonu! - zawołał lord Valentine, ale Sophie i tak je zamknęła, nie zważając na napomnienie brata, co Vim uznał za minimum komfortu.

- Przy otwartych drzwiach byłby przeciąg. Valentine nie ma jeszcze dzieci i nie przyjdzie mu do głowy, że Kit będzie na dywanie...

- Sophie.

Nie wykonał najmniejszego gestu, aby jej dotknąć. Sophie w milczeniu uklękła na kocach rozłożonych na podłodze.

- Będą myśleć wszystko, co najgorsze - odezwała się w końcu. - Nie chcę, żeby źle o mnie myśleli, Vim... panie Charpentier... Och, nieważne! Jak mam się do ciebie zwracać?

Znieruchomiał na moment, układając Kita między kocami.

- Jeśli mam cię tytułować lady Sophie, to mogłabyś zwracać się do mnie: lordzie Sindal.

Uniosła brwi i zaraz je opuściła.

- Masz tytuł?

- To tytuł zwyczajowy, podobnie jak twój, tylko niższy rangą. Jestem dziedzicem wicehrabstwa Rothgreb. Baron Sindal, do usług.

- Och, wielkie nieba. - Spojrzała na niego w końcu, a w jej oczach dostrzegł zrozumienie i ulgę. - Nie powiedziałaś mi o tym, bo myślałaś, że jestem zwykłą... Czym właściwie? Damą do towarzystwa? Gospodynią?

- Coś w tym rodzaju. Ale przede wszystkim myślałem, że jesteś uroczą kobietą. - I nadal tak uważał. - Co powiemy twoim braciom, Sophie? Dali nam kilka minut przez szacunek dla ciebie, ale w każdej chwili mogą tu wtargnąć, żądając wyjaśnień, i niech diabli wezmą porcelanę.

- Powiemy im tylko tyle, ile trzeba. Jak najmniej.

Nie to chciał usłyszeć, ale honor nie pozwalał mu na więcej niż jeszcze jedną próbę wypływającą z pragnienia serca.

- Poproszę o twoją rękę, jeśli tego chcesz.

Poproszę ponownie. Nie chciał, by zabrzmiało to błagalnie, ale z trudem zapanował nad głosem.

Sądząc jednak po zmarszczce, która przecięła czoło Sophie, nie były to słowa, które chciała usłyszeć.

- Nie wymagam tego od ciebie.

Zbierał w myślach argumenty, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich lord Valentine z tacą w rękach.

- Wybaczcie, że nie zapukałem. - Uniósł nieco tacę i rzucił Vimowi prowokacyjne spojrzenie. - Zrób miejsce, Soph. Westhaven liczy swoje słodycze, a St. Just przygotowuje ucztę. Jak ma na imię ten mały nieszczęśnik?

- Kit. Christopher Eliasz Handel.

Valentine usiadł na sofie, co miało ten dobry skutek, że Sophie musiała przysunąć się do Vima na dywanie.

- Jakies pokrewieństwo z kompozytorem?

- Wątpię. .

- Odpreż się, Sophie - powiedział lord Val, szturchając ją czubkiem nogi. - Wtedy starsi bracia wezmą z ciebie przykład albo sam ich do tego nakłonię. Może zjesz kanapkę, Charpentier? Nawet skazaniec ma prawo do ostatniego posiłku.

Tej wspaniałomyślnej propozycji towarzyszył uśmiech, którego nie powstydziliby się najbardziej przebiegły kot.

- Dziękuję. Sophie, może masz ochotę?

- Dla ciebie moja siostra to lady Sophie, Charpentier - przypomniał lord Valentine od niechcienia.

Sophie sięgnęła po kanapkę, piorunując brata wzrokiem.

- Dziękuję, lordzie Sindal.

Ugryzła mały kęs, po czym podała kanapkę Vimowi, podczas gdy lord Valentine siał spustoszenie na talerzu.

- Mogłeś na nas poczekać - upomniał go Rosecroft.

On również niósł tacę, na której stały karafka i kilka szklanek. Westhaven wszedł jako ostatni i zamknął drzwi salonu.

Skromny salonik dla służby zapewne jeszcze nigdy nie gościł tylu utytułowanych osób i nie był scenerią tak napiętej sytuacji. Sophie miała taki wyraz twarzy, jakby groziła jej ekskomunika, ale bracia spokojnie jedli posiłek, nie spiesząc się z rozpoczęciem procesu.

- Może jeszcze trochę, lady Sophie? - Vim podał jej drugą połowę kanapki, głównie po to, by wkurzyć jej braci.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodna.

- Czy on zębkuje? - zapytał Westhaven, rozsiadając się w fotelu przy kominku.

Pozostali dwaj bracia zajęli całą sofę, tak że Vim i Sophie byli zmuszeni siedzieć na podłodze obok Kita.

- Nie wiem - odparła Sophie, podając jednemu z braci kanapkę.

- Mocno się ślini - zauważył Westhaven. - Jeśli jeszcze nie ma zębów, to wkrótce mu wyrosną, a potem można zapomnieć o świętym spokoju. Czy zastanawiałaś się, gdzie go umieścić?

Lord Val zaczął napełniać szklanki.

- Szpital dla podrzutków powinien go przyjąć - powiedział. - Jego imiennik wyposażył to miejsce w nowe organy. Kit chyba spełnia ich kryteria.

Rosecroft udawał zajętego. Kanapka, którą przed chwilą podała mu Sophie, zniknęła w jego ustach.

- Jakie to kryteria?

- Jest pierwszym dzieckiem - wyjaśnił lord Val, podając Vimowi szklankę. - Jego matka przeżywa trudny okres, ale ma dobry charakter, a ojciec ulotnił się i nie wiadomo, gdzie jest.

- Nie pójdzie do szpitala dla podrzutków - oznajmił Vim, nie mogąc znieść grymasu na twarzy Sophie. - Lady Sophie znajdzie mu na wsi rodzinę, która go przygarnie.

Rosecroft oparł się i wziął szklankę z rąk lorda Vala.

- Czy tego chcesz, Sophie?

Vim ugryzł się w język, choć widział niezdecydowanie w oczach Sophie.

- Sądzę, że tak będzie najlepiej dla Kita. Chłopiec musi mieć braci i siostry, potrzebuje świeżego powietrza i rodziny.

Wszyscy bez wyjątku bracia unikali wzroku Sophie.

- Mamy większe zmartwienia niż to - stwierdził Westhaven, otrzepując ręce. - Jestem pewien, że ich książęce mości pomogą załatwić sprawę dziecka. Nas za to bardziej interesują okoliczności, w jakich się tu znalazłaś, Sophie. Oczekujemy wyjaśnień.

Pociągnął łyk ze szklanki, pozwalając, z przebiegłością i wyrachowaniem prawnika, aby w pokoju zaległa cisza. Vim chciał położyć dłoń na ramieniu Sophie albo nawet na jej ustach, aby powstrzymać ją od zabrania głosu. Ale ci trzej dranie mieli rację. Konieczne było ustalenie jednej wersji wydarzeń, aby reputacja Sophie nie odniosła trwałego uszczerbku.

- Śnieżyca działa na waszą korzyść - zaczął lord Val, podnosząc dłoń Sophie i wkładając w nią szklankę. - Nikt nie wychodził z domu i nie kręcił się po dworze, nikt nie udzielał się towarzysko.

- Racja - przyznał Rosecroft. - Wpadliśmy do Chatellów. Podpity lokaj powiedział nam, że cała rodzina wyjechała do Surrey, a ty do Kentu ze swoimi braćmi.

- To jest w porządku - powiedział Westhaven - o ile nikt nie będzie wnikał za bardzo w daty.

Lord Val oparł się, stawiając szklankę na kolanach.

- A jak wyjaśnimy jego obecność? Jeśli jest lordem Sindal, to znaczy, że jest też dziedzicem starego Rothgreba. Pamiętam go sprzed wielu lat, kiedy był młodym chłopakiem.

- Wybierasz się do Kentu? - zapytał Rosecroft Vima.

- W istocie.

- Możesz jechać razem z nami - stwierdził Rosecroft, zerkając na Westhavena, który najwyraźniej cieszył się w rodzinie wielkim autorytetem.

- To dobry pomysł - powiedział Westhaven. - Ale najpierw powiedz nam, Charpentier czy raczej Sindal, czy jesteś przyrodnim bratem Benjamina Hazlita.

Tego Benjamina, który według Sophie zajmował się sprawami administracyjnymi ich książęcych mości, co właściwie nie

mówiło nic konkretnego o jego roli. Vim był ciekaw, skąd bracia Sophie mogli wiedzieć o jego pokrewieństwie z Benjaminem.

- Hazlit jest istotnie moim przyrodnim bratem - odparł Vim. - Z tego, co wiem, obecnie nie ma go w Londynie.

Chociaż w przypadku Bena nie mógł mieć absolutnej pewności. Brat nigdy otwarcie nie kłamał, ale najważniejszą sprawą była dla niego dyskrecja, której przestrzegał z wielkim kunsztem.

Lord Valentine przyglądał się siostrze, przekrzywiając głowę.

- Czyjego pokrewieństwo z Hazlitem komplikuje sytuację?

- Uwaga! - zawołał Westhaven, niemal zrywając się z fotela a oczy wszystkich zwróciły się na Kita.

Sophie ze spokojem uniosła zwisający brzeg bieżnika leżącego na stoliku, uniemożliwiając dziecku złapanie go, a mężczyźni rozsiedli się z powrotem i dalej sączyli napój ze szklanek.

- O mały włos zrzuciłby sobie na głowę cały talerz - powiedział Westhaven. - To niebezpieczny okres.

- Kit jest wspaniałym dzieckiem - odrzekła Sophie, wtykając brzeg bieżnika pod spód, aby był poza zasięgiem malca. - Ale zaczyna raczkować.

Rosecroft parsknął.

- Dopiero próbuje. W przeciwnym razie bieżnik musiałby zniknąć. Emmie i ja mamy całe pudła ładnych bibelotów, które łatwo się tłuką. Trzeba było je pochować, kiedy moja młodsza córka zaczęła raczkować.

Lord Valentine zmarszczył brwi, patrząc na dziecko.

- Zdaje się, że rozmawialiśmy o pokrewieństwie Sindala z Hazlitem, kiedy to wcielenie nieszczęścia nam przeszkodziło.

- Mówimy na niego jego wysokość - wtrąciła Sophie, posyłając lordowi Valentinie piorunujące spojrzenie.

- A więc sprawy przedstawiają się następująco, Charpentier, Sindal, czy jak tam cię zwa... - Westhaven również spoglądał na dziecko, a być może na Sophie, która była tuż obok. - Rodzina Windhamów jest coś winna twojemu bratu i w związku tym musi okazać... rozwagę. Zarówno lord Valentine, jak i ja straciliby-

śmy łaskawość naszych żon, gdybyśmy nie okazali uprzejmości krewnemu Hazlita.

Vim podał Sophie serwetkę, żeby wytarła ślinę ciekącą z buzi Kita. Chłopiec nie wydawał się wytrącony z równowagi zamieszaniem i najwyraźniej cieszyła go obecność w pokoju tylu ludzi.

- Wasze żony są przeciwne pojedynkom? - zapytał Vim.

- Jej książęca mość jest przeciwna pojedynkom - wtrącił lord Valentine. - Reputacja młodego człowieka byłaby zrujnowana, gdyby jego kumple się dowiedzieli, że mama nie pozwala mu się pojedynkować.

- Ale my już nie jesteśmy młodzieńcami - dodał Rosecroft. - I dla ciebie możemy zrobić wyjątek, Sindal.

- To miło z waszej strony. Sophie przewróciła oczami.

- Nie zachęcaj ich. Pamiętaj, że w pokoju jest dziecko.

- I dama - powiedział Westhaven. - Proponuję, abyśmy po prostu wyruszyli do Kentu, a oficjalnie powiemy, że podróżujemy z Sindalem, gdyż tak jest wygodniej. My trzej spędziliśmy tu kilka dni w towarzystwie naszej siostry przed wyruszeniem na wieś. Sindal pojawił się dopiero wtedy, gdy zawitaliśmy już do domu.

Vim bacznie przyglądał się Sophie, chcąc zobaczyć jej reakcję na to z góry ukartowane oszustwo. Książęca rodzina mogła sobie pozwolić na taki podstęp, zwłaszcza ta książęca rodzina. Tym bardziej że ich wersję mógł podważyć tylko podpity lokaj.

- Soph? - Lord Valentine szturchnął końcem buta kolano Sophie. - Potrzebujesz trochę czasu do namysłu?

Sophie nie odpowiedziała, gdyż dziecko rozpoczęło wędrówkę na czworakach, piszcząc z radości, gdy udało mu się przemierzyć odległość między bokiem Sophie a butami Rosecrofta.

- Nieprzemyślany atak na terytorium wroga grozi wzięciem do niewoli - oznajmił Rosecroft, podnosząc dziecko z podłogi do poziomu swojej twarzy.

Kit uśmiechnął się szeroko, złapał Rosecrofta za nos. A potem usłyszeli odgłos, który nie pozostawiał wątpliwości, że pieluszka małego jest solidnie zabrudzona.

- Gah!

- Gah, istotnie. - Rosecroft trzymał dziecko na odległość ramion. - Westhaven, ty masz syna. Przydzielam ci to chlubne zadanie.

- Valentine musi nabrać wprawy.

Vim wziął małego z rąk Rosecrofta i ruszył do pralni. Gdy wychodził z salonu, dobiegły go ciche słowa lorda Valentine:

- Wiesz co, Sophie? Większość mężczyzn nie boi się pojedynku w obronie honoru damy, ale trzeba naprawdę nie lada odwagi, żeby zmienić brudną pieluchę, i to z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Nie mogłeś wybrać gorszego momentu - powiedział Vim do uśmiechniętego dziecka. Malec roztaczał wokół siebie okropną woń. - Ale myślę, że dzięki temu bracia Sophie dwa razy pomyślą, zanim mnie wyzwą na pojedynek.

- Bah!

- Oni coś knują - powiedziała Sophie przyciszonym głosem, jakby się bała, że bracia albo inni ludzie w karczmie mogą ich podsłuchać.

Vim podał jej czystą pieluchę i połaskotał Kita po policzku.

- Nie sądzę, aby twoi bracia chcieli mnie wyzwać na pojedynek, jeśli o to ci chodzi.

Zwinęła brudną pieluchę i podała Vimowi.

- To nie jest wykluczone. Devlin zabijał ludzi, służąc w wojsku. Valentine zgotował bardzo zły los jednemu z krewnych swojej żony, a Westhaven jest gotów na wszystko, gdy w grę wchodzi dobro Anny. Nie możesz im ufać.

- Ale oni ufają tobie, Sophie. - Vim przycisnął palcem tasiemkę, którą Sophie wiązała na kokardkę. - Wiedzą, że nie jestem na tyle szalony, aby czynić ci awanse w ich obecności.

Chciała go zapytać, czy właśnie z tego powodu stara się zachować dystans, ale pojawił się Valentine.

- Za chwilę podadzą nam posiłek w prywatnej jadalni. Ale obawiam się, że ten mały czort pachnie lepiej niż ich jadło.

- Sam byłeś nie tak dawno takim małym czortem - przypomniała mu Sophie. - Sprawdziłeś, co z końmi?

- Twoi cenni przyjaciele stoją po kolana w słomie i z zadowoleniem przeżuwają świeże siano. Widziałem na własne oczy, jak St Just wsypywał koniom owies, a ten owies nawet nie zdążył dotknąć koryta, tylko został wciągnięty w locie jak przy inhalacji Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Chyba będę jadł tym samym sposobem, kiedy wreszcie podadzą kolację.

Między mężczyznami wciąż dało się wyczuć napięcie. Sophie nie potrafiła określić, czy to kwestia spojrzenia, czy raczej wyczekiwania na jakiś ruch.

- Wezmę Kita - powiedział Vim, zabierając dziecko z legowiska, na którym Sophie zmieniała mu pieluszkę. - Czy mają tu kołyskę? - skierował pytanie do Vala. Ten wzruszył ramionami.

- Umiem zająć się końmi. Wiem, jak zadbać o to, by zona była bezpieczna i zadowolona. Ale te stworzenia... - wskazał na Kita - sprawiają mi kłopot.

- Za to język angielski nie sprawia ci kłopotu - stwierdziła Sophie bez chwili namysłu. - Idź zapytać, czy mają kołyskę. Aje-śli tak, to każ ją zanieść do mojego pokoju.

Z tymi słowami chwyciła go za szerokie bary i odwróciła w stronę drzwi, a na koniec klepnęła w plecy.

- Za chwilę zjawią się tu Rosecroft i Westhaven - powiedział Vim, pocierając nosem nosek dziecka. - Przynajmniej oni mają trochę oleju w głowie.

- Myślę, że zadre spódnice tutaj, przy ludziach? - zapytała Sophie poirytowanym tonem, którego sama nie znosiła.

Vim odwrócił powoli głowę, aby jej się przyjrzeć, i zirytowało ją to jeszcze bardziej. Zachowywał się tak, jakby nie rozpoznawał dawnej Sophie w sekutnicy, która stała przed nim z rękoma na biodrach, nastroszonymi włosami i z przemoczonym brzegiem spódnicy.

- Będiesz miała miesięczkę?

- Słucham?

- Moje siostry robią się... drażliwe, kiedy zbliża im się miesiącka.

Wrócił do pojedynku na nosy, a Sophie zacisnęła dłonie w pięści i modliła się o cierpliwość.

- Podróżuję w towarzystwie trzech braci i mężczyzny, z którym złamałam wszystkie zasady przyzwoitego zachowania. I jeszcze z dzieckiem, które będę musiała oddać, gdy tylko dotrzemy do Morelands. A jedyne, co potrafisz powiedzieć, to...

Nie pocałował jej, choć miała nadzieję, że to rozważy mimo kręcących się w pobliżu braci. Popatrzył na nią ze śmiertelną powagą, a potem podał jej dziecko.

- Bo jeśli nie miesiącka, to prawdopodobnie właśnie złamanie tych zasad wprawia cię w taki zły nastrój. Albo fakt, że zostaliśmy na tym przyłapani. Jestem gotów postąpić jak należy i to wcale nie dlatego, że jesteś córką księcia. Myślę, że twoi bracia o tym wiedzą.

Rozejrzał się, pochylił, a potem potarł nosem jej nos i wyszedł. Sophie nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

- Lady Sophie przeprasza, ale zje kolację w swoim pokoju - powiedział Westhaven, siadając na krześle, po czym sięgnął przez stół po piwo brata i upił łyk z kufła.

Lord Valentine trzepnął go po ręce.

- To znaczy, że nie będziemy musieli przekazywać sobie z rąk do rąk tego małego Belzebuba, żeby zjeść cywilizowany posiłek. Czy Sophie jest zmęczona, czy ma kobiece humory?

- Nie mam pojęcia - odparł Westhaven. - Jest wyczerpana zamartwianiem się o dziecko. Valentine, jeśli nie chcesz stracić palców, odłóż bułkę i poczekaj, aż zmówimy modlitwę.

Lord Valentine ugryzł kęs bułki, a potem odłożył ją do koszyczka.

- Wyobraźcie sobie, że bawimy się w dom - zaproponował Devlin St. Just, który był jednocześnie earlem Rosecroft, ale unikał używania tego tytułu. - Westhaven jest tatą, Val dzieckiem, a ja odmawiam udziału w tym absurdzie. Dziękujemy ci, panie,

za to, co mamy otrzymać, a także za niemowlęta i siostry, które dobrze znoszą podróż, i za śnieżyce, które ją opóźniają i skazują nas na kolejny dzień na cholernym mrozie. Amen.

Zanim St. Just wymówił ostatnią sylabę, lord Val sięgnął po bułkę.

Przez kilka chwil sycili głód w milczeniu, a jedzenie znikło jak w paszczy wieloryba. Vim domyślił się, że wystawiają go na próbę, i rzucił od niechcienia do St. Justa:

- Czemu zawdzięczamy cudowne wyzdrowienie Goliata? Myślałem, że zdechnie, kiedy wczoraj próbowałem wyjechać na nim z miasta, a dzisiaj jest zdrowy i krzepki.

St. Just podniósł kubek i zajrzał do środka.

- Higgins powiedział, że Goliat jest dziwnym koniem. Westhaven, czy Valentine napluł do mojego kubka?

Westhaven przeniósł wzrok z jednego brata na drugiego, przewracając oczami.

- Na miłość boską, nikt nie napluł do twojego cholernego kubka. Podaj masło i nie zmieniaj tematu. Co się dzieje z tym wielkim stworzeniem?

- Nie lubi się oddalać od Sophie. Zaprzężony do powozu, w którym siedzi Sophie, może cały dzień ciągnąć go po Londynie. Zawiezie ją do Surrey, objedzie z nią wszystkie hrabstwa otaczające miasto, ale jeśli znajdzie się z dala od niej, udaje, że kuleje.

- Jak to udaje? - Vim podniósł kubek, ale wolał nie przyglądać się zbyt wnikliwie zawartości. - Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem.

- Tak? To posłuchaj teraz, o czym ja nigdy nie słyszałem. - Westhaven rzucił mu spojrzenie pełne złości. - Nigdy nie słyszałem o czymś takim, żeby moja siostra, która jest porządną i rozsądną kobietą, spędziła niemal tydzień z obcym mężczyzną, pozwalając mu na niewyobrażalną wręcz poufałość.

Lord Val zastygł z nożem w ręku podczas smarowania masłem kolejnej bułki.

- Całowanie nie jest czymś niewyobrażalnym. Poza tym wiemy, że spał w moim łóżku, w przeciwnym razie już by nie żył.

Dzięki Bogu Sophie nie usunęła śladów jego obecności z sypialni brata, toteż wersja o osobnych pokojach dawała się obronić.

- Proponowałem waszej siostrze, że dam jej swoje nazwisko - powiedział Vim. -1 to nie raz. Odmówiła mi tego honoru.

- Wiemy. - Lord Val odłożył bułkę na talerz, nie napoczynając jej. - To dość mylące. Powinniśmy się z tobą policzyć, ale Sophie zachowuje się tak nietypowo, że nie wiemy, jak postąpić. Jestem za tym, żeby dać ci po pysku dla zasady. Westhaven chce mieć na to specjalną zgodę, a St. Just jak zwykle nic nie mówi i udaje, że obmyśla coś mądrego.

- Nie obmyślam niczego mądrego - odparł St. Just, biorąc do ręki bułkę posmarowaną przez lorda Vala i przyglądając się jej bacznie. - Twoja słabość do masła daje zajęcie wielu krowom. Powinieneś skomponować symfonię na cześć bydła.

Lord Val wyrwał mu bułkę.

- Przyznaj, St. Just, że też nie masz pojęcia, co robić, podobnie jak ja i Westhaven.

- I ja - wyrwało się Vimowi, zanim zdążył pomyśleć. Ale skoro już zaczął... - Chcę, żeby Sophie była szczęśliwa. Ale nie wiem, jak to osiągnąć.

Przy stole zaległa cisza, pełna refleksji i raczej przyjazna.

- My też chcemy, żeby nasza siostra była szczęśliwa - odezwał się w końcu Westhaven, rzucając okiem na obu braci. Dwukrotnie przejechał palcem po krawędzi kubka zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, a potem odwrotnie. - Kiedy jego książęca mość pozwolił mi w końcu po moich usilnych prośbach na skontrolowanie finansów, odkryłem w nich nielichy bałagan. Tak przy okazji... Nie muszę ci chyba przypominać, że rozprowadanie rodzinnych historii Windhamów nie będzie mile widziane?

Innym słowy, można za to dostać po pysku, o czym wspomniał lord Val.

- Potrafię być tak dyskretny jak mój brat.

- Tego należało się spodziewać. - Znowu zmienił kierunek ruchu palców. - Stopniowo udało mi się uporządkować sprawy z kupcami, ogarnąć wszystkie interesy, posiadłości, wydatki do-

mowe, ale jedna sfera finansów opierała się wszelkim moim wysiłkom. Mam na myśli pieniądze, które otrzymują nasze siostry i matka na swoje wydatki.

Z tonu głosu Westhavena wywnioskował, że nie był to drobny kłopot. W książęcych rodzinach pieniądze przeznaczane na potrzeby kobiet to kwoty rzędu nawet dziesiątków tysięcy rocznie.

- Jej książęca mość lubi rozrywki - zauważył lord Val. - Co chwilę przyjęcia, polowania jesienią, wielki bal każdej wiosny. Pod tym względem należy współczuć naszemu drogiemu ojcu.

Nie zapomnijcie o przyjęciu na Boże Narodzenie, pomyślał ponuro Vim.

- I musisz pamiętać - dodał St. Just - że mamy pięć sióstr, a wszystkie są już w wieku odpowiednim do małżeństwa. Pięć. I wszystkie udzielają się towarzysko.

- Same wydatki na stroje urastały do takich kwot, że można było zwariować - ciągnął Westhaven. - Krzychałem na nie, wygarnąłem im, że nawet siedmioletnia pomywaczka wie, że nie może wydać więcej, niż zarabia. Ale wtedy jej książęca mość wydawała się taka rozczarowana.

Vim milczał, wiedząc, że jest to ważne wyznanie. Starał się okazać szacunek Westhavenowi, ale jednocześnie zastanawiał się, kiedy dojdzie do sedna opowieści.

- Sowie nie wydaje więcej, niż dostaje - mówił dalej Westhaven. - Nigdy. Nie chciała mnie obrazić, ale widziała, że sam się bardziej przejmuję swoimi krzykami niż moje siostry... jego książęca mość często krzyczy... więc wkroczyła do akcji. Poprosiła, żebym przekazywał jej wszystkie środki przeznaczone dla sióstr, czym zaskarbiła sobie moją dozgonną wdzięczność. Co kwartał przekazuje mi rejestr wydatków, który prowadzi schludnie i przejrzysto. A bilans, bogom niech będą dzięki, jest dodatni. Nie wiem, jak to robi, i wolę nie pytać.

- Ja też jestem wdzięczny Sophie - powiedział lord Val po chwili milczenia. - Dzięki niej spędziłem rok w Italii. - Uśmiechnął się z rozrzewnieniem. - Dużo gram na fortepianie, ale teraz interesuję się też kompozycją. Jego książęca mość nigdy nie

pochwalał moich zainteresowań muzycznych. Nie pozwalał mi też zaciągnąć się do wojska, ponieważ Bart i St. Just już w nim służyli. Odchodziłem od zmysłów ze złości.

- Szkoda, że tego nie widziałem - wtrącił St. Just.

- Ciesz się - odparł lord Val. - Ciągłe wybuchały awantury między mną a jego książeczą mością. Pewnego razu po wyjątkowo głośnej kłótni przyszła do mnie Sophie i podstawiła mi pod nos plan podróży. Dowiedziała się, jakie statki i kiedy płyną do Italii, poszukała konserwatorium w Rzymie, dowiedziała się, jaki jest koszt nauki. Podała mi wszystko jak na talerzu. Paryż nie wchodził w grę z powodu Korsykanina, ale Rzym... Rzym okazał się moim wybawieniem. Zaoferowała mi swoje pieniądze. Niejako pożyczkę, tylko darowiznę.

- I wzięłeś je? - zapytał szybko Vim, wiedząc, że druga taka okazja szybko się nie trafi.

- Oczywiście, że nie, ale zrealizowałem jej pomysł i po raz pierwszy w życiu znalazłem się między ludźmi, którzy podzielali moją pasję do muzyki. Nie macie pojęcia, jak mi to dodało otuchy.

Vim potrafił sobie to wyobrazić. Sam wałęsał się wiele lat, bez domu i poczucia przynależności, po to, by nagle i niespodziewanie odnaleźć te wartości.

Niestety, trwało to tylko chwilę i zostało mu gwałtownie odebrane.

- Chyba muszę dorzucić swoje trzy grosze - włączył się St. Just. Mówiąc, wpatrywał się w swój pusty talerz. - Nie mogłem się odnaleźć, kiedy wróciłem do domu spod Waterloo.

- Raczej kiedy cię przywlokłem do domu - przerwał mu lord Val.

- Przywlokłeś mnie do domu, mimo że nie szczędziłem ci kopniaków i krzyków, a w obu rękach ściskałem butelczyny.

Vim również spuścił wzrok. W jego przekonaniu St. Just był ostatnim człowiekiem, który mógłby stracić nad sobą panowanie. Westhaven wydawał się nienaganny, lord Val zachowywał się z niedbałą elegancją, ale St. Just był kimś więcej niż dżentelmenem. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie ulega emocjonalnym załamaniom.

- Przynosiłem wstyd rodzinie - opowiadał St. Just. Westhaven wyraźnie cierpiał, słysząc te słowa, ale zachował milczenie. - Pochowałem brata w Portugalii i widziałem, jak ginęło wielu dobrych ludzi...

Upił łyk piwa, a Vim dostrzegł lekkie drżenie ręki.

- Ukryłem się przed wszystkimi. - Ostrożnie odstawił piwo. - Zadekowałem się w swojej stadninie w Surrey, za towarzysza mając jedynie alkohol. Nie mogłem spać, nie miałem na nic chęci. Nie mogłem znieść samotności ani towarzystwa innych ludzi, nie mogłem...

- Na miłość boską, Dev. - Lord Val przeszył groźnym spojrzeniem kubek, który trzymał w dłoni. - Nie musisz...

- Właśnie, że muszę. Dla Sophie. Po kilku miesiącach przyjechała do Surrey i jednym rzutem oka oceniła sytuację. Ograniczyła mi dostęp do alkoholu i podejrzewam, że przywołała was dwóch do porządku, bo zaczęliście mnie regularnie odwiedzać. Zorganizowała moje spotkanie z zarządcą i sama wzięła w nim udział. Surowo napomniała kucharkę, żeby dopilnowała, bym się właściwie odżywiał. Nienawidziłem jej za to, miałem ochotę skrócić jej tę uroczą szyję, żeby się nie wtrącała więcej w moje sprawy. Często to sobie wyobrażałem.

- Na miłość boską. - Westhaven przeczesał dłonią włosy. - Nie miałem pojęcia.

- Bo nikomu nie powiedziała. Przypuszczam, że oficjalna wersja głosiła, iż pojechała odwiedzić przyjaciół. Jak widzicie, drobne odstępstwa od wcześniej uzgodnionego planu nie są dla niej czymś nowym. Bawiła u mnie dwa tygodnie. Kiedy stwierdziła, że wytrzeźwiałem na tyle, żeby jej wysłuchać, przypomniała mi, że mam pięć siostr i każda z nich potrzebuje dobrego wierzchowca. Powiedziała, że jestem właścicielem stadniny, upomniła, żebym się zajął się interesami, bo na pewno nie pójdą dobrze, skoro nawet rodzone siostry nie są w stanie znaleźć w tej stadninie przyzwoitych wierzchowców.

Westhaven wydawał się zaintrygowany.

- Palnęła ci kazanie?

- Walnęła mnie między oczy tym swoim rozsądkiem. A kiedy jej powiedziałem, żeby kazała jego książęcej mości wybrać konie w Tattersalle, to... wybuchnęła płaczem. Sophie nienawidzi łez, a płakała z mojego powodu. Było mi tak wstyd, że jeszcze tego samego popołudnia zrobiłem przegląd koni, żeby wybrać odpowiednie do treningu.

- Płakała przez ciebie - powiedział Westhaven ze smutnym uśmiechem. - To wcale nie jest lepsze niż wydzieranie się na własne siostry.

- Albo wściekanie się na jego książęcą mość - dodał lord Val. - Chciałem tworzyć piękne dźwięki, a wydzierałem się jak nadużywająca trunku handlarka ryb.

- I to Sophie przywołała was do porządku? - zapytał Vim.

Sam miał rodzeństwo, rodziców i kochającego ojczyma, dziadka i kilka babć, kuzynostwo, ciotkę i stryja. Układy rodzinne rzadko kiedy wydawały się tak proste jak w opowieściach braci Sophie, ale najwyraźniej oni sami nie uważali, aby ich historie były skomplikowane.

- Sophie przywołała nas do porządku - odparł Westhaven -i nigdy jej za to nie podziękowaliśmy. Odeszliśmy z domu, ożeniliśmy się, mamy własne rodziny. Zapomnieliśmy podziękować osobie, która przyczyniła się do naszego szczęścia. Dziękujemy Sophie teraz. Rezygnując z wyzwania cię na pojedynek. Jeśli cię zechce, Charpentier, to przewiążemy cię świąteczną wstążeczką i wsadzimy pod najbliższą jemiolę.

- A jeśli nie zechce?

- Już cię chciała w jakimś celu - stwierdził oschle lord Val. -Zaryzykuję przypuszczenie, że nie tylko dlatego, że dobrze sobie radzisz ze zmienianiem brudnych pieluch.

Vim nie chciał okłamywać tych mężczyzn, ale nie miał również zamiaru mówić im o swoich podejrzeniach. A przypuszczał, że Sophie Windham z nieznanых powodów podarowała mu swoje dziewictwo, potem zaś kazała iść swoją drogą.

- Pożyczyła ci tego ogromnego stwora - zauważył St. Just. -Jest bardzo opiekuńcza wobec zwierząt, które przygarnęła,

a jednak pozwoliła ci wyruszyć w drogę na swoim ukochanym skarbeczku. Zaryzykowała jego utratę? Nie byłbym taki pewien.

Vim zastanawiał się nad tym samym, ale doszedł do wniosku, że jeśli kobieta tak praktyczna jak Sophie chciałaby się pozbyć mężczyzny, to mogłaby nawet pożyczyć biednemu draniowi konia, czemu nie?

- Ile razy oświadczałem się mojej żonie? Chyba jakieś sześć - odezwał się Westhaven.

- Co najmniej siedem - odpowiedział lord Val. St. Just posłał Westhavenowi kpiący uśmiech.

- Straciłem rachubę po drugim razie, ale Westhaven łatwo się nie poddaje. Oświadczał się wiele razy. To było patetyczne.

- Istotnie. - Uszy Westhavena lekko się zaróżowiły. - Musiałem wypowiedzieć pewne magiczne słowa, wypłakać się na ramieniu ojca, przynosić prezenty i nie wiem, co tam jeszcze, zanim Anna w końcu się nade mną zlitowała. Ale wiem jedno. Sophie zadebiutowała prawie dziesięć lat temu i nie było dotąd mężczyzny, któremu poświęciłaby więcej niż jedno spojrzenie. A ty zjawiałeś się z tym porzuconym dzieckiem i patrzy na ciebie jak zakochana kobieta.

- Kit jest cudowny dzieckiem.

- Ale tylko dzieckiem - zastrzegł Westhaven, wkładając w te trzy słowa ocean znaczeń. - Sophie jest przywiązana do małego, ale oczarowana tobą.

Wszyscy trzej przeszli go wzrokiem, jakby oczekiwali, że powinien coś zrobić.

- Wybaczcie, panowie, ale mam zamiar zaproponować Sophie, że wezmę dziecko na dzisiejszą noc. Od ponad tygodnia wstaje do niego nocami, a to bardzo wyczerpujące.

Wyszedł z pokoju dostojnym krokiem, o ile w ogóle było to możliwe w tej sytuacji. I uznał za dar opatrności fakt, że lord Val nie warknął za nim, aby zostawił otwarte drzwi do sypialni Sophie.

- A to paradne.

Westhaven spojrział groźnie na pusty koszyk po bułkach. Niczego nie pragnął bardziej niż ściągnąć Sindala z powrotem do pokoju. Tylko po co?

- Racja - przyznał Valentine, bardziej zaintrygowany niż zirytowany. - Skąd Sindal wie, że Sophie wstawiała nocami do dziecka, skoro spali w osobnych sypialniach, i to dość oddalonych? Wiele lat spałem w tym pokoju i nigdy nie słyszałem żadnych odgłosów z sypialni Sophie.

St. Just uśmiechnął się nieco ironicznie.

- Bo śpisz jak zabity i do tego chrapiesz. Ciekawe, czy Sindal powiedział Sophie o swojej porażce sprzed lat. Nie sądzę, aby o niej zapomniał.

- W jej oczach nie przemawiałoby to na jego niekorzyść - stwierdził Val, marszcząc brwi. - My też tak uważamy, prawda?

- Jego książęca mość grzmiał na ten temat tygodniami - wspominał St. Just. - Wy dwaj myśleliście wtedy o powrocie do szkoły, ale ja jestem tylko dwa lata młodszy od Sindala. To nie jest sprawa, o której mężczyzna mógłby szybko zapomnieć.

Westhaven wstał, przeszedł przez pokój i kucnął przy kominku.

- My też nie możemy zapomnieć, że zbyt swobodnie poczynił sobie z naszą siostrą. Jego książęca mość nakaże przygotować pistolety, jeśli dowie się prawdy.

- Nie sądzę. - Val siedział na swoim miejscu, ale przekładał sztucce na pustym talerzu. - Uświadomiłem sobie jakiś czas temu, że jego książęca mość widzi więcej, niż nam się zdaje, a udaje, że niczego nie dostrzega.

- Być może. - St. Just wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. - W takim razie pozostaje nam jej książęca mość.

Westhaven przestał dźgać polana, wstał i popatrzył na zafrasowanych braci.

- Hej, wy! Są święta. Rozchmurzcie się. Dobrze, że Sindal potrafi zmienić brudną pieluchę. Jeśli on i Sophie nie poczekali na ślubną przysięgę, to jego umiejętności przydadzą się w pokoju

dziecięcym. Zagrajmy lepiej w cribbage. Mam was pokonać po kolei czy obu naraz?

- A jeśli w ogóle nie będzie ślubu? - zapytał St. Just. Valentine precyzyjnie złożył na krzyż nóż i widelec na talerzu i dopiero wtedy odpowiedział.

- W takim razie będzie musiał definitywnie zniknąć z życia Sophie i nigdy więcej nie pokazywać się w hrabstwie. Nie pozwolimy, żeby stała się dla niego przygodną igraszką.

Westhaven usiadł z powrotem przy stole.

- Ale w hrabstwie Kent znajduje się jego siedziba rodowa -zauważył St. Just. - Nie może jej omijać przez resztę życia, zwłaszcza gdy wszystko odziedziczy.

Westhaven uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech.

- Masz świętą rację. Valentine, przynieś karty. St. Just, musimy się solidnie napić. Widzę, że nie mamy wielkiego wyboru.

Sophie usłyszała ciche pukanie do drzwi i pomyślała, że to któryś z jej piekielnych, ale przepelnionych dobrymi intencjami braci przyszedł sprawdzić, co się z nią dzieje. I upewnić się, że nie zjechała na dół po związanych prześcieradłach, aby uciec do Paryża i zatańczyć na stole w tamtejszej karczmie.

Otworzyła drzwi i się cofnęła.

- Nie wiedziałem, czy już nie śpisz.

Vim nie wszedł do pokoju. Stał przed drzwiami, w chłodnym korytarzu, i mierzył ją wzrokiem do stóp do głów.

- Wejdz, proszę. Na korytarzu jest zimno.

Zrobił trzy kroki do przodu, ale nie uczynił najmniejszego ruchu, aby jej dotknąć.

- Przyszedłem, żeby cię zmienić przy Kicie. Mogę go zabrać na noc do siebie, a ty odpoczniesz.

No proszę, Vim przyszedł po dziecko, a nie po to, żeby zobaczyć, jak sobie radzi, albo porozmawiać z nią na osobności.

- Możesz go zabrać na noc. Muszę się od niego odzwyczaić, prawda?

- Niekoniecznie. - Przesunął się jeszcze o pół kroku, a Sophie zamknęła drzwi. - Możesz go wychowywać, Sophie. Jesteś córką księcia i jak dotąd twoja reputacja była na pewno bez skazy. Twoja rodzina jest tak potężna, że mogłabyś przygarnąć tuzin dzieci i nikt by nie powiedział złego słowa.

- Mylisz się. - Gmerała w torbie podróżnej, szukając czystych pieluch i koca. - Powiedzieliby, że jaki ojciec, taka córka, jaki brat, taka siostra.

- Co to znaczy?

- Anna i Westhaven nie czekali do ślubnej przysięgi, tak samo jak St. Just i Emmie. Dowody znajdują się w ich dziecięcych pokojach. Przypuszczam, że Val i Ellen też nie czekali, ale czas pokaże. Jego królewska mość wychowywał dwoje nieślubnych dzieci razem z legalnym potomstwem, ale kocham ich tak jak pozostałe rodzeństwo. Otrzymałam imię po księżniczce z królewskiej rodziny, która, jak powiadają, urodziła bastarda, chociaż nikt nie odważy się powiedzieć tego publicznie.

- Sophie, co ci jest?

W końcu się ruszył. Przeszedł w milczeniu przez pokój i stanął przy jej boku. Jej nozdrza podrażnił zapach bergamotki, a właściwie zapach Vima.

- Jestem zmęczona - Podeszła do paleniska niedużego kominka i ukucnęła. - Cudownie jest zobaczyć braci, ale w tych okolicznościach...

Usiadł obok niej.

- Zepsułem ci święta.

- To nie jest moja ulubiona pora roku.

- Moja też nie, i to już od wielu lat, odkąd zaszły pewne wydarzenia. Przypuszczam, że rodzice opowiedzą ci o tym ze szczegółami. O ile bracia już tego nie zrobili.

To było coś nowego. Podniosła głowę i zerknęła na niego.

- To dlatego tak nie lubisz przyjeżdżać do Kentu? Chodzi o jakiś skandal z przeszłości?

- Moje siostry były ofiarami skandalu, ale zacząłem tę tradycję na długo przed nimi i nie w roli ofiary. Byłem po prostu głupcem.

- Soph? - usłyszeli cichy głos Vala z korytarza. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi, a potem Val powoli je otworzył, jakby chciał dać siostrze czas na przybranie niewinnej pozy. Sądził najwyraźniej, że zacałowuje swojego gościa na śmierć. - Czy to cudowne dziecko już śpi?

- Ty byłeś cudownym dzieckiem - powiedziała, wstając. - Ale teraz jesteś tylko cudownym natrętem. Lord Sindal wpadł na chwilę, aby zabrać Kita. Ma spędzić noc w waszym męskim towarzystwie.

- To ci się nie podoba? - Val ściągnął brwi. - Przecież przez cały długi i mroźny dzień dźwigaliśmy pod płaszczykami to zalatujące, hałaśliwe i obślinione zawiniątko. Powinnaś za nim tęsknić, i to tak bardzo, żeby nie chcieć spuścić go z oka przez kilka następnych nocy.

- Nie zważaj na brata. - Vim świdrował wzrokiem Valentine's. - Będziemy zachwyceni, mogąc spędzić noc z jego wysokością, prawda, lordzie Valentine?

Valentine nie był głupi, chociaż niewątpliwie tak uparty jak każdy męski przedstawiciel rodu Windhamów. Jednak małżeństwo wywarło zbawienny wpływ na jego maniery.

- Skoro Sophie mówi, że mam być zachwycony perspektywą spędzenia nocy z tym przeklętym dzieckiem, to będę. Idziesz, Sindal?

I w tym momencie Vim ją pocałował. Co prawda tylko w czoło, ale przez cały czas wpatrywał się w Valentine'a.

- Śpij dobrze, Sophie. Zajmiemy się Kitem.

Wziął kołyskę i wyszedł. Sophie wcisnęła pieluchy do rąk Valentine'a, nie zważając na jego zdziwione spojrzenie, a potem bez słowa wskazała drzwi.

- Westhaven przysłał gołębia. - Jego wysokość pomachał w powietrzu małym skrawkiem papieru. - Píše, że odebrali Sophie i zapewnia, że wszystko w porządku. Cała czwórka jedzie do domu.

Jego słowa nie oddawały precyzyjnie treści liściku.

- Podróżują w taką okropną pogodę - zmartwiła się księżna. - Nie chodzi mi o chłopców, ale Sophie nigdy nie lubiła przechadzek w zimie. Usiądź, proszę, i napij się herbaty.

Usiadł, ale nie chciał herbaty, wystarczało mu towarzystwo żony. Ubrana w elegancką domową suknię, haftowała, siedząc przy kominku w prywatnym saloniku.

- Podróżują w towarzystwie bratanka Rothgreba - dodał książę, zadzierając poły surduta. - Czy to nowa robótka?

- Narzuta dla twojego wnuka. Na wiosnę Anna zaprezentuje go w Londynie. Musi mieć oprawę godną swojej pozycji.

- Potężny maluch, skoro zasługuje na takie modne fatalaszki - zauważył książę. - Czy widzieliśmy młodego Charpentiera od czasu tych okropnych wydarzeń sprzed lat? - zapytał niby od niechcienia. Ale jej książęca mość była równie przenikliwa, jak słodka. A potrafiła być bardzo, ale to bardzo słodka.

- Nie widzieliśmy. - Podniosła wzrok, ale jedynym przejawem jej zatroskania było nieznaczne ściągnięcie kącików ust. - Wicehrabina wspominała, że przyjeżdża od czasu do czasu, ale nigdy nie odwiedza sąsiadów. Jeśli w tym roku się tu pojawi, to koniecznie musimy go zaprosić na świąteczne przyjęcie.

Książę odebrał z rąk żony perfekcyjnie przygotowaną filiżankę herbaty i podniósł ją do ust, udając, że pije. Uważał herbatę za napój bez wyrazu, który przydawał się tylko do popijania ciastek z kremem, ale tych nie podano i chwała niech będzie za to jej książęcej mości.

- Zapraszasz tłumy ludzi, Esther. Ale na twoim miejscu nie oczekiwałbym, że przyjdzie.

Nie odezwała się, ale książę doskonale zdawał sobie sprawę, że rozważa fakty na swój kobiecy sposób, posługując się intuicją i instynktem macierzyńskim.

- Czy sądzisz, że Sophie miłe jest towarzystwo pana Charpentiera?

Na podstawie liściku Westhavena przypuszczał, że Sophie mogła nie ograniczyć się tylko do spędzania czasu w jego towarzystwie. Syn napisał, że wyjaśni wszystko osobiście, a to zazwy-

czaj oznaczało wiadomości takiej rangi, iż nie należało uwieczniać ich na piśmie.

- Charpentier ma w tej chwili grzecznościowy tytuł, który przysługuje mu od śmierci dziadka.

- Tytuł. - Księżna zdawała się to rozważać. - Na Sophie tytuły nigdy nie robiły wrażenia.

- Jest tylko baronem.

Mogli jedynie mieć nadzieję, że jest również przystojnym, czarującym kawalerem, znajdującym upodobanie w cichych, spokojnych dziewczętach o staropanieńskich nawykach, które poświęcają życie na działalność charytatywną i przygarniają zbłąkane zwierzęta.

- Sądzę, że mimo wszystko powinnaś zaprosić tego młodego człowieka na przyjęcie. To może być interesujący wieczór.

- A zatem zaproszę. Miło będzie zobaczyć Essie i Berta. Ale nie wolno ci wymyślać żadnych sztuczek, Percivalu Windhamie. Może jeszcze herbaty?

Książę podał jej filiżankę i spodek.

_ Oczywiście, moja kochana. Z największą przyjemnością.

- Możemy zatrzymać się w Chester na obiad - zaproponował Vim. - Wówczas odłączę się od was na rozwidleniu dróg zaraz za miastem. Ale możecie też pojechać ze mną do Sidling.

Jadący obok Westhaven poruszył się w siodle.

- St. Just? Ty jesteś dowódcą wyprawy. Jak uważasz?

- Nie jestem wprawdzie dowódcą - wtrącił się lord Valentine, podjeżdżając do Vima - ale uważam, że powinniśmy jak najprędzej znaleźć ciepłe miejsce. Sophie ma sine usta, a niebo też nie wygląda zachęcająco.

St. Just zadarł głowę, otulając się szczelniej wojskowym płaszczem.

_ Zarządzam dalszą jazdę aż do rozwidlenia dróg, o którym mówi Sindal. Tam podejmiemy decyzję. Dziecko ma się dobrze, ale te cholerne chmury zapowiadają kolejną śnieżycę.

- Moja kolej, żeby wziąć dziecko - oznajmił Vim, podjeżdżając do St. Justa.

- Chłopakowi jest u mnie wygodnie - odparł łagodnie St. Just, a Vim poczuł ukłucie rozczarowania. Za dwie godziny się rozstaną i być może już nigdy więcej nie zobaczy malucha, więc St. Just mógłby przynajmniej pozwolić mu... - No, chyba że chcesz? - dodał St. Just, unosząc ciemną brew. Vim miał pokusę, by odmówić dla zasady, ale w zielonych oczach St. Justa zamigotał dziwny wyraz. Nie była to litość, oficer w stanie spoczynku nie dopuściłby się takiej obrazy. Raczej... zrozumienie. - Mam przybraną córkę, Sindal. Wystarczył niespełna dzień w jej towarzystwie, a byłbym gotów oddać za nią życie. A kiedy miała się urodzić moja młodsza córka, wyszukiwałem w myślach powody, dla których będę odrzucał jej potencjalnych konkurentów.

Powiedział to cichym głosem, aby bracia mogli udać, że niczego nie słyszeli. Vim wziął od niego zawiniątko z dzieckiem i umieścił pod płaszczem.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - zapytała Sophie. Jej policzki były czerwone od mrozu. Gdy podjechała do nich na swojej wielkiej bestii, Vim stwierdził z ulgą, że nie ma sinych ust, choć bez wątpienia przemarzła.

- Rozpoznanie terenu - wyjaśnił Westhaven. - Baron zaproponował nam gościnę, zanim wyruszymy w drogę do Morelands.

- Czy Kit ma się dobrze?

- Bardzo dobrze - odpowiedzieli jak jeden mąż.

- No to ruszajmy - orzekła i pojechała przodem. - Jeśli mamy zdążyć przed śnieżycą, to lepiej się pospieszmy.

Przejechała obok Vima, nie zaszczycając go spojrzeniem. Nawet na grzbiecie swojego mastodonta i na mrozie, który przenikał do szpiku kości, wydawała się elegancka i opanowana. Żałował, że wspominał jej o swojej niechęci do świątecznych przyjęć. Przypuszczalnie rozmawiała już o tym z braćmi, który zapoznali ją ze szczegółami jego młodzieńczego wybryku.

Całe lata próbował traktować to właśnie w ten sposób, jako młodzieńczy wybryk. Ale wiedział, że utrata godności przy tyłu

utytułowanych gościach i zwykłych plotkarzach - a w hrabstwie Kent nie brakowało ani jednych, ani drugich - to było znacznie więcej niż tylko wybryk. Kosztowało go to wiele lat tułania się po świecie, bez własnego kąta na ziemi, i utratę kontaktu z ludźmi, którzy go znali i kochali od urodzenia.

- Komponuję w myślach nowy utwór.

Vim spojrział na lorda Vala, który jechał obok.

- Będzie się nazywał *Lament na cześć obiecującego młodego kompozytora, który zmarł na przemarznięcie tyłka*. Stworzę oryginalny utwór na skrzypce i kontrabasy, aby wlać nieco humoru w ostatnie dzieło. Oczywiście, zostanie opublikowane pośmiertnie, a wszyscy moi krytycy będą piąć z zachwytem. Świat muzyczny poniósł tragiczną stratę, powiedzą. Może nastanie moda na odmarzniete tyłki.

_ Nie masz żadnych krytyków - rzucił St. Just przez ramię, oddając prowadzenie siostrze. - Ellen na to nie pozwala. Wielka szkoda.

- Moja żona jest taka mądra...

- Och, paradne - mruknął pod nosem Westhaven, przerywając młodszemu bratu idiotyczne wywody.

Lord Val pochylił się w stronę Vima.

- Chodzi o bardziej dosadne słowo, którego jaśnie pan brat się wystrzega, odkąd został ojcem. „Paradne” to próba kompromisu.

- Powiem je na głos - westchnął St. Just, widząc kolejny puszysty płatek śniegu lecący z nieba. - Do kroćset! Znowu pada Śnieg. Przepraszam za niewyparzony język, Sophie.

Jej reakcją na tę wymianę zdań było tylko wzruszenie ramion.

Popędzili konie do szybszej jazdy, ale przedzieranie się przez zaspę nie było łatwym zadaniem. Podczas tych zmagania Vimowi przyszło do głowy, że bracia Sophie różnymi sposobami próbują dodać mu otuchy. Pozwolili mu wieść dziecko, wciągali w błahe rozmowy, a nawet wspierali milczeniem. Szkoda, że lady Sophie nie dołączyła do tych prób.

Schowane pod płaszczem dziecko kopnęło wyjątkowo mocno w żebro, pod którym biło serce Vima. W tym momencie śnieg rozpadał się na dobre.

Z daleka rezydencja w Sidling wydawała się całkiem zadbana. Ogródek było w przyzwoitym stanie, a po bokach długiej, wijącej się alei prowadzącej na podjazd stały w równych szeregach dęby. Na końcu podjazdu znajdował się szachulcowy dom z wielodzelnymi oknami, który w mgiełce padającego śniegu sprawiał wrażenie przytulnego i spokojnego.

- Jak tu pięknie. - Sophie zatrzymała konia i złożyła dłonie na kolanie.
- Dom emanuje błogością i spokojem. Musiałeś tęsknić za tym miejscem.
- Ma swój urok - przyznał Vim, ale w tym momencie w ogóle go nie dostrzegając, gdyż nurtowały go inne kwestie.

Czy hol będzie posprzątany? Czy wystarczy pościeli dla gości? Czy przedpotopowy pies stryja nie poszarpał dywanów na strzępy? Czy ciotka nie będzie przypadkiem snuła się po domu w dezabilu, wspominając nieżyjących od dawna przyjaciół?

- Bardzo przycichłeś, mój panie.

Spodziewał się kolejnych świątecznych upokorzeń.

- Stryj i ciotka są starszymi ludźmi. Mam nadzieję, że są jeszcze w stanie udzielić gościny.

- Śmiem twierdzić, że moim braciom wiele nie trzeba. Lubią być w swoim towarzystwie, wystarczą im wtedy ognisko, końska derka i mała partyjka kart.

Ruszyła przed siebie, a Vim był zmuszony uczynić to samo.

- Lubią być w swoim towarzystwie? I dowodzą tego ich ciągle sprzeczki?

- Oczywiście. - Zerknęła na niego z ukosa. Wyglądała uroczo. Śnieg przylepił się do jej szalika, a mróz wymalował ciemnoczerwone rumieńce na jej policzkach. - Czy z tobą nie jest tak samo? Przyjeżdżasz do domu na święta i czujesz się tak, jakbyś nie wyrósł jeszcze z krótkich spodenek. Przechowujesz w sobie uczucia z dzieciństwa i wczesnej młodości, jakbyś w ogóle nie wyjeżdżał.

- Boże, mam nadzieję, że nie. Gmerała przy wodzach.

- Być może ten rok da ci wspomnienia, którymi zastąpisz te przykre. Opowiedz mi o ciotce i stryju.

A teraz będzie jeszcze musiał zranić jej uczucia, co było doprawdy... paradne, jak powiedziała Westhaven. I to cholernie paradne.

- Sophie. - Przykrył ręką jej dłoń. Jej bracia pozwolili im na moment prywatności, trzymając się kilka jardów za nimi, prawdopodobnie dlatego, że i tak wszyscy byli dobrze widoczni z domu. - Przez resztę moich dni będę przechowywał w pamięci wspomnienia tych świąt jak najcenniejszy skarb.

Popędziła konia do szybszego biegu, co znaczyło, że Vim musiał puścić jej rękę, aby nie narazić się na śmieszność. Choć i tak czuł się żalonym głupcem. Co on sobie wyobrażał? Jak mógł oferować gościnę grupie książęcych potomków, którzy przywykli dostawać to, co najlepsze?

Pragnął tylko spędzić jeszcze kilka godzin w towarzystwie Sophie, ofiarować jej kolejny dzień i noc z Kitem, zanim będzie musiała definitywnie rozstać się z dzieckiem.

- Ładne miejsce - odezwał się lord Valentine z prawej strony Vima. - Lubię staromodne rezydencje. Właśnie skończyłem renowację uroczego starego domu w Oxfordshire. Masz tu może fortepian?

- Będzie trzeba go nastroić.

O ile szczury nie zrobiły z niego drewna na podpałkę.

- Zawsze mam przy sobie narzędzia. Soph! Poczekaj. St. Just i Westhaven bez przerwy mi dogadują. Proszę, żebyś ich przywołała do porządku.

Podjechał truchcikiem do siostry, a po obu stronach Vima wyrosli Westhaven i St. Just.

- To cudownie, że Valentine jest znowu sobą - stwierdził Westhaven. - Ostatnio zrobił się zbyt poważny.

- My też byliśmy zbyt poważni - zauważył St. Just ze spokojem, patrząc, jak Val podjeżdża do większego konia Sophie, a potem pomaga jej zsiąść, udając, że ją upuści. - Jej książęca wysokość dobrze zrobiła, że zawezwała nas do domu, mimo że nie będziemy się widzieli z żonami aż do Trzech Króli.

- Może to sprawka jego książęcej mości.

Zanim wdali się w sprzeczkę na ten temat, odezwał się Vim:

- Przepraszam z góry za stan domostwa. Śnieżyca wam tu nie zagrozi, ale nie ręczę za to, co ciotka i stryj mogą zaoferować.

Westhaven przechylił głowę i zatrzymał konia.

- O to chodzi? Przejmowanie władzy od starego strażnika jest zawsze trochę kłopotliwe. Jestem od niedawna pełnomocnikiem prawnym jego książęcej mości, ale sporo mnie to kosztowało. -Bez trudu zsiadł z konia.
- Jak się cofnę myślami, to wcale nie jestem pewien, czyjego walka nie była na pokaz. Bądź dobrym chłopcem i odwróć uwagę drogiej Sophie, żebym mógł sobie rozetrzeć zdrętwiałe siedzenie.

Vim zeskoczył z konia i poczuł dotkliwy ból w przemarzniętych stopach, gdy zetknęły się z ziemią.

- Przez całe życie nie nasłuchałem się tyle o męskim tyłku. Jak bracia mogą z tobą wytrzymać?

Westhaven przerwał na chwilę podciąganie strzemion.

- Robię to dla nich - powiedział bez humoru, zniżając głos. -Boją się, że nabiorę książęcych manier. Wolę w ogóle ich nie mieć niż stracić przyjaźń rodzeństwa.

Vim zastanawiał się, co odpowiedzieć na to zwierzenie, gdy od głównego wejścia rozległ się głos stryja:

- Vimie Charpentier, wejdź natychmiast do domu, bo w przeciwnym razie twoja niemądra ciotka zbiegnie po schodach na powitanie i skręci sobie kark!

- A ty co robisz? - Ciotka Vima wyłoniła się z domu w szalu narzuconym na ramiona. - Wracaj natychmiast do domu, mój panie, bo porwie cię podmuch wiatru. Wilhelmie, wejdź do środka i zaproś przyjaciół.

- Chodźcie, chodźcie. - Stryj zachęcił towarzystwo gestem. -Posadźcie tę ładną młodą damę przy kominku, aby ciocia mogła ją zarzucić gradem pytań. A wy, chłopcy, wypijecie sobie toast, bez dwóch zdań.

Stryj trajkotał jak zwykle, nie przejmując się konwenansami. Prawdziwy pan na włościach. Kiedy ciocia Essie nadstawiła policzek do pocałunku, Vim poczuł zapach werbeny cytrynowej,

który zapamiętał z wczesnego dzieciństwa. Może sprawy miały się lepiej, niż przypuszczał?

- Miłosierny Boże! - Ciotka Essie zrobiła pół kroku do tyłu. -A kogóż ty tam chowasz pod płaszczem, Vimie?

Przedstawienie Kita przyćmiło inne prezentacje. Choć tak naprawdę ciocia i stryj założyli, że z racji sąsiedztwa znają braci Sophie, a nawet ją samą.

Kiedy wszyscy pozbyli się płaszczy, kapeluszy i rękawiczek, podając garderobę kilku lokajom, stryj Bert trzymał już małego na rękach i zapraszał na kieliszeczek do biblioteki. Kit o mało nie kopnął starszego pana w brodę, a ciocia Essie poświęciła swój szal, aby otulić gaworzące, roześmiane dziecko.

- Trzeba mu zmienić pieluchę - powiedziała cicho Sophie. -Musi też coś zjeść i trochę pobaraszkować.

Mówiła to do Vima, a nie do gospodarza czy gospodyni domu.

- Zajmę się tym.

Poczuł przyjemne ciepło na palcach, gdy uściśnęła lekko jego dłoń. Uśmiechała się z wdziękiem i życzliwością do jego stryja, przez kilka chwil trzymając rękę w dłoni Vima.

Napięcie, które narastało w jego piersi od kilku tygodni, odkąd zdał sobie sprawę, że nie uniknie tej podróży, nieco zelżało. Być może uda się zapobiec katastrofie, mimo że zbliżały się święta i nieuchronnie nadciągał moment rozstania z Sophie i Kitem. Mimo że w Sidling czekały go kłopoty i zamieszanie. W końcu Boże Narodzenie to także czas cudów.

Bracia doprowadzali Sophie do takiej irytacji, że tylko cudem powstrzymywała się od tego, by któregoś nie uderzyć.

- Wiem, że chcą dobrze - parsknęła ze złością, wyjmując nagie i szczęśliwe dziecko z wanienki z ciepłą wodą.

- Ga, bu, bu!

- Są tacy wścibscy jak jego książęca mość. Przez całą podróż zostawiali mnie samej sobie, robili jakieś sztuczki, żeby to Vim zabierał mnie na kolację, a potem kręcili się przy stole z subtelnością słonia, aby musiał usiąść koło mnie. - Potarła nosem nosek

dziecka. - A na koniec jeszcze postanowili, że spędzimy noc tutaj, chociaż do Morelands jest tak blisko. I oczywiście nikt nie pomyślał, żeby spytać mnie o zdanie. A Vim, obojętnie co zrobią, jest uprzedzająco uprzejmy.

- Ba, ba, ba.

Kit uśmiechnął się od ucha do ucha, a gdy tylko Sophie położyła go na zwiniętym ręczniku, zaczął kopać i piszczeć z radości.

- Ty mi nie pomożesz. Chcesz pewnie pobaraszkować, co?

Kit nie odpowiedział, ale z uporem godnym lepszej sprawy próbował przekreślić się na brzusek. Pokój, który dostała Sophie, był przytulny i dobrze wyposażony, jedynie zasłony i dywan wydawały się podniszczone. Lady Rothgreb bez zmrużenia oka przyjęła do wiadomości fakt, że Sophie chce być w pokoju z dzieckiem. Posłała nawet lokaja na strych po starą kołyskę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Sophie miała nadzieję, że to Vim. I nie obchodziło jej, że pewnie przyszedł jedynie po to' by powiedzieć dziecku dobranoc. Tęskniła za nim i chciała wymazać wszystkie niemiłe słowa, które dziś padły pod jego adresem.

- Proszę.

- To tylko ja - oznajmiła wicehrabina. - Nie wstawaj, moja droga. Twoi młodzi towarzysze siedzą z Rothgrebem przy kieliszku porto. Bardzo się cieszy, że ma towarzystwo, więc na pewno ich trochę przetrzyma. Jak się ma nasz chłopczyk?

- Zadowolony, że może rozprostować nogi.

Lady Rothgreb położyła dłoń na oparciu szezlongu, a drugą oparła na małym stoliku do kawy i bardzo powoli przykucnęła.

- Stare kości - powiedziała. - Na starość zimy wydają się dłuższe, chociaż czas biegnie szybciej. Ktoś powinien zbadać ten problem. Czy jesteś zadowolona z pokoju?

- Jest bardzo ładny. Kitowi i mnie będzie tutaj wygodnie. Lady Rothgreb pogłaskała główkę Kita. Na jej dłoni były wyraźnie widoczne żyłki.

- Gdybym wiedziała, że obecność gości tak ożywi atmosferę, to poprosiłabym ich książęce mości o wypożyczenie dorosłych

dzieci. - Kit złapał palec lady Rothgreb i uśmiechnął się szeroko do gospodyni. - O, jesteś silnym chłopcem i coś mi się zdaje, że niedługo będziesz miał ząbki.

- Westhaven coś o tym wspominał. Zdaje się, że to trudny okres?

- Dzieci są wtedy trochę rozdrażnione. - Uwolniła palec. - Mogą też złapać przeziębienie, przez co stają się bardziej marudne. Katar to nic przyjemnego.

- W zeszłym tygodniu leciało mu z nosa.

- Jesteś pewna, moja droga, że nie chcesz go oddać na noc? Stara niania już dawno odeszła ze służby, ale nasza gospodyni ma szesnaścioro wnucząt.

- Jestem pewna. Gospodyni ma dość pracy z niezapowiedzianymi gośćmi.

- Bardzo lubi, kiedy przyjeżdża Vim. Szkoda, że robi to tak rzadko. Wszyscy lubimy jego wizyty.

Zapadło milczenie, a Kit przewrócił się na brzuch i stanął na czworakach, gotowy do podboju świata. Sophie zastanawiała się nad słowami lady Rothgreb. Vim wspominał, że starsza pani zaczyna sprawiać wrażenie trochę zgubionej, w miarę jak pogarsza się jej stan umysłowy i fizyczny. Mimo to prowadziła ożywioną konwersację podczas kolacji, wypełniając z wdziękiem i życzliwością honory pani domu.

- Przepraszam cię za najście, moja droga, ale mam w tym swój cel.

- To nie jest żadne najście - odparła Sophie, siadając przy kominku, by zagrozić dziecku drogę do niebezpiecznych bibelotów. - Popijanie porto z braćmi nie wydaje mi się specjalnie pociągające.

- Ależ dlaczego nie? Są czarującymi mężczyznami, a ja mogłabym spędzić więcej czasu z bratankiem. Jednak Rothgreb też lubi grać rolę gospodarza, więc zostawmy ich samych.

- Nie powinnam była zamykać się w pokoju z Kitem - broniła się Sophie, chociaż nie było takiej potrzeby - ale ostatnio miał za dużo wrażeń i nie chciałam go przemęczać.

- Czy mogę skorzystać z przywileju wieku i powiedzieć coś szczerze, moja droga?

- Oczywiście.

Sophie ogarnął niepokój, czuła, że ta szczerłość może być dla niej bolesna.

- Przywiązałaś się do tego dziecka, lady Sophie. Kit ruszył na czworakach w stronę lady Rothgreb.

- Każdy by się przywiązał. Kit jest kochany.

- Jest dzieckiem. One wszystkie są kochane i w tym ich siła. Ale nie jest twoim dzieckiem - dodała stara kobieta delikatnie.

Sophie nie spuszczała oczu z Kita.

- Znajdę mu wkrótce przybraną rodzinę.

- Vim powiedział, że jesteś rozsądna.

Rozsądna. I tylko tyle. Nie urocza, inteligentna, kochana, pociągająca i zdolna do szalonej, namiętnej miłości. Nawet nie pochwalił jej zdolności kulinarnych. Tylko powiedział, że jest rozsądna. Na miłość boską. Dodała Vima do listy mężczyzn, którzy zasługiwali na to, żeby ich zlać.

- Zachęcam cię z całego serca, moja droga, żebyś jak najszybciej umieściła Kita w przybranej rodzinie. Chłopak wydaje się zdrowy i na pewno łatwo się przystosuje do tej zmiany. Im dłużej będziesz z tym zwlekać, tym trudniejsze to będzie i dla ciebie, i dla niego.

Sophie zdobyła się na skinienie głową, ale słowa gospodyni cięły jak zimowy wiatr. Bolała ją myśl, że Kit łatwo przyzwyczai się do zmiany, ale nie mogła też znieść perspektywy, że mógłby cierpieć z powodu rozstania.

- Czy zna pani jakąś rodzinę, której sytuacja życiowa pozwalałaby na przygarnięcie niemowlęcia? - Zmusiła się do zadania tego pytania, mając samolubną nadzieję, że odpowiedź będzie przecząca.

- Znam. Rodzinę wikarego. Mają trzy odchowane dziewczynki i na pewno ucieszyliby się z chłopca. Pani Harrad wiele razy wspominała, że syn pomógłby mężowi.

- Czy to starsi ludzie?

Sophie zdusiła w zarodku myśl, że Kit mógłby skończyć jako parobek wikarego.

- Z mojego punktu widzenia nie są starzy. To skromni, pobożni ludzie, którzy zawsze okazują innym życzliwość. - Lady Rothgreb podniosła się z podłogi, a Sophie wzięła Kita i wstała razem z nim. - Myślę, że dbaliby o chłopca.

- Rozważę to, co pani powiedziała, lady Rothgreb, ale chciałabym też zasięgnąć opinii matki w tej sprawie.

- Jej książęca mość zgodzi się ze mną, jestem tego pewna. - Lady Rothgreb spojrzała na niemowlę. - Znam tylko jedną osobę o takich niebieskich oczach jak u tego dziecka. To mój bratanek. Mam nadzieję, że był miły podczas kolacji.

- Zachowywał się jak dżentelmen - odpowiedziała Sophie, owijając dziecko kocykiem. - Lady Rothgreb, proszę mi powiedzieć, dlaczego lord Sindal tak niechętnie przyjeżdża na święta do rodzinnego domu? - zapytała prosto z mostu.

To było szpiegowanie, ale czuła się usprawiedliwiona, gdyż Vim miał cały dzień, a nawet więcej na to, aby opowiedzieć Sophie o wydarzeniach z przeszłości. A jednak tego nie uczynił.

- Spędził tu szczęśliwe dzieciństwo - odpowiedziała lady Rothgreb. - Cieszyliśmy się, że go mamy, ale jego ojciec był słabego zdrowia. Ożenił się tylko dlatego, że stary lord na to nalegał. Mimo to uważam, że to małżeństwo było całkiem udane.

- Sądzi pani, że śmierć ojca kładzie się cieniem na wspomnienia Vima związane z tym miejscem?

Vim. Nie powinna go tak nazywać przy ciotce, ale dla Sophie był właśnie Vimem. Vim zmieniał pieluchy, czytał wiersze i kochał się z nią namiętnie i do szaleństwa. Lord Sindal zaś znalazł się na liście osób zasługujących na chłostę.

- Jego wspomnienia z najwcześniejszego dzieciństwa są szczęśliwe, a śmierć ojca nie zaważyła aż tak na jego życiu. Nim upłynął rok, matka zabrała chłopca na północ. - Lady Rothgreb mocniej otuliła dziecko kocykiem. - Wilhelm cierpiał z powodu pewnej publicznej zniewagi, która spotkała go z powodu młodej

kobiety właśnie przed świętami Bożego Narodzenia. Od tamtej pory pojawiał się tu bardzo rzadko.

- Miał złamane serce?

- To jego należałoby o to spytać, nieprawdaż? Powinnaś go również poprosić, aby ci pokazał galerię portretów, jeśli jutro będzie słonecznie. Temu małemu pewnie też dobrze zrobiłaby przechadzka, ale o tej porze roku jest tam chłodno.

Uśmiech lady Rothgreb sugerował, że spacer do galerii portretów nie jest jedynie sposobem na zabicie czasu po śniadaniu. Wykalkulowana obojętność, z jaką wypowiedziała te słowa, sugerowała, że jej na tym zależy.

- Poproszę go, ale jestem pewna, że bracia będą chcieli jutro jak najwcześniej wyruszyć do Morelands.

Lady Rothgreb zatrzymała się z ręką na klamce.

- Jej książęca mość przysłała odpowiedź na nasz list. Mówi, abyście się nie forsowali i nie spieszyli do Morelands przy kiepskiej pogodzie. Rothgreb bardzo się cieszy z waszej wizyty, moja droga, więc mam nadzieję, że nie wyjedziecie aż tak wcześnie.

Wyślizgnęła się na korytarz z wdziękiem gospodyni troszczącej się o wygodę gości.

Sophie przytuliła Kita. Nie była pewna, czy ma się modlić o poprawę pogody, aby mogła wreszcie uciec od lorda Sindal, czy też raczej błagać o to, aby drogi pozostały nieprzejezdne przez wiele dni, co pozwoliłoby jej nacieszyć się dzieckiem, które będzie zmuszona oddać.

8

Proszę - St. Just podał Vimowi świecę, uśmiechając się w szczególny sposób. - Odprowadzisz stryja do pokoju, prawda?

- Oczywiście. Stryju, na pewno ciocia zastanawia się, co się z tobą dzieje.

- Cholernie dobrze wie, co się ze mną dzieje - powiedział Rothgreb, chwytając się na nogach. - Od wielu lat się tak dobrze nie bawiłem. Wypiłem morze porto i nagadałem się za wszystkie czasy.

- Jutro musi mi pan pokazać Córkę Duńczyka - przypomniał St. Just, kiwając palcem w powietrzu. - Widziałem jej potomstwo i chciałbym mieć konia z tej linii.

- Pokażę ci na pewno, drogi chłopcze. Będiesz szczęśliwy, gdy położysz na niej rękę. - Wicehrabia mrugnął do niego, po czym zwrócił się do bratanka: - Ruszamy, młodzieńcze. Moja połowica na mnie czeka.

Vim dostrzegł wymianę spojrzeń między Westhavenem i lordem Valem, sugerującą, że Rothgrebowi trzeba będzie pomóc wejść po schodach. Ale kiedy odprowadził stryja na korytarz, starszy człowiek przestał się zataczać.

- Moreland spłodził przyzwoitych chłopaków - zauważył Rothgreb. - A ta dzierlatka, ich siostra, też jest niczego sobie. Nie takie fiu bździum jak młodsze panny.

- Lady Sophie jest bardzo ładna.

A także uprzejma, inteligentna, słodka i tak namiętna, że mężczyzna może przy niej szczeznąć na popiół.

- Ale bardzo przywiązała się do tego małego. - Stryj rzucił mu spojrzenie, którego znaczenia nie sposób było odczytać w mroku zimnego holu. - Kobiety ulegają czarowi dzieci.

- To uroczy maluch, choć podrzutek. O ile wiem, zamierza go oddać przybranej rodzinie. Uważaj, stryju.

Chwycił krewnego za kościsty łokieć, gdy weszli na schody, ale starszy pan odepchnął jego rękę.

- Na miłość boską, chłopcze. Potrafię jeszcze wejść po schodach. Skoro podoba cię się ta dama, to dlaczego nie zapewnisz chłopcu utrzymania? Stać cię na to.

Vim zatrzymał się na pierwszym podeście i przysunął świecę do twarzy stryja.

- Skąd wiesz, że lady Sophie mi się podoba? I jakim cudem wyposażenie chłopca miałoby mi zjednać jej sympatię?

- Kobiety mają wiele uczucia dla sierot, zwłaszcza takich małych chłopców w pieluchach. Jeśli chcesz zrobić wrażenie na kobiecie, to nie zawadzi dobry uczynek.

Stryj ruszył po schodach, opierając się ciężko o balustradę.

- Skąd stryj wie, że chcę zrobić wrażenie na lady Sophie?

- Pożerasz ją wzrokiem - odparł Rothgreb, zatrzymując się w połowie drogi do drugiego podestu.

- Nie śmiałbym traktować w ten sposób swoich gości.

- Niech będzie, że wodzisz za nią wzrokiem, kiedy myślisz, że nikt nie patrzy. Za moich czasów nazywaliśmy to dosadniej. Zamartwiasz się z jej powodu. Jestem żonaty od pięćdziesięciu lat i wiem, jak wygląda mężczyzna, który zadurzył się w damie.

Vim nie odpowiedział, stryj miał rację.

- A ci wielcy, postawni mężczyźni, jej bracia, wychodzą z siebie, żeby was skojarzyć.

Rothgreb zatrzymał się znowu u szczytu schodów. Vim również przystanął, rozważając słowa stryja.

- Ja też nie jestem ułomkiem - oznajmił.

Ale St. Just był bardziej muskularny, a lord Val prawdopodobnie szybszy w walce na pięści niż Vim. Z kolei Westhaven, ze swym umysłem naukowca, przedkładał chłodną kalkulację nad siłę, co oznaczało, że każdy jego cios byłby przemyślany i celny.

- Uwijali się jak w ukropie, żebyś tylko zajął miejsce przy stole obok ich siostry. - Rothgreb puścił poręcz i skierował się do swojego pokoju, a Vim ruszył krok za nim. - A ty dokąd, mój chłopcze? Trafie do własnego pokoju. Lady Sophie jest w zielonej sypialni dla gości.

Czyli w pokoju znajdującym się naprzeciwko sypialni Vima.

- Przecież gościowi należy się szacunek, stryju. Nigdy bym tak nie postąpił.

- Ach, wy młodzi! To cud, że arystokracja nie wyginęła z powodu braku rozumu. Przecież nie mówię, że masz ją traktować bez szacunku. Życz jej po prostu dobrej nocy. To ci nie zajmie więcej niż minutkę, a ciotka na pewno zapomniała o takim drobiazgu.

Vim podał stryjowi świecę.

- Dobranoc, stryju. Dziękuję za sugestię. Stary człowiek wyciągnął koślawy palec.

- Jej pokój jest tam. Tylko uważaj, na miłość boską, żeby nie obudzić dziecka.

Valentine zrobił krok nad psem, który drzemał na dywanie przed kominkiem w gabinecie lorda Rothgreb.

- Nastrojenie fortepianu może mi zabrać kilka godzin. A jeśli zajmę się klawesynem, to spędzimy tu cały dzień - powiedział, siadając na sofie obok Westhavena.

- Och, to się szczęśliwie składa - odezwał się St. Just z drugiego końca kanapy. - Wypróbowanie klaczy zajmie cały ranek, jeśli stajenni poruszają się równie szybko jak reszta służby.

- A co ja mam robić? - zapytał naburmuszony Westhaven. Valentine zsunął się nieco na kanapie i oparł stopy na podnóżku.

- Jesteś bystrym chłopcem, dziedzicem i w ogóle. Coś wymyślisz.

Sophie odłożyła szczotkę do włosów, gdyż wydawało jej się, że usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała bardzo cicho, aby nie obudzić dziecka śpiącego w kołysce przy kominku.

Jedynie Valentine mógł być taki nieostrożny i bezmyślny, aby...

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? - Vim bezgłośnie zamknął drzwi.

- Nie przeszkadzasz.

Sophie otuliła się szczelniej szlafrokiem pożyczonym od lady Rothgreb - obszernym, starym i nieładnym, ale za to wygodnym.

- Kit śpi?

Przytaknęła, a Vim podszedł bliżej.

- Czy niczego ci nie brakuje, Sophie? Obawiam się, że od mojej ostatniej wizyty nie było tu gości, więc służba do tego nie przywykła.

- Mam wszystko. Kiedy tu byłeś ostatni raz?

Wzięła szczotkę, aby dokończyć wieczorną toaletę. Nie miała zamiaru rzucać się na niego, chociaż tęskniła za jego widokiem brzmieniem głosu, spojrzeniem niebieskich oczu.

- Mogę ci zapleść warkocz? - zapytał, wstając od kołyski, przy której przyklęknął. Podeszedł do toaletki. Miała mętlik w głowie. Wziął od niej szczotkę i delikatnie wyprostował jej ramiona, aby spojrzała w lustro.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedziała szybko, aby nie stracić odwagi.

- Wszystko, co w mojej mocy.

Zgarnął jej włosy na plecy, a Sophie odebrała to jako słodką uspokajającą pieśczętę, od której przeszył ją dreszcz.

- Znasz rodzinę wikarego?

- Nie. - Zaczął szczotkować jej włosy zamaszystymi ruchami. - Dlaczego pytasz?

- Twoja ciocia powiedziała, że może wzięliby chłopca. Mają tylko dziewczynki i dlatego mogliby przygarnąć Kita.

Albo wykorzystać go do pracy ponad siły, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Zamknęła oczy, aby Vim nie dostrzegł jej niezdecydowania.

- Wikary często jest zmuszony zmieniać miejsce zamieszkania, Sophie, dopóki nie osiadzie na parafii. Czy jesteś pewna, że chcesz dla Kita takiego życia?

Pokręciła głową, a Vim zamilkł.

Nie powiedział nic więcej, a Sophie biła się z myślami i szukała właściwych słów, aby wyrazić to, czego nie da się wyrazić.

- Nie jestem pewna i dlatego chciałam cię prosić, abyś porozmawiał z tymi ludźmi i przekonał się, czy byliby odpowiedni dla Kita.

Ukucnął przy jej boku, a ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Widząc dobroć malującą się w jego oczach, Sophie zapomniała, że miała ochotę go uderzyć, zapomniała o jego nieznośnej uprzejmości podczas kolacji, zapomniała o wszystkim.

- To ty musisz podjąć tę decyzję, moja droga. - Nie dotknął jej, ale te słowa poruszyły ją do głębi. - Kochasz to dziecko tak

jak kochałabyś własne. To jest zbyt poważna decyzja, aby powierzyć ją innej osobie.

- Ale ja nie potrafię... - Przełknęła i odwróciła oczy, czując wzbierający płacz. - Po prostu nie potrafię.

Vim wstał, chwycił ją za nadgarstki i pociągnął w stronę łóżka, na którym usiadł obok niej.

- Mogę być twoim emisariuszem, ale musisz dać mi jakieś wskazówki.

Miała ochotę rzucić mu się w ramiona z wdzięczności, ale wydawał się taki opanowany. Przywołała na pomoc swoją dumę, chociaż było to trudne.

- Pojedź do nich i przyjrzyj się tej rodzinie. Zobacz, w jakich warunkach żyją, czy są w stanie wyżywić jeszcze jedno dziecko, zaproponuj im taką sumę, jaka będzie potrzebna na utrzymanie Kita. Dostaję dużo pieniędzy na własne wydatki i oddam wszystko, aby Kitowi było dobrze. Sprawdź, czy w domu jest ciepło, czy mają pełną spiżarnię. Obejrzyj żywy inwentarz i piwnicę. Zobacz, czy dzieci mają buty i ciepłe ubrania.

Otoczył ją ramieniem.

- Sprawdź, czy dach nie przecieka, czy drzwi się dobrze zamykają. Byłoby miło, gdyby mieli jakieś zabawki... Nie, muszą mieć zabawki. Takie, których chłopiec nie zepsuje podczas energicznej zabawy, a nie tylko ładne drobiazgi i lalki dla dziewczynek. I przydałby się jakiś instrument. Wiem, że nie będzie tam fortepianu, ale chociaż drewniany flet...

Przerwała i przycisnęła twarz do ramienia Vima, gdyż przyszła jej do głowy przerażająca myśl.

- Zmienią mu imię.

Wydawało jej się to bardziej potworne niż fakt, że mogliby wykorzystać Kita jako darmową siłę roboczą. Jak można zmienić komuś imię, jakby był pieskiem albo starym koniem przekazywanym z rąk do rąk?

- Nie możesz wymagać, żeby nazywali go Kitem, a z kolei gdyby miał inne nazwisko niż reszta rodziny, to ciągle byłby narażony na kłopotliwe pytania.

Skinęła głową na jego ramieniu. Tak bardzo ścisnęła ją w gardle, że nie była w stanie wydusić słowa.

- Pojadę tam z samego rana, jeśli sobie tego życzysz.

Ale wcale sobie tego nie życzyła. Chciałaby być kimś innym, nie lady Sophią Windham. Zoną prostego człowieka, którym byłby Vim. Mogliby przygarnąć to dziecko i wychowywać je razem z własnymi maluchami. Chciałaby zapewnić Kitowi prawdziwą rodzinę, gromadkę braci i sióstr, z którymi mógłby się bawić i sprzeczać, którzy byliby dla niego oparciem, kiedy Sophie ode-szłaby z tego świata.

Chciałaby...

Odsunęła się od Vima. Życzenia to tylko mrzonka.

- Muszę zrobić to, co będzie najlepsze dla Kita. - Uwolniła palce splecione z palcami Vima. - Naprawdę mam dość pieniędzy. Westhaven hojnie wyposaża swoje siostry, a fatalaszków, biżuterii i czepków mam tyle, że wystarczy mi do końca życia.

Wstała z łóżka i podeszła do toaletki, ale nie usiadła. Na szczęście Vim nie ruszył się z łóżka.

- Nigdy nie widziałem cię w czepku ani w biżuterii. A suknie, które nosisz, wyszły z mody jakieś pięć lat temu.

- A co to ma do rzeczy?

Przygładziła włosy szczotką, aby nie cisnąć jej w powietrze.

- Sophie, uważam, że powinnaś dać sobie więcej czasu na podjęcie tej decyzji - oznajmił i dopiero teraz wstał z łóżka, a Sophie przerzuciła włosy na drugie ramię, aby na niego nie patrzeć.

- Czas tylko pogorszy sprawę, i dla Kita, i dla mnie. Wystarczył tydzień z dzieckiem i już nie potrafię podjąć prostej decyzji.

Podszedł na tyle blisko, że owionął ją zapach bergamotki. Całą sobą wyczuwała kuszącą bliskość muskularnego, potężnego ciała. Mimo to nadal szczotkowała włosy.

- Życzę ci dobrej nocy, lady Sophie. Przerwała szczotkowanie i spojrzała na niego.

- Nie musisz mnie tak nazywać, kiedy jesteśmy sami.

- Muszę. . . . Pochylił się i pocałował ją w czoło, a Sophie miała wielką

ochotę zarzucić mu ręce na szyję i błagać, by został, by ją przytulał, kochał, by pomógł jej zapomnieć o tej strasznej decyzji, jaką musiała podjąć.

- Słodkich snów, lady Sophie. Pojadę załatwić twoją sprawę z samego rana - powiedział i wyszedł.

Sophie została sama i nie było nikogo, kto pomógłby jej zapomnieć o całym świecie, a zwłaszcza o konieczności oddania cudownego dziecka pod opiekę zupełnie obcej rodziny.

_ Sądziłem, że o tej porze będziecie już w drodze do Morelands. Vim stał w drzwiach salonu, patrząc, jak Sophie bawi się na podłodze z roześmianym Kitem. Oczarowani sobą, tworzyli uroczy obrazek. I żadna siła na świecie nie pomogłaby Vimowi wyobrazić sobie tego dziecka w otoczeniu innych ludzi.

_ Zostałam przegłosowana - powiedziała Sophie, podnosząc dziecko z podłogi i wstając. - Valentine musi nastroić fortepian, St. Just targuje się z twoim stryjem o klacz, a Westhaven oświadczył, że pewne części jego ciała jeszcze nie odtajały i nie nadają się do podróży na mrozie. - Przerwała i spojrzała mu w oczy. -1 co.

- Harradów nie było w domu. - Nie mógł znieść wyrazu ulgi w jej oczach. - Wrócą po południu.

Znowu napełniły się łękiem. Przytuliła dziecko i pocałowała je w ucho. Kit zamachnął się na nią małą łapką, ale Sophie uchyliła się a kiedy opuścił rączkę, znowu pocałowała go w ucho.

Dzisiaj znowu sobie śpiewał - powiedziała, siadając z dzieckiem na sofie. - Urocze dziecięce pioseneczki. Ody do paluszków madrygały na cześć knykcii. Zastanawiam się, kiedy zaczniesz mówić. Pani Harrad z pewnością będzie wiedzieć takie rzeczy.

Tego ranka była lady Sophie, kobietą, która wolała nie pamiętać wspólnie spędzonych intymnych chwil. Córka księcia skupioną na osiągnięciu jednego celu. Usiadł obok niej i boleśnie zatęsknił za prostolinijną Sophie Windham.

- Zwierzęta są odkarmione, płoty w dobrym stanie, kurnik wygodny, a dom czysty i schludny. Czyste okna, wypełnione pojemniki na drewno, zamieciona weranda i odśnieżona ścieżka prowadząca do domu. Mam nadzieję, że czujesz się tym rozczarowana tak samo jak ja.

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

- Sophie, chętnie bym przygarnął chłopca, ale ciotka i stryj otaczają się najstarszą służbą na świecie, a na dodatek ciocia zaczyna sprawiać wrażenie zagubionej, a stryjowi w dziwny sposób giną przedmioty. Bywam tutaj bardzo rzadko i w tej sytuacji nie można tu zostawić dziecka.

- Miałam zamiar cię poprosić... - Zawinęła dziecko w lekki kocyk, a potem otuliła zawiniątko cieplejszym pledem. - Czy możesz mi pokazać galerię portretów?

- Oczywiście.

Dlaczego chciała oglądać stare obrazy i o co właściwie zamierzała go poprosić?

Podawała mu dziecko i zarzuciła szal na ramiona. Po drodze do galerii Vim starał się zgromadzić jak najwięcej wspomnień - Sophie wchodząca po głównych schodach, Sophie przystająca na podeście, aby poczekać na niego, promienie słońca rozświetlające jej ciemne włosy czerwoną poświatą.

Sophie dokładniej otuliła się szalem, kiedy weszli do ogromnego pokoju, w którym wisiały obrazy. Było tam tak zimno, że para leciała z ust.

- Nie powinniśmy tu być zbyt długo - powiedział. - Masz tylko ten szal, możesz się przeziębć.

- Jest mi ciepło. - Rozejrzała się po pomieszczeniu, które było jasno oświetlone blaskiem porannego słońca wpadającym przez bardzo duże okna i odbijającym się od wypolerowanej podłogi. - Wspaniała sala. Można by tu urządzać świąteczne przyjęcie.

- Trzeba by ją nagrzewać kilka dni - odparł, ale pomyślał, że trafiła w samo sedno. Kiedy ciotka i stryj zrezygnowali z rozrywek?

- Jeśli zgromadzisz tu dużo ludzi, to sala szybko się nagrzeje. Kto to jest?

Stała przed portretem przedstawiającym całe postacie: wysoki jasnowłosy mężczyzna stał obok ładnej przypudrowanej damy, która siedziała na drewnianym krześle.

- To mój dziadek. Nigdy nie używał pudru ani nie nosił peruki, chociaż lubił wyszukane stroje i ozdoby. Na portrecie jest jego pierwsza żona. Moja babcia znajduje się na następnym.

Sophie ruszyła wzdłuż ściany.

- Teraz wiem, po kim odziedziczyłeś taki wspaniały wygląd. Te cztery portrety przedstawiają dziadka?

- Z kolejnymi żonami. Dożył sędziwego wieku. Spodziewał się, że każda da mu kilku synów.

Uważnie przyglądała się portretowi, a Vim zastanawiał się, co właściwie składa się na jego dobry wygląd.

- Widzę w nim Rothgreba - powiedziała Sophie. - Mają podobne oczy. I coś z wikingów, którzy byli kowalami swojego losu. Czy tylko twoja babcia dała mu synów?

- Urodziła dziedzica i jego następcę, a kilka lat później, kiedy dziedzic zmarł na wyniszczającą chorobę, urodził się mój ojciec, tak na wszelki wypadek. Myślę, że śmierć mojego ojca była dla dziadka trudnym doświadczeniem.

Podeszła do ostatniego portretu dziadka Vima.

- Wtedy miał już ciebie. Mogłeś być dla niego pociechą.

- Nie byłem. - Vim podszedł do Sophie, ale patrzył na Kita, a nie na obraz. - Mój ojciec miał słabe serce. Jego lordowska mość uważał, że skoro jestem podobny do ojca, to przysporzę mu podobnego rozczarowania.

Sophie przyjrzała mu się bacznie od stóp do głów, ściągając usta w wąską linię, a potem wskazała na następny portret.

- Czy to jest twój ojciec?

- Christopher Charpentier, mój świętej pamięci ojciec.

- Był całkiem przystojny, ale muszę przyznać, że jesteś tak samo podobny do dziadka jak do ojca.

- Nie jestem.

Jeszcze nikt nie powiedział mu, że jest podobny do dziadka. Założyła ręce.

- Jego włosy posiwiały, zanim przyszedłeś na świat, ale przedtem miały dokładnie ten sam kolor, złocisty blond. Kiedy był młody, miał na pewno jasnoniebieskie oczy, tak jak ty.

- Skoro wyglądam kropka w kropkę jak on, to dlaczego nic nie zrobił, żeby mnie zatrzymać, kiedy oznajmiłem, że wyruszam na morze?

Jeszcze raz obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Podjąłeś tę decyzję, kiedy złamano ci serce?

- Możemy iść dalej ? Tam są starsze portrety.

Sophie przeszła z nim na drugą stronę pokoju i usiadła obok niego na wyściełanej ławce między portretami.

- Nigdy nie lubiłem tu przychodzić - oznajmił, sadzając sobie Kita na kolanach. - Nie lubiłem czuć na sobie spojrzeń zmarłych.

- Niektórzy ludzie, których uwieczniono na tych płótnach, kochali cię. Tak sędzę.

Wyciągnęła rękę, a Kit złapał ją za palec i włożył go do buzi.

- Ja też ich kochałem, ale to nie zmienia faktu, że nie żyją. -Przerwał, aby zaczerpnąć tchu i zebrać siły. - Moje serce nie ucierpiało tak bardzo jak moja duma - zwierzył się w końcu -w dodatku doszło do tego na przyjęciu, na którym zgromadzili się wszyscy sąsiedzi. Młoda dama dała do zrozumienia wszem wobec, że woli innego, a ja nie umiałem się zachować w tej sytuacji. Z perspektywy czasu wiem, że wyolbrzymałem całe zajście. Może chcesz potrzymać dziecko?

Z przekazaniem sobie Kita byłoby tyle zachodu, że niezawodnie zmieniliby temat rozmowy. Ale Sophie nie dała się zwieść. Wyjęła palec z buzi małego i rozejrzała się po pokoju.

- Jest mu wygodnie u ciebie. A skoro ja się boję rozłąki z nim, to ciebie pewnie też nie cieszy ta perspektywa. Czy wciąż jesteś zakochany w tej młodej damie?

- Na miłość boską, Sophie! - Posadził opatulone dziecko na jej kolanach, wstał i oddalił się o kilka kroków. - Nie widziałem tej kobiety od lat. Poza tym wybrała innego. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie będzie w tych okolicznościach pielegnował uczucia.

- Zakochani są dalecy od zdrowych zmysłów. - Uśmiechnęła się w zamyśleniu, jakby przypominała sobie pierwszą miłość.

- W takim razie cieszę się, że od tamtej pory nie dopadł mnie ten stan. Możemy iść? Słyszałem gong na obiad, a poza tym musimy uważać, aby Kit się nie przeziębził.

Wydawała się poirytowana, jakby chciała się z nim kłócić, na co w pełni zasłużył. Nie powinien zachowywać się tak porywczo. Szczęśliwym trafem Kit zaczął podskakiwać na jej kolanach i opowiadać Bóg wie co w swoim dziecięcym języku.

- Chodźmy. - Vim wziął dziecko na ręce i podał dłoń Sophie. - Zabierzemy go na obiad. Niech pośpiewa twoim braciom, będą mieć rozrywkę. Ciocia będzie zachwycona, a stryj zacznie snuć opowieści.

- Wiesz co, Percy? Moje oczy nie są już takie jak dawniej -oznajmiła Esther, księżna Moreland, łagodnym tonem, ale jej mąż nie dał się zwieść.

Po przeszło trzydziestu latach małżeństwa potrafił wytropić ukryte podteksty nawet w sposobie, w jaki wypowiadała jego imię, a ona umiała wyczytać z samej jego postawy, że stara się wykorzystać urok osobisty, aby uniknąć zdemaskowania.

- Twoje oczy są tak piękne jak zawsze, moja droga. Poczekaj chwilkę.

Wskazał w górę, gdzie wisiał sporej wielkości wiecheć jemioli przyczepiony do krokwi nad głównym wejściem. Uśmiechnęła się, gdy pocałował ją w policzek.

- Zachowuj się, mój mężu. Nie wiem, czy to pochwalam.

- Wszystkie dziewczęta są w domu, z wyjątkiem Sophie. Przecież nie daję im złego przykładu. Szkoda, że nie mogłaś widzieć wyrazu twarzy młodego Deene'a, kiedy uświadomił sobie, że musi pocałować cztery siostry Windham po kolei, żeby nie stracić dobrej reputacji.

- Czy rzuciłeś mu swoje książęce gniewne spojrzenie?

- Wybacz mi te drobne rozrywki, moja kochana. Jak mogłem się gniewać, skoro to dziewczęta zaczęły się na niego pod jemiolą?

Obraz czterech córek Esther całujących pod jemiolą przystojnego markiza Deene miał odwrócić uwagę żony od innych spraw, ale nie pozwoliła na to.

- Co jeszcze napisał Westhaven?

Wsunęła rękę pod ramię męża. W przeciwnym razie mógłby nagle sobie przypomnieć, że musi pójść do gabinetu, wpaść do kuchni, aby podkraść kawałek ciasta z kremem, albo oddalić się w jakiejś pilnej książęcej sprawie.

- Westhaven?

- Tak, właśnie on. Earl, znany również jako Gayle Windham, twój dziedzic i nasz syn. Rano przysłał ci kolejny liścik z Sidling.

Książę zatrzymał się przed drzwiami do prywatnego salonu Esther.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy, Esther? Dzieci twierdzą, że masz oczy dookoła głowy, ale podejrzewam raczej zdolności nadprzyrodzone.

- Widziałam, jak stajenny z Sidling szedł w stronę domu. Nie jest już młody, więc trochę to trwało. Ale może to nie był liścik od Westhavena.

- Był od niego. Napisał, że stary Rothgreb nalegał, aby zostali jeszcze dzień. Podobno wicehrabina już dawno nie była w tak dobrym nastroju. St. Just namawia go do sprzedaży ulubionej klaczy, a nasz domorośły Mozart nastraja ich pianino. A Sophie będzie miała czas, aby zainteresować się młodym Sindalem.

- Sindal jest trochę starszy od St. Justa.

- Istny starzec, ale i tak o połowę młodszy ode mnie. Miałabyś coś przeciwko temu? - zapytał książę z wystudiowaną obojętnością, a Esther w lot pojęła, że mężowi ten alians byłby na rękę. Co więcej, sam czynił starania, aby do niego doszło.

Esther weszła do przytulnego salonu, z którego okien roztaczał się widok na ośnieżony park w Moreland. Poczekała, aż mąż wejdzie tam za nią, i zamknęła drzwi.

- W twoim pokoju zawsze tak pięknie pachnie - stwierdził, rozglądając się dookoła. - Latem i wiosną kwiatami, a jesienią i zimą przyprawami. Jak ty to robisz?

Gdy znaleźli się sam na sam, książę objął żonę, a ona oparła się o niego.

- To mój sekret. Powiedzieć ci, co napisała do mnie wicehrabina?

Oparł podbródek na jej włosach.

- Nie chciałem wypytywać - odparł, udowadniając, że też ma dobry wzrok.

- Zdaje się, że nasza Sophie pokochała podrzutka. Nasza młodociana służąca nie wsiadła do powozu do Portsmouth, tylko zostawiła dziecko pod opieką Sophie i ulotniła się bez śladu. Rothgreb wyciągnął to od bratanka przy kieliszku porto, a Esmeralda od męża. Martwi się, że Sophie za bardzo przywiązała się do dziecka i przez to nie zauważyła, że podbiła serce młodego Wilhelma.

- Ojej. - Książę podszedł do stolika przy ścianie i zdjął pikowany ocieplacz z dzbanka z herbatą. - Znosi się na wielką intrygę, moja kochana. Mam wielką pokusę, aby się wtrącić.

Założyła ręce i przyglądała się mężowi. Był mężczyzną, którego kochała, ojcem jej dzieci, człowiekiem, który przyjałby z miłością każdą liczbę wnucząt.

- Wyjąłeś mi to z ust, Percivalu. Może powinniśmy zastanowić się wspólnie nad sytuacją.

- Bez wątpienia.

Chociaż spędzili razem tylko kilka dni i nocy, Vim zdążył ją poznać na tyle dobrze, że nawet w środku nocy, na pół przebudzony, wiedział dobrze, że to ona, jeszcze zanim jej dotknął.

- Sophie, co robisz w mojej sypialni?

Zasłonki przy łóżku uniosły się, a materac ugiął się pod jej ciężarem.

- Nie chcę rozmawiać.

- Sophie, to nie jest rozsądne. Jutro wyjeżdżasz...

Dwa miękkie palce o różnym zapachu spoczęły na jego ustach, a potem przesunęły się po linii szczęki i pieszczotliwie ujęły płatek ucha.

- Możesz kazać mi odejść. - Przysunęła się bliżej. - Ale nie chcę, żebyś to zrobił, bo jak powiedziałeś, jutro wyjadę.

W dwóch ostatnich słowach zawarła bezmiar rozpaczy, która wypełniała również każdy zakamarek serca Vima. Nie chciała spędzić z nim całego życia, chociaż mogła. Woląa skraść mu jedną godzinę wydartą nocy. A rano będzie musiała się rozstać również z dzieckiem.

- To nie jest rozsądne, Sophie.

Pocałowała go. Jej wargi trafiły najpierw na policzek, a potem powędrowały do kącika ust i przesuwaly się po krawędzi szczęki.

- Kochanie, gdzie jest Kit?

- Spi w moim pokoju. Pocałuj mnie, Vim, proszę.

Po tych słowach zamilkła na długi czas, porozumiewając się z nim w inny sposób. Vim czuł, że równie dobrze go poznała. Bez cienia niepewności przesuwala dłonie po jego piersi i ramionach, a jej pocałunki były pieszczotliwe i nieśpieszne.

Mimo że odrzuciła jego propozycje matrymonialne, wiedział, że Sophie nie przyszła po to, by kochać się namiętnie i do szaleństwa, lecz by ofiarować miłość. Być może zrodziło się to z żalu, którym wypełniała jej serce wizja rozstania z dzieckiem. A być może chciała tylko po raz ostatni poczuć swobodę, zanim na dobre przybierze maskę lady Sophie Windham. Jakimikolwiek kierowała się motywami, będzie miał zaszczyt spełnić jej życzenia po raz ostatni, chociaż wcale nie szukał tej okazji.

- Usiądź na mnie, Sophie - szepnął.

Usadowiła się na nim w ciemnych wnętrzu łoża z baldachimem. Poczul, że jest naga, a serce podpowiedziało mu, że pośpiech byłby bluźnierstwem.

Otoczył dłonią jej kark, podniósł się i przez długą chwilę obsypywał jej usta leniwymi pocałunkami. Z początku były niewinne, zapraszały do czulości i flirtu, potem ruchem języka zachęcił ją do zbliżenia.

Przez jakiś czas była zadowolona, że ją uwodzi, chciała, by ją smakował, drażnił i prowokował, ale później wydała z siebie cichy jęk tęsknoty, westchnienie, które poczul na ustach. Uznał

to za żądanie i bez pośpiechu zsuwał dłonie wzdłuż jej boków, sycąc zmysły wspaniałością jej ciała.

Przerwała pocałunek, jakby chciała skupić się na dotyku jego dłoni i poczuć, gdzie powędrują albo przemyśleć własne działania. Vim dotarł do jej bioder. Po chwili oderwał od nich dłonie i zamknął je na nabrzmiąłych piersiach Sophie.

Wydała z siebie kolejne westchnienie i usadowiła się tak, że mógł poczuć koniuszkiem sztywnego członka jej wnętrze. Nie dość, aby dać ukojenie, ale wystarczająco dużo, by pragnąć więcej. Wynagrodził hojność Sophie, obsypując pieścizotami jej piersi. Muskał je palcami i delikatnie ugniatał, aż w końcu chwyciła dłońmi jego ręce, by przycisnąć je mocniej do swoich piersi. Pragnęła więcej. Jego pani chciała go bardziej poczuć, więc posłusznie uniósł biodra i ocierał sztywny członek o jej wilgotną kobiecość.

- Vim?

- Za chwilę. Pocałuj mnie, Sophie.

Pochyliła się i przyciskając piersi do jego klatki, przywarła wargami do jego ust. Przesuwał dłońmi po jej plecach, wyczuwając delikatne mięśnie i kości. Gdy wsunęła język do jego ust, przytrzymał dłońmi jej pupę i odpowiedział na pieścizotę tym samym.

Jęknęła cicho i natarła mocniej na jego członek, przesuwając się wolno w górę i w dół z narastającym pożądaniem.

- Vim, pragnę cię...

- Twoje życzenie jest rozkazem, moja pani... Znieruchomiła, a Vim poszukał członkiem jej wilgotnego wejścia i zatrzymał się na jego skraju.

- Czy tego pragniesz, Sophie Windham? - zapytał szczerze i bez zastanowienia, choć całkiem nie w porę.

Nie chciała wychodzić za niego za męża, ale w tym momencie był j^eJ potrzebny, by przynieść ukojenie i zapamiętanie w cielesnej rozkoszy.

Jęknęła z frustracją i przesunęła biodra na tyle, że jego członek zanurzył się w niej do połowy. Oszłomiła go nagła przyjemność i wszystkie pytania uleciały z głowy. Objął mocno kark Sophie i przyciągnął ją do siebie, szukając łąpczywie jej ust.

Wycofał się powoli, a potem poruszał się w leniwym rytmie, który był dla niego torturą, plądrując jednocześnie jej usta i wywołując pożar zmysłów.

Pierwszy raz doszła na szczyt cichutko, poddając się jego bezlitosnym pchnięciom, a jej wewnątrz pulsowało na jego członku. Nie zamierzał zaspokajać jej pożądania, aleje wzmóc, by dzieliła z nim tę rozkoszną torturę.

Kiedy ześlizgnęła się z niego, dał jej czas na trzy głębokie, drżące oddechy, a potem zaczął wszystko od nowa. Zagłębił się w jej wnętrzu i pieścił piersi. Kochał ją, chciał, żeby była szczęśliwa, ale pragnął też, by płonęła żywym ogniem, by pożałowała go przez resztę życia, żałując swojej decyzji i oddając się wspomnieniom. Wiedział, że jego czeka dokładnie taki los.

- To za dużo - jęknęła Sophie oszołomionym głosem, niczym trawiona gorączką.

- Trzymaj się mnie. - Z Sophie w ramionach przekreślił się na plecy, tak że był teraz nad nią i w niej, w doskonałej pozycji. -Nigdy się tobą nie nasycę, Sophie Windham.

Podniosła ręce i przytrzymała się jego nadgarstków, gdy Vim podjął regularny rytm. Kiedy doszła po raz drugi, kwiliła z rozkoszy, nie mogąc jej znieść. Nie miał dla niej litości, napierał mocno, aż drżała i wyginała się pod nim, a całą jej istotą wstrząsały konwulsje.

Pozwolił jej leżeć chwilę nieruchomo. Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu włosy z czoła. Znowu zaczął się poruszać.

- Nie wiedziałam, że tak może być. Niczego nie wiedziałam -powiedziała z zachwytem, ale również nutą cierpienia.

Zwolnił rytm mimo mrocznego pożądania, które domagało się spełnienia, pochylił się nad nią i przytulił jej twarz do ramienia.

- Mam przestać?

To by go zabiło, unicestwiło. Gdyby wysunął się z niej w tym momencie, zniszczyłoby go to na dobre. Uniósł się na rękach, przygotowany na śmierć, nie chcąc dłużej samolubnie folgować własnej przyjemności,

- Kochaj mnie. Proszę, Vim, po prostu mnie kochaj.

To był ten element, który wymykał się do tej pory jego rozumowi. Dar ich ostatniego zespolenia miał związek z miłością i nie chodziło w nim zupełnie o żale, erotyczne potyczki czyjego własne życzenia. Ciało Sophie rozumiało to, mimo że nie umiała wyjaśnić mu tego słowami.

Podjął na nowo rytmiczne ruchy, tym razem delikatne. Przygarnął ją do siebie i pieścił z całą miłością, na jaką umiał się zdobyć. Miał zamiar się wycofać, gdy da jej jeszcze jedną falę przyjemności, chciał ją kochać i ochraniać.

Ale gdy doszła po raz trzeci, jej wewnątrz przeszywane paroksyzmami rozkoszy otuliło go tak mocno i słodko, że musiał do niej dołączyć i nie był w stanie się wyślizgnąć. Samodyscyplina i determinacja zniknęły, a pozostała jedynie miłość.

Dzień, kiedy Sophie dowiedziała się, że jej brat Bart nie żyje, pozostał w pamięci jako czarna, bezkresna dziura. Mężczyzna, który zaciąga się do wojska, zawsze jest narażony na śmierć i pogodziła się z wyborem brata. Wiedziała jednak, że nikt nie miałby mu za złe, gdyby pozostał w domu, ponieważ był dziedzicem tytułu.

Bart chciał przywdziać mundur, było to jego wielkie życzenie, a Sophie pozostawało na pociechę przekonanie, że umarł, robiąc to, czego pragnął.

Większego cierpienia niż śmierć brata przysparzał jej widok rodziców porażonych wręcz tą niewyobrażalną stratą. Księżę, zwykle pełen życia i tryskający dobrym humorem, popadł w pełne rozpaczycie milczenie, a księżna wydawała się zagubiona i nagle postarzała. Nigdy wcześniej Sophie nie widziała jej w takim stanie. Rodzice obejmowali się często w jej obecności, co było smutnym wyjątkiem od reguły.

Śmierć Victora okazała się równie trudnym wyzwaniem. Pomimo ulgi, że brat już nie cierpi, wiedziała, że straciła najbliższego człowieka. Porzuciła też częściowo iluzję, że rodzice i jej własna pozycja mogą ją ochronić przed żalem i poczuciem krzywdy.

Dzisiaj nie będzie przy niej nikogo, kto by ją ochronił przed utratą dziecka, które gorąco pokochała.

Nikt też nie pomoże jej przetrwać rozstania z mężczyzną, którego obdarzyła równie silną miłością. Ostatniej nocy był wspaniałomyślny, namiętny, czuły i szczerze obsypał ją pieścizotami. Na samą myśl, że mogłaby zostać jego żoną, gdyby tylko wystarczyła jej namiętność...

Pragnęła jednak nie tylko mężczyzny, z którym co noc pójdzie do łóżka, ale także takiego, którego będzie mogła kochać. I który pokocha ją jako swoją żonę i matkę dzieci.

- Poradzisz sobie. - Uniosła przed sobą Kita, który śmiał się i ślinił. - Masz w sobie tyle uroku, że pokochają cię od pierwszej chwili. Lord Sindal zapewnił mnie, że Harradowie są przyzwoitymi, pracowitymi ludźmi, oddanymi dzieciom i kościołowi. Będiesz się tam dobrze rozwijać, dokuczać siostrze. Będiesz pociechą dla rodziców.

Ale zaczną do niego mówić Christopher, gdyż zdrobnienie Kit było zbyt odległe od chrześcijańskich korzeni oryginalnego imienia.

- Christopher. Tak będą na ciebie wołać. Przytuliła go mocno, gdy zaczął się wiercić.

- Będziesz się nazywał Christopher Harrad i niczego nie będzie ci brakowało.

- Sophie, konie są osiodłane, twoi bracia czekają.

Vim stanął w drzwiach jej salonu. Nawet z pośpną miną wyglądał przystojnie. Dostrzegła w jego oczach wyraz troski, ale w całej postawie nie było śladu namiętnego kochanka, którego trzymała w ramionach jeszcze kilka godzin wcześniej.

Nie przypominał teraz mężczyzny, którego pożegnała wielokrotnie, każdym pocałunkiem i każdą pieścizotą.

- Jestem gotowa. Nigdy nie będzie gotowa.

- Chodźmy.

Wyciągnął do niej rękę. Sophie spodziewała się, że poda jej ramię i zaprowadzi na dwór tak, jak należy. Albo weźmie dziecko i skradnie jeszcze kilka słodkich uśmiechów Kita.

Tymczasem Vim otoczył ją ramieniem i oparł policzek na jej głowie.

- Chciałbym, żebyś to jeszcze rozważyła. Możesz go oddać do Harradów na wiosnę albo kiedy zaczniesz chodzić i mówić.

Próbował być uprzejmy, ale Sophie odebrała to niemal jak zdradę, kolejną kroplę goryczy, która wypełniła jej cierpiące serce.

- Jeśli nie zrobię tego dzisiaj, zaraz, to nigdy nie będę potrafiła go oddać. Nigdy.

Poczuła, że skinął głową, ale nie pozwolił jej odejść, a ona się nie wrywała. Opierała się o niego przez długą chwilę, czerpiąc z tego siłę i ciepło.

- Nie chcę tego robić.

- Wiem, moja kochana.

Świadomość, że Vim dokładnie wie, ile ją kosztuje ta decyzja, była dla niej jedynym pocieszeniem. Kit zaczął się wiercić i kopać, więc Sophie odsunęła się od Vima. A w każdym razie próbowała. Kiedy szli w stronę wyjścia, cały czas obejmował ją ramieniem, a zanim wyszli na słoneczne, mroźne powietrze, wziął od niej dziecko.

- Dobrze, że nie pada śnieg. Bez trudu dojedziecie do Morelands.

Sophie zatrzymała się u dołu schodów.

- Nie jedziesz z nami?

- Jedzie. - Jej brat St. Just podprowadził dużego gniadego konia do podnóżka. - Poprosiliśmy, aby osiodłano dla ciebie konia, Sindal. Przyjemny dzień na przejażdżkę.

- Chciałem rano przejrzeć ze stryjem księgi rachunkowe.

Z punktu widzenia Sophie dzień był tak przyjemny jak najzimniejszy krąg piekła.

St. Just uśmiechnął się, ukazując zęby, lecz niewiele w tym było uroku.

- Z tego, co mówiła twoja ciotka, księgi obywateli się przez wiele lat bez twojej kontroli. Chyba lepiej przyjąć zaproszenie na krótką przejażdżkę w taki słoneczny dzień?

Valentine i Westhaven zatrzymali konie obok St. Justa.

- Odświeżysz sobie umysł - powiedział Westhaven.

- I powiesz nam, dlaczego przez tyle lat nie odwiedziłaś Morelands - dodał Valentine. - Siostró, mogę wziąć dziecko.

Vim przenosił wzrok z jednego brata na drugiego, a w kącikach jego ust zaczął się błąkać uśmiech.

- Z przyjemnością do was dołączę, a Kit pojedzie ze mną. Podał dziecko St. Justowi, pomógł Sophie wsiąść na konia,

wskoczył na swojego wierzchowca, odebrał dziecko, a potem ruszyli w milczeniu aleją podjazdową w ten słoneczny, ale smutny poranek.

Po krótkim czasie dotarli do niewielkiego domu wikarego, usytuowanego obok kościoła. Sophie starała się nie patrzeć na Vima, który trzymał Kita, osłaniając go przed rześkim powietrzem i od czasu do czasu zagadując.

Już teraz czuła pustkę w sercu. Do tej pory tę przestrzeń wypełniały słodkie uśmiechy, dziecięce gaworzenie i małe łapki wywijające w powietrzu, żeby złapać nos albo brodę dorosłego i zdobyć jego uczucia.

- Potrzyj go chwilę - poprosił Vim, wpatrując się w nią niebieskimi oczami.

Sophie ścisnęła gardło, a serce przepełniała rozpacz z powodu nieuchronnej straty. Pokręciła głową.

- Tylko zsiądę z konia.

Vim podał jej dziecko, mimo że drugi raz pokręciła głową. Po chwili Sophie, zamknawszy oczy, przytuliła Kita. Chciała zapamiętać jego słodki dziecięcy zapach i nie widzieć schludnej młodej kobiety o zmęczonym wyglądzie, która wyszła z domu w kraciastym szalu narzuconym na ramiona.

- Sophie. - Vim stanął przy jej koniu i czekał, aż poda mu dziecko. - Możesz później odwiedzić panią Harrad. Kit nie powinien przebywać dłużej na mrozie - powiedział łagodnym głosem, na tyle cicho, aby inni nie słyszeli.

To dlatego jej bracia tak bardzo nalegali, aby z nimi pojechał. Po to, by Sophie mogła przekazać dziecko właśnie jemu, a nie kobiecie, która drżała z zimna na schodach, patrząc wszędzie, tylko nie na Sophie i Kita.

Sophie podała Vimowi chłopca i odwróciła wzrok. Wpatrywała się w pofałdowany krajobraz Morelands, który rozciągał się tuż za wsią. Zmusiła się do wdechu i wydechu, wdechu i wyde-

chu. Zaczęła liczyć oddechy, cztery, pięć, sześć... Vim tymczasem podał dziecko czekającej kobiecie, zabierając je z życia Sophie.

- Pojadę z wami do bramy Morelands.

Vim wskoczył na konia i podjechał do wierzchowca Sophie, nie mówiąc ani słowa.

- Podjęłaś najlepszą decyzję, Soph - powiedział Valentine, rzucając jej spojrzenie pełne zrozumienia.

Sophie była w stanie tylko skinąć głową, w przeciwnym razie współczucie brata naruszyłoby jej kruchą równowagę. Zdawał sobie sprawę, w jakim jest stanie, gdyż ruszył do przodu, dołączając do braci.

- Później będzie łatwiej - rzucił bardzo cicho Vim. - Modlę się, aby ten ból ustąpił, Sophie. Pewne rzeczy wymagają czasu.

Nie potępił jej, nie próbował przemawiać do rozsądku ani pocieszać, ale Sophie była wdzięczna za jego obecność. Wkrótce, o wiele za szybko, znaleźli się przy bramie Morelands. Solidne skrzydła z kutego żelaza były otwarte na przybycie gości.

Vim zatrzymał konia.

- Tutaj się pożegnam. Dziękuję za wasze towarzystwo podczas podróży i za to, że po raz pierwszy od dłuższego czasu moi krewni mieli okazję zabawiać gości.

Chciał ją teraz zostawić? Ze złamanym sercem? Przecież nigdzie się nie spieszył.

- Nie wejdiesz na filiżankę herbaty?

- Sophie - powiedział Westhaven z powagą. Val i St. Just wyglądali równie ponuro. Ten ostatni nieznacznie pokręcił głową. Ich przekaz był jednoznaczny.

Nie chcieli, aby zmuszała barona Sindala do odwiedzin. Vim podjechał do Sophie, pochylił się i na oczach trzech braci zastygłych w uroczystej powadze pocałował Sophie w policzek.

- Daj mi znać, jeśli będę potrzebny - rzekł cicho, ale zdecydowanie, po czym zawrócił konia i ruszył w kierunku Sidling.

Sophie patrzyła, jak Vim odchodzi z jej życia. Bracia tak ustawili konie, że znaleźli się po obu jej stronach - Valentine z prawej, a Westhaven i St. Just z lewej.

- Możemy jechać?

St. Just popędził konia, a wierzchowiec Sophie również ruszył z miejsca. Szybko znaleźli się w alei prowadzącej do rezydencji, która rysowała się przed nimi w zimowej szacie.

- Nie wiem, jak dam sobie radę z ich książęcymi gośćmi. Dopiero gdy wszyscy bracia spojrzeli na nią z troską, Sophie zdała sobie sprawę, że powiedziała to głośno.

- Wykręć się bólem głowy - podsunął Westhaven.

- Albo zmęczeniem - dodał St. Just.

Valentine przechylił głowę na bok, z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

- Jesteś dorosłą kobietą. Przepraszam w twoim imieniu, Sophie. Idź do swojego pokoju i powiedz, żeby ci nie przeszkadzano aż do kolacji.

Gdy Val pomagał jej zsiąść z konia, uświadomiła sobie że bracia mieli rację. Dobrze się stało, że nie chcieli narażać Vhna na spotkanie z księciem i księżną. Rodzice Sophie byli spostrzegawczy i nie wiadomo, czy nie zauważyliby porozumiewawczych spojrzeń między nią a mężczyzną, który sprawił, że jej pragnienia częściowo się spełniły.

- Tak szybko wróciłeś?

Rothgreb zmierzył bratanka od stóp do głów i nie potrzebował okularów, aby stwierdzić, że chłopak jest pochłonięty myślami. A właściwie nie chłopak, tylko dorosły mężczyzna, w dodatku przystojny, chociaż trochę tępy w niektórych sprawach. Miłość odbiera rozum młodym ludziom.

Vim padł na fotel po drugiej stronie biurka.

- To niedaleko. Przygotował stryj księgi rachunkowe?

- Pozwoliłeś tej ładnej dziewczynie odjechać? Ot, tak? Vim podniósł wzrok. Rothgreb zauważył, że przez szacunek

dla siwych włosów próbuje się opanować, aby nie skoczyć staremu natrętowi do gardła.

- Składałem propozycję małżeństwa więcej niż raz. Odmówiła stryju. Przypuszczam, że nie zrobiłeś listy rzeczy, które zginęły?

- Odmówiła ci! A padłeś przed nią na kolana? Obsypałeś ją komplementami i błyskotkami? Czy walczyłeś dla niej ze smokiem i pędziłeś do niej podczas burzy?

- Zmieniałem dla niej brudne pieluchy, wstawałem w nocy do dziecka i ofiarowałem resztę swojego życia.

- Brudne pieluchy? Też coś! Za moich czasów mężczyźni wiedzieli, jak adorować kobiety.

Na usta Vima wypłynął sardoniczny uśmiech.

- Za twoich czasów zawieraliście małżeństwa z rozsądku, a potem uganialiście się za byle spódniczką, która wpadła wam w oko.

- Co ty tam wiesz. - Rothgreb położył okulary na biurku. - Twoja ciotka rzuciłaby mnie na pożarcie wieprzom, gdybym odważył się na więcej niż zwykły flirt. Ona też nie rozdawała swoich wdzięków na prawo i lewo.

- Co do ciotki. - Vim wyprostował się z ponurym wyrazem twarzy. - Według mnie wcale nie wydaje się zagubiona, stryju. Muszę stwierdzić, że przesadzałeś, opisując jej stan. Zastanawiam się tylko, w jakim celu.

Niech lichy porwie tego chłopaka. Miłość go zaślepiła, ale jednak nie tak bardzo, żeby nie widział pewnych rzeczy.

- Ma dobre i złe dni, a towarzystwo innych ludzi najwyraźniej jej pomaga. Bardzo się cieszy, że przyjechałeś i że jesteś zainteresowany córką Windhamów. - Da młodemu łobuzowi do myślenia. - Nie przypuszczam, abyś ją zmuszał do odwiedzenia Morelands? Taka pogoda mogłaby jej zaszkodzić. Nie ma już takiego zdrowia jak dawniej.

Choć była to prawda, z trudem przechodziła mu przez gardło. Ale Vim i tak nie złapał przynęty.

- Moja noga już nigdy nie postanie w Morelands. Przenigdy. Och, chłopak źle to odebrał. Rothgreb wstał z fotela, ale zbyt

ociężale, aby odniosło to dramatyczny efekt. Spojrzał groźnym wzrokiem na ograniczonego umysłowo bratanka.

- Na miłość boską, kiedy wreszcie puścisz w niepamięć młodzieńcze grzeszki? Ta dziewczyna od Holdernessów to był zły

wybór, nic więcej. Wszyscy popełniamy błędy i większość z nas, dzięki łasce Wszechmocnego, potrafi o nich zapomnieć.

- Ależ zapomniałem o tej dziewczynie - powiedział Vim, zrywając się na nogi z godną zazdrości energią. - Zapomniałem o niej, zanim wyruszyłem na morze, ale nigdy nie zapomnę, że nie dano mi satysfakcji za obrazę jej i mojego honoru. Proszę, aby stryj sporządził listę zaginionych przedmiotów i dał mi ją przed kolacją.

Wyszedł z pokoju oburzony i sfrustrowany, niczym niespełniony kochanek. Rothgreb usiadł z powrotem i wyciągnął rękę do psa, który obudził się, gdy Vim wychodził.

- Ten chłopak jest durniem. Moja żona powiedziała, że wdał się we mnie.

Pies trącił rękę Rothgreba.

- Chodź, poszukamy Essie, dobrze? Musimy coś zrobić, przyjacielu. Nie wiem za bardzo co, ale coś musimy zrobić.

9

-Najlepiej zrobisz, jeśli zejdiesz na kolację, Soph. - W zielonych oczach Maggie malowało się współczucie, ale też cień uporczywości. -Jej książęca mość jest cierpliwa, ale podejrzewam, że nie zjawiała się tu jeszcze tylko dzięki naszym braciom, którzy czarują ją, jak mogą.

- Nie jestem głodna.

Sophie wstała od sekretarzyka, przy którym usiłowała napisać list do pani Harrad o upodobaniach Kita. Maggie wykorzystała to, by podejść do biurka i rzucić na niego okiem.

- Sophie, od kiedy jesteś specjalistką od zmieniania pieluch?

- Vim pokazała mi, jak to się robi. Trzeba działać szybko i spokojnie.

- A propos tego Vima... - Sophie za późno zrozumiała swój błąd. Maggie odłożyła list i utkwiała w siostrze badawcze spoj-

rzenie. - Jakieś dwanaście lat temu, kiedy byłaś podlotkiem, który zaczął dopiero upinać włosy, przedstawiono mi go jako Wilhelma Charpentiera. Był młodszym krewnym, przystojnym, ale bez większej rangi. Dość dobrze tańczył, tylko że zniknął bez słowa po jakimś zajściu na przyjęciu świątecznym jej książęcej mości.

- Dla mnie jest Vimem, ale wiem, że to baron Sindal, dziedzic Rothgreba - powiedziała Sophie dziwnie nieśmiałym głosem.

Maggie założyła ręce, a w jej oczach pojawiły się groźne błyski.

- A skąd taki baron wie, jak się opiekować dziećmi? Starsze rodzeństwo znało wprawdzie różne przydatne fakty

z historii rodziny, ale bywało cholernie nadopiekuńcze.

- Uspokój się, Maggie. Vim ma młodsze siostry, a poza tym lubi dzieci. Nie wspominał o własnym potomstwie. O co chodziło z tym zajściem sprzed lat?

Maggie ściągnęła usta i zerknęła na Sophie niezdecydowanie.

- Musisz zapytać St. Justa. Nigdy nie lubiłam bywać w towarzystwie, nie wiem, o co chodziło, bo potem wszyscy nabrali wody w usta. Opowiedz mi o tym dziecku.

Sophie ostentacyjnie odwróciła się plecami do siostry, aby ułożyć drobiazgi na toalecie. Wzięła do ręki szczotkę, którą Vim czesał jej włosy.

- Jesteś wścibska, Maggie.

Maggie w jednej chwili znalazła się przy niej, ale wyraz jej twarzy wydawał się nieodgadniony. Była przyrodnią siostrą, podobnie jak Devlin St. Just, i drugim dzieckiem ich ojca. Odziedziczyła po matce płomiennorude włosy, wysoki wzrost, a także wybuchowy temperament, który od czasu do czasu dawał o sobie znać.

- Zmieniałaś temu dziecku pieluchy, Sophie, i to wiele razy. Jej książęca mość jest oddaną matką, ale założę się, że nigdy nie zmieniła pieluch żadnemu ze swoich dzieci.

Rodzeństwo to był diabelski wynalazek, zwłaszcza gdy człowiek potrzebował samotności, aby dojść do siebie.

- Nie było wyjścia - odparła cicho Sophie, wpatrując się w szczotkę do włosów.

- Nie chodzi tylko o tego malca, prawda? - Maggie delikatnie wyjęła szczotkę z dłoni Sophie. - Zostałaś sama i zakochałaś się w Sindalu nad koszem z brudnymi pieluchami.

- To nie całkiem tak, jak mówisz.

Było dokładnie tak, jak powiedziała Maggie, tylko w grę wchodził jeszcze dywan w salonie służby, ni mniej, ni więcej.

- Podśledzałam rozmowę chłopców. St. Just mamrotał coś o szalonej intrydze Sophie i o idiocie Sindalu. Czy coś między wami zaszło, Sophie?

Maggie, jako najstarsza córka księcia, w dodatku nieślubna, nie miała łatwego życia. Gdy skończyła trzydzieści lat, przeprowadziła się do własnego domu w Londynie. Paradoksalnie, doprowadziło to do większej bliskości między siostrami, gdyż nieduży dom Maggie stał się azylem dla młodszego rodzeństwa.

- Nie wiem, co robić.

Sophie znowu wzięła do ręki szczotkę, odłożyła ją, a potem sięgnęła po chusteczkę złożoną schludnie na toalecie. To była chusteczka Vima - jak się tu znalazła? Podniosła ją do nosa, poczuła zapach bergamotki i się rozpląkała.

- Niech wszyscy przekłęci mężczyźni szesznią w piekle i rozpadną się na kawałki - mruknęła Maggie.

Otoczyła Sophie ramieniem w talii i zaprowadziła siostrę do szezlongu stojącego przy kominku.

- Czy mam powiedzieć chłopcom, żeby zrobili porządek z Sindalem? Wszyscy lubią się bić, nawet Westhaven, chociaż będzie uważał, że dziedzicowi Moreland nie przystoi napadać na człowieka całą grupą ani nawet w pojedynkę. Będą pewnie ciągnęli losy, a Dev i Gayle to sfalszują, tak aby Valentine...

- Przestań już, Maggie. Nie wolno ci ich podburzać - powiedziała Sophie, kładąc dłoń na ramieniu siostry. - Sindal złożył mi propozycję, ale to nie było...

Maggie odgarnęła włosy Sophie i ją uścisnęła.

- To nie była propozycja małżeństwa? Sophie pokręciła głową.

- Z początku nie. Utrzymałam go w przekonaniu, że jestem gospodynią domu albo damą do towarzystwa, i chciałam...

- Pragnęłaś go.

Sophie odsunęła się nieco od siostry.

- Nie tylko to. Pragnęłam mężczyzny, który by mnie pokochał, Maggie. Który chciałby być ze mną, a Vim wydawał się taki...

- Och, oni wszyscy się tacy wydają. Zwłaszcza gdy księżyc jest w pełni i namiętność wisi w powietrzu. Mam nadzieję, że zakazany owoc dobrze smakował?

Sophie poderwała głowę na to pytanie. Nie spodziewała się, że z ust jej rozsądnej siostry, zainteresowanej bardziej finansami niż życiem towarzyskim, mogą paść takie słowa.

- O tak, Maggie. Nawet bardzo dobrze.

Przez ładną twarz Maggie przebiegł wyraz zakłopotania.

- Więc w czym problem? Wywiązał się doskonale z tego, czego od niego pragnęłaś, a teraz możesz go zatrzymać, jeśli zechcesz. Jedno twoje słowo, a przybiegnie w podskokach.

- Nie jest mężczyzną, o jakim marzyłam, chociaż bez wątplenia tym, którego pożądam.

Maggie oparła się, marszcząc brwi.

- Pożądanie to nic złego, Sophie Windham, zwłaszcza między małżonkami. Wiele małżeństw cierpi na jego brak.

Nigdy dotąd Sophie nie rozmawiała w ten sposób ze starszą siostrą. Chociaż otwarta rozmowa na tak delikatny temat była krępująca, przynosiła jej ulgę.

- Miałaś już tylu mężów, że dobrze się na tym znasz, prawda?

- Miałam wiele propozycji ze strony cudzych mężów, którzy myślą, że z powodu nieprawego pochodzenia i rudych włosów przyjmę z wdzięcznością ich względy.

- Och, Mags. - Sophie uściśnęła siostrę. - Byłam w ostatnich latach tak pochłonięta sobą. Przepraszam.

- Najpierw śmierć Barta i Victora, potem chłopcy zaczęli się żenić, potem jego książęca mość miał atak serca. Wszyscy byliśmy poruszeni. - Maggie westchnęła i przytknęła brodę do skroni Sophie. - Sądzę, że uprzedziłaś się do Sindala.

- zaproponował mi małżeństwo dopiero wtedy, kiedy się przekonał, że zadawał się z lady Sophie Windham. Nie chcę, aby żenił się ze mną z poczucia obowiązku i przyzwoitości, Mags.

- Być może będziesz go musiała przyjąć, tak czy inaczej. - Maggie wstała z szeslongu i zaczęła chodzić po pokoju. - Możesz spodziewać się dziecka, Sophie. A wtedy wszystkie inne argumenty schodzą na dalszy plan. Nie dopuszczę do tego, żeby mój siostrzeniec czy siostrzenica żyli z takim piętnem, jakie musieliśmy znosić z St. Justem. Przystawię Sindalowi pistolet do skroni, St. Just pomoże mi załadować broń, i zapędzę go do ołtarza. I zobaczę jego...

- Cicho. - Sophie podniosła do nosa chusteczkę Vima, odnajdując dziwne ukojenie w jej zapachu. - Nie powinno do tego dojść, a nawet jeśli, to Vim i tak nie zabawi w Kent dłużej, niż będzie musiał. Będzie jednym z tych mężów, których całymi latami nie ma w domu. Nienawidzi Kentu. A ja zostanę tu dopóty, dopóki w pobliżu będzie Kit. Za dwadzieścia lat to małżeństwo będzie tylko fikcją. Miniemy się na ulicy w Paryżu i wymienimy wzajemne uprzejmości jak cywilizowani ludzie. Nie zniosłabym tego. Poza tym Vim ma jakieś problemy w Sidling, więc to nie jest najlepszy czas na kłopotliwe małżeństwo z córką księcia, która usidliła go w podstępny sposób.

Maggie zatrzymała się nagle w pół kroku.

- Samotność nie podsuwa nam najrozsądniejszych pomysłów. Czy Sindal tak nie lubi rodowej posiadłości przez to zajście sprzed lat?

- Tak sądzę. Mogłabym zapytać St. Justa. Powie mi, jak było.

- Albo i nie. Mężczyźni mają dziwaczne podejście do lojalności. Wymieniły spojrzenia charakterystyczne dla dorosłych kobiet,

które narzekają na mężczyzn lub wiecznych chłopców pretendujących do tego miana i chodzących całymi dniami w bryczesach i wysokich butach.

- Powinnaś złożyć wizytę w domu wikarego - powiedziała Maggie. - To ci pozwoli zapomnieć o innych problemach. Zobaczysz, że to małe stworzenie ma się dobrze.

- A jeśli nie?

To była straszna myśl.

- Czy kochamy naszych braci?

- Bezgranicznie.

- Przybrane siostry Kita też nie będą widziały poza nim świata.

- Zastanowię się nad tym.

Myśl podsunęta przez siostrę kusila Sophie. Pewnie niezwłocznie ruszyłyby w drogę, gdyby nie powstrzymywała jej wizja ponownego rozstania z Kitem.

- Dobrze. A tymczasem chodź na kolację. Lepiej, żeby jej książęca mość nie domyśliła się, że masz kłopot z mężczyzną. Prędzej czy później Sindal wyjedzie z hrabstwa na dobre.

Sophie wcisnęła chusteczkę Vima do kieszeni, wstała i udała się z siostrą na kolację.

- Na miłość boską, stryju, co ty wyprawiasz? - spytał Vim, nie podnosząc głosu, gdyż starszy człowiek stał na szczycie chybotliwej drabiny, którą przytrzymywali dwaj niedołęzni lokaje, podczas gdy równie stary kamerdyner kręcił się w pobliżu.

- Zawieszam przekłętą jemiolę - odszczeknął Rothgreb. - Ciotka sobie tego życzy i dopóki nikt mnie nie zastąpi w roli gospodarza tego domu, będzie miała swoją jemiolę.

Poczucie winy otuliło Vima niczym gruby, zimny koc. Rothgreb zszedł z drabiny.

- Przecież mogłem to zrobić. Wystarczyło poprosić.

Vim podniósł wzrok. Nad wejściem do głównego holu w Sidling zawisł potężny wiecheć jemioli.

- Poprosić? Też coś. Przecież od lat cię proszę, żebyś przyjechał do domu. I co mi to dało? - Rothgreb przeszył wzrokiem służących. - Macie tu odkurzać, dopóki nie zdejmemy tego krzaka. - Machnął rękę na jemiolę. - Tylko brzydkie służące i zameżne damy będą pod nią stawać. Ale nie chcę, żeby dom wyglądał na zaniedbany, zwłaszcza że spodziewamy się gości.

- Gości? - Zimny dreszcz przebiegł Vimowi po kręgosłupie. - Nie wiedziałem, że przyjmujecie jeszcze gości.

- Jak na człowieka, który jest moim dziedzicem od ponad dziesięciu lat, niewiele wiesz na temat tego miejsca, bo oglądasz tylko księgi, mój chłopcze.

Rothgreb cofnął się, a służący zabrali drabinę. Wymagało to wspólnego wysiłku trzech nieboraków, którzy nieśli ją tak ostrożnie, że wyglądało to komicznie.

- Kiedy wołam, żeby przynieśli mi płaszcz, to każdy jest głuchy jak pień, ale plotkę usłyszą z odległości pięćdziesięciu kroków i nie uronią ani słowa.

- Jakich gości się spodziewasz, stryju? W listach nigdy nie wspominałeś, że ktoś przyjeżdża na święta.

Vim założył ręce i stanął w rozkroku, zdając sobie sprawę, że to postawa defensywna.

- To właściwie nie goście. - Rothgreb oparł rękę na słupku balustrady.
- Tylko rodzina. Twoje trzy kuzynki i ich wspaniałe potomstwo. Zaprosiliśmy też kilka miejscowych rodzin na jutrzejsze popołudnie, żeby dziewczęta mogły złapać jakichś młodzieńców pod jemiolą. Zrobię specjalny poncz, a moja pani dopilnuje, aby upieczono tyle ciastek i bułeczek, że starczyłoby na tydzień dla królewskiego regimentu. A ty weźmiesz udział w przyjęciu.

Stryj nie wydawał rozkazu, tylko oznajmiał mu fakt. Vim nie mógł wykręcać się bezkarnie od rodzinnych zobowiązań.

- O której?

- Zwykle zaczynamy po launchu, aby każdy mógł dojechać do domu przed zapadnięciem zmroku. Może się pojawić stary Moreland. Ostatnio zrobił się bardziej towarzyski, a może po prostu podobają mu się nasze służące - powiedział z radosnym podnieceniem, jakby wiedział, że Vim usycha z tęsknoty za Sophie.

- Wybieram się na konną przejażdżkę, stryju. Nie czekajcie na mnie z herbatą.

- Nawet byśmy o tym nie marzyli.

Rothgreb zaczął wchodzić na górę. Nie poruszał się szybko, ale miał określony cel. Bez wątplenia szedł obmyślić z ciotką Essie jakąś intrygę albo wygłosić swoje mądrości przed psem.

Vim udał się do stajni. Po drodze doszedł do wniosku, że Sidling definitywnie nie jest miejscem, w którym on sam chciałby przebywać, ale ciotka i stryj wydają się tu całkiem szczęśliwi, dom jest w dobrym stanie, księgi rachunkowe prowadzone są starannie, a objazd posiadłości utwierdził go w przekonaniu, że zarządca o wszystko dba, jak należy, i nie trzeba zatrudniać nowego.

- Ciociu?

Starsza pani siedziała na pniu drzewa, owinięta starą końską derką i trzymała w rękach marchewkę.

- Wszelki duch! - Podskoczyła przestraszona, a derka zsunęła się z jej ramion. - Wilhelm. Ale mnie zaskoczyłeś.

- Przyszła tu ciocia w samym szalu? Czy naprawdę muszę cioci przypominać, że na dworze jest mróz?

Stajnia była co prawda osłonięta przed wiatrem, a konie, zwłaszcza duże pociągowe wałachy oraz mocne sztuki ciągnące powóz, wydzielały sporo ciepła, ale i tak w środku panowała temperatura ledwie powyżej zera.

- Wiem, jaką mamy pogodę, młody człowieku.

- Odprowadzę ciocię do domu.

Spojrzał na nią, ale miała nieodgadniony wyraz twarzy. Być może ukrywała złość lub zakłopotanie, że przyłapał ją na wałęsaniu się po mrozie.

- Sama trafię do domu, dziękuję ci bardzo.

Zbierała się do odejścia, ale Vim położył dłoń na jej ramieniu.

- Niech mi ciocia na to pozwoli.

Okrył jej plecy swoim płaszczem do konnej jazdy i otoczył ją ramieniem. Prawdopodobnie czekała na męża albo na kogokolwiek, kto wskazałby jej drogę do domu.

- Co to za melodia, którą katujesz nasze uszy? Valentine przestał gwizdać i uśmiechnął się z wyższością do

Westhavena, a potem zaśpiewał:

- „Wszyscyśmy pobłądzili jak owce”¹.

¹ Księga Izajasza: 53,6 z *Mesjasza* G.F. Haendla (przyp. tłum.).

- I znowu Haendel - stwierdziła Sophie, przerywając krótki koncert brata. - Pasuje do świąt. Nie musicie mi towarzyszyć.

- Nonsens. - Westhaven rzucił znaczące spojrzenie Valentine'owi, który podjął mormorando. - Powinienem pokazać się u pastora, skoro tu przyjechałem, a Valentine ma za zadanie nastroić fortepian na świąteczne nabożeństwo.

- Staję się specjalistą od strojenia fortepianów - stwierdził Valentine. - Będę miał fach w ręku, jeśli żona wystawi mnie za drzwi.

- Nie zrobi tego - odparła Sophie i poklepała klacz. - Wyśle cię w odwiedziny do rodzeństwa i w ten sposób weźmie odwet na całej rodzinie.

- No, dzieci... - zaczął Westhaven, co sprowokowało Valentine'a do zaśpiewania na cały głos.

- „Wszyscyśmy pobłądzili jak owce...” Westhaven przewrócił oczami.

- I pomyśleć, że tylko mój maleńki synek uniemożliwia temu durniowi odziedziczenie księstwa Moreland.

- Sophie się uśmiechnęła - zauważył Val, przerywając zawodzenie. - Moje świąteczne wakacje się udały, bo dzięki mnie Sophie się uśmiechnęła. - Odpowiedział jej uśmiechem pełnym słodyczy i zrozumienia. - Idź odwiedzić diabelskie nasienie, Sophie. Poczujesz się lepiej, jak zmienisz pieluszkę, a jego wysokość nasiusia ci na suknię.

- Nie siedź za długo - upomniał Westhaven, pomagając jej zsiąść.

Sophie znieruchomiała, gdy brat trzymał dłonie na jej talii.

- To Kit... - Nasłuchiwała przez chwilę. - Płacze tak, kiedy jest głodny. Puść mnie, zaraz.

- Sophie! - Westhaven przesunęła ręce na jej ramiona. - On nie jest twoim dzieckiem, a ci ludzie go nie zagłodzą. Słyszysz? Na pewno ktoś już pakuje owsiankę w jego przepastną buzię. Uspokój się. Jesteś rozsądną córką Percivala i Esther Windhamów i odwiedzasz tych ludzi wyłącznie z uprzejmości.

Westhaven miał dar uspokajania samym głosem, ale mimo to Sophie musiała oprzeć na chwilę czoło na jego ramieniu.

- Twoja paczka. - Valentine stanął obok, trzymając w ręku pakunek owinięty papierem. - Naprawianie tego starego pudła zajmie mi większość dnia. Mam nadzieję, że Westhaven ograniczy się do talerza ciasteczek i dwóch filiżanek herbaty.

To było ostrzeżenie. Nie wolno jej przedłużać wizyty, bo bracia siłą zabiorą ją z domu wikarego.

- Chodźmy. - Westhaven wziął ją pod ramię, a Valentine zaprowadził konie do stajni. - Trzydzieści minut i ani chwili dłużej.

Skinęła głową. Chcieli dobrze, a Sophie nie mogła ufać własnemu osądowi, gdy w grę wchodził Kit. A także wiele innych spraw.

Westhaven zapukał do drzwi. Otworzyła im dziewczynka w wieku około sześciu lat, z jasnymi niezbyt czystymi włosami zaplecionymi w warkocze. Uśmiechnęła się, ukazując dwa brakujące zęby na przodzie.

- Mamo! Przyszli jakiś pan i jakaś dama.

Sophie uśmiechnęła się do dziecka, które otworzyło drzwi na tyle szeroko, że mogli wejść do środka.

- Jestem lady Sophie, a to jest lord Westhaven.

- A ja jestem Lizbeth! Dostaliśmy na święta nowe dziecko. Tak powiedział tata. Ma na imię Christian, ale nie jest moim prawdziwym bratem. Mamo! Ta pani ma na imię Sophie! - Podniosła wzrok na Westhavena. - Zapomniałam, jak pan ma na imię.

Christian? Ma na imię Kit, w ostateczności Christopher. Westhaven unikał wzroku Sophie.

- Możesz na mnie mówić lordzie Westhaven.

- Mamo! Ten pan ma...

- Elizabeth Ann Harrad. Już ci mówiłam, żebyś tak nie krzyczała. - Pani Harrad stanęła w przedpokoju z rękoma opartymi na biodrach. - Proszę o wybaczenie, jaśnie pani, lordzie. Elizabeth, ukłoń się.

Dziecko posłusznie zgięło górną część ciała.

- Bardzo ładnie - pochwaliła ją Sophie, odpowiadając bardziej wyszukany ukłonem. - Pani Harrad, nie chciałabym się narzucać, ale bracia wybierali się w tę stronę i pomyślałam, że przekażę drobiazg dla... Baron Sindal?

Vim wyłonił się zza pleców pani Harrad. Na jego ramieniu siedział Kit.

- Witaj, Sindal - powiedział chłodno Westhaven. - Pani Harrad, życzę wszystkiego najlepszego na święta. Gdy zakończę rozmowę z wikarym, przyjdę po lady Sophie. Proszę mi wybaczyć -dodał i szybko zniknął za drzwiami.

- Lady Sophie. - Vim skinął głową, uśmiechając się przyjaźnie. - Mieliśmy właśnie mały lunch w kuchni, prawda, pani Harrad?

- Skoro wasza lordowska mość tak mówi. Pójdę po pana Harrada, aby się z panią przywitał, lady Sophie.

Odeszła szybkim krokiem, słysząc dobiegające z wnętrza domu odgłosy kłótni między dwiema dziewczynkami

Sophie nie zdjęła nawet peleryny. Nie słyszała kłótni, nie czuła przemieszanych zapachów domu - woni pieczonego chleba, słabego odoru kota, dymu węglowego i nieupranych pieluch. Widziała tylko Vima, który stał przed nią z rękawami podwiniętymi do łokci. Jego oczy miały ten sam błękitny odcień co oczy Kita.

- Ma brudne ubranie - zauważyła Sophie. Szybko rozejrzała się, aby sprawdzić, czy pani Harrad nie ma w pobliżu.

- To się zdarza, kiedy młody człowiek pluje kaszką na wszystkie strony - odparł Vim. - Może tobie uda się go nakarmić?

- Mary i Louise znowu się kłóć - doniosła Elizabeth, patrząc to na Sophie, to na Vima. - Dlatego ojciec przez cały czas musi mieć zamknięte drzwi do gabinetu. Bo ciągle się kłóć, a mama na me krzyczy, ale to nic nie daje.

Vim uśmiechnął się do dziecka.

- Powiedz im, że lady Sophie pochwaliła twój ukłon. I też się z nimi pokłócisz.

Mrugnął do małej, która wybiegła w podskokach. Przez chwilę Sophie była sama z Vimem i Kitem. Pożerała ich wzrokiem.

- Jak się masz?

- Cieszę, że cię widzę.

Odezwali się jednocześnie i kiedy każde z nich zrobiło krok do przodu, do przedpokoju wpadł pan Harrad, a za nim żona.

- Lady Sophie, proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, że mamy kolejnego gościa. Proszę, niech pani wejdzie. Moja droga, czy możesz wziąć pelerynę lady Sophie?

Był uprzejmy, ale w jego głosie wyczuwało się cień przygany pod adresem żony. Pani Harrad zawahała się, co mogło zaowocować niezręczną sytuacją, ale w tym momencie Kit zaczął wyciągać rączki do Sophie i gaworzyć.

- Proszę. - Sophie zsunęła z ramion pelerynę. - Czy mogę go potrzymać?

- Lubi być noszony - powiedziała pani Harrad, odwieszając wierzchnie okrycie Sophie. - Moje dziewczynki nie były takie wymagające.

Sophie zignorowała jej słowa, podobnie jak napięcie wyczuwalne między mężem i żoną. Nie zwróciła nawet uwagi na fakt, że musnęła dłoń Vima, gdy odbierała od niego dziecko.

- Wasza wysokość - odezwała się cicho, przytulając dziecko. - Obudziłbyś umarłego swoim wrzaskiem. - Spojrzała na Vima. - Czy przerwaliśmy mu posiłek?

- Nie całkiem - odparł Vim. - Może wypijemy herbatę w kuchni? Jestem pewien, że lady Sophie zechce spędzić trochę czasu ze swoim młodym przyjacielem.

Pan Harrad wzruszył ramionami, a jego żona wydawała się zrezygnowana. Oboje mieli jasne włosy, byli dość drobnej budowy i wydawali się zmęczeni i zapracowani.

- Czy sprawia pani dużo kłopotu? - zapytała Sophie panią Harrad. - Mam na myśli Kita.

Pani Harrad spojrzała na dziecko.

- Jest chłopcem. Mój mąż pragnął mieć syna, ale chłopcy są bardziej kłopotliwi niż dziewczynki, a ten jest marudny.

Nie jest ani trochę marudny, chciała odpowiedzieć Sophie. Kit wtulił się szczęśliwy w jej ramiona, chwytając ją paluszkami za brodę i usta.

- Czy raczkował?

Pani Harrad spuściła wzrok. Zanim odpowiedziała na pytanie, weszli do dużej ciepłej kuchni, w której rozchodził się zapach pieczonego chleba.

- Mogę zaproponować kawałek świeżego chleba do herbaty.

- Proszę sobie nie robić kłopotu. - Sophie zajęła miejsce i posadziła sobie Kita na kolanach. - Wkrótce przyjdzie po mnie lord Westhaven, nie zdążyłabym zjeść.

Wzięła do ręki łyżkę dla dorosłych i zmarszczyła brwi. Czyżby karmili nią Kita?

- Taka też może być - powiedział cicho Vim, który usiadł obok niej. - Musi się tylko przyzwyczaić.

Na dźwięk jego głosu Kit uśmiechnął się szeroko i zaczął podskakiwać na kolanach Sophie.

Następne minuty minęły jak w amoku. Kit zjadł trochę nie-apetycznej zimnej kaszki, Vim gawędził z gospodarzami, a Sophie starała się zachować przyjemne wspomnienie ze spotkaniem z dzieckiem.

Jednak było to trudne. Mały miał brudne ubranko, co nie byłoby takie istotne, bo mógł je zaplamić podczas jedzenia, gdyby nie fakt, że brud miał także za paznokciami oraz między wałeczkami tłuszczu na szyi. Na jednej rączce Sophie zauważyła czerwony ślad zadrapania, a kiedy trzy dziewczynki wpadły do kuchni z krzykiem i tupotem, Kit zaczął płakać.

Rozplakał się jeszcze bardziej, gdy pani Harrad podniosła głos na córki. Sophie również zbierało się na płacz.

- Pójdziemy już - zaproponował Vim i stanął za krzesłem Sophie. Ale ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było pozostawienie Kita w samym centrum tego pandemonium.

Starała się przekazać to Vimowi spojrzeniem, ale nadal stał za nią z nieruchomym wzrokiem. Jedna z dziewczynek pociągnęła drugą za włosy i obie wypadły z pokoju. Pani Harrad ruszyła za nimi wielce poruszona, a jej małżonek stał w drzwiach ze stoickim wyrazem twarzy.

- Nie zawsze jest tutaj taki ruch - powiedział, kiedy wyszli do przedpokoju. - Dzieci są bardzo podekscytowane obecnością

małego Christiana, a ja też jestem bardziej zajęty niż zwykle. Pastor powierzył mi prowadzenie nabożeństwa w pierwszy dzień świąt, a to dla mnie wielki zaszczyt.

- Jestem pewien, że sytuacja się uspokoi, kiedy dziewczynki przywykną do młodszego braciszka - stwierdził Vim, podając

Sophie pelerynę.

Gdyby ją wzięła, musiałyby oddać komuś Kita.

- Czy można wiedzieć, z jakiego powodu zmienił mu pan imię? - zapytała, gdy Vim narzucił pelerynę na jej ramiona.

- Jestem duchownym, lady Sophie. Imię Christian pasuje do syna pastora ze względu na pochodzenie. - Skinął głową i spojrzał na dziecko, a w jego wzroku dało się dostrzec cień wyrachowania. - Moja małżonka twierdzi, że jest bardziej wymagający niż dziewczynki, ale będziemy cierpliwi.

Na jego usta wypłynął zmęczony, pobłażliwy uśmiech, a Sophie miała ochotę krzyczeć. Vim wziął od niej dziecko. Nie protestowała, ale czuła, jakby wyrywał jej serce.

- Doceniamy państwa starania - zakończył wizytę Vim. - Wyrazy uszanowania dla małżonki. Lady Sophie?

Podał dziecko wikaremu, który wydawał się nieco zaskoczony. Gdy tylko Vim wypchnął Sophie za drzwi, Kit znowu zaczął marudzić. .

- Nie mogę tego znieść - zaprotestowała Sophie, zanim Vim odciągnął ją dwa kroki od drzwi. - Kit nie czuje się tu dobrze. Taki tu jazgot i hałas, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Nie kąpią go, jest brudny, nie mają cierpliwości do karmienia, a te dziewczynki są o niego zazdrosne. Nigdy nie.. .

Vim objął Sophie w talii, nie zważając na fakt, że stoją na schludnej werandzie domu wikarego. Nie przytulił jej, ale Sophie mogła się o niego oprzeć.

- Uspokój się, moja droga. Kit teraz nie płacze, prawda. Człowiek, który ma trzy córki, wie co nieco o dzieciach. Odprowadzę cię do stajni i poczekam z tobą, aż Westhaven zakończy pogawędkę z pastorem.

W zimnym, czystym powietrzu unosił się jeden dźwięk, jakby ktos uderzał bez wytchnienia ten sam klawisz w niższym rejestrze. Valentine stroił stary instrument w kościele, ale ten pojedynczy, powtarzający się dźwięk rozbrzmiewał w sercu Sophie niczym bicie dzwonu.

- Nie chcę go zostawiać. Nie powinnam była tu przyjeżdżać

- Rozumiem twoje uczucia. - Vim sprowadził ją po schodach. - Dzisiaj mają przyjechać wszyscy moi krewni i czuję się jak w zasadzce, jakbym znalazł się w obozie wroga. Kusi mnie, żeby wracać do Sidling, tylko uciec do Bristolu.

- Czy tak właśnie postępowałeś przez wszystkie te lata"? Uciekałeś do Bristolu? - zapytała, idąc z nim przez zamrożone podwórko do stajni.

Nie zwolnił nawet kroku.

- A więc pytałaś braci o moją przeszłość?

- Nie. Pytam ciebie.

Wydawało jej się, że to był właściwy moment. Jeśli z powodu jakichś starych spraw Vim nie widział możliwości, aby osiedlić się na stałe w rodowej siedzibie, jeśli przez to wszelka nadzieja na przyszłość z nim była tylko śmieszną mrzonką, to chciała o tym usłyszeć właśnie od niego.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, a Sophie pomyślała, że ta cisza jest gorsza niż płacz dziecka. Milczenie mężczyzny który zastanawiał się, w jaki sposób wyjaśnić jej, dlaczego nigdy więcej nie zaszczyli swoją obecnością tej okolicy.

- Może usiądziemy?

Zaprowadził ją do ławeczki wyciętej z pnia dębu. Była duża i na swój sposób piękna. Prawdopodobnie pamiętała odległe czasy.

- Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? - Poczekał, aż usiądzie, a potem zajął miejsce po jej lewej stronie. - Ta opowieść nie pochlebia nikomu.

- Tak to jest ze skandalami. Ale powiedziałaś, że to nietypowy skandal.

Nie była wcale pewna, czy chce usłyszeć starą i obrzydliwą historię, ale bez wątplenia pragnęła słuchać jego głosu i wpatry-

wać się w jego twarz. W ten wietrzny, słoneczny dzień dostrzegła oczach Vima zmęczenie.

- To nie był skandal. Kończyłem wtedy studia na uniwersytecie, zastanawiałem się, jak pokierować swoim życiem.

Przerwał i skupił wzrok na jej lewej ręce. Miała na sobie rękawiczki do konnej jazdy, które niezbyt dobrze chroniły przed zimnem.

Czy chciał wziąć ją za rękę? Poczuć fizyczny kontakt? Przesunęła się na ławce pod pretekstem otulenia się peleryną, tak że ich boki się stykały.

- Przyjechałeś tu na wakacje? - zapytała.

- Na przerwę świąteczną. Tak, ale właściwie spędziłem tu prawie całą jesień, ponieważ dziadek był tak stary, że w każdej chwili mógł odejść z tego świata. Wydawał się jednak krzepki i niektórzy spekulowali nawet, że z czwartą żoną mogło mu się udać to, co nie powiodło się z pierwszą i trzecią.

Sophie milczała. Nie miała nic do powiedzenia na temat starców płodzących dzieci.

- Pewna panna wzbudziła we mnie namiętne uczucie - powiedział cicho, raczej bez ironii, lecz ze śmiertelną powagą, co wzbudziło lęk Sophie. - Trzydzieści lat temu, pierwszego października, odbył się bal po polowaniu. Zakochałem się w najpiękniejszej, najmądrzejszej, a w dodatku dobrej i pociągającej kobiecie. Była niewinną dziewczyną, ale jej oczy obiecywały morze przyjemności. Przyjęła moje oświadczenia. Byłem zakochany po uszy, gotowy przenosić góry, walczyć z pogańskimi armiami, aby tylko zrobić wrażenie na mojej pani.

- Oczarowała cię.

Patrzyła na wargi Vima, wypowiadające słowa, które raniły nie tylko jego, ale również ją. Prawdopodobnie nadal był oczarowany tamtą kobietą i dlatego od tylu lat unikał własnego domu.

- Jesienne przyjęcie dobiegło końca. Chcieliśmy się pobrać na początku Nowego Roku, więc nie było czasu, aby to oficjalnie ogłosić. Prosiła, żebym dopiero w święta porozmawiał z jej ojcem, ale w całej okolicy nie było młodzieńca bardziej odpowiedniego

niz ja, więc nie miałem obaw. Moja pani dawała mi od czasu do czasu zakosztować swoich uroków, ale żywiłem dla niej zbyt wiele szacunku, aby skorzystać z tego w pełni przed ceremonią zaślubin. Wydawała się delikatna, a ja to szanowałem.

Sophie pomyślała, że ta młoda dziewczyna miała wiele szczęścia, że zdobyła uczucie Vima w takim okresie życia, kiedy człowiek odznacza się dużą wrażliwością i powagą. Wygladziła spódnice, żałując w duchu, że prosiła Vima o zwierzenia.

- A potem przeżyłem największe rozgoryczenie w moim młodym życiu. Wystroiłem się najlepiej, jak umiałem, i poszedłem na najbardziej wytworne świąteczne przyjęcie, jakie organizowano w hrabstwie. Ojciec mojej wybranki poprosił wszystkich o uwagę, gdyż miał coś ważnego do ogłoszenia. Pęczniałem z dumy, gdyż byłem pewny, że chce ogłosić nasz ślub i oszczędzić mi krępującego wypytywania.

Vim przerwał opowieść, a Sophie patrzyła, jak omiata wzrokiem drzewa. Wyglądał tak, jakby nigdy więcej nie chciał oglądać tego miejsca.

- Jej ojciec oznajmił, że córka wyjdzie za mąż za dziedzica baroneta Hortona. Tony Horton był dziesięć lat starszy ode mnie i tylko pretendował do tytułu. W dodatku krążyły plotki, że ugania się za spódniczkami. Wybacz mi wulgarny język. Nie mogłem uwierzyć, że ojciec postanowił oddać ją bezwartościowemu bawidamkowi.

- Co zrobiłeś?

- Chciałem wyzwać tego człowieka na pojedynek. Tego samego wieczoru, gdy mężczyźni poszli na poncz. Poczekalem, aż przyszedł pan młody znajdzie się wśród swoich kompanów, z dała od oczu i uszu dam. Oskarżyłem go, że uwiódł dobrze wychowaną damę swoim urokiem, że dał jej fałszywe nadzieje na dobrą przyszłość i że zrujnuje jej szczęście.

- Nie przebierałeś w słowach - powiedziała ostrożnie. Rodzina Tony'ego Hortona od lat mieszkała w tej okolicy, ale powiadano, że ich majątek nie jest zbyt imponujący.

- O mały włos spoliczkowałbym go przy wszystkich, ale powstrzymał mnie gospodarz przyjęcia. Chwycił mnie za rękę i uniemożliwił cios.

- Czy to ma znaczenie?

- Gdyby doszło do rękoczyn, pojedynek byłby nieunikniony. W przeciwnym razie ucierpiałby honor obu stron.

- Mężczyźni.

Jego usta drgnęły i wypłynął na nie cień uśmiechu.

- Tak, mężczyźni. Gospodarz zażartował z mojego zachowania, powiedział, że połowa hrabstwa okryje się żałobą, dlatego że Tony nierozważnie odbił mi pannę, dodał, że młodzi ludzie są skłonni do przesadnych reakcji i że po kilku kubkach ponczu zakocham się prawdopodobnie w najlepszej mlecznej krowie w jego gospodarstwie. Ten człowiek był i jest bardzo szanowany, a reszta towarzystwa ze śmiechem przyklasnęła jego słowom. Na koniec wzniesli toast za mleczną krowę jego książęcej mości, a potem trzech krzepkich sąsiadów wyrzuciło mnie z pokoju.

Wielkie nieba.

- Jego książęca mość? - W hrabstwie Kent mieszkało kilka osób noszących ten tytuł.

- Twój ojciec, Sophie Windham, jego wysokość książę Mo-reland. To twój ojciec ośmieszył mnie i zganił, wystawił na pośmiewisko przed sąsiadami, dopilnował, aby moje zaręczyny zawiązane w dobrej wierze stały się nieważne, aby zwyciężyło małżeństwo z wyrachowania. Czasami spotykam go w Londynie. Traktuje mnie zawsze z dużą serdecznością, jakby tamta chwila nic dla niego nie znaczyła. To dla mnie jeszcze większa zniewaga.

Sophie zrobiło się niedobrze. Jej ojciec zachował się tak bezdusznie, a potem okazał zwykłą podłość.

- Nigdy się nie ożeniłeś?

Wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach.

- Jestem Anglikiem, Sophie. Zawsze wyobrażałem sobie, że moja wybranka będzie Angielką, co idzie w parze z moim angielskim tytułem i korzeniami. Ale w Anglii spędziłem niewiele czasu. A gdy już musiałem przebywać w królestwie, to wolałem

mieszkać w Kumbrii. Jednak ostatnio ta możliwość również została mi odebrana.

Sophie zamrugała nie tyle pod wpływem rażącego słońca, ile poczucia krzywdy, jaką wyrządzono Vimowi. Czuła, że otaczają obłok beznadziejności. Nie dość, że Vim postanowił opuścić Kent i nigdy tu nie wracać, to jeszcze sprawcą jego kłopotów okazał się jej własny ojciec.

- Sophie, jesteś gotowa do drogi? - zapytał nagle Westhaven. Sophie nie wiedziała, jak długo mógł tam stać. Vim zerwał

się na równe nogi i podał Sophie rękę.

- Odprowadzę cię do stajni.

Gdy podała mu dłoń, ukłonił się i wsunął ją pod swoje ramię, jakby byli obcymi ludźmi, którzy spotkali się przypadkiem w czyimś salonie.

- Wygląda na to, że znowu będzie padał śnieg - zauważył Westhaven.

Ani Sophie, ani Vim nie zaszczycili go uwagą.

Vim pomógł Sophie wsiąść na konia, rozłożył spódnicę na butach i się odsunął.

- Miłego dnia, Sindal - rzucił Westhaven, dotykając brzegu kapelusza. Następnie ruszył z miejsca, ale po kilku krokach zawrócił konia i zapytał Vima: - Czy będziesz może na przyjęciu świątecznym jej książęcej mości?

Vim zaprzeczył ruchem głowy. W pierwszej chwili pomyślał, że Westhaven chce mu dokuczyć tym pytaniem, ale wyraz jego twarzy sugerował raczej uprzejme zainteresowanie. Vim nie miał zamiaru ubierać odmowy w wyszukane słowa. Odwrócił się, aby pożegnać się z drugą kobietą, z powodu której Boże Narodzenie w Kent będzie mu się kojarzyło ze złamanym sercem.

- Miłego dnia, lady Sophie. Nie wiem, czy się zobaczymy, zanim wyruszę w następną podróż, więc życzę przyjemnych świąt.

Skinęła głową, uniosła podbródek, utkwiała wzrok w oddalających się plecach brata i popędziła klacz, uderzając obcasem w jej bok.

Vim odprowadzał ich wzrokiem, jakby mało mu było udreki. Stukot końskich kopyt na zamarznętej drodze wypełniał dotkliwym bólem jego serce. Milczenie Sophie mówiło więcej niż słowa. Wiedział, że tym razem na zawsze opuszcza jego życie.

Lojalność Sophie wobec rodziny nie pozwoliłaby jej na przyjęcie oświadczyn mężczyzny, który wypowiedział tyle niepoehlebnych słów o księciu, a Vim nie miał zamiaru podejmować próby przekonania jej do swoich racji.

- A więc ciągle igrasz z uczuciami mojej siostry?

Valentine Windham, w rozpiętym płaszczu, z ustami zaciśniętymi w wąską linię, podszedł ukradkiem do Vima, który wciąż stał przy stajni.

- Dama dała jasno do zrozumienia, jakie jest jej życzenie. Muszę uszanować jej wolę.

Windham wpatrywał się w niego badawczym wzrokiem. Vim odniósł wrażenie, nie po raz pierwszy, że ludzie popełniają błąd, nie doceniając Valentine'a. Pod wieloma względami najbardziej ze wszystkich Windhamów przypominał on Vimowi starego księcia. Miał mocne poczucie niezależności, osobliwe poczucie humoru, nie ukrywał, co myśli i, jak każdy artysta, odznaczał się zmiennym nastrojem.

- Jesteś durniem. - Windham wziął Vima pod łokieć, jakby byli kumplami od kielicha. - Rozwesel mnie, Sindal. Jeśli będę jeszcze choćby minutę walczył z tym przeklętym instrumentem w kościele, to po raz pierwszy w życiu rozważę, czy nie rozwalić klawiatury siekierą.

Vim pozwolił się zaprowadzić na ławkę. Przeraziła go perspektywa powrotu do Sidling i zmierzenia się z hordą krewnych rodzaju żeńskiego. Poza tym Val Windham za bardzo lubił grać na fortepianie, aby zrobić jakieś głupstwo, które mogłoby uszkodzić jego ręce. A zatem na pewno nie zainicjuje wścieklej walki na pięści, na co Vim miał wielką ochotę.

- Wiesz co? - Windham zmienił kierunek. - Po namyśle doszedłem do wniosku, że lepiej wpaść na kubek grogu.

Znaleźli przytulne miejsce w miejscowej knajpie. Windham odezwał się dopiero, kiedy trzymali w rękach parujące kubki z rumowym ponczem.

- Ty sobie popijaj poncz, a ja ci zdradzę siostrzane sekrety.

- Nie chcę, żebyś mi zdradzał sekrety Sophie - warknął Vim, burząc się na samą myśl.

Windham uśmiechnął się krzywo.

- No dobrze, dobrze. Nie będę opowiadał o tym, że krzyczy jak opętana, kiedy podrzucisz jej żabę do łóżka. Chciałem ci tylko przekazać pewien drobiazg, a wiem to od zupełnie innej siostry, która nie żywi wobec ciebie żadnych sentymentów.

- Windham, czy ty umiesz rozmawiać jak dorosły człowiek? Przez wzgląd na twoją małżonkę mam nadzieję, że tak. I dziękuję za poncz. Niestety, spodziewam się w Sidling najazdu rodziny i chociaż twoje towarzystwo jest nad wyraz czarujące, muszę się udać do swoich obowiązków.

Windham podniósł kubek i zasalutował.

- Dobrze powiedziane. A teraz zamknij się i słuchaj.

Vim wypił łyk ponczu, aby nie zdradzić się, że w gruncie rzeczy towarzystwo Windhama jest mu miłe. Valentine był bardzo podobny do siostry, miał te same oczy i kształt podbródka.

- Kiedy Westhaven zajmował się porządkowaniem rodzinnych finansów, a St. Just wyjechał na wojnę poskramiać Francuzów, mnie przypadła w udziale inna rola. Przez kilka lat byłem nadworną eskortą moich pięciu sióstr, dokądkolwiek wymyśliły sobie pójść. Ze względu na mój osobisty urok chętnie korzystały z tych usług, a ja dzięki nim mogłem wyostrzyć swój talent w tym kierunku.

- Miło mi to słyszeć, ale nie potrzebuję eskorty.

- Potrzebujesz za to solidnego lania, ale St. Just powiedział, że takie metody są mało subtelne. Chodzi mi o to, że znam siostry pod pewnymi względami lepiej niż pozostali bracia. - Windham utkwiał wzrok w kubku, a na jego ustał igrał uśmiech. - Opowiadają mi różne rzeczy.

- To przynajmniej przydajesz się do czegoś więcej niż wprawianie krawca w zachwyt swoim wspaniałym strojem.

- Moją żonę zachwycam nawet bez stroju.

- Na miłość boską, Windham...

- Siostry ze mną rozmawiają - podsumował. - I jako mężczyzna za każdym razem biję się z myślami. Dlaczego opowiadają mi takie rzeczy? Czy oczekują, że stłukę gościa na kwaśne jabłko albo dam nauczkę sklepikarzowi? Czy mam tylko ich wysłuchać, wydając od czasu do czasu jakieś współczujące jęki?

- Twoja umiejętność wydobywania jęków jest znana wszem wobec.

Zielone oczy zwężyły się i spoczęły na Vimie bez cienia humoru.

- Nie znieważaj mojej muzyki, Sindal.

- Nie mam zamiaru. Myślałem raczej o twoim talencie do owijania w bawełnę.

- No dobrze. W każdym razie doszedłem do wniosku, że w nagłych przypadkach nie oczekują, abym coś zaproponował albo okazywał współczucie. Chcą, abym działał. Nie zapominaj o ponczu.

- W tym momencie mam ochotę wylać ci go na głowę.

Na usta Windhama powrócił ironiczny uśmieszek, toteż Vim w najmniejszym stopniu nie spodziewał się werbalnego ataku.

- Sophie uważa, że przed naszym przyjazdem złożyła jej dość obraźliwą propozycję, a zmieniła zdanie dopiero wtedy, kiedy okazało się, jaką zajmuje pozycję społeczną.

Windham wypił łyk ponczu jakby nigdy nic, podczas gdy Vim, zaszokowany jego słowami, usiłował sformułować zrozumiałą myśl.

- Co takiego?

- Uważa, że zaproponowała jej, aby została twoją utrzymanką, a zmieniła melodię, że tak powiem, kiedy stało się jasne, że oboje jesteście utytułowani. Wiem, że się myli w tym względzie.

Vim przechylił głowę na bok.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Bo gdybyś zaproponował mojej siostrze coś takiego, to rozwaliłbym siekierą twoją czaszkę, a nie kościelny fortepian.

- Sophie się myli.

Windham milczał, utwierdzając Vima w przekonaniu, że jest bardzo przebiegły.

- Musisz ją wyprowadzić z błędu. Windham wolno pokręcił głową.

- To nie mój błąd ani Sophie. Jest bystrą osobą, więc musiałeś nieostrożnie się wysłowić, skoro tak zrozumiała twoją propozycję. Tylko bohaterские czyny mogą naprawić tę sytuację. Mam na myśli sprawdzone pomysły, jak padanie na kolana, kwiaty, tremolo na skrzypcach, i tym podobne rzeczy.

Wykonał gest, jakby przeciągał smyczkiem po strunach w lirycznym uniesieniu, co powinno wyglądać idiotycznie, ale było zaskakująco piękne.

- Tremolo na skrzypcach?

- To oddaje drzenie jej serca. Mężczyzna powinien znać się na takich rzeczach. - Windham odstawił z impetem kubek i przeszył Vima wzrokiem. - Idę walczyć z potrójnym rejestrem. Życz mi powodzenia, bo jeśli mi się nie uda, to instrument będzie przypominał o mojej porażce każdej niedzieli aż do Sądu Ostatecznego.

- Na miłość boską, Windham, nie można oskarżać człowieka o takie wyrachowanie, a potem iść nastrojać struny. I jeszcze robić aluzję, że porażka będzie zapamiętana po wieczne czasy.

- Myślałem raczej, że stroję struny w twoim sercu. Chyba tracę wyczucie.

Windham rzucił na stół monetę.

- Twoja siostra jest w błędzie, ale to bez różnicy. Oświadczyłem jej się później i doskonale rozumiała, że proponuję małżeństwo, ale i tak mnie odrzuciła.

Windham rozejrzał się po sali, a potem spojrzał Vimowi w oczy.

- Z jej punktu widzenia wygląda to tak, że najpierw ją obraziłeś, a dopiero potem zaproponowałeś małżeństwo. Należą jej się przynajmniej przeprosiny, a najlepszym momentem, aby to przeprowadzić, jest świąteczne przyjęcie jej książęcej mości - powiedział i ruszył do wyjścia, pogwizdując pod nosem wesołą piosenkę.

Co za cholerny pyskaty drań!

Gdy subtelne działania Westhavena spełzły na niczym, a natrętny urok osobisty Valentine'a nie przyniósł spodziewanego sukcesu, do akcji wkroczył Devlin St. Just, lord pułkownik Rosecroft, który dosiadł konia i ruszył do bitwy w imieniu siostry.

- Zabiorę klacz, kiedy podpiszę w rezydencji dokumenty - powiedział, głaszcząc długi koński pysk.

Mały pomarszczony stajenny, który szorował drewniane wiadro, nie wykazał żadnego zainteresowania jego słowami, więc St. Just powtórzył je, tylko głośniej i wyraźniej.

- Ano. Proszę, proszę. Pożegnaj się z nią i okryję derką, jak pan i jego lordowska mość bydziecie podpisywać.

Wzrok stajennego pobiegł ku klaczy, ostatniej w hodowli Rothgreba, i według wielu - najlepszej.

- Mogę cię o coś zapytać?

St. Just nie miał zamiaru przyglądać się pożegnaniu stajennego z koniem. Utkwił wzrok w schludnej rezydencji oddalonej

o ćwierć mili od stajni.

- Ano, wasza lordowska mość.

- Dlaczego nie ma wśród służby żadnej młodej osoby? Dlaczego każdy pracuje o wiele dłużej niż powinien, zamiast udać się na zasłużony wypoczynek?

Stary człowiek przeszył St. Justa wzrokiem.

- Dajemy radę.

- Nie wolno pozwalać, aby całe stado się zestarzało - odparł St. Just. - Starsi powinni utrzymywać porządek, ale stara gwardia nie da rady robić wszystkiego. Młodzi muszą się uczyć

1 zająć ich miejsce.

- Trza to powiedzieć panu baronowi.

I Stajenny odszedł, mrużąc pod nosem po irlandzku - a St. Just rozumiał ten język, gdyż był ojczystym językiem jego matki - o młodych ludziach wałęsających się beztrąsko po świecie, chociaż powinni zaopiekować się swoją rodziną.

- Madame - zwrócił się do klaczy. - Wkrótce po ciebie przyjdę. Stajenni napełnili twój boks taką ilością słomy, że starczyłoby dla

całego stada. Mimo to postaraj się patrzeć w dół, kiedy będziesz stąd wychodzić, hm?

Omiotła go spojrzeniem wielkich, spokojnych oczu, a meandry jej umysłu były równie nieprzeniknione jak u każdej innej przedstawicielki jej płci.

St. Just ruszył w stronę rezydencji, zauważając po drodze dużą liczbę koni na padokach oraz kilka pojazdów stojących przed powozownią. Księżna powiedziała, że do Sidling przyjedzie na święta niemal cała rodzina Charpentierów. Zanosilo się na to, że nie uda się przeprowadzić szybkiej transakcji, a całe spotkanie nie ograniczy się do toastu w gabinecie wicehrabiego, lecz będzie wymagało towarzyskich pogawędek.

Spojrzał na niebo, na którym lśniło to samo słońce, które rzucało teraz promienie na jego żonę i córki w Yorkshire. Pociuszająca myśl.

- Rosecroft! Wchodź do środka i wnieś z nami toast! - Roth-greb stanął w drzwiach wejściowych, uśmiechając się szeroko. Jego czerwony nos ostro kontrastował z zielonym aksamitnym surdudem. - Od czasu trzeciego przyjęcia weselnego starego lorda nie było w tym domu takiego gwaru.

- Witam, wicehrabio. - St. Just zatrzymał się w drzwiach i uklonił starszemu mężczyźnie. - Nie chciałem się narzucać, ale przyszedłem odebrać klacz i pomyślałem, że...

- Oto i one.

St. Just ujrzał jakieś pół tuzina bardzo młodych dam biegnących truchtem w ich stronę. Hol wypełniły chichoty, śmiechy i obłoki spódnic.

- Mamy następnego gościa, dziewczęta! To lord Rosecroft. Dygnijcie ładnie i stańcie w kolejce. - Panny ustawiły się w rzędzie tak żwawo, że nie powstydziliby się tego rekruci St. Justa w Hiszpanii. - W porządku, Rosecroft, miejmy to z głowy. Zrobią się zbyt zuchwałe, jeśli każesz im czekać.

St. Just spojrzał pytająco na gospodarza, który uśmiechał się od ucha do ucha jak złośliwy duch.

- Stoisz pod jemiolą - zauważył Vim Charpentier, który wszedł do holu ze szklaneczką w dłoni. - Musisz pocałować każdą z dziewcząt albo będą się dąsać. Aha, Rosecroft, przez cały dzień kolekcjonowały pocałunki i piły poncz, więc radzę ci, żebyś postarał się najlepiej, jak umiesz. Cały następny rok będą porównywały buziaki. Jak dotąd, jestem twoim najsilniejszym rywalem.

Wypił łyk ponczu, patrząc groźnie na kuzynki.

- Podczas szarży na francuską piechotę - zaczął St. Just, uśmiechając się do dziewcząt - modliłem się, abym przeżył i mógł podjąć takie wyzwanie jak to.

Przeszedł wzdłuż linii zarumienionych dziewcząt, całując każdą w policzek, a na koniec dotarł do małej dziewczynki, przy której musiał ukucnąć, aby dać jej buziaka.

- Jak masz na imię, skarbie?

- Cynthia Louise.

- Najładniejsza na koniec. - Pocałował delikatny różany policzek. - Jeszcze ktoś? Byłem kawalerzystą, a oni słyną z osobistego uroku i wytrwałości - powiedział, chcąc sprowokować młode damy, ale wszystkie czekały, co powie dziadek.

- Jeden pocałunek wystarczy - warknął stary człowiek. -Zmykajcie.

Dziewczęta oddaliły się wśród chichotów. Sindal był zawiedziony.

- Teraz będą myślały, że to łatwe.

- Mam córki i jestem półkrwi Irlandczykiem. To było łatwe, a nawet zabawne. Rothgreb, czy możemy załatwić interesy?

- Co? Interesy? Sindal się zajmie szczegółami. Muszę znaleźć wicehrabinę i powiedzieć jej, że ominął ją pocałunek bohatera wojennego.

Sindal podał St. Justowi szklaneczkę.

- Powinieneś być wstawiony tak jak reszta rodziny. To pomaga. Nigdy nie czekałem bardziej niecierpliwie na zachód słońca. Zanim nastanie, stryj będzie odgrywał rolę Bachusa.

- Nie ulegasz świątecznej atmosferze?

- Też coś, że zacytuję powiedzonko stryja. - Przez twarz Sindala przemknął dziwny uśmiech. - Jedno z wielu. Chodźmy do gabinetu. Czeka tam umowa i karafka. I nie ma przeklętej jemioli.

- Lubię jemiolę.

- A ja dobrą brandy.

Szybko uporali się z dokumentami, ale Sindal nie mógł znaleźć piasku do posypania atramentu.

- Powinien gdzieś tu być, ale diabli wiedzą gdzie. Ten staruszek ciągle coś... - Zamilkł wpatrzony w niską komodę stojącą za biurkiem stryja.

- Coś zginęło?

Sindal wyprostował się, trzymając w rękach naczynie stołowe.

- Co robi miseczka do oliwek w gabinecie stryja?

St. Just wypił łyk brandy, podczas gdy Sindal wyjmował z komody kolejne przedmioty: miecz ceremonialny, misterne figury szachowe z kości słoniowej i onyksu, wykładaną kością słoniową planszę do gry w cribbage, parę staroświeckich pistoletów do pojedynku, niewielką kuszę oraz kilka innych osobliwości.

- Kto by podkradał cenne przedmioty, gdy w domu jest tyle ludzi?

Sindal rzucił St. Justowi zamyślane spojrzenie.

- Czy kobieta, która zapomina i łatwo traci orientację, pamiętałaby o tym, aby przed pójściem do stajni wstąpić do kuchni po marchewkę i kostki cukru?

Pytanie wyrwane z kontekstu zdawało się nie mieć najmniejszego sensu.

- Sindal, nie wypileś przypadkiem za dużo ponczu, żeby przebrnąć bezboleśnie przez pocałunki pod jemiolą?

- Przez to nie da się przebrnąć bezboleśnie. Takie zwyczaje sprawiają, że człowiek ma ochotę uciec na zawsze do jakiejś pogańskiej krainy. - Rozłożył przedmioty wyjęte z komody na biurku Rothgreba, obszedł je i usiadł obok St. Justa. - Zostałem wywiedziony w pole przez parę starych intrygantów. Pytanie tylko: dlaczego?

- Wypij brandy. - St. Just podsunął gospodarzowi szklaneczkę. - Nie uciekniesz do dalekiej krainy. Czy te przedmioty nasuwają ci podejrzenie co do jakiegoś spisku?

- Ciotka sugerowała w listach, że Rothgreb gubi przedmioty, z kolei stryj pisał, że jego małżonka często błąka się po posiadłości.

- I przyjechałeś, żeby zbadać, jak jest naprawdę?

- Właśnie. Przypuszczam, że o to im chodziło. Zastanawiam się tylko, czy intrygowali wspólnie, czy też każde na własną rękę.

- A gdy przyjechałeś do domu, okazało się, że stara gwardia nie odeszła ze służby i nie zatrudniono młodszych. Przybocznicy twojego stryja zdecydowali, że wspólnymi siłami łatwiej wygrają tę bitwę.

- Można mniemać, że kierowano się takim błędnym rozumowaniem.

Zapadło przyjacielskie milczenie. St. Just próbował w myślach sformułować pytanie, które mogłoby dotknąć Sindala, ale nie obrazić go.

- Zastanawiałem się nad czymś - zaczął. Sindal spojrzął na niego.

- Jeśli masz zamiar zaprosić mnie na świąteczne przyjęcie jej książęcej mości, to oszczędź sobie trudu. To ostatnie miejsce, które mam ochotę odwiedzić.

- Ciekawe dlaczego. Jeśli książę wyświadczył ci niedźwiedzią przysługę, uniemożliwiając pojedynek z Hortonem wiele lat temu, to dlaczego nie przywołasz starego piernika do porządku? Dlaczego nie chcesz wejść do jaskini lwa?

- Ten stary piernik jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Izbie Lordów, ma najwyższy tytuł w całym hrabstwie i jest ojcem kobiety, którą dziwnym zrzędzeniem losu ko...

St. Just mówił dalej, jakby nie usłyszał tego, z czego żaden mężczyzna nie zwierza się drugiemu.

- Co roku robisz uniki i odrzucasz gościnność jego książęcej mości, ale to do niczego nie prowadzi. Wyolbrzymiasz w ten sposób znaczenie tego, co w intencji księcia w ogóle nie miało ci zaszkodzić. Byłem tam, Sindal. Widziałem, co się stało. Przyjedź

jutro wieczorem na przyjęcie, wypij szklaneczkę ajerkoniaku, uśmiechaj się i pokręć się przy jemiole, aż Sophie zejdzie na dół. To dobra okazja, żeby wejść na salę z wysoko podniesioną głową. Sindal przetarł twarz ręką i utkwiał wzrok w brandy.

- Co masz na myśli, mówiąc, że w ogóle nie chciałem ci zaszkodzić? Ta dama i ja zaręczyliśmy się i wiedziała o tym połowa hrabstwa. Jego książęca mość mógł rozegrać tę sprawę na tysiąc innych sposobów, zamiast wystawiać mnie na pośmiewisko. Żałowałem wtedy, że straciłem tę kobietę, ale o wiele bardziej żałowałem faktu, że w Moreland uniemożliwiono mi obronę własnego honoru.

Ten człowiek wierzył, że ojcowie z Kentu sprzysięgli się przeciw niemu i odtrącili go w pogoni za lepszym tytułem. Owszem, byłby to o wiele gorszy cios, gdyby faktycznie o to chodziło.

- Pokaż, że masz odwagę, i wpadnij z towarzyską wizytą. Zaslugujesz na to, żeby wyjaśnić sprawę raz na zawsze. Nawiasem mówiąc, Horton ma podagrę. Ledwie może ustać na nogach.

Sindal wstał i podszedł do okna.

- Muszę przeprosić twoją siostrę za pewne nieporozumienie, ale nie rozumiem, dlaczego nie wystarczy liścik.

Sindal nie był tchórzem, który zrobiłby wszystko, aby uniknąć otwartej konfrontacji w obozie wroga. St. Just nie miał zamiar osądzać gospodarza, ale nie chciał też zawieść siostry.

- Ucałowałem siedem twoich kuzynek, w tym jasnowłosą Cynthię Louise. A ty mi mówisz, że nie dasz rady ucałować moich pięciu siostr, z których jedna uległa już twojemu wątpliwemu urokowi?

- Na miłość boską, Rosecroft, to nie jest sztubacka rywalizacja. Nie mam najmniejszej pewności, że Sophie nie ucieknie na mój widok. Myśli przecież...

- Myśli, że jej amant złożył jej niegodną propozycję - dokończył St. Just i podszedł do Sindala. - Musisz z nią porozmawiać. Dzisiaj panie w Moreland są zajęte przygotowaniem i nie przyjmują gości. Jutro odbędzie się świąteczne przyjęcie. To doskonała okazja, aby wyjaśnić sprawy z przeszłości z jego książeczką

mością, i jedyna możliwość, aby wytłumaczyć Sophie, że zaszło nieporozumienie. W pierwszy dzień świąt będziemy zajęci udziałem w nabożeństwie, oglądaniem prezentów, a potem zaczniemy objazd posiadłości, który będziemy kontynuować w drugi dzień świąt Mamy tylu dzierżawców, że nie jesteśmy w stanie rozwieźć wszystkich prezentów w jeden dzień. A po świątach wyjeżdżam do Yorshire i zamierzam nakłonić Sophie, aby mi towarzyszyła. Sindal spojrział na niego spode łba.

- Kazesz jej jechać na północ o tej porze roku?

- Sophie Windham nie można niczego kazać, Sindal. Zaprosiłem ją, ponieważ moje panie byłyby zachwycone, gdyby zatrzymała się u nas na dłużej, a na północy jest wielu samotnych kawalerów, którzy daliby sobie obciąć jądro, żeby zająć miejsce przy boku ładnej i mającej córki księcia. Jeśli nie wyjaśnisz nieporozumienia, jakie między wami zaszło, to wkrótce świąteczne wspomnienia Sophie będą równie żalosne jak twoje. Życzę miłego dnia i zostawiam zaproszenie na przyjęcie. Po raz ostatni.

St Just zabrał umowę, a Sindal nawet się nie odwrócił od okna. Za jego plecami na biurku leżały w nieładzie rodzinne pamiątki.

- Do twarzy ci w tej sukni, moja droga - powiedziała księżna, wchodząc do pokoju Sophie i obrzucając baczny spojrzeniem świąteczną kreację córki. Bardzo cichej i dorosłej córki. - Powinnaś częściej upinać włosy w ten sposób.

- Dzień dobry, wasza książęca mość. - Sophie ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się w lustrze swojej fryzurze. Połowa włosów była wysoko upięta, a połowa spływała falami na ramiona, doskonale kontrastując z czerwonym aksamitem sukni. - To eksperyment.

Synowie Esther nazywali ją mamą, kiedy chcieli jej pochlebić, oczarować ją albo pocieszyć, ale córki nie miały takiego zwyczaju. Nie wiedziała, dlaczego.

- Bardzo udany eksperyment, ale zaczynam się zastanawiać, czy eksperymentowanie nie stało się ostatnio twoją nową rozrywką, Sophie.

To była delikatna aluzja. Sophie wyprostowała ramiona, po czym odwróciła się do matki.

- Czy wasza książęca mość może się wyrażać jaśniej?

- Dostałam list od Chatellów, Sophie. Tak wszystko zaaranżowałam, aby zostać bez służby i przyzwoitki w Londynie, a na dokładkę zaopiekowałam się tym dzieckiem. Twój bracia zapewniają mnie, że nie będzie najmniejszego skandalu z powodu tego uchybienia zdrowemu rozsądkowi, ale nie jestem tego pewna.

Twarz Sophie pozostawała bez wyrazu. Nie odmalowały się na niej ani poczucie winy, ani wyrzuty sumienia czy rozgoryczenie, ani nawet przekora.

- Chciałam być sama.

- Rozumiem - stwierdziła księżna, choć zupełnie tego nie pojmowała. Kiedy to dziecko stało się tajemnicą dla własnej matki? - Adlaczego?

Sophie spojrzała na własne odbicie w lustrze. Esther miała nadzieję, że zobaczyła swoje prawdziwe ja - uroczą, opanowaną, inteligentną, wrażliwą kobietę z dużym posagiem, która zasługuje na więcej niż skradzione chwile z przypadkowym nieznanym i kłopotliwym dzieckiem. Pomimo zapewnień synów Esther wiedziała, że tak właśnie było.

- Jestem samotna. Dlatego.

Sophie rozluźniła się nieco, ale konsternacja Esther tylko się wzmogła.

- Jak możesz być samotna w otoczeniu kochającej rodziny na miłość boską? Przecież wszyscy jesteśmy twoją rodziną, Sophie. Twój ojciec i ja, twoje siostry, twoi bracia, nawet wuj Tony i twoje kuzynki.

Skinęła głową, a na jej ustach igrał smutny uśmiech. Esther uważała, że córka wygląda teraz niezwykle pięknie.

- Jesteście moją rodziną od urodzenia i kocham was, ale mimo to jestem samotna, wasza książęca mość. Przez tyle lat marzyłam o własnej rodzinie, o własnych dzieciach, o mężu, który nie byłby nim tylko z rozsądku...

- Miałaś wielu starających - odparła delikatnie Esther, ponieważ czuła, że w spokojnych słowach Sophie o własnej samotności, wypowiedzianych w czasie terażniejszym, kryje się jakieś drugie dno.

- Ale żaden z nich nie był właściwym człowiekiem.

- A czy baron Sindal nim jest?

To był strzał na oślep, przypadkowa strzała, ale kobieta, która wychowała dziesięcioro dzieci, kieruje się przede wszystkim macierzyńskim instynktem.

Sophie opuściła głowę i westchnęła.

- Myślałam, że jest właściwym człowiekiem, ale jego propozycja była niewłaściwa... Albo ja ją tak odebrałam. I jeszcze to dziecko... To nie byłoby dobre małżeństwo.

Esther wzięła się na odwagę, podeszła do swojej rozsądnej córki i otoczyła ją ręką w pasie.

- Opowiedz mi o tym dziecku. Słyszałam wiele plotek na jego temat, ale od ciebie ani słowa.

Miała zamiar zaprowadzić Sophie do toaletki i zapiąć na jej szyi perły babci, ale córka zamknęła oczy i zeszywniała.

- To dobre dziecko. Cudowne dziecko, a ja oddałam je obcym ludziom. Och, mamó, oddałam swoje dziecko...

Po raz pierwszy od lat rozważna i opanowana lady Sophie Windham rozplakała się na ramieniu matki, tak jakby sama była małym, smutnym dzieckiem.

- Nie rozumiem, dlaczego nie poprosiliście mnie po prostu, abym przyjechał do Sidling? - zapytał Vim, przenosząc wzrok ze stryja na ciocię i z powrotem.

Zwlekał z tą rozmową cały dzień. Chciał ochłonać, ale dało to tylko tyle, że był jeszcze bardziej zagniewany niż rano. Patrzyli na siebie, unikając jego wzroku, a Vim miał wrażenie, że przekazują sobie wszystko bez słów.

- Chciałbym porozmawiać z twoją ciotką na osobności - powiedział Rothgreb znużonym i zrezygnowanym tonem.

- Po co? Żebyście mogli dalej intrygować i ustalić wspólne zeznania? Ciocia w końcu na niego spojrzała. Dopiero po chwili Vim odszyfrował uczucie malujące się w jej oczach. Była nim rozczarowana.

Przeniósł wzrok na Rothgreba.

- Nie, młody człowieku, nie zamierzam intrygować z twoją ciotką. Chcę ją przeprosić, że próbowałem intrygować bez jej wiedzy i pomocy. - Wicehrabia uśmiechnął się nieznacznie do swojej małżonki. - Chociaż podejrzewam, że nie pozostała mi dłużna i całkiem dobrze sobie radziła na własną rękę, prawda, moja droga?

Ciocia Esmeralda wstała z krzesła i zaczęła chodzić po przytulnym salonie.

- Wcale sobie dobrze nie radziłam, ale chciałam coś zrobić, aby powstrzymać twojego bratanka przed kolejnym wyjazdem w nieznaną. Wilhelmie, próbowaliśmy w ten sposób poprosić cię, abyś wrócił do domu.

- Sidling nie jest moim... - zaczął Vim automatycznie, choć było to nieuprzejme.

- Nie jest twoim domem - przerwała mu. - Och, przecież wiemy, że to nie jest twój dom. Co z tego, że się tu urodziłeś, że odziedziczysz to miejsce, że oprócz trojga rozwydrzonego rodzeństwa całą rodzinę masz w hrabstwie Kent? Twoja matka i ojciec są tu pochowani, tak samo twój dziadek i jego cztery żony. Twój stryj i prawdopodobnie ty sam też będziecie tu pochowani. Ale przez jakiś głupi i niezrozumiały upór uważasz, że to nie jest twój dom. Mam do ciebie pytanie, Wilhelmie Lucyferze Charpentier.

- Moja droga... - zaczął miękko Rothgreb, nie wstając z fotela.

- Nie teraz, Lucasie. Chcę usłyszeć, jakie miejsce twój ograniczony, uparty, niemądry i zagubiony bratanek uważa za swój dom, skoro nie to, gdzie mieszkają ludzie, którzy go kochają i codziennie się za niego modlą. Dokąd jeszcze zamierzasz powędrować, Wilhelmie? Muszę wiedzieć, dokąd mam wysłać list, w któ-

rym powiadomię cię, że straciłeś ostatnią okazję, aby objechać ze stryjem majątek. Muszę wiedzieć, w jakim zapomnianym przez Boga porcie będziesz, gdy przyjdzie czas na przesłanie nekrologu. Powiedz mi to i miej nadzieję, że miłosierny Bóg utrzyma mnie przy życiu wystarczająco długo, abym zdążyła ci przesłać zawiadomienie o śmierci stryja.

Po tych słowach wyszła z pokoju, szeleszcząc spódnicą, i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi.

Zapadła cisza, a Vim nie miał odwagi spojrzeć stryjowi w oczy.

Po chwili Rothgreb zsunął się na brzeg fotela, położył dłonie na oparciach i z trudem wstał.

- Nie przejmuj się. Jutro przy śniadaniu będzie cię przepraszać i częstować truskawkami.

Ukląkł, aby podsycić płomień, podczas gdy Vim stał bez ruchu, a w uszach dźwięczały mu słowa ciotki.

- Prosiłście mnie, żebym przyjechał do domu, prawda? Stryj przerwał swoje zajęcie, opierając pogrzebacz na kolanie.

- Raz czy dwa. Nie chcę, żeby Essie została sama, gdy coś mi się stanie. A ona prawdopodobnie myśli w ten sam sposób. Twoje kuzynki trochę pomogą, ale nie będą w stanie zarządzać tym miejscem tak, jakby należało.

Rothgreb wstał nieco chwiejnie i przytrzymał się obudowy kominka, aby się wyprostować.

- Twoja ciotka jest kochaną kobietą, ale wobec mnie zachowuje się nadopiekuńczo.

- Niech stryj za nią nie przeprasza. Powiedziała mi kilka słów prawdy.

- Nie przepraszam. Chciałem tylko wyjaśnić. - Rothgreb spojrział na niego. - Potrafi powiedzieć prawdę prosto w oczy, gdy się na kogoś rozzłości, ale to się rzadko zdarza. Dzięki temu małżeństwo z nią nie jest nudne.

Vim odwrócił się do okna i utkwiał spojrzenie w zimowym krajobrazie.

- Nie przypuszczam, aby stryj miał teraz ochotę na tę przejażdżkę?

- Ach, wy młodzi. Jeśli chcesz sobie odmrozić tyłek, jeżdżąc w taką pogodę po hrabstwie, to proszę bardzo. Ja wolę poczekać do wiosny i jeśli wtedy mnie poprosisz, to skorzystam z zaproszenia. A teraz znajdę twoją ciocię i zapewnię ją, że nie masz do niej żalu. - Zmarszczył brwi. - Bo nie masz, prawda?

Rothgreb był szorstki, wybuchowy, zrzędlivy, a czasem nawet uparty, ale nigdy jeszcze Vim nie widział, aby okazywał niepewność.

- Oczywiście, że nie mam. A jeśli nie będzie ostrożna, to spotkamy się pod jemiolą.

Rothgreb powoli skinął głową.

- To niezły pomysł. Damy mają lepszy humor, kiedy są regularnie całowane. Miłej przejażdżki.

Odszedł ciężkim krokiem, a Vim po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że stryj jest bardzo starym człowiekiem. A prócz tego drogim jego sercu.

10

Nie widać go - powiedział ściszym głosem Valentine z uśmiechem przylepionym do twarzy. Skinął nawet głową pewnej ładnej kobiecie, do której najwyraźniej nie dotarła wiadomość, że niedawno się ożenił.

- Przyjedzie. - Westhaven również się uśmiechnął, jakby Val powiedział przed chwilą coś zabawnego.

- W razie potrzeby mogę po niego pojechać - dodał St. Just bez uśmiechu, a zamyślony wyraz twarzy nie wróżył nic dobrego.

- Powinniśmy wysłać jej książeczkę mość - stwierdził Val. -Przyprowadziłaby drania w podskokach.

St. Just spojrzał na niego.

- Jest zbyt zajęta obdzielaniem świątecznymi życzeniami dzierżawców i ich żon.

- A Sophie jest nawet bardziej łaskawa niż nasza matka -powiedział Westhaven bez cienia radości.

Podeszła do nich Maggie. Wyglądała zachwycająco w sukni z zielonego aksamitu.

- Mówiliście, że sprawy z Sindalem są pod kontrolą. Sophie uśmiecha się tak wytrwale, że pewnie boli ją szczeka, a tego typka nie widać.

- Och, na miłość boską. - Westhaven wydawał się w najwyższym stopniu poirytowany. - Evie podmieniła właśnie Deene'owi szklaneczkę eggnoga na swoją, a ten idiota nawet tego nie zauważył.

Maggie ściągnęła brwi.

- Jakie to ma znaczenie?

- Takie - powiedział St. Just, kiedy Westhaven się oddalił -że napój Deene'a jest wzbogacony odrobiną najlepszego białego rumu, który może zwalić z nóg dorosłego mężczyznę.

Maggie upiła niewielki łyk napoju.

- Mój też.

Val wyłuskał szklaneczkę z jej dłoni.

- Podziel się ze mną, droga siostró, albo sam przywlokę tu Sindala.

Letnie wieczory bywają ciche i spokojne, ale nie mogą się równać z całkowitym bezruchem zimowej nocy, gdy ptaki nie przelatują z gałęzi na gałąź, insekty nie zawodzą swych treli, a liśćmi nie porusza najmniejszy podmuch wiatru.

Vim prowadził konia aleją wiodącą z Sidling. Spowijały go nieruchome powietrze i absolutna cisza, a nad horyzontem wisiał tłusty księżyc. Pomimo przenikliwego mrozu Vim musiał wyjechać z domu, aby nie zwariować w towarzystwie głupiutkich kuzyneczek, nadąsanej ciotki, wuja pogrążonego w dziwnym milczeniu i płaczącej się pod nogami podstarzałej służby.

Koń biegł spokojnym kłusem, a Vim zaczął układać w głowie list do lady Sophie Windham.

Żałował - i to bardziej niż był w stanie przyznać - że ich ścieżki się rozeszły. Ale nie miało to nic wspólnego z przeprosinami, które rzeczywiście był jej winien. Przewyciężył własne skrupuły i doszedł do wygodnych dla siebie wniosków, aby móc kochać się z nią namiętnie i do szaleństwa jak nigdy dotąd w całym swoim życiu, a potem wszystko z kretesem zepsuł. Powinien był paść przed nią na kolana, poruszyć jej serce i zrobić inne rzeczy, o których wspominał Windham.

Na końcu podjazdu skierował konia w stronę wsi i zaczął się zastanawiać, jak rozpocząć list:

Droga Sophie...

Moja Droga Sophie...

Najdroższa Sophie...

Ukochana Sophie...

Koń zastrzygł uszami, a Vim osadził go w miejscu. Jeszcze tego brakowało, żeby wylądował na zimnej i twardej ziemi tylko dlatego, że jakiś cholerny lis wyruszył na poszukiwanie łupu.

- Co się dzieje? - Pogłaskał konia po szyi, a potem pozwolił mu ruszyć. - Słyszysz psa zawodzącego do księżycy?

Gdy zbliżyli się do wsi, Vim również to usłyszał. Płacz dziecka.

Zatrzymał konia i zaczął nasłuchiwać. Ten sam odgłos, który skrzyżował drogi jego i Sophie. Nieutulony płacz nieszczęśliwego dziecka.

Rozpoznał ten głos. Wiedział, że Kit nie płacze z głodu ani ze zmęczenia. To był lament samotnego dziecka, które chce, aby ktoś bliski wziął je na ręce, przytulił i zapewnił o swoim uczuciu. Najprostsza i najbardziej szczerą formą ludzkiego wołania o miłość.

Chłopiec domagał się obecności Sophie i nie zastanawiał się, czy ma do tego prawo. Nie gnębiły go zniewagi sprzed lat ani nieporozumienia, nie martwił się tytułami ani innymi przekłętymi rzeczami, które uniemożliwiały mu zdobycie tego, czego potrzebował do szczęścia.

Dzięki Bogu, płacz ustał.

Niewiele się namyślając, Vim ruszył żwawym galopem w stronę Morelands.

- Jej książęca mość poleciła mi sprawdzić, dlaczego rozglądacie się wśród gości z minami jak jakieś gargulce.

Percival, książę Moreland, obrzucił swoich trzech synów wzrokiem od stóp do głów. Ściskali w rękach szklaneczki z alkoholem, ale ponura rezygnacja malująca się na ich twarzach kazała przypuszczać, że nie mogą znieść towarzystwa gości. Wydawało się to o tyle dziwne, iż wszystkie jego dzieci doskonale sobie radziły w podobnych sytuacjach.

- Czy to aż tak widać? - zapytał Valentine.

- Jej książęcej mości nie umknie żaden szczegół dotyczący rodziny. Domyślam się, że czekamy na amanta Sophie, który ma pójść po rozum do głowy i przygalopować tu na białym rumaku?

St. Just, który stał przy oknie i zerkał zza zasłonki, odwrócił się do braci i ojca.

- Koń jest gniady, ale reszta się zgadza. Ten idiota w końcu przyjechał. Trzeba uprzedzić Sophie.

- Jeszcze nie - zarządził książę. - Mam zamiar zamienić słówko z Sindalem. To rozkaz jej książęcej mości. A wy zajmijcie się siostrą. Trzeba znaleźć Evie partnera do tańca, bo za chwilę chwyci Deene'a za włosy i przemocą zaciągnie pod jemiółę. Ten trunek działa na nią bardziej piorunująco niż na niego.

Zostawił synów, aby zająć się nowo przybyłym gościem.

- Sindal, cieszę się, że do nas dołączyłeś - powitał barona, podając jego płaszcz lokajowi. Zauważył, że mężczyzna wygląda na zmęczonego, a policzki ma tak czerwone, jakby przebył galopem całą drogę z Sidling. - Przestań się rozglądać za Sophie. Zapewniam cię, że gdzieś tu jest.

Sindal podał lokajowi rękawiczki i kapelusz. Odezwał się dopiero, gdy służący się oddalił:

- I nie miałby książę nic przeciwko temu, abym porozmawiał z lady Sophie?

- Stałeś się zuchwałym człowiekiem. - Najwyraźniej miłość dodawała mu odwagi, co zarazem ułatwiało sytuację i nakazywało ostrożność. - Przecież i tak masz w nosie, co o tym myślę, prawda?

Usta Sindala drgnęły.

- Ja nie, wasza książęca mość, ale Sophie tak.

- W takim razie dziękuję za ten drobny przywilej. Ale nie stójmy w przeciagu i dajmy spokój tym słownym gierkom. Pozwól się zaprosić na szklaneczkę ponczu.

Sindal wciąż zerkał ukradkiem na przestronny hol.

- Dziękuję za poncz, wasza książęca mość.

Poirytowany książę obrzucił gościa niezbyt przyjaznym spojrzeniem. Miłość ogłupia młodych ludzi. Starszych też, ale w tej chwili nie miało to akurat znaczenia.

- Może małą szklaneczkę - oznajmił łaskawie Sindal.

Ale w chwili, gdy książę pomyślał, że nareszcie porozmawiają w cztery oczy przy ponczu, przemknął obok nich nie kto inny, jak tylko jego droga Sophie we własnej osobie.

- Lord Sindal? - Zatrzymała się ze wzrokiem utkwionym w twarzy barona.

- Idę po szklaneczkę ponczu dla gościa, Sophie. - Książę wziął Sindala pod ramię. - Jej książęca mość wspomniała, że Westhaven zdziesiątkował marcepanki na tacach. Mogłabyś to sprawdzić, moja droga? - zapytał i siłą odciągnął od niej gościa.

- Potem możesz zanurkować pod jemiołę, Sindal. Poświęć mi najpierw pięć minut.

I daj wnuczeta. Bardzo chciał mieć dużo wnucząt, a sądząc po tym, w jaki sposób Sophie i jej amant patrzyli na siebie, sprawa wydawała się przesądzona. Ale z pewnością księżnej łatwiej byłoby zaakceptować wnuki pochodzące z legalnego związku.

- Za twoje zdrowie. - Podał Sindalowi szklaneczkę aromatycznego ponczu. - Wypij do dna, mój panie. Podejrzewam, że będzie ci potrzebne coś mocnego.

Sindal wypił nieduży łyżeczek trunku, a jego spojrzenie powędrowało ku drzwiom i wejściowemu holowi.

- I pańskie, wasza książęca mość. Skoro już pan zademonstrował swoją łaskawość, to chciałbym porozmawiać z pańską córką jak naj...

Jego wysokość wyjął szklanekę z dłoni Sindala.

- Najpierw mnie wysłuchasz, młody człowieku. - Zauważył, że jego żona przemknęła koło drzwi. Chciała się upewnić, czy mają chwilę spokoju. - W ostatnich latach wyraźnie unikałeś naszych świątecznych przyjęć.

- Nie było mnie w Anglii, ale być może w przyszłości to się zmieni.

- Miło mi to słyszeć. Przestań wodzić wzrokiem za Sophie i spójrz na kobietę, która stoi u dołu schodów.

Sindal przestał na chwilę omiatać wzrokiem hol i rzucił gospodarzowi spojrzenie pełne irytacji i zaciekawienia.

- Na tę przysadzistą starszą damę?

- Tę, która stoi obok łysego jegomościa podpierającego się laską.

Kobieta odwróciła się jak na zawołanie. Nawet Sindal, zauroczony inną, a przez to ślepy zarówno na wdzięki, jak i na wady reszty płci pięknej, musiał przyznać, że „przysadzista” to za mało powiedziane. Osoba ta wieki temu zamieniła się już nie w matronę, ale w coś znacznie gorszego.

- Poznajesz ją?

- Wygląda znajomo, tak jak ten starszy jegomość.

- To twoje dawne marzenie, Sindal. Może zaczał się na nią pod jemiołą przez wzgląd na stare czasy? Horton ledwo trzyma się na nogach. Dokucza mu podagra i rzadko bywa trzeźwy. Przypuszczam, że gdybyś teraz wyzwał go na pojedynek, pokonałbyś go nawet w walce na ręce. - Na szczęście, Sindal nie rozdziawił ust, co książę zapisał na jego korzyść. Przerwał, aby upić łyk ponczu. - Gdybym miał tak jak on sześć małych córek, które trzeba wyposażyć i wydać za mąż, też bym zaczął pić.

Sindal przeniósł wzrok na księcia i spojrzał mu w oczy.

- Wasza książęca mość, jej obecna sytuacja nie usprawiedliwia faktu, że przed laty uniemożliwił mi pan obronę honoru tej damy i mojego własnego.

- To prawda. - Książę odstawił szklanekę. - Ale co powiesz na to? Jej najstarsza córka urodziła się sześć i pół miesiąca po ślubie - powiedział przyciszonym głosem, gdyż rozsiewanie

plotek o dawnych szaleństwach tej kobiety nie miało sensu. - Twój dziadek wiele razy żalił mi się nad kieliszkiem brandy, Sindal. Ona cię wodziła za nos, a cały czas miała na oku lepszy kasek. Raz czy dwa zarzuciła nawet sieci na mojego syna Bartholomew, ale był sprytny i nie miał zamiaru wykorzystywać sytuacji. Powiem ci na pocieszenie, że Horton okazał się łatwiejszy do manipulowania niż ty.

Spojrzeni na mężczyznę, o którym mówił. Zachwiał się na nogach i wylał trochę alkoholu na ramię żony. Zapadło przedłużające się milczenie, a do pokoju dobiegały jedynie łagodny gwar przyjęcia oraz dźwięki fortepianu, na którym ktoś wygrywał świąteczną melodię.

- Zrobiono ze mnie głupca, ale to nie pan był tego sprawcą, wasza książęca mość - odezwał się cicho Sindal.

Książę podał mu szklanę ponczu.

- Z każdego młodzieńca można zrobić głupca. Sam kilka razy rwałem się do pojedynków, zanim jej książęca mość mnie nie okiełznała.

Ale Sindal go nie słuchał. Obserwował żonę Hortona, która próbowała udawać, że dobrze się bawi, chociaż z całej jej postaci emanowało zmęczenie i poirytowanie, a księciu wydawało się nawet, że z trudem powstrzymuje wściekłość z powodu zmarnowanego życia.

- Wygląda na dziesięć lat starszą.

- Nie ma łatwego życia. Jest przyjmowana w towarzystwie, bo jej książęca mość tego dopilnowała, ale wszyscy wiedzą o jej nierozważnym postępowaniu. Każdy umie to sobie policzyć. Twój dziadek zapewniał mnie, że to nie może być twoje dziecko.

- Skąd mógł to wiedzieć? Przez kilka miesięcy byłem zauroczony tą kobietą.

I nadal nie mógł oderwać oczu od tej nieszczęsnicy i jej żalosego małżonka.

- Znał cię - odparł książę, przemawiając tym razem niejako majątny i utytułowany arystokrata, sąsiad Sindala i przyjaciel jego zmarłego dziadka, ale jako ojciec Sophie.

- Jestem panu winien przeprosiny, wasza książęca mość. Sindal wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie, a książę poczuł, że wreszcie może zamknąć sprawę, która trapiła go od wielu lat.

- Nie musisz przeproszać, w każdym razie nie mnie. Ale St. Just wspomniał, że Sophie oczekuje twojej skruchy. Więc może zajmiesz się tym niezwłocznie, he?

Sindal odstawił szklanę, uklonił się i oddalił zdecydowanym krokiem, jak człowiek skoncentrowany wyłącznie na jednym celu. Książę podszedł do drzwi niedużego salonu. W tłumie gości wypełniających hol odszukał wzrokiem żonę i widząc lekki niepokój w jej oczach, uspokoił ją nieznacznym uśmiechem zarezerwowanym wyłącznie dla niej.

- Przeszedł koło mnie. - Sophie odwróciła się od klawesynu, szeleszcząc spódnicą, i podeszła do Vala. - Nawet na mnie nie spojrział, Valentine. Czy nie jestem warta jednego spojrzenia?

Znowu zmieniła kierunek i ruszyła w stronę wielkiej harfy.

- Maggie powiedziała, że chętnie doleje mu trucizny do ponczu. Widocznie on woli poncz ode mnie. Co to jest?

- Twoja peleryna. Musisz odetchnąć świeżym powietrzem i uspokoić się, Soph.

- Wcale nie chcę się uspokoić.

Wytrzymał jej spojrzenie i pomyślał, że żona byłaby z niego dumna. Tylko odważny - albo bardzo głupi mężczyzna - próbowałby pocieszyć kobietę, której pękało serce.

- A ja myślę, że chcesz się uspokoić, a nawet ustatkować, z Sindalem i gromadką potomstwa.

Poderwała głowę, a Valentine ucieszył się w duchu, że za dwa dni wyjeżdża. Jeszcze kilka aktów tego dramatu i przez następną dekadę będzie przeklinał święta z rodziną.

- Pozbyłam się dobrego dziecka... Cudownego dziecka - odparła. - Oddałam je obcym ludziom.

- Ten przeklęty dzieciak nie ma nic wspólnego z tym, że Sindal cię zranił. - Okrył jej ramiona peleryną i zaryzykował nawet

lekkie uściśnięcie ramion. - Chodźmy na krótki spacer, Soph. To ci pomoże odzyskać równowagę.

Gdy wziął ją za rękę, uczepiła się go kurczowo. Od razu poczuł, że jej gniew zamienił się w rozpacz, że ciało ugina się pod brzemieniem żalu.

- Odrzuciłam to dziecko, Valentine, ale nie wiem, czy nie odrzuciłam też mężczyzny. Ani razu nie wyjaśniłam mu, o co mi chodzi... Sama nie wiedziałam, o co mi chodzi.

- Nie jestem pewny, czy chcę to wiedzieć. Daj spokój, Soph. Pójdziemy do kościoła, bo muszę sprawdzić, czy ten upiorny fortepian mnie nie zawiedzie. Ta cholerna pogoda nie wpływa dobrze na stare instrumenty.

- Ty i te twoje fortepiany - powiedziała, ale pozwoliła się wyciągnąć na taras.

St. Just nadal pełnił straż przy oknach i aż podskoczył, gdy zobaczył, że brat ciągnie Sophie na taras. Val pokręcił przecząco głową, gdy St. Just nakazał mu gestem, aby wrócili do domu. Sophie była tak przybita narastającym smutkiem, że nie dostrzegła tych manewrów.

- On jest dobrym dzieckiem - mówiła. - A Harradowie są dobrymi ludźmi. Ale Kit jest wyjątkowy, a oni nie mają doświadczenia z wychowywaniem chłopców.

- Spędziłaś z tym dzieckiem tylko tydzień i uważasz, że znasz go lepiej niż matka, która odchowała troje własnych dzieci?

Przeszyła go piorunującym spojrzeniem.

- Jesteś ograniczony, Valentine. Poczekaj, aż Ellen obdarzy cię dzieckiem. Vim doskonale wiedział, jak należy postępować z Kitem. Doskonale. To nie ma nic wspólnego z doświadczeniem.

Val wiedział, że podejmuje ryzyko, ale wolał ją podjudzać niż pocieszać.

- Vim wiedział też doskonale, co robić z tobą, droga siostrze. Pytanie, co dalej zamierzacie? Słyszałem, że wyjeżdża znowu do Ameryki, a to dość daleko od starej, dobrej Anglii.

- Nienawidzę cię.

- Wiem o tym, moja droga.

Zatrzymała się gwałtownie, puściła jego ramię i z drzeniem wzięła głęboki oddech. Niech to diabli. Otoczył ją ramieniem i poprzysiągł sobie w duchu, że już nigdy więcej nie przyjmie niewdzięcznej roli towarzysza sióstr.

- Co cię boli najbardziej, Soph? Powiedz mi.

- Żebyś potem opowiadał niestworzone historie jej książęcej mości i naszym wstrętnym braciom?

- Jestem twoim jedynym wstrętnym bratem. Skinęła głową.

- Jesteś najgorszy z całej bandy, to fakt. - Nie była miła, ale nawet dama ma do tego prawo, gdy pęka jej serce. - Kocham go.

- Sindal nie zasłużył na ten zaszczyt... - Urwał nagle, gdy Sophie cofnęła się i przewróciła oczami.

- Chodziło mi o Kita, ale Vima też kocham.

Valowi opadły ręce. Czuł, że opuszczają go resztki braterskiej cierpliwości.

- Nic dziwnego, że Sindal nie jest pewny, co do niego czujesz, Sophie Windham. Ja sam czuję się zagubiony. Czy powiedziałaś temu mężczyźnie, że go kochasz?

- Oczywiście, że nie. Val ruszył przed siebie.

- To skąd ma wiedzieć?

- Dowie się, gdy poproszę go, by przygarnął Kita. - Sophie ruszyła dziarskim krokiem za Valem. - Vim potrzebuje kogoś, kogo pokocha i kto pokocha jego. I doskonale radzi sobie z Kitem. Powiedział, że rozważał, czy nie zabrać go do Sidling. Hrabina była oczarowana małym, a myślę, że stary Rothgreb też go polubił.

Val nie przestawał maszerować.

- Postradałaś rozum. Sindal wyjedzie nie wiadomo dokąd. Nie może wlec ze sobą tego przeklętego dzieciaka.

- Dzieci rodzą się nawet na statkach. Kapitanowie statków handlowych, których na to stać, zabierają w podróż żony i dzieci. A jeśli Kit zostanie w Sidling, to przynajmniej Vim będzie miał powód, by częściej przebywać w domu. Rothgreb i jego żona się ucieszą.

- Sophie, kocham cię, ale ten plan jest do niczego. Kochasz ich obu całym sercem, a doprowadzisz do tego, że albo będą się wałęsać po całym świecie bez ciebie, albo będą mieszkać tuż pod twoim nosem, ale ty będziesz mogła na nich tylko popatrzeć z daleka.

Sophie pokręciła głową, nie zatrzymując się.

- W porządku. Idź do tego diabła wcielonego i powiedz Harradom, że się rozmyśliłaś, że będziesz igrać z losem tego dziecka i kompletnie ignorować własne potrzeby. Ale mnie w to nie mieszaj. Idę zająć się fortepianem, żeby tu z tobą nie zwariować.

Z tymi słowami odmaszerował dumnym krokiem, nie chcąc, aby wyglądało to na ucieczkę. A Sophie została sama na środku wiejskiego placu, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, i nasłuchiwała odgłosów świątecznego przyjęcia, które unosiły się w mroźnym nocnym powietrzu.

Mężczyzna nie zasługuje na miano mężczyzny, jeśli nie potrafi przyznać sam przed sobą, że był w błędzie.

Sophie na pewno zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała, że ponad dwanaście lat wałęsał się po świecie, gromadząc bogactwa, gdyż trwał w błędnym przekonaniu, że jego książęca mość niegodnie go potraktował, a tymczasem...

- Przepraszam pana, ale chyba pana znam. Tak mi się wydaje. Kobieta będąca obiektem jego młodzieńczego szaleństwa

utkwiała w nim znużone oczy i uśmiechała się nieśmiało. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- To ja, Louise. Wilhelm Charpentier. Wesołych świąt. Ukłonił się i zostawił ją pod jemiolą. Przytknęła dłoń do policzka, a na jej ustach błąkał się cień dawnego uśmiechu.

Musiał się teraz zmierzyć z tym, co naprawdę było dla niego ważne. Pożegnał się szybko z gospodynią przyjęcia, której spokojna dojrzała uroda przypominała mu aż za bardzo Sophie.

Tymczasem ona sama ukryła się gdzieś akurat w momencie, gdy przybył, aby naprawić to, co zepsuł. Obrzucił hol jeszcze

jednym spojrzeniem, ale nigdzie jej nie dostrzegł, dał więc znak lokajowi, by podał mu kapelusz i płaszcz.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Westhaven, nieumiejętnie kryjąc niezadowolenie. - Jeśli się nie mylę, nie przywitałeś się z Sophie.

- Istotnie. Jeśli nie chce mnie powitać, nie będę się narzucał. Wybacz.

- Naprawdę wychodzisz.

Westhaven nie zdejmował ręki z ramienia Vima, patrząc na niego zdziwionym wzrokiem.

- Wybieram się do domu wikarego, skoro już musisz wiedzieć. A potem, jeśli Sophie nie zechce ze mną teraz rozmawiać, udam się do Yorkshire albo w inne miejsce, gdzie ją ukryjecie.

- A po co do domu wikarego?

- Nie po co, ale po kogo. Po jej miłość życia. Po dziecko, które powinno być z nią, nawet jeśli ja nie będę mógł. Wesołych świąt, Westhaven.

Wymknął się za drzwi i nie zawracał sobie głowy zabieraniem konia. Do wioski było niedaleko, a poza tym potrzebował trochę czasu, aby pozbierać myśli.

- Dokąd poszedł Sindal? - warknął St. Just.

- Nie jestem pewien, ale wspomniał o domu wikarego. - Westhaven ściągnął brwi. - Gadał tak, jakby skosztował białego rumu ze szklanki Deene'a, ale wiem, że wypił tylko trochę ponczu z jego książeczą mością.

- To jego książeczą mość jest w to zamieszany? Bracia wymienili spojrzenia i powiedzieli jednocześnie:

- Chodźmy.

Vim układał w myślach przemowę, skoro nie udało mu się ułożyć listu do Sophie. Musiał w jakiś sposób wyjaśnić Harradom, dlaczego chce zabrać dziecko. „Dziękuję państwu bardzo, ale Sophie Windham kocha to dziecko, a ona zawsze powinna dostawać to, co kocha”.

I jeśli uda mu się powiedzieć coś jeszcze, zanim go wyrzucą za drzwi, to przeprosi ich i podkreśli, że dorastającemu chłopakowi jest potrzebna męska dłoń.

To nie był zbyt precyzyjny plan, ale miał tę zaletę, że mógł oszczędzić wielu osobom podróży do West Riding w środku zimy. Miał nadzieję, że Sophie dostrzeże jego zalety

- Vim?

Zatrzymał się gwałtownie i ujrzał Sophie, która stała na środku wiejskiego placu kilka kroków od niego, oblana jasnym światłem księżyca.

- Sophie. Dlaczego nie jesteś na świątecznym przyjęciu?

Wpatrywała się w niego tak długo, jakby nie usłyszała pytania. W końcu z jej piersi wydobyło się westchnienie i nagle wydała mu się mniejsza.

- Mam zamiar oddać ci Kita Co?

- Dlaczego chcesz to zrobić?

Uśmiechnęła się słabo, nie tak jak dawniej. Ten widok rozdzierał mu serce.

- Bo to właściwa decyzja - odparła, rozcierając dłońmi ramiona. - Tak będzie najlepiej dla ciebie i dla Kita. Nie mogę go wychowywać, bo jestem lady Sophie i tak dalej. Mogę prowadzić działalność dobroczynną, ale nie mogę wziąć dziecka na wychowanie. Rozumiem to.

- Możemy o tym porozmawiać? Uniosła podbródek.

- Nie chciałeś ze mną rozmawiać na przyjęciu.

Melodia Haendla mieszała się w powietrzu z odgłosami przyjęcia w Morelands. Była to ta sama kołysanka, którą Sophie śpiewała Kitowi kilka dni temu, lecz tym razem wykonana z łagodną słodyczą na kościelnym fortepianie. Muzyka wydawała się uspokajająca, ale i smutna.

- Twój ojciec chciał mi coś wyjaśnić, Sophie. Przepraszam, jesh odniosłaś wrażenie, że cię unikam. - To ona unikała jego Stała tutaj na mrozie i starała się opanować drzenie. - Może

gdzieś usiądziemy? Muszę z tobą porozmawiać. I nie chcę tego odwlekać.

- Zabierasz dziecko - powiedziała, omiatając wzrokiem placyk. - Mój brat jest idiotą.

Nie był pewien, którego brata ma na myśli.

- Skoro tak mówisz. Wszyscy trzej wydają mi się sympatyczni, o ile nie odgrażają się, że porachują mi kości.

Nachmurzyła się.

- Ciągłe ci grożą?

- Ostatnio nie. - Wziął ją pod ramię i poprowadził w kierunku schludnej werandy domu Harradów. - Nie mogę wziąć odpowiedzialności za dziecko, Sophie. Nie w obecnej sytuacji.

- Dlaczego? Wyjeżdżasz do Chin?

- Wybierałem się do Baltimore.

A ona miała jechać do Yoskhire, na miłość boską.

- To bez znaczenia. Dzieci zwykle dobrze znoszą podróże, zwłaszcza takie małe jak Kit. On nie może zostać u Harradów. To przyzwoici ludzie, ale myliłam się, sądząc, że obcy będą go kochać tak samo jak my.

- Więc kochasz Kita?

Zatrzymała się przed schodami Harradów.

- Tak. Myślę, że ty też go kochasz, a twoja pozycja pozwala na to, abys go przygarnął. Będę uparta w tej sprawie.

- Niezwykła groźba, moja droga, aleja też potrafię być uparty. Czy wiesz, o czym twój ojciec chciał ze mną porozmawiać, i to pilnie?

Gdy tym razem zmierzyła Vima wzrokiem od stóp do głów, odniósł wrażenie, że dopiero teraz go zobaczyła.

- Ojciec ma skłonność do dziwacznych zachowań. Nie zwierza się nikomu oprócz jej książęcej mości.

Wierzył jej. Wierzył, że nie ma pojęcia, kto przyczynił się do wielkiego upokorzenia, jakie Vim przeżył przed laty, tak samo, jak on tego nie wiedział. Myślał aż do dziś, że książę wbił mu nóż w plecy, gdy tymczasem ochronił go - wspierając się swoim autorytetem - przed marnym losem.

- To noc objawień. Usiądziemy?

Jedynym miejscem, gdzie mogli usiąść, była skromna, drewniana weranda Harradów. Vim zajął miejsce i wskazał Sophie, by usiadła obok niego.

- Przytul się do mnie, Sophie. Jest za zimno, żeby stać z dumnie uniesioną głową, a poza tym musimy rozwiązać pewien dylemat.

Usiadł, a Vim przyjął to westchnieniem ulgi.

- Jaki dylemat?

Mogła przysunąć się bliżej niego albo umościć się wygodniej na twardych deskach.

- Jeśli chcesz zapewnić Kitowi jak najlepszy start w życiu, to musi mieć dwoje rodziców, którzy będą go kochać i opiekować się nim.

Skupiła wzrok na odległym celu, jakby próbowała zobaczyć krążące w mroźnym powietrzu nuty, które jej brat wygrywał na fortepianie.

- Nie mogę być jednocześnie jego matką i ojcem, ty też tego nie potrafisz.

- Proponuję bardziej tradycyjny układ. Ty bądź jego matką, a ja będę ojcem.

To był rzeczywiście bardzo tradycyjny układ: dziecko, mama i tata. Najbardziej pospolita grupa w historii ludzkiego gatunku. Vimowi waliło serce, ale zebrał wszystkie siły, aby mówić bez drżenia głosu.

- Jestem ci winien przeprosiny, Sophie Windham. Zamknęła oczy.

- Mówi pan zagadkami, panie Charpentier.

Nie nazwała go lordem czy baronem, ani nawet Sindalem.

- Vim. Dla ciebie jestem Vimem i zacznę od przeprosin. Kiedy byliśmy w Londynie...

Pokręciła głową.

- To było kiedyś, teraz jest inaczej. Wtedy miałam głupie życzenie i ukradliśmy trochę czasu tylko dla siebie wbrew roz-

sądkowi, którzy przemawiał przeciwko temu. Jeśli chcesz mnie przeprosić za to, co się tam stało, to nie przyjmę wyrazów skruchy.

Pomyślał, że Sophie wstanie i odejdzie, a tego by nie zniósł. Nigdy więcej, nigdy. Nie znieśliby tego ani on, ani dziecko. Odszukał jej dłoń i zamknął w swojej.

- Powzięłaś wtedy przekonanie, że złożyłem ci niegodną propozycję. Schyliła głowę, niemal dotykając kolan.

- Musimy o tym rozmawiać?

- Ja muszę. - To była jego ostatnia deska ratunku. Miał nadzieję, że prawda wystarczy. - Nie pomyliłaś się, Sophie.

Poderwała głowę.

- Naprawdę?

- Proponowałem ci taki układ, który mogłabyś zaakceptować. Najlepiej gdyby to było małżeństwo, ale niekoniecznie. Zrobiłbym wszystko, aby zatrzymać cię w moim życiu.

- Nie. - Wyrwała mu rękę i się zgarbiła. - Byłeś szarmancki, chciałeś zakończyć to z honorem, a może miałeś inne motywy, ale nie takie, które wystarczą kobiecie do małżeństwa. I co by z tego przyszło? Za chwilę wsiadłbyś na statek i odpłynął na dalekie morza. Nie tego pragnęłam. Zupełnie nie tego.

Uklęknął przed nią na twardych schodach, po to, by ją zatrzymać, i dlatego, że tak należało zrobić.

- Powiedz mi, czego pragnęłaś, Sophie. Powiedz mi, proszę.

- Pragnęłam... - Urwała i potarła policzek dłonią. - Chciałam mieć święta dla siebie. Pragnęłam mężczyzny, któremu będzie na mnie zależało, który będzie stał zawsze przy moim boku, bez względu na wszelkie przeszkody, nawet kłopotliwe dziecko. Mężczyzny, który będzie kochał mnie i nasze dzieci, który spędzi ze mną życie. Takie miałam pragnienia i wtedy zjawiliś się ty. Chciałam...

- Czego chciałaś, Sophie?

- Chciałam, abyś stał się moim świątecznym prezentem, abyś wypełnił wszystkie moje święta.

Pomyślał, że pasterze przed setkami lat nie usłyszeli wcale uderzeń skrzydeł anielskich zastępów, tylko bicie własnych serc przepętnionych nadzieją, radością i zachwytem.

- Wesołych świąt, lady Sophie. - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją powoli i z czcią. - Bądź moim prezentem na wszystkie święta, moim i Kita, do końca życia.

Chwyciła nadgarstki Vima i próbowała odciągnąć jego dłonie od swojej twarzy, ale pogłaskała kciukami jej wilgotne policzki.

- Nie mogę - powiedziała. - Nie wystarczy, że oboje kochamy dziecko i że zależy mi na tobie.

Pocałował ją, aby zamilkła. I aby zebrać odwagę.

- Kocham cię i to powinno wystarczyć. Kocham ciebie i dziecko, zawsze będę was kochał. Proszę, błagam, musi ci to wystarczyć.

Odchyliła głowę i przyglądała się badawczo Vimowi, który nie mógł już powstrzymać potoku słów.

- Nie chcę wyjeżdżać do Baltimore. Nie chcę zostawiać ciotki i stryja. Powinienem był tu wrócić dawno temu. Nie chcę unikać sąsiadów z powodu smutnych nieporozumień sprzed lat. Ale ja też mam swoje pragnienia, Sophie.

- Czego pragniesz?

- Byś znalazła dla mnie miejsce w swoim sercu. Na stałe. Pragnę, abyś była matką moich dzieci. Pragnę, aby twoi niemądry bracia zostali czułymi wujkami naszych dzieci, a twoje siostry ciociami, które będą je bezwstydnie rozpieszczą. Chcę stworzyć z tobą dom dla naszych dzieci. Dom, do którego twoi rodzice zawsze będą mogli przyjechać, aby ocenić, jak sobie radzimy, i skrytykować naszą pobłażliwość wobec potomstwa. Chcę dostać tylko jeden prezent, Sophie Windham: przyszłość z tobą. To moje świąteczne życzenie. Czy je spełnisz?

Gdy Vim postawił to pytanie, improwizowany recital lorda Valentine dobiegł końca i powietrze wypełniła cisza.

- Sophie, proszę.

Vim klęczał w ciemnościach i wyciągał do niej rękę. Nie była w stanie dłużej się opierać i - niech będą dzięki Bogu i aniołom - też wyciągnęła do niego rękę.

- Tak. Tak, panie Charpentier, chcę być twoim świątecznym prezentem, a ty bądź moim. Kit będzie należał do nas, a my do niego, a moi bra...

Przytulił ją z głośnym westchnieniem ulgi, a z kościoła dobiegła żywołowa, dudniąca partia chóru z oratorium starego mistrza:

„Albowiem dziecię się nam narodziło, syn został nam dany... syn został nam dany”².

Sophie nie potrafiła powiedzieć, jak długo przytulała się do Vima na zimnych schodach nieszczęsnej werandy. Mogłaby zostać w jego objęciach do wiosny, a i tak nadal przepełniałyby ją nadzieja i poczucie ulgi.

- Czy znowu naprzykrzasz się naszej siostrze?

Sophie podniosła głowę i zerknęła nad ramieniem Vima. Kilka kroków od nich stali Valentine, Westhaven i St. Just. Nawet nie słyszała, kiedy podeszli. St. Just zadał pytanie wyjątkowo spokojnym tonem, który oznaczał, że za chwilę straci nad sobą panowanie.

Vim pomógł Sophie wstać, ale nadal obejmował ją ramieniem.

- Nie naprzykrzał się. Jeśli nie widzicie różnicy między natrętem naprzykrzającym się niechętniej kobiecie a mężczyzną, który całuje swoją wybrankę, to współczuję waszym żonom.

St. Just zachował kamienną twarz, ale Valentine uśmiechnął się szeroko, a Westhaven rozpromienił.

- A co z dzieckiem? - zapytał St. Just. - Sindal, czy twoje dobre intencje dotyczą również dziecka?

Vim objął Sophie nieco mocniej.

- Oczywiście, że tak - powiedział tonem przepełnionym taką żarliwą radością, że Sophie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- To się szczęśliwie składa - stwierdził St. Just i podszedł do nich. - Przyda ci się ten dokument.

Wyjął z kieszeni płaszczu zwinięty rulon i podał Vimowi, który nawet nie zerknął na dokument.

- Co to?

² Księga Izajasza 9,6, za Mesjaszem Haendla (przyp. tłum.)

W ciemności błysnęły zęby St. Justa.

- To rachunek za klacz i jej nienarodzone źrebię.

Vim spojrzał na Sophie, ale nie miała pojęcia, co brat ma na myśli, i była zbyt szczęśliwa, by się tym przejmować.

- To dla chłopca - wyjaśnił St. Just. - Nie mogę zabrać tej klaczy na północ w jej obecnym stanie. Nie chcę też wracać na południe następnej jesieni, prawda?

- Tak przypuszczam. Valentine odchrząknął.

- Nie są mi potrzebne kolejne skrzypce. Kiedy zostaną odnowione, utalentowani ludzie chętnie zapłacą za możliwość zagrania na nich na koncercie. A jeśli chłopak będzie miał muzyczne zainteresowania, zgodnie ze swoim nazwiskiem, to też mu się przyda instrument.

Vim wydawał się zaskoczony.

- Skrzypce?

- To bardzo miło z twojej strony, Val. - Sophie otoczyła Vala ramieniem w talii. - Przyjmujemy ten prezent w imieniu Kita.

- Nie przypuszczam, żebyście chcieli zarządzać w jego imieniu sklepem ze słodyczami? - zapytał Westhaven, nadzwyczaj uradowany, że może złożyć taką ofertę. - Zawsze będę jego ulubionym wujkiem, jeśli się na to zgodzicie, a kuzynostwo będzie go darzyło wyjątkowym szacunkiem. Przyda mu się taki interes, gdy przyjdzie czas na znalezienie sobie żony...

- Diaboliczny pomysł - zawołał Valentine, patrząc dziko spode łba.

- Raczej książęcy gest - przyznał St. Just. - W stylu jego książęcej mości, Westhaven, tylko wykonanie gorsze.

- Przyjmujemy - powiedziała Sophie, uśmiechając się do najukochańszych braci na świecie. - Prawda?

- Oczywiście, że tak - zgodził się Vim. - Ale zanim nasz syn będzie bogatszy niż rodzice, muszę uciąć sobie kolejną pogawędkę z jego książęcą mością.

- Proszę o wybaczenie, panowie, pani. - W drzwiach domu stał pan Harrad, zakłopotany faktem, że oczy wszystkich zwró-

ciły się na niego. - Usłyszałem głosy, a tak się składa, że moja żona i ja chcieliśmy porozmawiać z lady Sophie i lordem Sindal w najbliższej przyszłości.

- To my już pójdziemy - powiedział Westhaven i pocałował Sophie w czoło. - Nie stójcie za długo na mrozie. Sindal, witaj w rodzinie.

- Witaj - powtórzył Valentine - ale jeśli dasz Sophie najmniejszy powód do zmartwienia, to z przyjemnością rozkwaszę ci facjatę - dodał i pocałował siostrę w policzek.

- Wtedy ja też się z tobą policzę - wtrącił St. Just i przyciągnął Sophie, aby ją uściskać. - Przyślij do mnie chłopaka, kiedy przyjdzie czas na naukę konnej jazdy.

To nie była prośba, ale cała sprawa okazała się na tyle kontrowersyjna, że odchodząc w kierunku Morelands, bracia zaczęli się żywiołowo kłócić, który z nich nauczy chłopaka jeździć konno, który tańczyć, flirtować, strzelać...

Sophie odprowadzała ich wzrokiem, aż zniknęli w mroku nocy, a jej serce przepełniało wzruszenie. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że muszą załatwić jeszcze jedną sprawę, zanim będzie mogła przyprowadzić Vima do domu.

- Panie Harrad, czy teraz miałby pan czas na rozmowę? Przeniósł potulne i zmęczone spojrzenie z Sophie na Vima.

- Ależ oczywiście.

- Chłopiec nawet nie pisnął przez całe nabożeństwo.

Vim trzymał dziecko na rękach, a jego książęca mość Percival, książę Moreland, uśmiechał się promiennie do małego.

- Ani razu, moja kochana! - zwrócił się do żony. - Nie mogę powiedzieć tego samego o własnych synach.

- Ani o sobie - mruknęła pod nosem księżna, która siedziała obok męża w powozie.

Vim i Sophie wymienili spojrzenia, ale ich książęce mości -zapatrzony w Kita, który leżał w strojnym beciku - nawet tego nie zauważyły.

- Powiem ci coś, Sindal - książę zwrócił się do Vima, nie odrywając oczu od dziecka. - Omawialiśmy kiedyś z twoim dziadkiem twoje ewentualne małżeństwo z jedną z moich córek. Pochwalał ten pomysł. I tego małego dżentelmena też by przyjął z otwartymi ramionami.

Księżna sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę wziąć dziecko na ręce, ale się powstrzymała.

- Jak przekonaliście panią Harrad, żeby się z nim rozstała? -zapytała Sophie.

- Nie musieliśmy.

Sophie wsunęła rękę w dłoń Vima, dając znak, aby sam to wyjaśnił.

- Pani Harrad znowu jest w błogosławionym stanie - powiedział. - Gdy jej mąż zgodził się przyjąć Kita pod swój dach, jeszcze o tym nie wiedział. Odbyli z pewnością wiele trudnych rozmów, kiedy chłopiec trafił pod ich opiekę.

- Dobrze, że wszystkie sprawy się wyjaśniły - podsumował książę, pocierając nosem policzek Kita. - Chłopak ma moje oczy, Esther.

- Percivalu Windham, na miłość boską.

Ale książę był w doskonałym nastroju i kiedy Vim pomagał Sophie wysiąść z powozu, wyliczał „kupione” okręgi wyborcze, które Kit mógłby reprezentować w Izbie Gmin.

- Wejdiesz ze mną na dwa słowa do gabinetu, Sindal? - zagadnął książę, poświęcając niemal całą uwagę dziecku, które uśmiechało się i gaworzyło, jakby byli kolegami z jednej klasy.

- Stryj czeka na mnie w Sidling, wasza książęca mość. Może innym razem.

- W takim razie widzimy się na kolacji - postanowiła księżna. - Mam nadzieję, że książę pozwoli mi chociaż raz nakarmić dziecko.

- Oczywiście, że pozwolę - odparł jej małżonek. - Ale najpierw pójdę z nim na kieliszeczek do gabinetu. Chodźmy, Esther, chłopiec nie powinien przebywać za długo na mrozie, zwłaszcza że zanoszą się na kolejną śnieżycę.

Po tych słowach ruszyli krokiem pełnym godności do domu, zostawiając Sophie i Vima na podjeździe.

- Przyjedziesz na kolację?

- O ile stryj mnie puści. Kiedy się dowiedział, że będziemy mieszkać głównie w Sidling, zarzuca mnie projektami i pomysłami.

Ku swojemu zdziwieniu Vim stwierdził, że długie dyskusje ze stryjem sprawiają mu prawdziwą przyjemność.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę twoją posiadłość w Surrey. - Sophie wsunęła rękę w jego dłoń i ruszyła w kierunku stajni. - Niebo nie wygląda zachęcająco.

Gdy znaleźli się sam na sam w stajni, Vim zaczął całować swoją wybrankę z rozpaczliwą żarliwością, siejąc zgorszenie wśród koni. Gdy w końcu zdołał się od niej oderwać, na ustach Sophie błąkał się tajemniczy uśmiech, od którego nawet oblodzone końskie koryto mogłoby zapłonąć pożądaniem.

- Przyjadę na kolację, a także jutro rano. Zabiorę cię na przejażdżkę. A jeśli pogoda nie dopisze, to możemy upiec chleb albo posłuchać, jak twój brat ćwiczy na fortepianie.

Jej uśmiech zgasł. Oparła policzek na piersi Vima.

- Wkrótce wyjadą. Obiecali swoim żonom, że wrócą do domu na Trzech Króli.

- Przyjadą na wesele.

W każdym razie taką miał nadzieję. Sophie nie ustaliła daty, chociaż nalegał, ale jeśli chodziło o niego, mogło to być nawet jutro. A jeszcze lepiej tego popołudnia.

Sophie pogłaskała go po piersi.

- Lepiej już jedź. Muszę uwolnić Kita od towarzystwa ojca, bo jeszcze zaczną obaj popijać brandy. Mama mi nie wybaczy, jeśli Kit będzie miał zły wpływ na księcia.

Kit miał cudowny wpływ na księcia, ale Vim zrozumiał aluzję. Im prędzej dotrze do Sidling, tym prędzej wróci do Morelands. Pocałował Sophie raz jeszcze, wskoczył na konia i wyjechał na zamarzną drogę.

Gdy znalazł się w Sidling, w gabinecie czekał na niego nie tylko stryj, ale i ciotka. Zaplanowali wspólnie, że wydadzą w galerii

portretowej przyjęcie dla uświetnienia zaręczyn bratanka. Vim nerwowo zerkał na zegar i ciężkie chmury na niebie, ale stryj nie przestawał paplać, zastanawiając się, czy lepiej będzie urządzić uroczystość podczas najbliższej pełni księżyca, czy może następnej. Tymczasem w powietrzu zaczęły tańczyć małe, puszyste płatki śniegu.

- Twój amant przyjechał mimo śnieżycy - oznajmiła Evie, ścisząc miłosiernie głos, aby nie narazić Sophie na uszczypliwości ze strony braci. Wszyscy trzej byli nadal w domu, a Sophie zaręczyła się jako pierwsza z sióstr, więc mieli duże pole do popisu.

- Pewnie nie zostanie długo - odparła Sophie, chociaż bardzo chciała, aby został co najmniej do rana, a widząc gęsty śnieg, miała nadzieję, że tak się stanie.

Evie spojrzała tak, jakby sama miała ochotę jej podokuczać, ale akurat podszedł do nich książę.

- Jeśli mam oddać moją drogą Sophie pod opiekę czarującego dziedzica Rothgreba, muszę przynajmniej odprowadzić ją do stołu, prawda?

Evie klepnęła ojca w ramię.

- Ależ oczywiście. I musi papa obronić ją przed braćmi, którzy nic innego nie robią, tylko udzielają jej rad, jak wychowywać małych chłopców, chociaż sami są dopiero świeżo upieczonymi ojcami.

- Musieli odziedziczyć po matce tę skłonność do udzielania niechcianych rad - odpowiedział książę z uśmiechem.

- Oczywiście, papo.

Evie wymknęła się z pokoju, a Sophie zyskała doskonałą okazję do zadania drogiemu ojcu kilku dyskretnych pytań, których nikt - ani brat, ani siostra, ani tym bardziej księżna - nie powinien słyszeć.

Nawet jeśli te pytania wprawiły księcia w zakłopotanie, nie dał tego po sobie poznać. Rodzinna kolacja przebiegła w przyjaznej atmosferze. Sophie siedziała obok Vima i starała się opano-

wać przemożną chęć dotykania zachwycającej części ciała, która kryła się w jego spodniach.

- Moja kochana - zwrócił się książę do żony przez długość stołu. - Nie wolno nam wystawiać młodego Sindala na pastwę rozszalałych żywiołów. Jego zalotom do naszej Sophie wciąż towarzyszą śnieżyce. Trochę tego za wiele dla starego człowieka.

- Baronie? - zaczęła księżna z uśmiechem. — Czy uda nam się nakłonić pana, by przyjął pan naszą gościnę? Nie chcę wyzywać losu i narażać pana na kolejną podróż podczas śnieżycy.

Sophie pod stołem przesunęła rękę z muskularnego uda Vima na jego gwałtownie pęczniejący członek i ścisnęła go delikatnie, ale stanowczo.

- Z przyjemnością przyjmę zaproszenie, wasza książęca mość - odparł Vin z lekkim napięciem w głosie, wywołanym prawdopodobnie faktem, że Sophie z uwagą czekała na odpowiedź. - Ciocia i stryj nalegali, abym tu został, jeśli pogoda się pogorszy.

Położył rękę na dłoni Sophie i lekko ścisnął jej palce, a tym samym swoje czułe miejsce. Na jego nieszczęście, w tym momencie księżna zaprosiła damy na herbatę do salonu, a bracia Sophie zaczęli wymieniać znaczące uśmiechy, które utwierdziły ją. w przekonaniu, że zobaczy Vima dopiero za kilka godzin.

Sophie zachowała jednak niewzruszony wyraz twarzy, nawet wtedy gdy Evie do niej mrugnęła, Maggie przewróciła oczami, a książę wydał służbie dyspozycje, by panom przyniesiono trunki zamiast herbaty.

Pokój Vima znajdował się w skrzydle domu przeznaczonym dla rodziny, a świadomość, że Sophie jest na drugim końcu korytarza, była zarazem przyjemna, jak i nieopisanie męcząca. Chciał do niej pójść, ale dobrze wiedział, że na korytarzu mógłby się natknąć na brata, siostrę albo - nie daj Boże! - któreś z rodziców.

Westchnął i po raz nie wiadomo który przewrócił się w ogromnym łóżu. I wtedy usłyszał przeciągłe skrzypnięcie, a po chwili drugie - to drzwi otworzyły się i zamknęły.

Poczuł czysty kwiatowy zapach, który przechowywał w pamięci jak cenny skarb.

- Sophie Windham, nabrałaś pożałowania godnych nawyków. Nie wolno wślizgiwać się ukradkiem do sypialni dżentelmena.

- Mam zamiar wślizgnąć się także do twojego łóżka - powiedziała, odsuwając zasłony. - Strasznie tu zimno.

Zrezygnował z surowego wykładu na temat przyzwoitości. To byłaby strata czasu, gdyż Sophie rzuciła szlafrok w nogi łóżka, a następnie zdjęła koszulę przez głowę.

- Nie mogę pozwolić, byś zamarzła na śmierć.

Uniósł koldrę i upomniał się, by błagać ją o jak najszybszy ślub. Dobrze chociaż, że opatrność co rusz zsyła na nich zbawienne śnieżne burze.

- A ja nie mogę pozwolić, aby mój przyszły mąż spokojnie zasnął.

Przytuliła się do boku Vima - ciepłe i uroczne wcielenie kobiecości. Objął ją ramieniem, przygarnął mocno do siebie i usłyszał jej westchnienie.

- Przypuszczam, że skoro stoisz u progu małżeństwa, to przyszłaś tu porozmawiać? - zapytał, wystrzegając się cierpiętniczego tonu. Jej bracia pouczyli go szczegółowo, że dorosłe kobiety mają potrzebę rozmawiania ze współmałżonkiem i że zasługują na tę chwilę prywatności.

Sophie błędziła dłonią po jego nagim torsie.

- Oczywiście, że przyszłam porozmawiać. Uwielbiam z tobą rozmawiać.

A zatem postara się tak poprowadzić rozmowę, aby ustalili datę ślubu. Wykorzysta sytuację na własną korzyść, chociaż starał się nie nadużywać gościnności gospodarzy. Kto wie do czego ich zaprowadzi ta rozmowa?

Dłoń Sophie wędrowała po piersi Vima, aż zjechała w stronę pępka.

- Przyszłam porozmawiać, ponieważ nie mogę czekać na śnieżycę za każdym razem, kiedy chcę spędzić trochę czasu z uko-

chanym. - Jej dłoń przesunęła się na dół i delikatnie zamknęła na sterczącym członku Vima. - Ale mam też inny cel.

- Śnieg przestał padać - oznajmił księżę, uchylając zasłonę, po czym odwrócił się do żony, która siedziała przy sekretarzyku.

Księżna odłożyła pióro. Z jej spokojnej twarzy trudno było odczytać jakiegokolwiek uczucia, choć w oczach księżę dostrzegł cień zatroskania.

- W takim razie chłopcy pewnie wyruszą niebawem w drogę.

- A na wiosnę my wyruszymy. - Przeszedł przez pokój i pochylił się, by dźgnąć pogrzebaczem polana w kominku. - Odwiedzimy rezydencję Sindala w Surrey, wpadniemy do Westhaven i Amery... nie chciałbym, aby Rose czuła się zaniedbywana przez dziadków... a potem udamy się do Oxfordshire, do Vala i Ellen, i zrobimy sobie spacer do West Riding, jeśli będziesz miała ochotę.

Skinęła głową. Mąż proponuje jej kilkutygodniową podróż, aby odwiedzić wszystkie dzieci, a ona tylko przytakuje?

- Esther, czy coś cię trapi?

- Nie całkiem. - Wstała i podeszła do ich łóżka, w którym poczęli dzieci i w którym godzili się po coraz rzadszych z biegiem czasu kłótniach. - Usiądź obok mnie, mężu.

Mężu? Rzadko go tak nazywała i prawie nigdy w obecności innych osób. Usiadł posłusznie i wziął ją za rękę.

- Powiedz, co cię trapi, żono. Nie mogę pozwolić, żebyś się martwiła.

- Nasza kochana, rozsądna Sophie, ta z córek, o którą nigdy nie musieliśmy się niepokoić...

- Przecież niepokoiimy się o każde z naszych dzieci, do dia-ska. Wybacz mi język.

- Istotnie. Ale o Sophie nie aż tak bardzo, a tymczasem właśnie ona...

Przycisnęła twarz do jego ramienia, co wzbudziło w księciu falę niepokoju. Esther była najmiłszą kobietą pod słońcem, a gdy

chodziło o rodzinę, nie okazywała ani tchórzostwa, ani sentymentalizmu.

- Powiedz mi o Sophie, Esther.

- Wymiotowała po śniadaniu. Nie pierwszy raz.

Księżę otoczył żonę ramieniem i pocałował jej włosy, głównie po to, aby ukryć uśmiech.

- Wszystko będzie dobrze, Esther. Nie musisz się martwić. Sophie jest nieodrodną córką Windhamów. To oczywiste, że pozwoliła swojemu wybrankowi na pewną poufałość. Prawdopodobnie ma to po matce.

Księżna odsunęła się od niego, a jej ładne czoło przecięła zmarszczka.

- Nie jesteś wściekły? Nie wyzwiesz Sindala na pojedynek ani nie nakrzyczysz na nich?

- Jakżebym mógł, skoro nasze małżeństwo rozpoczęło się podobnie? I proszę, jakie jest udane. Chodź do łóżka. Jeśli pogoda rzeczywiście się poprawi, to posłaniec szybko wróci z Londynu.

Wślizgnęła się pod kołdrę i przytuliła do męża, jak każdej nocy przez całe ich wspólne życie.

- A cóż to za posłaniec?

- Ma przywieźć specjalne zezwolenie, o którego uzyskanie prosiła mnie Sophie. Zależało jej na czasie. Wysłałem tego nieszczęśnika na taką pogodę z butelką mojej najlepszej whisky, aby pędził co siłą.

Księżna westchnęła i przytuliła się mocniej.

- Wesołych świąt, Percivalu. Bardzo cię kocham.

- Wesołych świąt, księżno. Ja ciebie też.

- No to porozmawiamy później. - Vim podniósł się z łóżka i zawisł nad Sophie, a jego nabrzmiały członek muskał jej brzuch. -A teraz skorzystamy po raz kolejny z małżeńskich przywilejów, chyba że natychmiast odmaszerujesz do swojego pokoju.

- Twój entuzjizm do korzystania z tych przywil... Wielkie nieba! - Westchnęła, gdy zaczął ją całować, zatopiła dłoń w jego włosach i zapraszająco wysunęła biodra.

Sophie miała już na palcu jeden z rodowych pierścieni Charpentierów. Vim po części obawiał się, a po części miał dziwną nadzieję, że po oficjalnych zaręczynach pożądanie, jakie odczuwał wobec wybranki, może zamienić się w czułe uczucie, w wewnętrzną potrzebę wstrzemięźliwości i przestrzegania reguł, udziału w nabożeństwach i rodzinnych posiłkach.

To była niemądra obawa. Im bardziej kochał Sophie, tym bardziej pragnął jej w łóżku.

- Panie Charpentier, dlaczego jest pan cierpliwy akurat wtedy, kiedy rozpaczliwie pragnę, aby był pan impulsywny? - szepnęła Sophie. A potem omiotła jego ucho językiem, a następnie ugryzła na tyle mocno, by sprowokować Vima do bardziej pożądanym działaniom.

- Jestem cierpliwy - jęknął, ocierając się członkiem o jej kobiecość - ponieważ zależy mi na twojej przyjemności, Sophie.

- Twoja rozważa doprowadza mnie na skraj szaleństwa. - Złapała go za włosy i bardziej uniosła biodra, ustawiając je pod właściwym kątem. - Uwielbiam wypełniać przed czasem małżeńskie obowiązki z rozważnym mężczyzną.

Uwielbiała kochać się z nim, co po zaledwie kilku, ale za to namiętnych spotkaniach Vim zaczynał doceniać. Sophie Windham była damą w każdym calu, ale także kobietą zakochaną w przyszłym mężu.

Zanurzył się powoli w jej wyczekującym wnętrzu, a przyjemność, jaką przy tym odczuwał, sprawiała, że czuł, jak krew dudni mu w uszach.

- Przestań, Sophie. - Zwolnił, aby powiedzieć, o co mu chodzi, ale Sophie zacisnęła jeszcze bardziej mięśnie pochwy. - Na litość boską, bo pozbawisz mnie męskości.

- Tylko na jakieś dziesięć minut.

Narzuciła rytm, przy którym Vim zapomniał o skrupułach, a stare łóżko zaczęło skrzypieć. Gdy z jej ust wydobyły się charakterystyczne westchnienia, poddał się i pozwolił, by namiętność ich pochłonęła. Odkąd poznali się lepiej jako kochankowie, odkąd nauczyli się, co sprawia im przyjemność, rozkosz zaczęła

narastać. To nie była jego wyobraźnia, tylko fakt. Już wiedział, że może się spodziewać dudnienia w uszach, że gorąca rozkosz, mająca swe źródło w członku, rozleje się pochłaniającą falą za każdym razem, gdy będą się kochali.

Zawisł nad nią nasycony, ciężko dysząc, a jej paznokcie wbijały się w jego plecy. Po chwili podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju.

- Nie możesz mnie wciąż powstrzymywać, Sophie. Nalegam, aby ślub odbył się w Nowy Rok, inaczej nasze pierwsze dziecko urodzi się za wcześnie.

- Nowy Rok to cudowne święto, a jeszcze lepiej Trzech Króli - powiedziała tak zadowolonym głosem, że Vim nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie ruszaj się. Dopilnuję, żebyś dotrzymała słowa, moja pani. Jeśli nie, to przyłapią nas na gorącym uczynku i sprawa będzie załatwiona.

Wyślizgnął się z jej ciała i wydobyl z pościeli, wiedząc, że Sophie nie odrywa od niego wzroku.

Gdy po chwili wrócił do łóżka, goły jak go pan Bóg stworzył, ukochana posłusznie na niego czekała, leżąc na plecach, a jej policzki wydały mu się dziwnie blade.

- Jesteś zmęczona - zauważył, siadając na brzegu łóżka. -Widziałem, że drzemałaś podczas kazania wikarego.

- Zamknęłam tylko oczy, aby lepiej przyswoić mądrości, które wygłaszał. Nie dokuczaj mi, bo będę musiała się zemścić.

Przemył delikatnie intymne części jej ciała. Żałował, że nie zapalił więcej świec.

- Uwielbiam, kiedy szukasz zemsty. Czy nie wspomniałaś czasem, że musisz czekać dziesięć minut, aż odzyskam męski wigor? Przesadziłaś trochę. Pewnie po to, by mnie sprowokować.

- Raczej zainspirować.

Podniosła kóldrę, zapraszając go z powrotem do łóżka.

- Pokochasz dom w Surrey, Sophie. Będziemy blisko West-havena. Ale jeśli wpadnie na pomysł, żeby odwiedzić nas jeszcze w styczniu, to oddam mu ten przeklęty sklep ze słodyczami.

Vim nie pozwoli, żeby tęskniła za braćmi. To nieładnie z ich strony, że ją zaniedbali, ale teraz będzie miała męża, który wie wszystko o podróżowaniu, chociaż - oczywiście - ich główną bazą pozostanie Sidling.

- Przytul mnie, proszę - powiedziała i przyciągnęła jego ramię, a Vim pomyślał, że żadna przyjemność na świecie nie może się równać z tuleniem w objęciach Sophie - kobiety, która należała do niego.

- Chcesz tu spać, panno Windham?

- Nie, ale wykorzystam piętnaście minut przerwy na rozmowę z tobą.

- Pięć minut.

Zamknął dłonie na jej piersiach, które były cudownie wrażliwe, a Sophie westchnęła z rozkoszy.

Chciała mu coś powiedzieć, ale ta perspektywa nie budziła w nim lęku. Był jedynie ciekaw. Odkąd Sophie Windham zawładnęła jego sercem, zdobyła również jego bezgraniczne zaufanie.

- O czym chcesz ze mną porozmawiać, moja kochana?

Oparł się na łokciu, aby obserwować, jak pod wpływem pieśczoły łagodnieją rysy jej twarzy. Robił to bezwstydnie dla własnej przyjemności, ale także z myślą o jej rozkoszy.

- Mam do ciebie kilka pytań.

Zabrzmiało poważnie. Odgarnął kciukiem włosy z jej czoła.

- Odpowiem najlepiej, jak potrafię.

- Umiesz zmieniać pieluchy.

- Owszem.

- Wiesz, jak nakarmić dziecko.

- Ogólnie rzecz biorąc, tak.

- Umiesz wykapać niemowlę.

- To nie jest trudne.

Zamilkła. Ciekawość Vima sięgnęła zenitu, gdy Sophie przewróciła się na bok i spojrzała na niego z powagą.

- Poprosiłam ojca o uzyskanie specjalnej zgody. Zastanawiał się, dlaczego nie dano na zapowiedzi, ale nie kwestionował decyzji Sophie.

- Przypuszczam, że po to, aby twoi bracia mogli uczestniczyć w ceremonii.

- Bracia? A tak, oczywiście.

Była pochłonięta jakąś myślą i ucichła, jak zwykle w takiej sytuacji. Vim otoczył ją ramieniem i pocałował w skroń.

- Powiedz mi, kochana. Mogę opowiedzieć ci o szaleństwach młodości przy szklaneczce grogu, a ty wyjawisz mi, co cię trapi.

Schowała twarz na jego ramieniu.

- Czy wiesz, jakie objawy świadczą o tym, że kobieta jest w stanie błogosławionym?

Starał się potraktować to jak niewinne pytanie bez żadnych podtekstów.

- Nie ma miesiączki, to jest najważniejsze.

Sophie położyła dłoń Vima na swojej cudownie pełnej piersi i wygięła ciało, gdy zaczął ją pieścić.

- Co jeszcze?

Usiłował przypomnieć sobie to, czego dowiedział się podczas podróży.

- Na początku kobieta jest zmęczona o dziwnych porach dnia - powiedział powoli. - Jej piersi robią się wrażliwe i musi chodzić za potrzebą częściej niż zwykle.

Przytuliła twarz do piersi Vima i przerzuciła nogę przez jego biodro.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie Charpentier.

W przepływie paniki - a może tylko niepokoju - Vim przypomniał sobie, że Sophie drzemała w kościele, miała cudownie wrażliwe piersi, że nagle wybiegła z pokoju, kiedy zasiedli do kolacji.

- A niektóre kobiety - dodał wolno - odczuwają mdłości w pierwszych tygodniach.

Wzięła jego dłoń i zaczęła całować palec po palcu, a potem położyła ją na swoim łonie.

- Możemy wziąć ślub w Nowy Rok. To dobra pora, jeśli ceremonia odbędzie się wczesnym popołudniem. Podobno mdłości powinny ustąpić za kilka tygodni, ukochany.

To słodkie, pieszczotliwe określenie nappełniło Vima niemal nabożną czcią.

Ogarnęło go uczucie nie do opisania. Głęboki spokój i wdzięczność splotły się w coś tak niezwykłego, że tego, co łączyło go z Sophie, nie można było nazwać „miłością”, nawet szaloną i namiętą. Wydawało się to po prostu zbyt ubogim określeniem.

- Jeśli jesteś szczęśliwa, Sophie, przynajmniej choć trochę tak szczęśliwa jak ja, to będą to najlepsze święta, jakie ktokolwiek kiedykolwiek przeżył. Ślubuję ci to uroczyście jako ojciec twoich dzieci, twój przyszły mąż i mężczyzna, który uwielbia cię całym sercem.

Ujęła jego twarz i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Najlepsze święta - powtórzyła. - Najlepsze święta, jakie ktokolwiek kiedykolwiek przeżył, najlepsze aż przyjdą nasze wspólne święta, z naszymi dziećmi, w przyszłym roku.

Vim nie potrzebował pięciu minut, aby rozpocząć celebrowanie ich przyszłego szczęścia. Nie potrzebował nawet minuty. Sophie miała rację. Kolejne święta ich rodziny będą najlepszymi, jakie ktokolwiek kiedykolwiek przeżył.